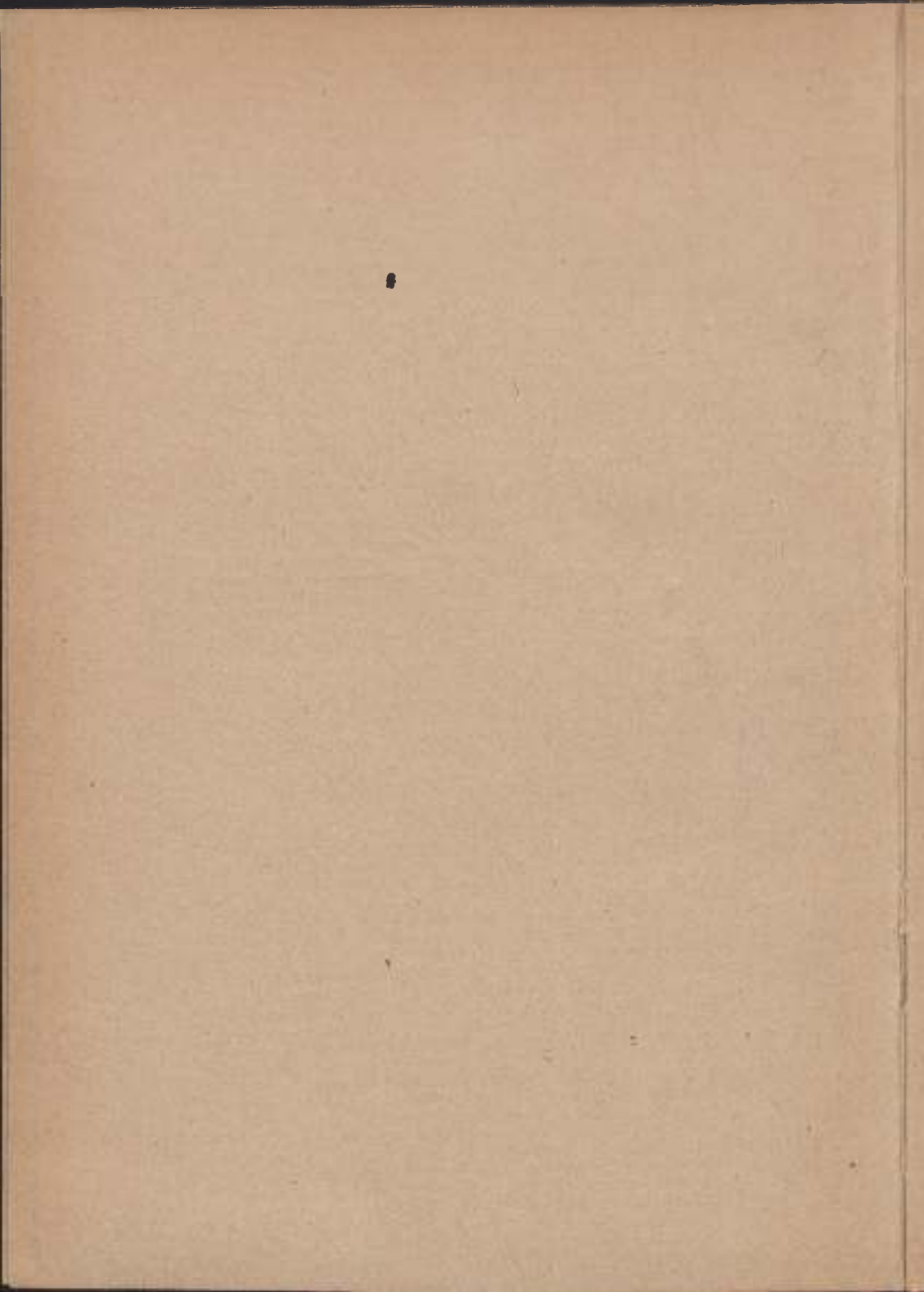


Ł 283

# Księżyc nad Cieszynem



PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

*Księżyc  
nad Cieszynem*

(Wspomnienia z lat niewoli i dni wyzwolenia).

Okładkę projektował:

**RYSZARD KISS-ORSKI**

WYDAWNICTWO „LITERATURA POLSKA“

---

KATOWICE 1946

Wszelkie prawa zastrzeżone  
*All right reserved — copyright, 1946 by*  
Wydawnictwo „Literatura Polska”  
*Printed in Poland.*

Ł.D. 64

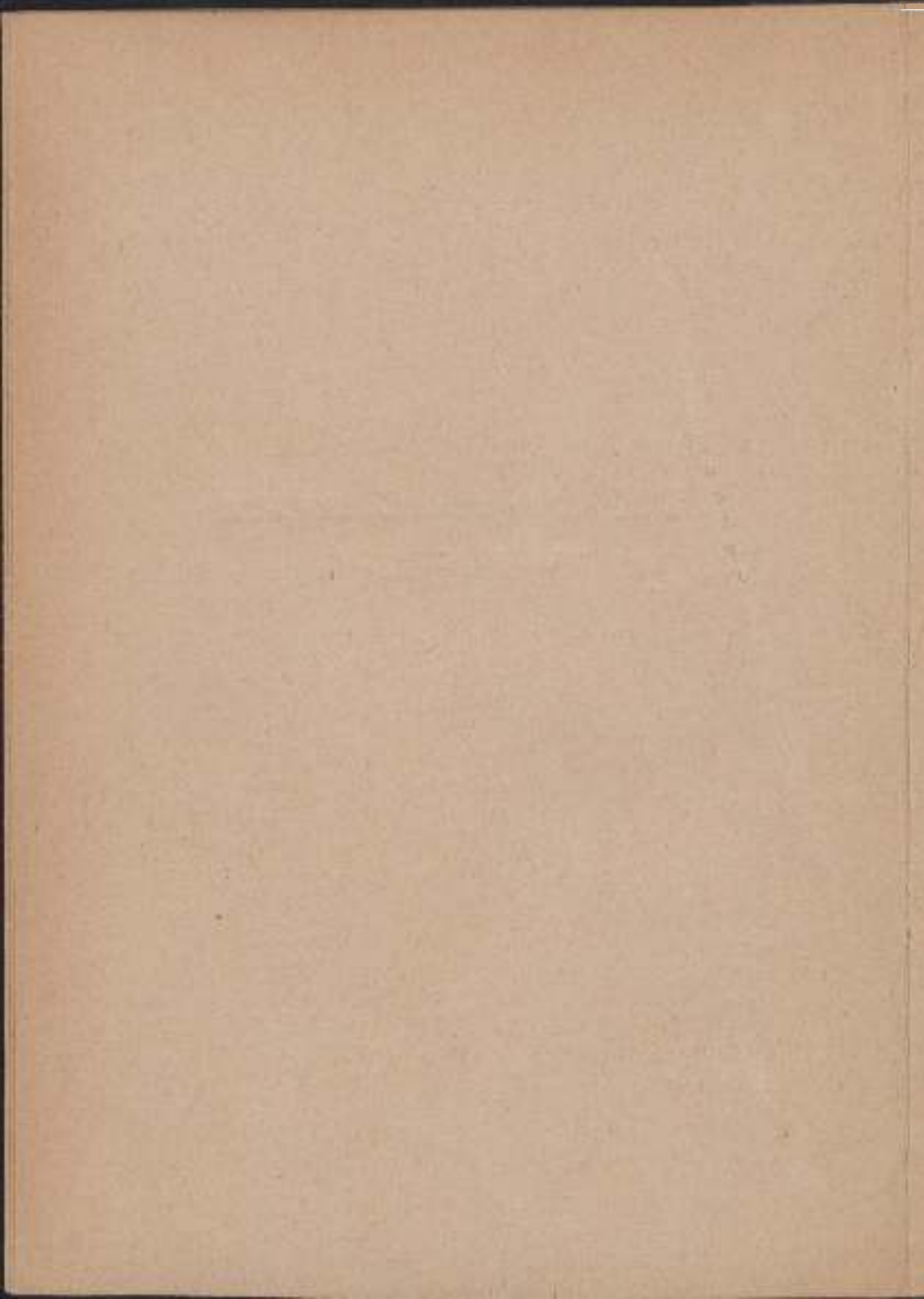
1946-7





# **I. Księżyc nad Cieszynem**

**DWIE PERSPEKTYWY.**



Gdy patrzę oknem swego mieszkania, to mi się widzi, że siedzę na dnie dawnego jeziora. Było to duże jezioro, i księżyc, który teraz wschodzi nad Cieszynem, wschodził wtedy nad jeziorem. Trzeba się, oczywiście, cofnąć o duże tysiące lat, może o dziesiątki tysięcy lat. Wszędzie dokoła były groźne bory z chłonnymi moczarami i nieprzebytymi bagnami. Na przedwiośniu i późną jesienią wyły tu wściekłe wichry, spadały nagłe ulewy, albo siały uparte deszcze, drobniutkie jak mgła. Mróz przemieniał tę mgłę w puszysty śnieg, a gdy śnieg opadł, to nad białym krajobrazem jaśniało spokojne słońce, albo płynął milczący księżyc. Wiosną szalało w borach bogate przelewne życie, latem było w nich cieniście, a wczesne jesienie mieniły się złotem i purpurą. Z rzadka tylko wyłaniał się z tych gąszczów kudłaty łeb pierwotnego człowieka z oszczepem w garści włochatej albo z kamienną siekierą. Częściej włóczyły się tu po mrocznych kniejach ociężałe niedźwiedzie i chytre wilki z mnóstwem drobniejszej zwierzyny. A księżyc patrzył w wody jeziora, spokojne latem, burzliwe na przedwiośniu i późną jesienią, zamarźle zimą. Czasem wydaje mi się, że słyszę głuchy łoskot fal tego dawnego jeziora nad moją głową. Wzdymają się te fale, pienią się, wiatr pędzi je ku brzegom i rozbija. O tam, gdzie widać domy Bobrku, Gumien, Krasnej...

A teraz jest uroczysta cisza sierpniowego wieczora;

pokój po drugiej wojnie światowej liczy sobie parę miesięcy. Jezioro wyszło dawno, dawno temu, czarne bory poznikały, niedźwiedzie i wilki wymarły. Pozostały tu tylko ładne ptaki i trochę wiewiórek, czarnych, jakich nie widywałem nigdzie indziej. Ptaków jest dużo. Przede wszystkim te najmilsze sikorki w licznych odmianach. Ciekawe, zaglądające w okno, osobiwie czasu zimy, łakome na słoninkę, dziecięły ostrodziobe o pozdzieranych ogonach, gile, czyże, kraski, drozdy i wścibskie szpaki. Ale gdy przemykam oczy i próbuję wyobrazić sobie tamte czasy, to za szybami okna przywidują mi się jakieś duże potwory wodne, śmigające tuż przede mną w zielonawej wodzie i przyglądające mi się żarłocznymi ślepiami rekimów. Dużo ich tu było: pożerały się wzajemnie, cieszyły się życiem na swój rybny i wodny sposób i umierały, jak wszystko, co żyje.

A teraz jest tu cicho, jasno, srebrzyście. Zza wysokiego horyzontu księżyc nie wstaje, jak na równinie czerwony i miedziany, ale ukazuje się od razu jasny, wypolerowany, lśniący. Gdy się odwracam od okna i spojrzę w okno przeciwległe, to widzę drzewa i domy nie w blasku, ale w srebrzystym cieniu księżycowym: kontury ich są już widne i wyraziste, ale jeszcze nieoświetlone. Jestem lunatyk, czciciel księżycy. We wspomnieniach z czasów dzieciństwa mam cudowne, zaziemskie jakieś zimowe noce, z księżycem płynącym wysoko nad zaśnieżoną równiną, jak nie płynie nigdy latem, gdy okrąża ziemię niemal tuż nad horyzontem, zaczajony, skradający się, daleki.

I dzisiaj, jak niegdyś, patrzę nań oczarowany, urzeczony jego blaskiem, jego tajemnicą i jego magią. Delikatny, rozpylony blask, rozbite atomy marzeń jakichś dawnych istot, które żyły pewno na księżycu. Coś, co kochało, tęskniło, marzyło, może śpiewało i grało na nieznanych harfach i fletach, pragnęło samo nie wiedząc czego, — — — teraz świeci. Pyłek, czy może puszek jakiegoś nie odkrytego pierwiastka duszy świata. Boże, jak cudownie

polśniewają strzechy ludzkich domostw w tym blasku! Atomy kropelek spadają na strzechę, rozpryskują się w poblask niepojęty i sycą dusze ziemian, czy może je zatruwają marzeniami i buntami. Nie wiem. Nie będę nigdy wiedział. Jestem lunatyk i poddaję się księżycowej magii z uczuciem głębokiej rozkoszy istnienia. Chciałbym trwać w oczach żywych ludzi takim blaskiem, gdy mnie już nie będzie. Tarcza księżyca wznosi się coraz wyżej i wisi w tej chwili nad dalekim drzewem. O, gdy teraz powieje wiatr, to srebrzysty gong księżyca trącony jego gałązkami, rozdzwięczy się cudnie trójkami andante Sonaty Księżycowej. To jest jedna z moich dwóch perspektyw życia.

Ale dość mi wspomnieć Sonatę Księżycową, aby się wyłoniła perspektywa druga. Należałem do tych skazańców pracy i biedowania, którym los pisał nieodwołalnie i bezapelacyjnie: nie poznasz harfy Słowackiego, nie będziesz nigdy wiedział, ile wieczności mieści się w nokturnie Szopena, w fudze Bacha, w sonacie Beethovena, jaką radością życia szaleje Liszt w swych rapsodiach. Mój dziad i ojciec przeszli przez życie, dźwigając jego ciężar, nie znając jego dostojeństwa i piękna. Znali tylko fabrykę z jej troskami, chorobami i z jej jedyną pociechą: wódką. Moja matka, delikatna, subtelna robotnica fabryczna, śpiewywała tęskne pieśni bez słów, takie może jak Solvejga w suicie Griega, a może jeszcze tęskniejsze i ładniejsze. Ale już nie porównam ich i nie sprawdzę. Umarła mając lat 33, w wieku, kiedy oczy otwierają się tak chciwie na czar niepojętego życia i gdy serce ludzkie takie bywa niesyte. Jej pracodawcy mieszkowali w bogatych pałacach: latem w kraju w jego najładniejszych okolicach, zimą nad morzami południowymi. Pracowała na nich razem z tylu innymi, na te pałace i na to morze. Ale sama nie mogła kupić sobie dość mleka, aby bronić się przed gruźlicą i nie miała nigdy dość słońca, aby nauczyć się beztroskiego uśmiechu. Nigdy nie słyszała muzyki innej jak huk ma-

szyn, świst pasów transmisyjnych i zgiełk żelastwa olbrzymiej hali fabrycznej. Nigdy nie poczuła w piersi rozkoszy górskiego czy morskiego powietrza. Gdy mówiła: morze, albo: góry, to oczy jej były ślepe i daremnie omackiem szukały wyobrażeń, które odpowiadałyby tym pojęciom niewiadomych cudów.

Och, nie mogę teraz słuchać muzyki i nie mogę patrzeć na beskidzkie zielone doliny czy na falujące morze, aby nie żałować, gorzko i daremnie, że tego już oczom matki i ojca nie pokażę. Ojciec mój pracował w mrocznej hali, w której światła było akurat tyle, ile go koniecznie być musiało. W domu oszczędzano naftę, którą kupowano za grosze. Życie upływało nam w ciągłym zaciemnianiu. Tylko w niedziele i święta ruszał ojciec wczesnym rankiem na grzyby do pobliskiego lasu i cieszył się widokiem pól i łąk. Czasem zabierał mnie z sobą. Miał lat sześć, gdy zaczęto go nosić do fabryki na robotę. Pracowało się wtedy od piątej rano do siódmej wieczorem. Dzieci płakiwały niewyspane, gdy je wczesnym rankiem budzono, zwłaszcza zimą, gdy było ciemno i zimno. Ale cóż było robić? Ktoś przecie musiał nosić szpulki! Poszedłem jego śladem, ale zacząłem pracować w fabryce dopiero w jedenastym roku życia, to raz, a po drugie pracowało się już krócej: od szóstej rano do pół do siódmej wieczorem. Zarobki były marne, nie dojadło się i nie dosypiało.

Pracowaliśmy w tkalni, która otrzymywała wysokie nagrody za swoje wyroby, ale my sami żyliśmy bardzo byle jak i mieszkaliśmy wprost nieludzko. Nasz pan miał pałace, my mieszkaliśmy w takich jakichś budach, których wspomnienie straszy. Sienniki zanosilo się rano na strych, wieczorem znosilo się je na dół. Zimą było dokuczliwie zimno, latem nieznośnie gorąco i duszno, szczególnie w nocie letnie, gdy izby były przepełnione śpiącymi. Śmierdziały bliskie śmietniki i wychodki. Żyliśmy w starym sąsiedztwie tyfusów, dyfterytów i szkarlatyn, a nawet



cholery, a przede wszystkim w nierozzerwalnym braterstwie z gruźlicą. Ktoś zawsze chorował i umierał powoli, kaszląc i stękając, modlił się albo przeklinał życie, które jakże często bywało ohydne! Gdy wybuchała epidemia groźnej choroby, np. cholery, pan nasz z rodziną wyjeżdżał za granicę, gdzie nie było ani cholery, ani tyfusu, lecz sennie szumiało błękitne morze. . .

Dla nas budowano wtedy obszerne baraki w pobliżu cmentarza. Gdy w jakim domu pojawiała się cholera, wywożono wszystkich do owych baraków a izbę dezynfekowano. Ubranie i pościel poddawano podobnie dezynfekcji tak niszczycielskiej, że nędzarze, którzy powracali do zdrowia, otrzymywali z powrotem jakieś nędzne strzępy.

Mówiono nam dużo o zbawieniu duszy, o zbawieniu wiekiustym. Ze wzruszeniem dowiadywaliśmy się, że Bóg kocha specjalnie takich właśnie nędzarzy, jak my, a nie kocha bogaczy. „Błogosławieni ubodzy — czytał ksiądz u ołtarza — i biada wam, bogacze!“ No dobrze, ale dlaczego ten Bóg, który nas tak bardzo kochał, nie dawał nam dość chleba, kazał nam mieszkać w straszliwych norach i wszystkie dostatki miał tylko dla tych nie-lubianych bogaczy? Nie rozumieliśmy tego. Podnoszę oczy ku księżycowi płynącemu nad cichym Cieszynem i myślę o tym obiecany nam zbawieniu wiekiustym. Olbrzymia rzecz, kosmiczna jakaś, bezmierna i niepojęta. O ileż łatwiejszym byłoby zbawienie społeczne na tym naszym skromniutkim odcinku ziemskim, za życia, na tej ziemi pod księżycem! Zbawienie wiekiuste? Ach, jak bardzo łaknęliśmy zbawienia od piekielnych mąk niedosytu, brudu, ciasnoty, od różnych zaraz, od nikczemności niegodziwych ludzi! Ale daremnie łaknęliśmy i pragnęliśmy sprawiedliwości społecznej. Zbawienie wiekiuste? Mówiono nam, że po śmierci wszystko się zmieni, że będzie dobrze wszystkim i każdemu. Czego oko nie widziało i ucho nie słyszało, to było zgotowane dla nas, właśnie dla nas, jako tych, których błogosławił Chrystus w Kazaniu na Górze.

Ale dzisiaj i teraz? Tutaj, na ziemi? Nic? Czy pamiętacie jeszcze księdza Hilarego, z „Sagi Forsytów“ Galsworthy'ego? Hilarego, księdza ubogich? To pamiętacie także modlitwę jego nad zwłokami ubogiego dziecka, które z powodu swego ubóstwa otrzymało pomoc lekarską za późno. Ksiądz Hilary pochylił się nad zwłokami biednej dziewczynki i zamyślił się boleśnie. Nie umiem już powtórzyć dosłownie tej modlitwy jego, ale pamiętam tyle: „Daj Panie, jeśli jesteś, pokój duszy tego dziecka i rozwiń przed jego oczkami jaki ładny film“. Żądał tak niewiele, prawda? O ileż więcej obiecują nam! Ale my wierzymy już nie tak łatwo. Doświadczenie życiowe odebrało nam naiwne zaufanie do obiecujących. Zapewniają nam jakies oceany i Kilimandżara szczęśliwości wiekuistej, ale nie umieją nam zapewnić spokojnego kąta, gdy po pracy całego życia bywamy strudzeni i słabi i nie umieją nasycić nas, gdy za młodu ciężko pracujemy i chce nam się tak bardzo jeść. Pracujemy ciężko także na tych obiecywaczy rajskich rozkoszy, którzy każą czekać: kiedyś tam, później, po śmierci. Ale dzisiaj? Teraz? Dlaczego nie teraz?

Patrzę wciąż na księżyc płynący spokojnie ku Błogocicom, gdzie wyrabiano ongi takie świetne wódki w fabryce panów Habsburgów i skąd było tak blisko do dobrych zakąsek. Gdzie te dobre rzeczy dzisiaj? Nie ma. Ani w przydziale, ani na czarnym rynku. Halo, księżycu! Tutaj ziemia! Mówi człowiek, który podnosi oczy i ręce w bezkres i woła, woła, ale odpowiedzi nie otrzymuje. Mówi człowiek, twórca cywilizacji! Twórca, ale nie spóżywca. Gdy za dnia znojnego podnoszę głowę znad warsztatu pracy, widzę oknem kogoś z łopatą zgarniającego koks, widzę lekarza biegnącego do chorego, widzę górnika idącego na szychcę, nauczyciela wracającego ze szkoły, czarnego nieznanego brata dźwigającego ciężki wór węgla... Czy to jest cywilizacja? Czy może nawet kultura? Zaraz, zaraz! Mądry Szekspir powiedział, że jedni muszą



czuć, aby drudzy mogli spać. Nie wiem, czy Szekspir miał taką stuprocentową rację, ale jego myśl rozwijano już nieraz i to bardzo ładnie. Zaczynało się od słów: „Gdy my śpimy w ciepłym łóżku...” To się troszeczkę powiększało. Ile milionów ludzi ma dziś łóżko nieciepłe, albo zgoła łóżka nie ma! Ile milionów musiało pójść spać pod ziemię! A dawniej stało w czytankach szkolnych czarno na białym: „Gdy my śpimy w ciepłym łóżku, piekarz piecze dla nas świeże bułeczki i rogaliki, a maszynista siedzący na lokomotywie, wiezie nam wyczekiwaną pocztę, och, z daleka. Piekarzowi jest za gorąco, maszyniście za zimno, gdy chłodny wiatr chłószcze mu twarz deszczem czy śniegiem. Gdy się w nocy budzimy, i przekręcamy włącznik nocnej lampki, to znowu mamy dowód, że w jakiejś elektrowni ktoś czuwa, abyśmy mieli dobry dopływ prądu. A po morzu płyną okręty i wiozą nam bawełnę i w ogóle zamorskie rzeczy, zaś pod ziemią siedzi górnik i kopie dla nas węgiel. I siedzi tam biedniejszy od górnika koń-skazaniec, który już nigdy za życia nie wyjrzy spod ziemi, nie poczuje na sobie promieni słońca, nie uwidzi słodkiego blasku księżyca nad Cieszynem”. Powiedziano kiedyś, że jeśli koń stanie na Sądzie Ostatecznym jako świadek przeciwko człowiekowi, to człowiek zostanie potępiony na wieczne wieki. Los psa, starego i bezdomnego, bywa czasem okrutny, ale los konia jest straszny przez całe życie. Pomyślcie o koniu dorożkarskim, wy którzy w tej chwili razem ze mną patrzycie na księżyc nad Cieszynem, o koniu w kamieniołomach, o koniu stojącym cierpliwie na mrozie i czekającym aż jego pan wypije i zakąsi w cieplej szynkowni. Pomyślcie wreszcie o koniu w kopalni. Dwie minuty ciszy dla towarzysza pracy naszej, konia!

Może zdołałby się człowiek ubogi wytłumaczyć, że wyzyskiwał dobroć i potulność konia dla prac swoich, ale jak wytłumaczy się, że wciągał konia do swoich krwawych wojen? Człowiek wiedział o co walczy i za co ginie,

ale koń? Nie bywał nigdy zwycięzcą dla siebie. Ginał masowo wśród mąk niewypowiedzianych. Nie było na żadnej wojnie lazaretów dla rannych koni i nawet nie było dobijania z łaski. Jak przebaczyć Napoleonowi, że pod Austerlitz dla dodania odwagi żołnierzom popędził swego konia nad syczącą bombę i zgotował wiernemu zwierzęciu okrutną śmierć? Wiedział z doświadczenia, że bomba wybuchając rozszarpie koniowi brzuch, a jemu nie wyrządzi żadnej szkody. Biedny koń walczył zawsze tylko o swoją niewolę i to upodabniało go tak bardzo do bezprawnych mas ludowych, iż traktowano go jak równego sobie niemal i nie jadano końskiego mięsa. Dopiero nędzka i głód uczyniły z człowieka koniożercę, jak czasem czyni z człowieka ludożercę.

Cywilizacja nie była dla konia miłosierną. I dla człowieka ciężkiej pracy także nie. Niestety, cywilizacja nie czyni cudów, nie działa automatycznie. Szlachetny dzikus jest szlachetnym i rycerskim także poza nią, dziki magnat jest zimnym barbarzyńcą i w niej. Znacie z historii możnowładców, specjalistów od *ius primae noctis*, czyli prawa pierwszej nocy? Nawet duchowni możnowładcy domagali się tego prawa dla siebie. Znacie krzyżaków, którzy urządzali łowy na ludzi, mordowali ich, palili ich siedziby, jedynie dla zabawienia siebie i swoich gości? Znacie pewno, choćby tylko ze słyszenia owych śpiewaków krzyżackich, którzy podczas uczt śpiewali spętanym jeńcom: „Co was boli, to dla nas jest rozkoszą...” Krzyżacy nosili krzyże na piersi, symbole miłości chrześcijańskiej, dobroci i mądrości. Obecność krzyża na piersi krzyżaka nie uchroniła jego samego od zbydlęcenia, nie uchroniła jego ofiar od tortur, zniewag, łupiestwa i śmierci razem z tym wszystkim, co wymyślić potrafi tylko zbydlęciały człowiek germański. Księżyc płynący w tej chwili nad Cieszynem, widywał głodnych, którzy konali u zamkniętych bram pałaców papieskich, widywał szubienice w pobliżu zamków chrześcijańskich książąt. Widywał dogasające stopy,

na których konali Arnoldowie z Brescji, Husowie, Gior-danowie Bruno, Vaniniowie, najszlachetniejsi wśród szla-chetnych... Widywał kraty więzień, za którymi jęczały wystraszone, niewinne i bezbronne kobiety, siostry nasze, oskarżone przez przedstawicieli miłosierdzia chrześcijań-skiego o obcowanie z diabłem, którego nie było, o czary, gradobicia, sprowadzanie posuchy... Obcowanie z dia-błem? Chyba, że nazwiemy diabłem oskarżycieli duchow-nych, oprawców i sędziów, którzy kazali spalać te biedne ofiary własnej tępoty na wolnym ogniu, ale wyroki swoje wydawali w imię miłosiernego i przebaczonego Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Amen? Skądże znowu! Jeszcze tak daleko do ostatecz-nego amen! Z łaski okrutnej i niemiłosiernej cywilizacji bogatych — och, przyjdź królestwo twoje, cywilizacjo ubo-gich i pracujących! — ojciec mój był człowiekiem ciem-nym. Nie słyszał nigdy o Mickiewiczu, nie wiedział nic o słodyczy oktaw Słowackiego, nie miał pojęcia jak tkliwie współdzwięczy serce żywego człowieka, gdy go dotknie łaska natchnienia genialnego muzyka. Nigdy o jego uszy nie obily się akordy Beethovena, nie musnęły jego słuchu delikatne dźwięki nokturnów Szopena, nawet w fonogra-ficznym zniekształceniu nie słyszał tkliwej wibracji głosu Adeliny Patti, rówieśnicy swojej... Nie wiedział nic o wiedzy ludzkiej, życzliwej i łaskawej, nie wierzył leka-rzom, bo nie wierzył panom, a lekarz był dla niego jednym z panów. Więc gdy matka zaniemogła śmiertelnie, ruszył daleko, daleko po lek przeciwko śmierci... Mógł się poń wybrać dopiero w święta Bożego Narodzenia, gdy fabryka była zamknięta. Szedł w lichym paletku i w marnych buciętach. Szukał gdzieś pod Warszawą cudotwórcy-owczarza, aby kupić od niego lek przeciwko śmiertelnej niemocy swej dogorywającej żony. Był ciemny z łaski cywilizacji bogatych, był źle odziany z łaski tejże samej cywilizacji, na którą pracował, był głodny, bo mu cywi-lizacja zabierała chleb ciężko zapracowany. Szedł stru-

dzony wśród śnieżycy, zbił się z drogi, opadały go złe psy... Gdy odnajdywał drogę, przechodził obok dworów bogato oświetlonych. Obok dworów, które były siedliskiem cywilizacji. Płonęły tam światła, tęczały cudne obrazy znakomitych malarzy, dźwięczały fortepiany, na półkach stały rzędy najpiękniejszych książek, a stoły były zastawione dobrym jedzeniem. Gdzież można było odpocząć, jeśli nie tam, gdzie można było wytchnąć, nasycić głód, usłyszeć dobre słowo, otrzymać radę i pomoc dla umierającej żony?

Ale ojciec mój tam nie poszedł. Był ciemny z łaski cywilizacji pałaców i kościołów, ale był mądry z niełaski życia, nauczyciela twardego, nieustępliwego. Życie było nieuków, ale pojętym wszczepiało mądrość głęboką. Ojciec wiedział, że cywilizacja bogatych nie jest dla nędzarzy, że bramy pałaców i dworów strzeżone są przez psy i służbę gorszą od psów. Ach, nawet przysłowie mówiło: nie dla psa kielbasa. Cywilizacja to była kielbasa, a nędzarcz to był pies — trudna rada. Gdy ojciec w tej dziwnie bolesnej wędrówce opadał z sił, gdy wichur rzucał mu w twarz garści zimnego śniegu, aby się stało zadość powiedzeniu, że biednemu wiatr zawsze w oczy, gdy opadały go psy tak złe, jak zła bywa nieufność ludzka, pukał do chat i prosił w imię Chrystusa — było to w Boże Narodzenie!!! — o nocleg. Odsyłali go precz, do Pana Boga. Niech Pan Bóg opatrzy. Więc gdy imieniem Chrystusa nie zdołał niczego zwojować, ruszył zrozpaczony naprzód w imieniu prawa. Wiedział i to, że chwiejne miłosierdzie chrześcijańskie przenocować może, ale sołtys przenocować musi. Poszukał sołtysa, pokazał paszport i zażądał noclegu w imię prawa. Zamknięto go w przewiewnej stodole, gdzie tak łatwo mógł zamrzeć przy dużym mrozie i zmęczeniu, lecz ojciec, który koniecznie chciał przynieść umierającej żonie lek uzdrawiający, przetrwał mroźną noc. . .

Podczas gdy ojciec szukał drogi do owczarza-cudotwórcy, umierająca matka siedziała przy oknie i patrzyła na pustą ulicę, zamiataną przez ostre mroźny wiatr. Oddy-



chało się jej ciężko. Stałem obok niej, nic nie rozumiejący siedmioletni smyk. Patrzyła na wróble, szukające daremnie czegoś do zjedzenia. — Widzisz — rzekła do mnie — ptaszkom jeszcze chłodniej, niż nam. Podaj mi woreczek z kaszą. — Podałem. Nabrała kaszy na spodek i kazała mi zanieść głodującym ptakom na ulicę. Zaniośłem i od tamtych dni karmię zimą ptaki. Wiem, co który ptak lubi. Tak matka moja uczyła mnie cywilizacji ubogich, cywilizacji współczującego serca. Gdy przychodził ubogi, kazała mi podać mu trojak czy kromkę chleba i broń Boże krzywić się lub odwracać ze wstrętem. Franciszkańska dobroć nie zrodziła się w pałacach i nie przebywa w nich. Mówiła mi, że ubogi to tak jakby wujaszek, czy dziadek albo jeszcze więcej: brat. Tak mnie spowinowała cywilizacją swego serca z ogromną rodziną ubogich i pracujących, łaknących i pragnących sprawiedliwości społecznej.

Cudowny milczący księżycu, słodka sierpniowa nocy, cicha drzemiąca ziemi, niepojęta tajemnico życia i ty, bracie-człowieku, przyjacielu, wrogu! Czuwam tu, myślę, marzę, wspominam, skanduję wiersze najmilszych poetów, nucę melodie, które zespoliły się harmoniami z sercem moim, wspominam tych, co odeszli oszukani przez życie. Nie, może nie przez życie, ale przez augurów, handlarzy fikcjami i oszwabkami życia, którzy bliźniego swego rozbijają w jego walce o chleb i każą mu czekać na mannę niebieską w raju, lecz sami żywią się dobrze, mieszkają wygodnie i cieszą się życiem już na tej ziemi, z której dla innych robią padół łez, niekiedy piekło. Odziewają się ładnie, uczestniczą w cywilizacji bogaczy, nie sieją, nie orzą i dobrze im się dzieje za to, że trzymają biedotę w ryzach. Napoleon widział w nich tanią żandarmerię, a nasz pan Zygmunt Podfilipski uważał, że tworzą oni „jeden z tych hamulców dla tłumu, jeden z tych wielkich wynalazków dla zawiązywania oczu słabszym i grubszym naturom, jeden z tych wielkich systemów klatek, trzyma-



jących na uwięzi menażerię bożą, która by bez tego dawno wzajemnie się porozdzierała. . . .

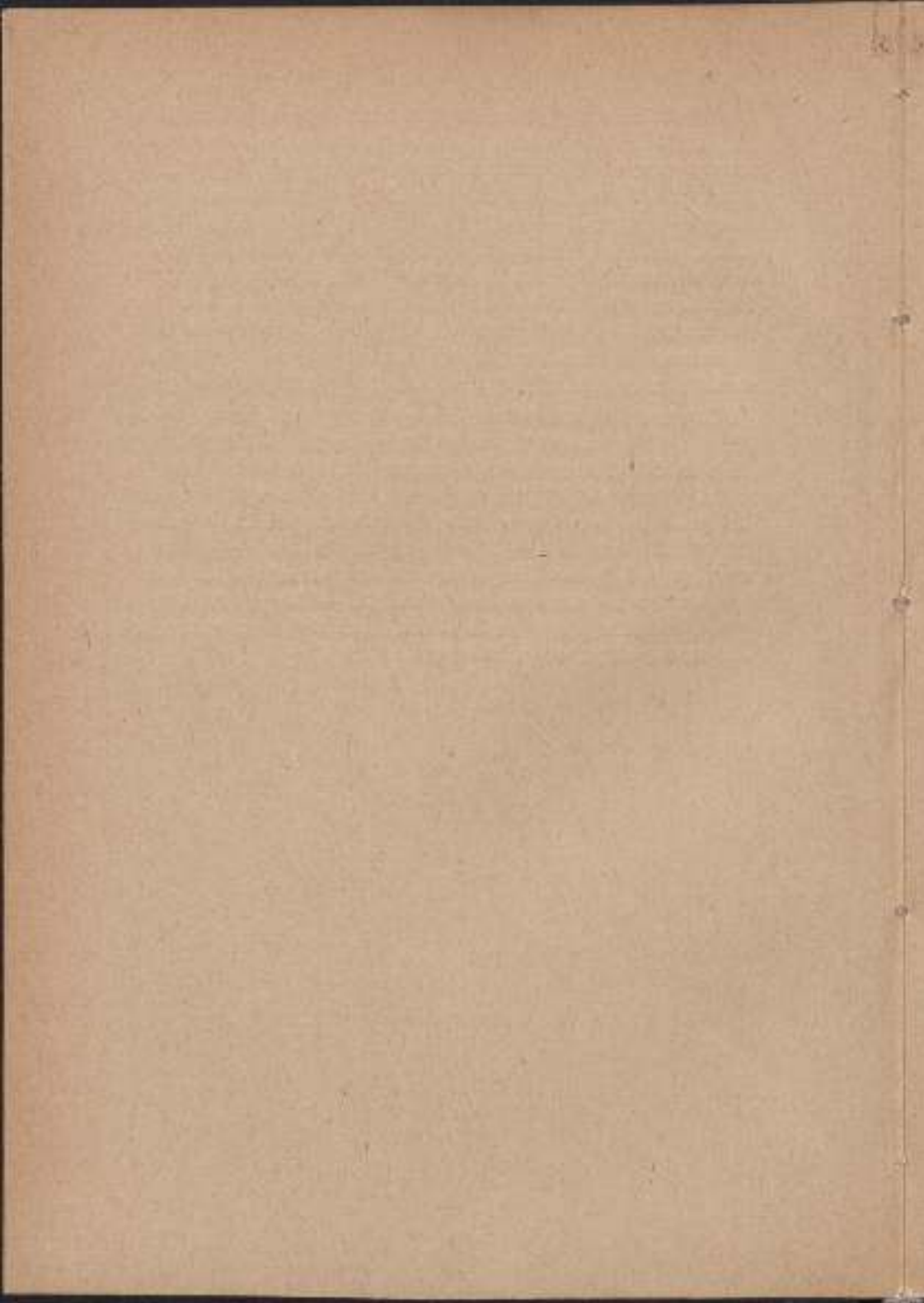
Menażeria boża to my, ubodzy — my, których mądrzy muszą ogłupiać, abyśmy się nie porozdzierali wzajemnie. Och, jakże mało wiedzą o sobie ci mądrzy i mocni, skoro nie rozumieją, że cywilizacja ubogich i pracujących jest cywilizacją pokoju i że niepokój wnoszą do życia bogaci, ambitni, nienasyчени, chciwi, żarłocznicy. I podczas gdy wszelka radość istnienia i wszystkie rozkosze życia zamieniają się dla nas w obowiązek i powinność, dla nich nasze trudy i wszystka praca świata przemienia się w rozkosz używania.

Dobranoc, miły księżycu! Jestem śpiący i strudzony, ale idąc spać, idę w bezsenność. Myśli są jak trucizna, nie dają spokoju. Ale życie bez myśli byłoby godnym życia? Czy może samoż życie jest ciężką pomyłką? Ale czyją? Sławny Jeans nie przypuszcza, aby inne wielkie gwiazdy miały takie planety, jakie ma nasze słońce, i sądzi, że takich warunków do powstawania i rozwoju życia, jakie są na ziemi, gdzie indziej nie ma. Jak życie powstało i na co powstało, ten wielki popularyzator wiedzy astronomicznej nie wie.

I ja nie wiem. Ziemia jest jednym wielkim cementarzem miliarda istnień najróżniejszych. Kultura, którą tak bardzo pyszni i chełpi się człowiek, zrodziła się w walce o życie, w walce ze śmiercią. Cała filozofia mieści się w niewielu słowach. Dobro — to życie, zło — to śmierć. Każda radość, każdy wyraz siły twórczej, to życie i nic więcej. Każde cierpienie, każda męka człowieka, każda postać głodu ciała i duszy, to śmierć. Dopóki człowiek sprzymierzał się z życiem przeciwko śmierci, kwitła kultura, gdy sprzymierzył się ze śmiercią, przyszło przedpiekle barbarzyństwa. I znowu, jak przed tysiącletkami w słonecznej Grecji, człowiek zaczyna szukać tajemnicy zwycięstwa nad śmiercią. Uczy się jej, jak uczyli się Grecy, od bogów, którzy umierali i zmartwychwstawiali.

Serc ludzkich nie przestaje wzruszać legenda Persefony, pięknej córki Demetery. Porwał ją Hades do swego podziemnego królestwa. Zrozpaczona matka szukała jej i znalazła. Ale Hades nie chciał jej oddać swej małżonki, więc stanęła ugoda, że Persefona spędzać będzie pół roku w krainie cieni u Hadesa i przez pół roku cieszyć się będzie słońcem i życiem na ziemi. Do Demetery tedy, do Persefony jej córki i do ich kapłanów zaczęli zwracać się śmiertelni, aby dowiedzieć się w jaki sposób można ujść Hadesowi. Ileż pielgrzymek odprawiano na sławne misteria eleuzyjskie, aby stać się uczestnikiem wtajemniczeń!

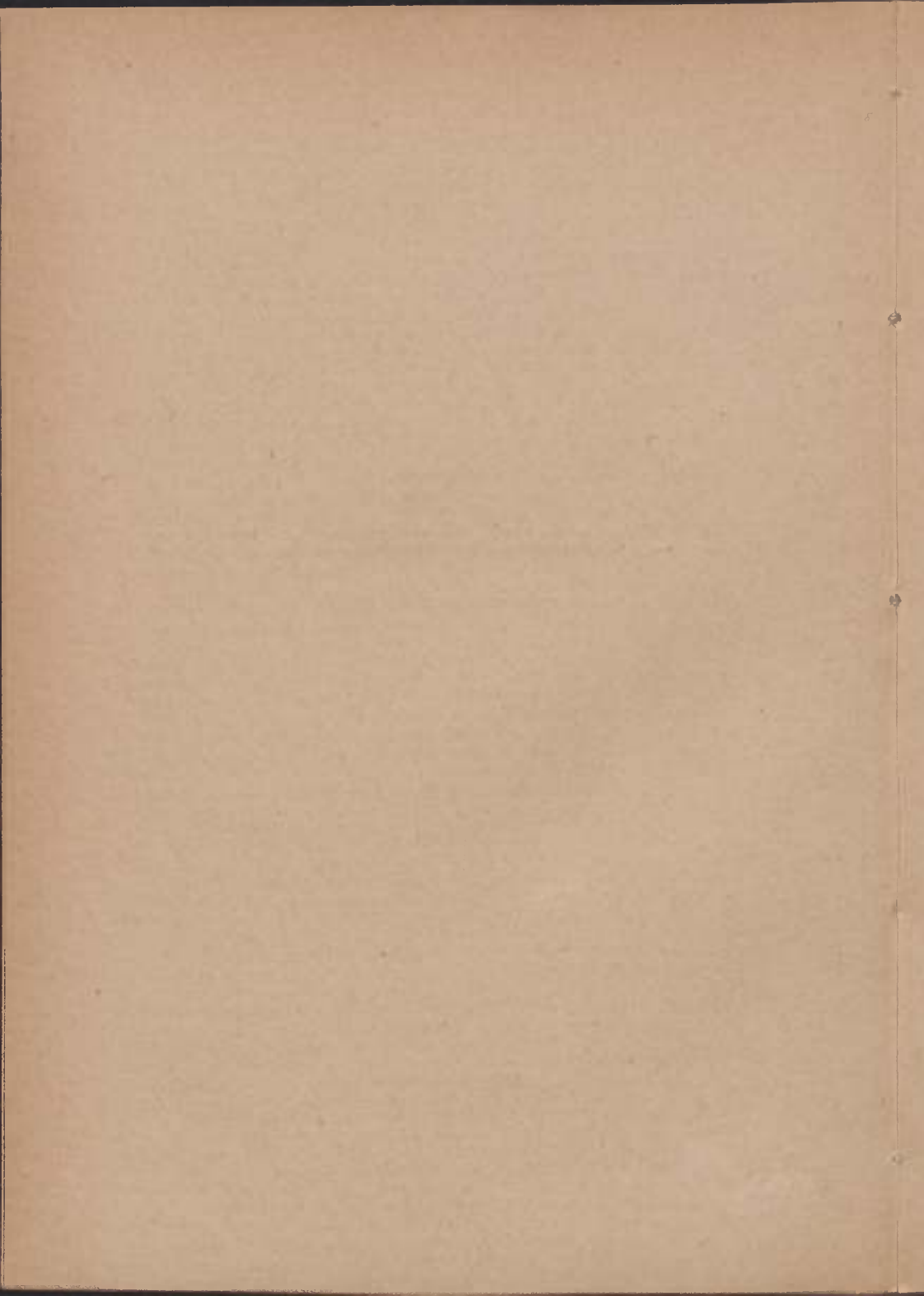
Czy ludzie już wiedzą, jak się zwycięża śmierć? Niestety nie. Nie znamy tej mocy, która by pytała czy chcemy się narodzić i czy chcemy umrzeć. Odchodzimy niesyci radości istnienia, głodni życia, ale coraz mniej boimy się śmierci. Barbarzyńcy niemieccy zheroizowali ludzi pracy i ci rzekli Niemcom: — Nie boimy się śmierci. — A na to Niemcy: — Wynaleźliśmy dla was coś gorszego od śmierci: długie męczące umieranie w obozach. — Ale człowiek pokonał i strach przed umieraniem, pozostając niezmiennie wiernym pięknu, dobroci, mądrości, czyli życiu.





## **II. Żyrardów – Spojrzenie wstecz**

**Notatki kalendarzowe.**



29 sierpnia 1939.

Świat staje się jakiś ohydny, zakurzony, pełen czadu, niezamieciony. Może wydaje mi się takim dlatego, że niemal od maja byłem poza Żyrardowem w okolicach lesistych, przewiewnych, z dobrym powietrzem. Najpierw Karolin od maja do czerwca, potem okolice Rawy Ruskiej, Zaborze. Wreszcie Wisła. . . W Zaborzu dojrzewał i brzęczał owies, krążyły bociany, których pewno na całym świecie nie ma tyle jak tam. Jeździliśmy do moczarowego lasu, gdzie było wilgotno i chłodno — i na cmentarz wojenny z pierwszej wojny światowej, gdzie w kapliczce cmentarnej gnieździło się mnóstwo jaskółek. Potem Wisła. Ale podróż z Rawy Ruskiej do Wisły była jakaś niesamowita: pociąg włókł się jak żółw aż do Jarosławia, gdzie trzeba było czekać na lepszy. Na dworcu dali nam jeść bardzo byle jak: zupa była marna i letnia, zapiekane kurczę wyglądało na starego łykowatego koguta. Zwiedzaliśmy miasto. Renesansowy kościół, renesansowy ratusz, ale świetność niedysiejsza spełzła z tych pięknych oryginalnych budowli a ulice, przebrukowywane akurat, były istnym dopustem bożym. Dorożka co chwila przechylała się rozpaczliwie na bok i groziła wywaleniem nas w rozkopaną ziemię.

Za to podróż z Jarosławia do Katowic jest we wspomnieniu ładna i miła: Rzeszów, Tarnów, Kraków, Katowic-

ce... Przeważnie, spokojnie, wspaniałe lody, wyborna oranżada. Było czym bronić się przed słońcem i pragnieniem. Ale potem, od Katowic, szło już wszystko bardzo kulawo. Próbowałem drzemać; nie bardzo się udawało. Stawałem w oknie i patrzyłem na własny goniący mnie cień. Gdzieś po drodze były duże stawy, niemal jezioro. Pociągało ku sobie, zaciekało. Wreszcie Bielsko z długim postojem, herbatą i bułkami z szynką, przynoszonymi do przedziału. Po długiej jeździe i niezliczonych przystankach, dobrze już po północy przybyliśmy do Wisły, do miłych kochanych przyjaciół.

Jakże można zapomnieć kiedykolwiek chyba wyprawy samochodowe na Kubalonkę, do Istebnej, Koniakowa, Zwardonia, do Wadowic i Gorzenia Górnego, gdzie Emil Zegadłowicz bywał gościom zawsze rad! Jak można nie wspominać Równicy i widoku z niej na szeroki świat! I te deszcze wiślańskie, od których cicha Wisła, ciurkająca kryształową wodą na dnie głębokiego koryta, pęczniała nagle, zmuliała się, rwała naprzód z ogromnym impetem i zrywała mosty co słabsze. Albo powroty do domu późnym wieczorem w rzęsistym deszczu. Gdy reflektor samochodu rzucał snopy światła na drogę, to drzewa, domy, przygodnie napotykanymi ludźmi, wszystko w ogóle stawało nagle w jakimś pozazjawiskowym blasku. Chciało się wtedy pisać wiersze, usłyszeć jakąś cichą skrzypcową kantylenę, czy uściskać dłoń dobrego człowieka.

A teraz siedzę w Żyrardowie. Patrzę na dziedziniec szkolny i na brązowiejące kasztany. Ulica jest jakaś opuszczona, niezamieszana. Cały świat wydaje się niezamieszonym i ponurym. Sięgam po gazety, kupowane w drodze powrotnej po stacjach. Sytuacja poważna. Radio niemieckie szaleje i głupieje. Goering grozi, że z Polski nie zostawi kamienia na kamieniu. Goebbels wypowiada się w swoich sloganach, Hitler wrzeszczy jak opętany, jego zorganizowana klaka wyje „heil“ i „siegheil“, klaszcze, tupie, krzyczy jak w ciężkim ataku jakiejś strasznej cho-

roby. To budzi zgrozę, jak każdy widok ataku nagłej furii, ale niepodobna oprzeć się wrażeniu, że jednak ma się do czynienia z błaznami, którzy krzykiem i wrzaskiem chcą wyszantażować dla siebie jak najwięcej.

30 sierpnia. Środa.

Byłbym sobie pisał i pisał. Tak miło było wspominać wakacje w Zaborzu i w Wiśle. . . Ale przyszedł doktor Dobrzański, przyjaciel miły. Wita się bez słowa i patrzy zatroskanym okiem, jakby pytał: Co będzie? Któż to wie! Nie wierzę w głupotę Hitlera aż tak wielką, aby miał zaczynać wojnę z całym światem. Bo na jakimś „korytarzu“ się przecie nie skończy. To jasne. Wojna światowa pokazała, że Niemiec cudownie atakuje, ale nie umie walczyć zbyt długo. A gdy się wojna przewleka, to siły przeciwnieckie wzrastają, a siły niemieckie maleją i kończy się brzydką kłapą. Mówię o tym swemu gościowi. Nie zgadzają się ze mną. Każdy początek wojny to atak furii. Rozwaga i spokój wracają bardzo powoli w miarę upustu krwi. Ale co się stanie ze światem, zanim nadejdzie wreszcie uspokojenie? Niemiec jest w ogóle skory do swoich stale się powtarzających „feldcugów“ rabunkowych, a teraz jeszcze ten histeryczny i ambitny Hitler. . . Dobrze nie jest. Zostajecie tu czy usuwacie się troszkę na bok?

Jestem zaskoczony tym pytaniem. Jakże to? Tamtą wojnę przesiedziałem tutaj, chociaż tyłu uchodziło, a teraz miałbym raptem. . . Doktor perswaduje mi spokojnie: tamta wojna była z Rosją, nas raczył Niemiec uznać za godnych ewentualnego sojuszu, a jednak ilu to ludzi rozstrzelali Niemcy „dla przykładu“, co porobili w Kaliszu! Teraz wojna jest z nami, co gorsza „przez nas“ i przeciwko nam. Ma to być wojna totalna. Będą paskudnie bombardowali z powietrza. Kto wie, czy nie będą się mścili na tych, co jawnie dyskryminowali ich bożka Hitlera, jak ty. . .

Czy uważa za takie murowane, że Niemcy wtargną aż do nas? Uśmiecha się wybacząco. Francja, Anglia?

Zapewne będą walczyć, ale kiedy zaczną i co się stanie, zanim wystąpią do walki. Jest w ogóle jakoś brzydko. Gdy Pan Bóg chce kogo zatracić, to mu rozum odbiera. Widzimy, że Niemcy tracą rozum w bardzo szybkim tempie pod batutą ober-błazna Hitlera. Ale Anglia, która pomimo swoich olbrzymich bogactw nie jest do wojny przygotowana, która pchała miliardy w Niemcy, która podczas tamtej zwycięskiej wojny nie pozwoliła podyktować Niemcom takiego pokoju, który byłby naprawdę pokojem? Czy to wyraz rozumu? Francja? Och, popatrz na te twarze Bonnetów i Daladierów. Jakie to paskudne, niefotogeniczne oblicza! Kury im macać, a nie wojować! Ani jednego Clemenceau, czy choćby Poincarego. I ta linia Maginota, jakaś półforteca i półnadzieja. I stary „bohater“ Pétain jeżdżący do lalusiwatego Franca, żeby go ugłaskać i dobrze uposobić dla Francji. Pomyśl o tym. Jeśli wojna wybuchnie, a wybuchnie na pewno, to Niemcy tu przyjdą. Trzeba będzie uciekać z życiem przed tą zgrają. Wstaje i wyciąga do mnie rękę: „Zajrzę tu jeszcze“.

Zaniepokoił mnie zacny doktor. Może ma rację. Ale nie umiem sobie wyobrazić, abym miał uciekać. Wciąż jeszcze nie mogę sobie przedstawić Hitlera aż tak głupiego, aby miał pakować naród niemiecki w położenie tak rozpaczliwe jak wojna z całym światem. Wychodzę na ulicę. Jest wybitnie brudna. Coś zdaje się mówić, że nie warto zamiatać, bo zaśmieszenie lada chwila będzie jeszcze większe. Przed pracownią fotografa stoi dużo ludzi: fotografują się rezerwiści, potrzebujący zdjęć do dokumentów wojskowych. Podchodzę do nich. Co słyhać, sąsiedzi? Patrzę na mnie i wzruszają ramionami. Wojna? Kiwają głowami z rezygnacją. Wojna!

Chodzę po mieście niezadowolony ze świata i z siebie. Po sklepach ruch duży. Ludzie przewidujący robią zapasy. Gospodynie kupują kawę, kaszę, cukier. . . Nigdy nie wiadomo jak tam będzie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wszyscy są przekonani, że będzie wojna, ale wyobrażają sobie,



że będzie taka mniej więcej jak poprzednia, a stanowczo krótsza od niej. Zobaczymy. Nie należy martwić się na zapas.

31 sierpnia. Czwartek.

Siadam do pracy rozpoczętej przed kilku dniami, ale mi się nic nie klei. Oknem widzę przed pracownią fotografa tłum rezerwistów w butach z cholewami i w mundurach. Mówią, że lada chwila ogłoszona będzie mobilizacja powszechna. Kobiety przystają i radzą w nastroju tłumionego podniecenia. Ulica coraz bardziej zaśmiecona, jak gdyby koniec świata był bliski i nie warto było robić porządków. Przypomniał mi się pewien Amerykanin, który opowiadał nam, że w którymś ze stanów Ameryki Północnej ludzie przejęli się jedną z kolejnych wieści o bliskim końcu świata. Zderzenie z kometą i koniec. Podawano nawet datę. Zdarzyło się, że w dniu kongresu, odbywającego się akurat w owym dniu wyznaczonym na koniec świata, zrobiło się nagle ciemno, ciężkie chmury zawisły nad światem i powiał straszny wichur. Jeden z kongresmanów przypomniał, że to na ten właśnie dzień zapowiedziano koniec świata i że nie ma co rozpoczynać obrad. Ale przewodniczący odpowiedział: „Musimy spełniać swoje obowiązki do ostatka. Obradować będziemy przy świecach, a jeśli Jezus Chrystus istotnie przyjdzie sądzić żywych i umarłych, to obrady przerwiemy”. Świadczy to o wielkiej obowiązkowości Amerykan, ale zarazem o ich realistycznym traktowaniu rzeczy tak nierealnych, jak w roku 1938 rzekomy najazd mieszkańców Marsa na Nowy Jork i popłoch wywołany słuchowiskiem radiowym.

Wieczorem alarm próbny. Wyją syreny, przechodnie chronią się posłusznie gdzie się da. Czyżby już? Nie, to dopiero próba. Może da Bóg, że skończy się na próbach i do wojny nie dojdzie. Po jedenastej, gdy zasypiam, syreny wyją znowu. Posłusznie wstaję, ubieram się i schodzę na dół. Słuchamy, czy nie latają samoloty. Nie. Jest

zupełnie cicho, ale niemiło. Na podwórzu stoją sąsiedzi i rozmawiają szeptem. Idziemy spać, gdy alarm zostaje odwołany. Niemcy to potworny naród. Kosztem własnych ofiar, których przecie nie unikną, zakłócają spokój narodom kulturalnym.

1 września 1939. Piątek.

Rankiem siedzę w ogródku i strzygę swoją mądrą ostrowłosą foksiczkę, Godulę. Do płotu podchodzi sąsiad z przeciwka i mówi podniecony: — W tej chwili podawali, że niemcy przekroczyli nasze granice. Nad ranem zbombardowali lotnisko warszawskie, Kraków, Częstochowę i wiele innych miast. . . — Przestałem strzyc Godulę i podszedłem do niego. — Czy wiadomość urzędowa? — Tak — macha ręką. — Zarazy nie ma na te ciężkie niemieckie cholery! Już my teraz przez ładnych parę lat nie zaznamy chwili spokoju. Przyjdą te nienażarte bandyty, pożrą wszystko jak ta szarańcza, poniszczą co się da, pozapaskudzą. . . Dżuma człowiekowi miłsza od tego łajdactwa. — Jest jakiś rozgoryczony, zły, zdenerwowany. — Czy sądzi pan, że dotrą aż do nas? — Musowo! Cóż my? Sami nie mamy rady, jeśli taka Anglia sama nie dała rady w tamtą wojnę. Na jeden nasz samolot, niemcy mają może pięć, może i więcej, na jeden nasz czołg mają pewno z dziesięć. Małoż to im Angliki napożyczały pieniędzy, tym łupieżcom? Tymi pieniędzmi będą niemcy bili nas, ale i Anglikom też się dostanie zdrowo. . . Może zmądrzeją trochę.

Sąsiad trze czoło i odchodzi. Odwraca się jednak i mówi z wielką goryczą: — „Zobaczy pan, co my teraz będziemy mieli za życie przez dobrych parę lat. Już ani w dzień, ani w nocy spokoju nie będzie. . .“ — Jakby na potwierdzenie jego słów, zaczyna wyć syrena. Ktoś szybko biegnie przez podwórze, jakiś głos kobiety woła zaniepokojonym dyszkantem dzieci: „Jasiu, Stefcu, do domu!“ — Z okien wychylają się głowy i wypatrują czegoś na niebie. — „O, widzi pan, to już tak będzie teraz Bóg wie jak dłu-



go. Lepiej niech pan idzie do domu, pod strzechę“ — napomina mnie i sam szybkim krokiem biegnie do swej sieni.

W ciągu dnia było parę alarmów, wieczorem znowu, ale samolotów na razie nie widać. Spłoszone wiadomości mówią o stratach Warszawy, Częstochowy, Krakowa i podobno nawet Lublina. Dużo zabitych, jeszcze więcej rannych. Oczy podnoszą się mimowolnie ku niebu i szukają Boga. Czy widzi niedolę człowieka?

2 września. Sobota.

Zawsze dzień targowy, wypłata w fabryce, ruch i krzątanina. Dzisiaj zamęt i jakieś bolesne skołowacenie. Alarmy co chwila. Radio przerywa podawanie wiadomości i nagle słychać obcy głos: — „Nadchodzi, nadchodzi... Bacność! Karolek chce czekolady...“ — Oczywiście, jakieś umówione słowa przy porozumiewaniu się oddziałów wojskowych. Ludzie chodzą szybko, w pewnych chwilach rozbiegają się na wszystkie strony i ulica pustoszeje. Pracować nie sposób. Łażę po pokoju od biurka do półek z książkami, od półek do okna. Co będzie dalej? Po niespanej nocy jestem zmęczony i senny. Obiad nie smakuje. Mężcy śmiertelnie ciągle wyczekiwanie czegoś bardzo przykrego. Kładę się na szezlongu i zasypiam.

Nie wiem już, jak długo spałem. Córka trąca mnie w ramię. — Wstań! — Otwieram oczy i patrzę na nią z wielkim żalem. Tak dobrze było znajdować się choć przez chwilę z dala od wojny. Wstaję jednak i leniwie schodzę na dół. Na schodach w sieni siedzi sąsiad z mapą rozłożoną na kolanach i tłumaczy coś paru osobom, które się tu schroniły. — Czy jest co nowego? — Nie, nie ma nic nowego, nic nie wiadomo. — Nad miastem ogromny przeciągły szum setek samolotów czy może tysięcy. Ludzie pocieszają się, że to Anglicy lecą Warszawie z odsieczą. Inni kiwają głowami, że to Niemcy lecą bombardować Warszawę, że w Warszawie istne piekło... Ludzie słuchają, milczą... Szum w powietrzu nacicha, zamilka wresz-

cie. Syreny odwołują alarm. Ten i ów wygląda ostrożnie z sieni i szybkim krokiem idzie do domu.

Obrzydliwa sobota! Nie ma w niej nic przedniedzielnego, obiecującego i cichego. Wspominam siłą jakiegoś kontrastu wieczory sobotnie w dawnych, jakże dobrych, czasach pokoju i spokoju. Bywało po wypłacie w fabryce. Na rynku przed fabryką stały stragany z bielutkim, smacznym i pachnącym pieczywem, z wędlinami i wybornymi ciastkami. Zaraz po wypłacie biegło się na rynek i za grosze kupowało tego i owego z tych dobrych rzeczy. Praca kończyła się o czwartej po południu, później nawet już o drugiej, i można było oddawać się przedniedzielnym radościom. A wieczorem cisza uroczysta niemal. Ludzie po domach spożywali kolacje lepsze, niż w ciągu całego biednego tygodnia, często gęsto przepili do siebie okowitą albo grzanką. Nastrój bywał dobry, sąsiedzki, życzliwy. Posiadali sąsiedzi w ogródku, jeśli wspominać czasy, kiedy to straszło po domach i w ogóle działały się rzeczy niesamowite. A dzisiaj, cóż dzisiaj? Kto dzisiaj wie, jak bywało dawniej, przed powstaniem albo podczas powstania...

Wszedł sobie księżyc za cmentarzem, wysrebrzył świat. Z topol prastarych przy kościele padała rosa z liścia na liść i dźwięczała cichutko. Skądś przybłąkał się niewybredny odgłos ustnej harmonijki, z innej strony ozwał się głos, nieco zadraśnięty półkwatrkami, piosenką o Jadwidze, co poszła do lasu na rydze, ale zaciął nagle jakby zduszony czyjąś wstydliwą dłonią. I znowu o tych strachach i wyprawach na jarmarki i powroty przez las, i przygody najróżniejsze. A księżyc płynie sobie zaspany po spokojnym niebie i nagle w domach urzędniczych otwórzy się jedno okno i wypłynie z niego trójgłos męski ładnie zestrojony: „Po nocnej rosie płyn słodki głosie...“ Ciche, milczące słuchanie. Całe miasteczko, zdaje się, słucha i uważa, i poddaje się temu pięknemu śpiewaniu. Cudowna bywała taka sobota wiosną albo wczesną jesienią, kiedy wojny bywały tylko w Afryce, gdzie Burowie bili Angli-

ków... Przypomniała się dlatego, że ta dzisiejsza drugiego września 1939 roku, jest taka ohydna i zapowiadająca tyle ponurego.

3 września. Niedziela.

Syreny wyją niemal co chwila. Jesteśmy niewyspani i źli, sami nie wiedząc na co. Siadamy do stołu ze starego przyzwyczajenia, ale śniadanie jest gorzkie. Komu się dziś chce jeść? Lecz nastrój poprawia się raptem: przychodzi wiadomość, że Anglia wypowiedziała Rzeszy wojnę, że Warszawa manifestuje na cześć Anglii. Równocześnie jednak przychodzi wiadomość, że Warszawa została nieludzko zbombardowana. Nie dość na tym, nad Żyrardowem latają jakieś łobuziaki niemieckie i strzelają z karabinów maszynowych do kogo popadnie, nawet do mieszkań. Latają całkiem nisko i dobrze widać, że to smarkacze. Przyciąć się na takiego z karabinem i ustrzelić jak wściekłego psa! W Żyrardowie nie ma ani jednego żołnierza, ani jednego działka przeciwlotniczego, ale łobuz strzela do każdego przechodnia i ludzie muszą kryć się po domach. Wreszcie rzuca bomby na pocztę i magistrat, ale nie trafia, chociaż widać, jak lecąc nisko nad miastem, celuje w „obiekt wojskowy“. Jedna bomba pada na duży dom mieszkalny naprzeciwko fabryki i zapala go, druga pada naprzeciwko poczty i wyrywa duży lej. Z całego gmachu magistrackiego powypadały szyby. Ludzie siedzą po piwnicach i przeklinają łobuzów. Kilka bomb pada w okolicy dworca kolejowego, jedna trafia w lokomotywę pociągu idącego od strony Skierniewic. Tor jest zatarasowany.

Boimy się podejść do okna, bo lotnicy niemieccy strzelają do okien. Gdy samoloty lecą nad nami, stajemy w sionce z dala od drzwi i okien, ale słyszemy warczenie samolotów niemieckich tuż nad głową i jadowity stuk pocisków karabinu maszynowego, uderzających w strzechę. Obrzydliwe uczucie bezradności wobec rozzuchwalonego młodocianego mordercy.

4 września. Poniedziałek.

Naloty i alarmy. Robię papierosy dla żołnierzy naszych przechodzących przez Żyrardów. Nasze zacne niewiasty naszykowały kosze pieczywa z wędliną i konwie herbaty albo kawy i stoją z tym przy szosie, którędy przechodzą nasi pomęczeni żołnierze. Kawalek pieczywa, trochę herbaty, kilka papierosów, dobre serdeczne słowo i do widzenia, kochani chłopcy!

5 września. Wtorek.

Nie śpiamy porządnie, nie rozbieramy się już wcale, nie jadamy. Ciągłe te nękające naloty i alarmy. Zawieszamy okna, czym możemy i siedzimy w jakiejś jednej izdebce. Ohydnie duszno. Nie wiadomo, co nam przyniosą następne minuty, co będzie jutro, jeśli dożyjemy. Należymy do OPL (Obrony Przeciwlotniczej) i czuwamy koledo. Na strychu mamy piasek i beczkę wody.

We wtorek wieczorem mam pierwszą nocną kolej. Namawiam serdecznie i przekonywująco żonę i córkę, aby się położyły spać z całym możliwym spokojem. Obiecuję im czuwać uważnie i zbudzić je w razie niebezpieczeństwa. Kładą się, gdy usilnie nalegam, ale tylko na pół rozebrane, żeby w razie czego łatwiej było uciekać. Siadam w sąsiednim pokoiku i układam pasjanse. Jeśli „wyjdzie“, to wojna skończy się niedługo i pomyślnie. Ale jestem roz-targniony i pasjans nie wychodzi. Jeszcze raz, potem inny, i znowu. W pokoiku jest duszno i gorąco, bo jeśli chce się mieć światło, to trzeba zamykać okno i szczelnie je zaslaniać. Siedzieć bez światła tak jakoś niemiło.

W starym domu robotniczym straszyc. Przyznam się, że doznaję niemiłych uczuć, gdy słyszę teraz coś jakby skradające się kroki tuż nad głową na strychu. Przed laty zabito koło tego domu maszynistę fabrycznego. Jego zwłoki leżały w tym domu przed ich pogrzebaniem. Mówią, że to on straszyc. Istotnie, w nocy słyhać nieraz głośny łomot jakby upadających na płask desek i człapanie szyb-



kich kroków. Ile to razy śpieszyliśmy na strych, aby zobaczyć co się dzieje! Ale „strach“ się nie pokazywał i wszystko było w najlepszym porządku. Gdy jednak powiał wiatr, to zdawało się, że „ono“ z jakiegoś kąta patrzy na nas i chichocze. Wycofywaliśmy się szybko ukrywając strach, gdy nagle łup-łup! Ciężka deska wali się na podłogę w pokoju na dole. Wszelki duch! Ostrowłosa foksiczka węszy z głośnym sapaniem i trzyma się blisko nas. Sierść jeży się jej na grzbiecie.

Przypomniiał mi się „jednonogi“ z moich bardzo młodych lat. Siadywałem nad książkami prawie zawsze do północy, często daleko poza północ. Mieszkaliśmy w prymitywnym domu robotniczym, drzwi naszej izby wychodziły na sionkę. Jedne schody wiodły na dół, drugie na strych. Czasem słyszało się kroki na schodach. Odgłosy tych kroków puszczałem mimo uszu. Ktoś schodzi na dół i tyle. Czasem słyszało się kroki dziwne, jakby szedł ktoś o drewnianej nodze. Druga noga w miękkim bamboszu. Słyszać mocne niezdarne stuknięcie drewnianej nogi i lekkie, ledwo dosłyszalne, człapnięcie nogi w bamboszu. Nie było jednak czasu na zastanawianie się nad tymi krokami, gdy się kuło historię z pożyczonego podręcznika, który trzeba było oddać. Inni słyszeli te kroki także i mówili, że w naszym domu straszy „jednonogi“. Nie bałem się, nie wierzyłem w strachy. Dopiero teraz na wspomnienie tamtych odgłosów w sieni czuję niemiły dreszcz i jeżenie się włosów. Wsluchuję się w nocną ciszę i staram się zachowywać jak najciszej, aby nie zbudzić śpiących kobiet. Zdaje mi się, że słyszę szelest ręki przesuwanej po ścianie, jakby ktoś szedł omackiem. . . Och, jakie niemiłe uczucie!

6 września. Środa.

Jestem niewyspany, rozbity i zniechęcony do wszystkiego. Przychodzi mi na myśl, że gdybyśmy my, biedni ludzie, byli nieśmiertelni, to po wszystkich pracowniach uczonych i badaczy, po wszystkich najgłośniejszych labo-

ratoriach wielkich biologów wszystkie wielkie wysiłki sżyby w kierunku wynalezienia śmierci. Żyjemy w świecie kontrastów: człowiek śmiertelny szuka nieśmiertelności, człowiek nieśmiertelny szukałby śmierci. Na pewno. Nie jesteśmy, niestety, doskonali, ale jesteśmy raczej wielką pomyłką. Nikt nas nie pyta, czy chcemy się urodzić i nikt nie pyta, czy chcemy umrzeć. Wielki Schopenhauer wyliczył wszystkie możliwe przyczyny pesymizmu. Nawet człowiek zdrowy i szczęśliwy nie ma żadnych powodów do radości istnienia. Szpitale, cmentarze, wojny, zarazy, ileż tych najróżniejszych postaci męki otacza nas stale! Śmierć jest zawsze taka dosiężna, życie uciekające tak trudno zgonić!

Teraz ze śmiercią sprzymierzył się barbarzyńca niemiecki. Stworzy olbrzymi cmentarz, wytoczy morze krwi, zabagni, zapaskudzi życie na sposób germański i będzie się w tym bagnie tarzał jak histeryczna hiena. Ach tak, w Apokalipsie Jana jest takie wezwanie, aby ten co szkodzi, szkodził dalej, a ten co śmierdzi, aby śmierdział jeszcze. W żadnym dziele filozoficznym nie znalazłem takiego dziwnego spostrzeżenia, jak u Nietzschego: „die Lust zu stinken“ — rozkosz śmierdzenia. W Niemczech jest coś takiego. Nie dbają o szacunek i miłość świata, nie chcą być podziwiani, ale chcą śmierdzieć na cały świat tak mocno, aby budzić zgrozę. Chcą być koszmarem i przerażeniem. Ale Niemiec nie może budzić wielkiej zgrozy, budzi tylko najgłębszą odrazę.

Wyje syrena. Niech sobie wyje! Pal ją diabli. No cóż? Padnie bomba, zabije i koniec. Do pokoju wpada córka i ujmuje mnie pod ramię. Chodź! Wstaję i idę, ale bez przekonania. Gdzie mam iść i dlaczego? Czy może ten kącik przy biurku nie jest przypadkowo bezpieczeństwem i schronem, a miejsce na dole, dokąd idziemy, zostało predestynowane na zagładę razem z nami? Nie mówię tego córce, bo mi jej żal. Niechże ma złudę, że są miejsca bezpieczne, czy choćby bezpieczniejsze. Jak strasznie

bolesne jest poczucie odpowiedzialności za istnienie drogiego człowieka! Ileż razy nad kołyską córki myślałem o tym, co ją czeka, jakie przeznaczenie będzie jej udziałem! I teraz znowu myślę o niej przede wszystkim. Wychowałem ją, wykształciłem, nauczyłem ją odczuwać piękno życia na utworach największych twórców. Musiała przejść przez lata szkoły średniej, musiała się dobrze natrudzić, aby przejść przez egzaminy uniwersyteckie i oto pierwszy lepszy łobuz niemiecki może ją zabić, jak będzie zabijał miliony.

Musimy schodzić na dół obok wielkiego okna, ale cofamy się nagle. Tuż przed nami zjeżdża z wyciem bombo-wiec niemiecki i siecze karabinem maszynowym strzechy spokojnych, pracowitych ludzi. Kule spadają na dach jak ciężki grad. Bandyta niemiecki używa sobie ile wlezie. Jakże żywo przypomina mi się w tej chwili to, co czasopismo angielskie „John Bull“ napisało 10 lipca 1915 roku, a więc w niespełna rok od wybuchu pierwszej wojny światowej:

„Niemiec to zakała Europę i zadaniem obecnej wojny jest zmieść go z oblicza ziemi. Wszystko inne to drobiazg. Oto zadanie, które zostało nam powierzono i które wypełnić musimy. Jakim był od samego początku, takim jest obecnie i pozostanie na zawsze: złym, brutalnym, krwiożerczym, pełzającym, okrutnym, nikczemnym i wyrachowanym. Niemiec to lubieżnik, plugawiec, nadęty, gruboskórny. Jego mowa jest charkotem. Chleje, sknerzy, jest łupieski i lizusowaty. Niemiec to bestia, którą pokonać musimy. Jest to zwierzę, które przez nas musi być zgładzone. Atylla, Hunn, był rycerzem w porównaniu z dzisiejszym niemcem. Można się rozglądać po świecie, gdzie się chce i jak się chce: niemiec okaże się zawsze bestią“.

„John Bull“ miał słuszność, ale rychło zapomniał o własnych słowach i nie pozwolił postąpić z „bestią“ tak, jak na to zasługiwała i jak się tego domagał pokój i bezpieczeństwo całego świata.

Trzeba przywykać do niebezpieczeństw, które będą wzrastały prawdopodobnie i będą trwały bardzo długo. „Stuki“ zjeżdżają z wielkiej wysokości z potępińczym wyciem, karabiny maszynowe trzaskają i plują śmiercią na nasze strzechy. Jak temu zapobiec? Kto to bestialstwo pokona? Zdaje się, że to Hölderlin, poeta niemiecki, powiedział, iż ordynarna odwaga niemiecka rodzi się z tchórzostwa. Nie znam przyk'adu, aby Niemcy byli kiedykolwiek zwyciężyli inaczej niż swoją masywną przewagą. W ich wojennictwie nie ma wspaniałych napoleońskich ataków czołowych...

7 września. Czwartek.

Cały dzień płывa na tej straszliwej szarpaninie. Myślę, że trzeba będzie wyprawić córkę na wieś, nieco dalej od zasięgu samolotów tych przeklętych barbarzyńców. Córka tak strasznie przejmuję się trzaskaniem karabinów maszynowych i odgłosem pękających bomb! Mówię o tym sąsiadowi Nawrotowi, oficerowi rezerwy, który jako Ślązak uczestniczył w pierwszej wojnie światowej po stronie niemieckiej, oczywiście. Jest ostrzelany i ma doświadczenie wytrawnego kawalerzysty. Wzrusza ramionami. Może na wsi lepiej, może nie... Kto to wie, gdzie i kiedy jest lepiej, gdzie w danej chwili bomba nie spadnie, nie trafi kula...

Odkładam decyzję. Dzień upływa na alarmach i przesiadywaniach w tak zwanym schronie, który jest raczej niewinną fikcją i mydleniem sobie oczu niż schronem. Filozofuję czasem. Przypomina mi się Buckle i jego wniosek z wszechwiedzy Boga. A więc: przed tysiącami czy milionami lat Bóg wiedział, że będzie ta wojna, że zginie akurat tyle a tyle ludzi w taki a taki sposób. Bóg wiedział także o tym, co ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, uczynię dzisiaj, dnia 7-go września wieczorem o szóstej minut trzydzięści i dwie. Czy może nie zdarzyć się coś, co Bóg w swej wszechwiedzy przewidział? Fatum? Przeznaczenie? Los?



Jest już ciemnowo. Idę do pokoju, w którym chcę pracować i zabieram się do zawieszania okien kocami. Co za ponura konieczność zamykania okien, gdy jest tak duszno i gdy chciałoby się sprowadzić spod bieguna północnego trochę ożywczego, chłodnego powietrza!

Patrzę na ulicę. Jest ohydna. Brudna, niezamieciona, pustawa. Pojedynczy przechodnie śpieszą się, aby jak najprędzej dostać się do domu. W lepkim dusznym zmierzchu wrześnieowym widzę samotnego kawalerzystę. Koń idzie ze zwieszonym łbem noga za nogą, jeździec siedzi ciężko na swoim zmęczonym koniu. Gardło mam nagle zaciśnięte, oczy pełne niespodzianych łez. Przez te łzy jeździec olbrzymieje i drży. Nie, to nie on drży, to moje łzy się trzęsą. Gdzie ty zajedziesz, bracie kawalerzysto? Jaki twój los? Co wiedział o tobie wszechwiedzący Bóg przed tysiącami lat? Co musi cię spotkać? Idziesz w życie czy idziesz w śmierć? W radość czy w cierpienie? Czy wrócisz tu kiedy pod sztandarem zwycięstwa? Miłość jest mocna jak śmierć, nienawiść jest w tej chwili mocniejsza od miłości. Kto ci dał prawo, morderco niemiecki, napaść na ludzi spokojnych i pracowitych, o tyle przecie lepszych i szlachetniejszych od ciebie! Gdybym miał wszechmocne słowo, którym można by strącić w otchłań wiekiutego zatracenia tego plugawego mordercę narodów, jakim od stuleci jest naród niemiecki, och, wiem, wymówiłbym to słowo bez wahania.

8 września. Piątek.

Zaczęło się przed tygodniem, ale wrażenie jest takie, jak gdyby upłynęły wieki piekła i mąk potępińczych. Jeszcze wczoraj córka zapisała w swoim dzienniczku optymistyczne i pogodne wrażenia z godzin czuwania i obchodu swego bloku. „W nocy cisza i spokój zupełny. Od szosy dolatywał odgłos jadących wozów, czasem samochodów. Gdzieś bardzo daleko — samolot. Gwizd lokomotyw. Jakiś parowóz miał, widać, za dużo pary i wypuszczał ją z wiel-

kim hukiem. Dwa razy przyszedł do nas piesek sąsiada Orłowskiego, Miś. Pokręcił przyjaźnie ogonem, obwąchał ręce. Co za szlachetne stworzenie w porównaniu z niemcem. Po ganku drewnutni chyżo przebiegł duży szczur. Kogoś budził głośnym terkotaniem budzik. Mój towarzysz, Kuberski, zatrzymał jakiegoś obcego. Okazało się, że swój. Byliśmy na drugim podwórzu, aby sprawdzić, czy tam czuwają. Byli na stanowiskach. Biegł pies z łańcuchem na karku i dzwoniąc nim obiegnął dwukrotnie nasz blok domów. Gwiazdy zaczęły blednąć. Księżyc stał wysoko. Robiło się szaro. Może jednak nie stanie się rzecz najgorsza...

Rzecz najgorsza? Jaką miała córka na myśli „rzecz najgorszą“? Upadek Polski? Przed tysiącami lat Bóg wiedział, co się stanie. Czy może się nie stać? Rzeczy najgorsze są w odwodzie. Nie znamy ich i tą nieznajomością są one dla nas groźne. Na razie dzieją się rzeczy złe: potworna „luftwafa“ niemiecka szaleje. Bomby padają gęsto i blisko. Siedzimy skuleni w sionce na dole. Kilka obcych kobiet przysiadło się do nas. Okna pouchylaliśmy, aby wybuch nie poniszczył szyb. Nie wiemy tylko, co trzeba uchylić aby wybuch nie poniszczył nas. Zresztą, rzecz przewidziana przez Boga i rady na nią nie ma. W pewnej chwili wybuch bomb gdzieś bardzo blisko. Pęd powietrza rozwiera szeroko okna, detonacja uderza wprost boleśnie w nogi i w pierś. Kobiety bledną, któraś z nich popłakuje bezradnie. Żona siedzi zrezygnowana, córka drży. Jest mi żal tych ludzi i samego siebie. Wstaję powoli i odsuwam stółek z hałasem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gdy oczy zwracają się ku mnie, tupię nogą i mówię: — Cicho! Co się stało? — Nic! — odpowiadają mi wdzięczne uśmiechy. Uśmiecham się i ja.

Nauczyłem się tego od mądrego doktora Jasińskiego w Krynicy, w roku 1920. Przyszedł do niego żołnierz w mundurze. Chory, po ciężkiej kontuzji. Trząsł się jak galareta i nie mógł odpowiadać na pytania lekarza, bo mu zęby nieposłusznie szczękały. W pewnej chwili doktor Ja-

sieński wyprostował się, spojrzął na rozdygotanego żołnierza ostro i skomenderował: — Baczość! — Żołnierz zastygł nagle, przestał dygotać, rozmawiał z lekarzem dość swobodnie i otrzymał potrzebne wskazówki. Doktor ujął go łagodnie pod ramię i zaprowadził do kąpielowego. Gdy wrócił, spojrzął na mnie i rzekł: — Pomyśli pan pewno, że jestem człowiekiem bez serca. Niezupełnie. Widział pan sam, że chory nie mógł się opanować. Zaryzykowałem odwołanie się do jego żołnierskiej karności. Udało się. Karność wspinała... — Zapamiętałem to sobie, przydało się w tej chwili.

Zapada zmierzch. Syreny odgwiszują alarm. Wychodzimy na podwórze. Czarne warkocze dymów płyną nad Żyrardowem. Płonie gorzelnia, tu i ówdzie jasnym płomieniem goreją domy robotnicze. Kobiety, dzieci, mężczyźni, młodzi i starzy suną długim sznurem z resztkami swego nędznego dobytku. Cały dorobek ich ubożego życia pali się w tej chwili. Dorożki wiozą rannych do szpitala. Strażacy niosą na noszach zabitych. Do kostnicy. Jakiś okrwawiony człowiek nuci „Z dymem pożarów“, ale nikt pieśni nie podchwytuje. Oczy pałają, twarze są blade, usta zaciśnięte. — Dzisiaj oni — mówi do mnie spotkany znajomy zdun — jutro my!

Świat będzie miał jeszcze dużo jutro, ale które będzie nasze? Tak czy owak: jutro my! Jeśli cośkolwiek może ulegać wątpliwości, to jedno jest pewne: jutro my!

9 września. Sobota.

Cisza po wczorajszej burzy. Ulice puste. Kto nie musi, nie wychodzi na świat tak splugawiony przez zbieraninę niemiecką. Sąsiad, nauczyciel Dzikiewicz, mówi mi, że kierownik szkoły, Szymański, musiał zawrócić z drogi, bo Warszawa już odcięta. Wracając piechotą do Żyrardowa i klucząc polami, został dopadnięty przez lotnika niemieckiego i posiekany karabinem maszynowym. Głos mu drży, oczy wilgną. Co będzie dalej? Opowiada, kto zabity, kto

ranny, kto uciekł w ostatniej chwili przed patrolem niemieckim w okolicy.

Wpada na chwilę doktor Dobrzański. Żegna nas i poleca Bogu. Jest w mundurze majora-lekarza. U boku ma ska przeciwgazowa. Czy jednak nie było by lepiej, żebym wyjechał razem z nim? Rzuca mi to pytanie i czeka chwilę na odpowiedź. Waham się, serce mam ciężkie. Wydrukowałem ostatnio sporo ostrych artykułów przeciwko Hitlerowi i jego idiotycznej Trzeciej Rzeszy. Może się to Niemcom nie podobać. Ale przypominam sobie niemieckiego „pressechefa“ z tamtej wojny, von Cleinowa. Zaprosił do siebie publicystów i dziennikarzy polskich, powiedział im, że wie, co który z nich pisywał o Niemcach, ale co było, to było. Nad przeszłością stawia krzyż. Oczekuje pewnego uznania dla usiłowań niemieckich. Władze niemieckie i prasa niemiecka odpowiedzą grzecnością na grzecność. Było by mu niezmiernie przykro, gdyby musiał w ten czy inny sposób wystąpić przeciwko źle rozumianej wolności słowa podczas wojny.

Nie umiałem wyobrazić sobie, że teraz miało by być inaczej. Nie łatwo przyszło by mi zostawić żonę i córkę same. Uchodźć całą rodziną, to znaczy rzucić cały dorobek życia na niełaskę losu. Nie, nie pojedę, drogi przyjacielu. Idź z Bogiem i miejmy nadzieję, że się znowu spotkamy w warunkach lepszych od dzisiejszych.

Doktor obciąża mundur, rzuca nam parę serdecznych słów i szybko ucieka przed wzruszeniem tego pożegnania.

Za chwilę przychodzi porucznik policji Przybyłowski. Wyjeżdżamy zaraz. Czy jednak pan nie powinien zabrać się z nami? Tu nie będzie dobrze. Pańskie artykuły wydrukowane ostatnio, mogą panu przysporzyć wiele przykrości. Mówię mu, że już te rzeczy przesądziłem. Co będzie, to będzie. Niemiec musi chyba przestrzegać przepisów prawa międzynarodowego. Porucznik nie wie, czy te przepisy będą przestrzegane. Jest podniecony i śpieszy się. Żegnamy się ze ściśniętym sercem. Wrócisz, bracie, czy nie



wrócisz? A jeśli wrócisz, czy zastaniesz nas przy życiu? Niech cię Bóg prowadzi i wszystkiego ci najlepszego życzymy.

Syrena ryczy. Porucznik staje na baczność, salutuje i szybko wychodzi. Nie mamy odwagi spojrzeć sobie w oczy, aby w nich nie wyczytać czegoś beznadziejnego. Samotniejemy. Dużo mężczyzn uchodzi do wojska. Każdego z tych uchodzących rezerwistów dręczy pytanie, czy się aby dostanie jeszcze do swego oddziału. Siedzimy przez dobre pół godziny na dole w sionce, która jest schronem na niby. Uważamy, że w razie rozwalenia domu przez bombę, łatwiej wydostaniemy się na dwór z tej sionki, niż z mieszkania swego na piętrze. Ale gdzieś w głębi świadomości tkwi także uparta myśl, że jeśli się chałupa zawali, to nic nam nie pomoże, że znajdowaliśmy się na parterze.

Nastaje jakieś do cna sparszywiałe popołudnie. Ulice są puste. Kto może, uchodzi z Żyrardowa jak z miasta zapowietrzonego. Serce napęlnia żal, smutek, niepokój. Chciało by się pójść razem z braćmi uchodzącymi, ale chciało by się także pozostać w mieście rodzinnym, razem z pozostającymi. Wychodzę na podwórze i spotykam sąsiada Dzikiewicza. Ma jakieś smutne wieści z frontu. Właściwie, żadnego frontu nie ma. Warszawa otoczona. Idzie ze mną do mego mieszkania. Zaczynamy pogawędkę, ale nam się nie klei. Przychodzi żona z wiadomością, że są jacyś uchodźcy i proszą o pomoc. Nikt im nie chce poradzić, bo wszyscy się boją. Wiadomo już, że Niemcy rozstrzelują za przynależność do niemieckiego wojska. Zastanawiam się przez chwilę i wychodzę do przybyłych. Są straszliwie zdrożeni, zakurzeni, pół-żywi. Witamy się. Jeden z nich — to lekarz z Nowego Miasta, województwa pomorskiego, dr. Werner, drugi — urzędnik Urzędu Skarbowego w Toruniu, Tytułski. Po drodze przyłączyło się do nich jeszcze czterech Polaków uchodzących przed gwałtami niemieckimi: burmistrz jednego z miast pomorskich i paru urzędników. Wszyscy byli straszliwie zbiedzeni. Dwóch pierwszych zatrzymaliśmy u siebie, innych ulokowaliśmy u sąsiadów.



Byli szczęśliwi, że po parodniowej tułaczce, pełnej niebezpieczeństw, mogli odpocząć wśród przyjaciół.

10 września.

Dzielimy się z gośćmi naszymi nadziejami i obawami. Nie sądzą, aby Niemcy mieli zwyciężyć, ale są przekonani, że wojna będzie długa i że w ciągu tej wojny Polska ucierpi straszliwie. Alarmy nie dają na chwilę spokoju.

Siedzimy po obiedzie przy filiżance czarnej kawy, gdy nagle i nieoczekiwanie w pobliżu pęka granat z taką siłą, że szeroko rozwiera uchylone okna. Bez czyjejkolwiek komendy schodzimy na dół. Gdy jesteśmy na schodach, pada drugi pocisk nieco dalej od naszego domu. — Przysztrzelują się Niemcy — powiada doktor Werner, który jako młody chłopiec uczestniczył w pierwszej wojnie światowej po stronie niemieckiej. Siedzimy w sieni i czekamy na większy pojedynek artyleryjski, ale nastaje spokój, więc wracamy na górę i dopijamy ostygłą kawę.

11 września.

Coraz częściej słychać strzały. Na szosie raz za razem spotykają się patrole i dochodzi między nimi do starć.

Obrzydliwy poniedziałek! Spiekota, zaduch, nerwowość. W pobliżu szykuje się jakoby większa bitwa. Nie ma chleba, więc pieczemy go sobie w domu. Palimy w piecu i mamy się właśnie zabrać do wypieku, gdy rozpoczyna się gruba strzelanina. Zapada zmierzch, syreny wyją, nad głowami terkoczą samoloty i karabiny maszynowe. Rzucałyśmy rozpoczęte pieczenie i zbiegamy na dół. Jesteśmy już pomęczeni porządnie i nerwowość nasza jest daleko większa, niż w pierwszych dniach wojny. Jeden za drugim przychodzą znajomi i każą poukrywać co można, a w nocy uciekać w razie czego do schronu w szkole naprzeciwno. Nikt nie umie powiedzieć dlaczego tak ma być, ale wszyscy doradzają to samo. Uciekać w razie czego do schronu w szkole.

12 września.

Zdenerwowanie i podniecenie powszechne. Znikają resztki nadziei, że Niemcy zostaną może zatrzymani. Alarmy i naloty bezustanne. Jesteśmy brudni, spoceni, niewyspani. Od kilku dni nie robieramy się wcale. Niewiasty robią niewielkie tobołki: troszkę bielizny, pieniądze, kosztowności, aby nie iść na wygnanie z pustymi rękami. Późnym wieczorem dziwny ruch w mieście: ludzie przebiegają szybko przez ulice. Jedni biegną tam, inni ówdzie. Nic nie rozumiemy. Wszyscy jesteśmy śmiertelnie strudzeni. Spokój i łóżko byłyby dobrodziejstwem. Ale łóżko jest marzeniem ściętej głowy. O spokoju wiemy z całą pewnością, że nie wróci tak prędko. Jest wstrętna atmosfera popłochu. Siedzimy i czekamy sami nie wiedząc na co. Rozmawiać się nie chce. Nasi goście poszli do swego pokoju. Żona zgasiła światło i delikatnie otwiera okno, bo zaduch jest nieznośny. Córka siedzi w fotelu i drzemie, żona kładzie się na tapczanie, ja rzucam się ubrany na łóżko. Serce bije niespokojnie, myśli utknęły...

Od czarnej skały Nordkapu wieje przejmujący wiatr. Widzę tę ponurą skałę z bardzo daleka, z Helgolandu, czy nawet z Wilhelmshafen. Drży i trzęsie się cała, odrywa się swobodnie od Norwegii i płynie bardzo szybko na południe. Staje się coraz większa, potężniejsza, groźna i straszna. Nie, to już nie skała, to olbrzymi statek ze stali błyszczącej. Maszty sięgają nieba, na pokładzie stoi doktor Werner wyolbrzymiały, rozwiewany wiatrem. Groza i chłód dotkliwy. Statek ma ster z przodu i tym sterem kraje granatowe wody złego morza. Doktor ma na sobie dziwaczny płaszcz rozwiany na wietrze jak gigantyczny sztandar. Jest wielki jak góra i włosy rozwiewają mu się na wszystkie strony. Przykłada ręce do ust i woła głośno, żeby przekrzyć szum morza: — „To nie jest żaden ster! To jest pług bożej sprawiedliwości! Wyorzę Germanię z serca Europy i zawiozę za Nordkap. Niech się tam te wściekłe psy wzajemnie porozdzierają! Niech wyzdychają na mrozie!”

Nagle doktor Werner znika i straszliwy wielki pług stalowy wrzyna się w ład jak łamacz lodów. Skiba ładu odwala się na jakąś twierdzę i przygniata ją. Buch-buch-buch — wala niemieckie armaty, ale doktor Werner śmieje się burzliwie. Nie widać go, tylko słycać ten straszliwy dziki śmiech. Lśniący pług, wielki jak pół świata, odwala skibę za skibą na Hamburg, Hannover, Kolonię... Buch-buch - buch...

Budzi mnie szarpanie za ramię. Prędeż! Żona nalega, abym wstawał. Och wstaję, ale w głowie mam zamęt i dziwnie jestem ocieężały. Złość i wściekłość zwracają się przeciwko żonie. Czemu budzisz? W piekle chyba weselej, niż na takiej wojnie tych zadżumionych ludożerców! Nie czuję nóg, skóra pali od brudu i potu, głowa jakaś cudza.

Na dole czekają już nasi goście. Wychodzimy na ulicę i biegiem docieramy do szkoły. Mijamy oficera idącego szybko w kierunku ulicy Teklinowskiej. Na ulicy Limanowskiego paru naszych żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału biegnie ku szosie. Już widno, niedługo wszędzie słońce. W schronie ścisk. Przechodzę do mieszkania stróża szkolnego i zbliżam się do suterrenowych okien wychodzących na skwer. Strzelanina i tupot. Stróż ujmuję mnie delikatnie za ramię — „Lepiej do sionki, niż tu“, pokazuje mi wybite okno i ślad kuli w ścianie.

Przychodzę do sionki i siadam na ławie. Patrzą po obecnych: wszyscy siedzą z głowami popuszczanymi. Nastrój jak w poczekalni piekieł. Nie do wytrzymania. Wychodzę po schodkach sutereny ku drzwiom, gdzie stoi doktor Werner. Odpycha mnie gwałtownie i cofa się sam. Tuż nad nami samolot niemiecki sieje kulami po placyku przed szkołą. Wracamy do schronu, siadam i rzecz najdziwniejsza, zaczynam czuć nienawiść do samego siebie, do życia, które jest takie nieustępliwe wobec śmierci i zagłady. Gdzieś z boku mnożą się strzały karabinowe, nieco dalej hukają armaty. Trwa to długie godziny i wytwarza nastrój sennej obojętności. Zabijają — to zabijają...

Koło drugiej na schodach do schronu pojawia się Niemiec z karabinem pod lewą pachą i granatem w prawym ręku.

Alle raus!

Wychodzimy. Jakiś parobek niemiecki z powalaną głową i zakurzony jak nieboskie stworzenie ustawia nas w szeregu i każe trzymać ręce do góry. Inny żołdat stoi przy karabinie maszynowym wymierzonym przeciwko nam. Podoficer po czterdziestce podchodzi do nas i obmacuje nam kieszenie. — „Kto ma broń, zostanie zaraz zastrzelony“. Niemiecki podoficer wyjmuje mi z kieszeni portfel, przegląda go i zwraca. Z kieszeni u spodni wyjmuje portmonetkę, zagląda do niej, oddaje i pozwala opuścić ręce. Odchodzą. Przychodzi jakiś smarkacz z karabinem i woła, żeby iść za nim. Wychodzimy na ulicę. Koło kościoła paru oficerów w komicznych czapach, komponowanych przez samego Hitlera, idzie z rewolwerzyskami w garści. Gdy skręcamy w skwer, widzę na ziemi nóż rzeźnicki. Wywiera niesamowite wrażenie ten porzucony czy upuszczony nóż. O parę kroków dalej leży w kałuży zaschłej krwi jego właściciel. Za nim jeszcze jeden i jeszcze. Cywile — i zawsze strzał w potylicę. Patrzę otępiały bez wrażenia. Rozumiem, że to nie są strzały przypadkowe, zbłąkane kule. Gdy docieramy do szosy, włączamy się do długiego pochodu mieszkańców Żyrardowa. Wszyscy zostali wygnani z mieszkań jako zakładnicy, jeśli w mieście padnie jedyne strzał.

Ulica jest obrzydliwością spustoszenia. Porozwalane i popalone czołgi, poobalane słupy z przewodnikami elektrycznymi, druty zwisające na trupy czołgów i trupy ludzkie. Wystawa fotografa leży na chodniku a fotografie porozrzucone dokoła. Tak samo jest ze sklepami zegarmistrzów. Potrzaskane zegarki kieszonkowe leżą obok budzików i zegarów szafkowych. Budka z wodą sodową i owocami leży obalona i wszystko, co w niej było, tworzy jakiś paskudny śmietnik. Co parę kroków trup z raną w potyli-



cy. Przyskoczył bandyta i strzelił do idącego czy uciekającego. Na co i dlaczego? Jakaś specjalna rozkosz mordowania bezbronnych. **Lustmörder!**

Pędzą nas, trzydziestotysięczne miasto, w pole. Gdy przechodzimy przez przejazd kolejowy, duży oddział piechoty zmotoryzowanej patrzy na nas, z ciężkimi rewolwerzyskami w garści. Strasznie niewiele potrzeba, aby ci zbójcy zaczęli do nas strzelać. Mijamy ich i wchodzimy między płonące domy. Chce się strasznie pić, ale gdzie tu szukać wody? Nawet gdyby się ją znalazło, nie daliby przecie przystanąć i napić się. Przed domami otomany, wózki dziecięce, materace, koszyki. U bramy płonącego domu jakiś człowiek śmiertelnie błady ocieka krwią. Doktor Werner odruchowo pochyła się nad nim, ale żołnierz nie pozwala poratować rannego. Do czyjegoś mieszkania na parterze wrzucili niemieccy bandyci granat i mieszkanie się pali. Idziemy w spiekocie słonecznej przez ten gryzący dym i nie wiemy, co z nami robią. Jest nam dziwnie wszystko jedno.

Zbaczamy z szosy w pole. Po żniwach pozostały tu wielkie sterty słomy. Obszar pola otoczony karabinami maszynowymi. Siadamy na ziemi i czekamy, co będzie dalej. Co chwila odzywa się w głębi ziemi ciężkie łupnięcie, jakby ziemia stękała. To wybuchają ciężkie pociski artyleryjskie. Szosą płyną bez końca armaty zmotoryzowane różnych wielkości, idą oddziały wojska. Pić! Ślina w ustach ma gęstość gliny. Zaraz tu muszą zajechać beczki strażackie z wodą, bo skonamy z pragnienia. Ludzie czołgają się skrycie do kałuż ohydnych i piją coś, co przypomina gnojówkę. Sołdaty ustawiają karabiny maszynowe. Kobiety klękają i cicho nucą: „Kto się w opiekę...” Każą siadać. Mija kilkanaście minut. Sołdaty rechocą z uciechy. Ludzie skubią słomę ze stert i robią sobie legowisko. Zapada noc, robi się coraz chłodniej. Tulimy się jedni do drugich, żeby było cieplej i próbujemy spać. Zmęczenie robi swoje, zapadamy na chwilę w sen, ale gdy jaki



blizszy wybuch budzi ze snu, widzimy na całym horyzoncie pękające pociski armatnie, mniejsze i większe, i całym dużym. Łup-łup! — stęka ziemia. Reflektory samochodów i ciężarówek a także zmotoryzowanej artylerii, oświetlają szosę i nasze pole. Koło rzeźni, tuż przed polem, jasno pali się dom. Gdy dogasa, Niemcy zapalają drugi i trzeci. Nad głowami wiekuiste gwiazdy w ładnych konstelacjach patrzą na ziemię i mrugają obojętnie. Jakaś nieszczęsna kobieta rodzi i wije się w bólach porodowych. Czasem głośno krzyknie. Urzędnik fabryczny, od dawna chory na serce, umiera. Nie ma czym przynieść mu ulgi.

O piątej rano Niemcy każą ustawić się wszystkim w szeregach. Po godzinie stania na dotkliwym wilgotnym chłodzie przychodzi jakiś paskudny wermachciarz i woła, czy nie ma wśród zszeregowanych kogoś umiającego po niemiecku. Wysuwa się jakiś Niemczyk z obleśnym uśmiechem. Służy! Wermachciarz pyta przez niego, czy wśród zebranych są Niemcy. Jeśli są, to niech wystąpią z szeregu. Wysuwa się sporo takich, o których nie przypuszczaliśmy, że uważają się za Niemców. Wermachciarz prawi im jakieś słowa powitania i pozwala natychmiast odejść do domów. Odchodzą uradowani i zadowoleni.

Teraz wermachciarz oddziela Żydów od aryjczyków. Potem stałych mieszkańców Żyrardowa od niestałych. Stoimy już dwie godziny. Nogi mdleją, w głowie się kręci. Wermachciarz każe Żydom zdejmować płaszcze i daje je tym, co stoją najbliżej. Niektórzy łapią te dary skwapliwie, inni ich nie przyjmują. Wermachciarz dziwi się, dlaczego ktoś nie przyjmuje dobrego płaszcza, skoro mu dają darmo. Stoimy dalszą godzinę. Ludzie koszarowego drylu nie mogą się obejść bez takich uciech koszarowych. Jesteśmy drętwi ze znużenia i wreszcie po dziewiątej wolno nam pójść do domu. Idziemy noga za nogą wśród ohydnych spustoszenia. Niektóre trupy jeszcze nie zabrane. Druty przewodów elektrycznych wciąż jeszcze wiszą żałośnie, kamienne płyty chodników powyrywane. Obok jednego

z rozbitych czołgów leży trup spalonego czołgowca. Malutki jak trup dziecka. Na skwerze wśród drzewek, krzewów i kwiatów — wyrwy głębokie.

Wermachciarze zatrzymali naszych gości jako niestałych mieszkańców Zyrardowa. Wracamy do domu sami. Och, zrzucić z siebie brudne ubranie i umyć się porządnie, a potem spać i spać aż do końca tej potwornej wojny, tego dzikiego najazdu chamstwa na cywilizację ludzi pracy i pokoju. Ale wody nie ma. Wodociągi czekają naprawy. Wodę trzeba nosić z dalekich pomp i studzien. Wreszcie można się umyć i przebrać. Kładziemy się do łóżek, ale usnąć niesposób. Jesteśmy w mocy najgorszych swoich wrogów. „Krzyżackiego gada nie ugłaszce nikt...“ Wiedział to Mickiewicz, nie chcieli przyjąć tego do wiadomości nasi rządzący. Co będzie jutro? Nie, nie zaśniemy już z takim spokojem, z jakim sypialiśmy przed nieszczęsnym dniem pierwszego września. Będzie powracała świadomość, że jesteśmy w niewoli ludzi, którzy ponieśli bardzo wiele trudu, aby się odczłowieczyć i upodobnić do czegoś, co jeszcze nie ma nazwy w mowie ludzkiej.

16 września.

Przez dwa dni nie notowałem nic i wiem, że prędzej czy później sprzykrzy mi się zapisywanie szczegółów naszego nieszczęścia, naszej klęski tak wielkiej i tak nagłej. Przychodzą hiobowe wieści z różnych placów walki. Oddziały niemieckiego wojska wywierają wrażenie bandytów. Takie to niepojęte, że niemieccy rolnicy, szewcy, krawcy, robotnicy najróżniejszych fabryk porzucili nagle pracę, poubierali się w mundury i ruszyli na mord i rabunek. Gdy się czasem przechodzi koło takiego oddziału, to spojrzenia tych umundurowanych kelnerów i subiektów handlowych zdają się grozić, że „najlepsze“ dopiero przyjdzie.

Od strony Sochaczewa dolatują odgłosy walk artyleryjskich. Jesteśmy pobici, gorzej: rozgromieni. Pocieszam się jednak myślą, że gdybym był Niemcem, to bym się

z tego łatwego zwycięstwa cieszyć nie mógł. Ten los, który okazał się takim zdradliwym dla nas, nie zawarł paktu nieagresji z Niemcami. A zresztą, nawet gdyby go zawarł, czyż Niemiec nie pokazał światu, że świstek papieru był świstkiem papieru dla Niemca — zarówno podczas pierwszej wojny światowej jak i podczas drugiej? Kto wojuje mieczem wiarołomstwa, ten od wiarołomstwa zginie. Co daj Boże! Żyje jeszcze Polska w Warszawie i żyje w naszych sercach. I ten nasz dziwny, nieomylny szósty zmysł mówi nam, że nie Niemiec będzie zwycięzcą.

21 września.

Smutek i niepokój. O pracy nie ma mowy. Godzinami stoję przed półkami bibliotecznymi i szukam książki na dzisiaj. W której z nich można znaleźć słowo wielkiej pociechy, prorocstwo czy pewność zwycięstwa nad okrutnym wrogiem? Niemcy się chełpią, że już się z Polską załatwili, ale zapominają chętnie, że Warszawa jeszcze się broni i że Prusy w r. 1806 zostały przez Napoleona rozgromione w przeciągu niewielu dni, a twierdze pruskie poddawały się tchórzliwie jedna po drugiej. Pocięsam się też myślą o głupocie niemieckiej. Niemiec — to człowiek pozbawiony zdolności przewidywania. Sławetny Hindenburg jeszcze we wrześniu 1918 zapowiadał „wymuszenie“ pokoju na zachodzie tak samo, jak został wymuszony pokój na wschodzie. Pokój na wschodzie wymuszony nie został, a na zachodzie przyszła klęska. Ludendorff był nie o wiele mądrzejszy, bo jeszcze w roku 1914, gdy powstawała sprawa wyzwolenia Polski i stworzenia wojska polskiego, popisał się sztuką prorokowania: „Żadnych żołnierzy nie potrzebujemy, bo musielibyśmy ćwiczyć ich przez pół roku, a do tego czasu wszystko będzie skończone“. Później spostrzegł, że przewidywał źle i że bardzo potrzeba tych żołnierzy, od których odżegnywał się tak skwapliwie. Chełpliwa głupota niemiecka — to najlepszy nasz sprzymierzeniec.

18 września.

Odgłosy walk ciężkich i dla nas beznadziejnych, niestety. Nasi goście zatrzymani zrazu przez Niemców, wrócili do domu. Radość! Tytułski stoi przy aparacie radiowym i słucha wieści o rodzinach zaginionych. Nie wie, gdzie jest jego żona z córkami. Doktor też się niepokoi o żonę i synka. Na podwórzu ustawili Niemcy samochody, a w samochodach trzymają masę zrabowanych rzeczy. Żołnierze sprzedają tu papierosy i wódkę, oczywiście zrabowane. Można kupić u nich także ładny dywanik, bieliznę i różne inne rzeczy. Specjaliści! Czasem Tytułski łapie stację niemiecką i wtedy słyhać chełpliwe, nabzdyczone słowa niemieckiego chwalidumstwa. Strasznie się draństwo puszy. Lecz przyjdzie kiedyś dzień zapłaty!

Szlachetny Foerster przytacza w swej książce słowa jakiegoś Anglika o tym, że Niemcom przebaczone wspaniałomyślnie pierwszą wojnę, ale jeśli jeszcze raz spróbują najazdu na Europę, to sponiewierana ludzkość każe im drogo zapłacić.

23 września.

Sprzykrzyło mi się notowanie tych dni pełnych zgryzoty i smutku. Niemcy zagospodarowują się u nas na dobre. Wspaniałe samochody Czerwonego Krzyża Polskiego stoją na dziedzińcu szkoły. Jakiś żołdat przemalowuje znaki na nich. Co dzień koło południa zajeżdża przed szkołę kuchnia polowa i kucharz nalewa żołdatom zupę w podstawione menażki. Jedzą dobrze i tłusto, bo zabierane bydło i wieprze nic ich nie kosztują. Podchodzą kobiety i dzieci z dzbankami i kucharz obdziela wszystkie sownicie. Młody oficerek stoi opodal i fotografuje „wspaniałomyślność” niemiecką. Obrazek będzie w jakimś niemieckim piśmie i Gretki niemieckie będą się wzruszały, jacy to ich mężowie są dobrzy dla nieprzyjaciela. Oni na nich kamieniem, a ci na nich grochówką niemiecką. Ze zrabowanego wieprza. Ale tego już Greta nie pomyśli. W szko-



le uczono ją, że Niemiec jest najuczciwszym człowiekiem świata.

Nasi goście dowiedzieli się przez radio, że ich żony i dzieci są w Kukłówece koło Grodziska. Okolice Kukłówki uwiecznił genialny Chełmoński w swoich niezrównanych pejzażach.

30 września.

Pierwszy miesiąc niewoli u końca i nic się nie dzieje. Anglicy latają nad Rzeszą i rzucają karteczki z zaproszeniem do rewolucji. Czy Niemcy usłuchają? Wątpi kościół boży — jak mówią w Żyrardowie. Państwowe godło polskie znikło ze szkoły. Wszędzie powiewają te najplugawsze szmaty, jakie gdziekolwiek i kiedykolwiek zwisały z domostw uczciwych ludzi. Brak mięsa, którym obżera się niemiecki niedojad, chleb mamy coraz podlejszy. Przyszedł sfoksiąły znajomek, żeby szykować kwaterę dla „dwóch panów oficerów“. Niechże popatrzy, gdzie tu miejsce na kwaterę dla takich dwóch panów. Ciasno, niewygodnie i Bóg wie co tam jeszcze. Może znajdzie w dostojniejszym domu. Foks się bzdyczy i zaczyna mówić tenorem przechodzącym w dyszkant, że powiedział swoje i dość. Na jutro ma być kwatera: dwa łóżka, pościel, stół, krzesła, umywalnia, ręczniki... „Jak nie będzie, to się z panem inni rozmówią“. Ale gdzie my się mamy podziać? Nie jego dzieło i do widzenia! — Mimo woli uśmiecham się do żony. Przyzwoity był człowiek, nawet grzeczny i bardzo układny i oto stawszy się foksem od razu zaczyna chrząkać. Herrenvolk. Rasa i klasa.

4 października.

Kwaterant przyszedł wczoraj. Starszawy oficer, taki już używany podczas tamtej wojny. Grzeczny, przeprasający, troszkę zakłopotany. Starsze pokolenie, które nasiąkało czym innym niż hitleryzm. Och, bardzo dziękuje! Tak. Od dziesięciu dni się nie rozbierał. Jakże dobrze spało się w czystym łóżku! Bardzo dziękuje. Był w Polsce



podczas tamtej wojny, nawet w samym Żyrardowie. Pamięta bardzo dobrze spaloną fabrykę. Ileż tu się zmieniło na lepsze! Szkoda, że Polska wypowiedziała nam wojnę. Żona nie wytrzymała: — „Kto wam wypowiedział wojnę? Polska? Pan jest inteligentny człowiek i powinien wiedzieć, jak się rzeczy mają!“ — Niemiec stoi troszkę zgłupiały. — „Myśmy wojny nie chcieli... — baka zakłopotany — i wy także nie, to sprawa kliki, która“... — Rozgląda się trwożliwie przerażony własnymi słowami. Rozkłada ręce: — Tja... Idzie na służbę. Może wieczorem pozwolimy mu zajrzeć do nas. Pozwalamy.

#### 14 października.

Deszcze ze śniegiem. Błoto. Trochę mrozu i duży śnieg. Tłumy ludzi przychodzących na nasze podwórze do niemieckich złodziei po papierosy i wódkę. Handel kwitnie. Z drugiej strony domu, od ulicy, dzieci wymieniają jajka na cygara. Żołnierze wychodzą i pokazują cygaro. **Drei Eier!** Podnoszą trzy palce do góry. Chłopak mówi: „zwei“ i podnosi dwa palce. Krakowski targ. Tak jest przez cały dzień. Obok, w szkole polskiej, kończą się lekcje i dzieci mówią unisono: „Matko Boża, Królowo Korony Polskiej, błogosław naszą Ojczyznę“. Tak smutno na tym najlepszym ze wszystkich możliwych światów! Opadłych liści nikt nie zamiata. Pierwszy kwaterant z przydzielonym mu podoficerem — draniem nota bene pierwszej klasy, bo nawet jego oficer bał się go po trosze — odszedł w nastroju nienajlepszym. Siedzieliśmy wieczorem w przeddzień wyjazdu i rozmawialiśmy o wojnie. Ponieważ jego podoficer chełpił się, że Polska została rozbita na poczekaniu, powiedziałem im, że z Rosją będzie sprawa trudniejsza. Parsknęli śmiechem równocześnie jak na komendę. Z Rosją? My? **Ausgeschlossen!** Firer powiedział, że pokój z Rosją będzie wieczny. Ile razy toczyliśmy z sobą wojny, tyle razy traciliśmy i my, i oni. Więc z Rosją już nigdy wojny nie będzie. No, więc proszę tylko, aby panowie zapamiętali, że im wojnę przepo-

wiedziałem. Skąd, co i jak? Sięgnąłem po tom „Mein Kampfu“ i pokazałem odpowiednie stronicę. Zgłupieli. Obstawać przy wiekiustym z Rosją pokoju nie sposób wobec słów tak wyraźnych samego firera, powiedzieć, że firer przyszedł do innego wniosku, też jakoś nie bardzo wypadło.

Nowy kwaterant jest na swój sposób groźny. Wermachciarz z okolic Essen czy z samego Essen. Przychodzi nieproszony na pogawędkę, odpasuje swoje wielkie rewolwerzysko i zaczyna mówić o Bydgoszczy. Że widział na własne oczy trupy pomordowanych Niemców. Wyłupione oczy, poobcinane ręce, powyrzynane języki. Gdy bywa trochę pijany i rozgada się o Bydgoszczy, to wieje od niego morderstwem. Zaraz sięgnie po tę ciężką maszynę i zacznie strzelać. Żona ryzykuje przerzucić temat na jakiś bezpieczniejszy tor. Czy Essen ładne miasto? Essen? — Dziwi się pytaniu. — Ładne. W ogóle miasta nad Renem... Ale, widzi pani, do Essen trzeba podchodzić nie od strony ładności. To potężna zbrojownia niemiecka, **nicht wahr?** Tyłko, że jeśli tam w jakieś takie miejsce padnie bomba angielska, to z jego domku nie zostanie ani śladu. I stara matka tam jest, i frau, spodziewająca się dziecka. — Teraz żona idzie na całego. Dlaczego Anglicy mieliby rzucać bomby, gdzie nie trzeba? Rzucają karteczki. Prędzej czy później dogadają się i za parę tygodni pojedzie pan do domu. Wermachciarz nie jest zdecydowany. Anglik tak łatwo nie ustąpi. To drański naród! Nie życzy nam naszego przemysłu, naszego handlu, naszej floty. Zawiść, **nicht wahr?** — Decyduje się nagle i mówi nam: dobranoc. Czekamy na jego powrót, bo nie mamy klucza zapasowego. Wraca o jedenastej. Jest cokolwiek zalany. Żona otwiera mu drzwi. „Gnaedige Frau“ — powiada niemal płaczącym i nieoczekiwanie życzliwym tonem — Anglik nie ustąpi. Siedem lat będzie wojował, a nie pofolguje... — Aha, rozmawiał na ten temat w kantynie i tam mu wyperswadowali nasz ochronny optymizm. — Ale wermach-

ciarz stał się raptem życzliwy i przyniósł mi w drodze łaski dwa albumy do przejrzenia, „Jugend um Hitler“ i „Hitler wie ihn keiner kennt“. „Młodzież dokoła Hitlera“ i „Hitler, jakim nikt go nie zna“. Podaje mi te rzeczy z miną, jakby mi wyświadczał ogromną grzeczność i jak gdyby mi podawał relikwię do ucałowania. Powiada tonem wielkiego rozrzutnika: — „Może pan trzymać aż do mojego odjazdu“. Bardzo ładne zdjęcia rzeczy paskudnych. Ten firer — to bardzo zwyczajny mydłek. Łasi się i zabiega o łaski dzieciaków, bo wie, że to najłatwiejsza i najprostsza droga do serc niemieckich Gret i Michałków. Gęba niefotogeniczna i kabotyńska na wskroś. Nigdy nie zapomina, że stoi przed fotografem i to z takich, którzy proszą o przyjemny wyraz twarzy. A dokoła niego typy wybitnie kryminalne, czarne charaktery ss-owe. Pocieszy jest ten władca Niemiec, o władzy jakiej nie posiadał przed nim żaden cesarz i żaden król niemiecki, gdy staje na baczność przed łobuziakiem podającym mu kwiaty. Otoczenie jest dobrze obute, dobrze ubrane, opasane, oswastyczne. Skąd ci ludzie nabrali tyle porządnego obuwia i odzienia? Kto im to funduje? Drugi album przedstawia naprzód „największego niemca wszystkich czasów“, jakim się sam zamianował, i dom, w którym się urodzić raczył. Dalej idzie jak gdyby rozbiór szczegółowy, analiza tej syntezy. Więc matołowate „bobo“, mamusin pieszczoszek, sfotografowany w rodzinnym Braunau. Jest i matka o przeraźliwie jasnych suchotniczych oczach, biedne zahukane stworzenie, wzbudzające szczere współczucie. Gdy się patrzy na tę twarz gruźliczki tak bardzo podobną do Adolfa Hitlera, twarz bieduli, która zdaje się przeproszać, że żyje, to od razu staje się jasną ta słoniowata nadkompensacja, jaką odciał się od niej jej syn. Obok „pan ojciec“ o twardej tępej gębie mierniutkiego biurokraty austriackiego. Bokobrody à la Franz Joseph i krótko przy skórze strzyżone włosy. Jest to typowa fotografia munduru, guzików, pasa i „piroga“. Uparty kancelista, który trzyma się swoich

przepisów jak rzep psiego ogona. A dalej takie zdjęcia, na których Hitler zawsze coś „raczy“. A więc raczy pa-  
trzeć na morze z miną Wilhelma, który uważał, że „przy-  
szłość Niemiec leży na wodzie“. Raczy fotografować się  
w kuszach portkach jako Tirolerbursch. Taki wielki, a w ta-  
kich ludowych portczynach! Raczy jechać samochodem,  
raczy być uprzejmym dla plebsu niemieckiego, raczy po-  
kazywać palcem innym, co wszyscy i tak widzą, raczy  
głaskać psa, raczy siedzieć przy biurku i myśleć o przy-  
szłości grosrajchu. No, hajtla! — jak mówią w Berlinie.  
Tfy, co za wredny typek! On wierzy w wielkość swej ma-  
łości, on uważa się naprawdę za narzędzie Opatrzności, za  
największego człowieka w Niemczech, a więc w całym  
świecie. I to jest wyjątkowo groźne. Człowiek o wyso-  
kiej kulturze umysłowej jest zawsze sceptyczny wobec  
samego siebie, ale taki Lafirdecki z farsy Krzywoszew-  
skiego, wychowany na paru broszurkach, nie umie być  
krytycznym wobec samego siebie i zamyka usta wszelkiej  
krytyce. „Biada Europie, jeśli wpadnie w ręce hołoty!“ —  
woła Nietzsche, filozof niemiecki. Zdaje się, że Europa  
wpada właśnie w ręce tej przerażającej hołoty, która uwa-  
ża się za naród panów. Nasz kwaterant obecny — na-  
zwisk nigdy nie podają — jest dowódcą oddziału robocze-  
go. Oddział ten wyjeżdża ciężarówkami na robotę, ale na  
jaką, nie wiadomo. Może na „mokrą“? Takie jakieś wam-  
piry z Düsseldorfu, czy Kürteny handlujące mięsem po-  
mordowanych przez siebie ludzi. Na płachtach ciężarówek  
mają powypisywane dowcipy w guście ultra - niemieckim:  
„Mit der Hacke quer durch Polen, um die Panjes zu  
versohlen“. (Mniej więcej: Poprzez Polskę, w dół i w górę,  
żeby „panie“ dostał w skórę). Jak ciężko wychować szla-  
chetnego, mądrego człowieka! Jak łatwo zrobić z Niemca  
tępego bandytę!

2 listopada.

Pałem listy od miłych ludzi, którzy na piśmie wyra-  
zili swoje zdania o hitlerstwie i Hitlerze. Było mi szcze-



rze żal listów szlachetnego pisarza niemieckiego, F. W. Foerстера, który siedzi we Francji jako zbieg przed Hitlerem i jego kliką. Spaliłem książkę Henryka Manna „Der Hass“, polskie wydanie „Brunatnej Księgi“ i wiele innych niebezpiecznych druków. Koledzy donoszą mi przygodnie, że za posiadanie takich rzeczy można zapłacić ciężkim pobiciem, a nawet czym gorszym. Wspominam niby ponury koszmar dzień ustanawiania Generalnego Gubernatorstwa. Profuzja sztandarów ze swastyką. Mury fabryki oblepione swastykami, ze wszystkich wyższych budynków zwisają długie sztandary, nawet kościołowi nie darowano i wciągnięto pod wieżę kilkunastometrowy sztandar. Przy wciąganiu drugiego urwało się coś i sztandarzydło swastykowe zważyło się całym ciężarem na łby niemieckie. Dobry omen. Potem napchało się na skwer tałatajstwa miejscowego i kolonistów, ile wlażyło, foksów i selbstschutzów i jęło się to kręcić po placu wojewody Sołtana, który przezwano Hitlerplatzem aż do odwołania. Lud od razu powiedział: Hycelplac. I na tym Hycelplacu śpiewała sfoksiała hołota swoje „Horst Wessel-liedy“ i „Wacht am Rheiny“.

„Nie uleże sowa sokoła“ — powiada nasz kochany polski lud w swój lapidarny sposób. Nie zrodzi niemiecka Greta Rouget de Lisle'a, śpiewaka Marsylianki. Horst Wessel to sutener Jürgen z „Ostatniego Cywila“ Ernesta Gläsera.

Jakże trafnie powiedział o Niemcach największy liryk świata, Henryk Heine, że patriotyzm francuski otwiera serce francuskie całemu światu, patriotyzm niemiecki zamyka je przed wszystkimi. Jakże żywo i cudownie kontrastuje słowo pieśni: „**Marchons tous et demain international sera le genre humain!**“ (Naprzód wszyscy w świat nowy, a jutro ludzki ród będzie międzynarodowy), — z dziadowskim „**Nur für Deutsche!**“ — Tylko dla Niemca. Takim samym dziadem był zresztą i Mussolini. Dla kogo świat? A noi! Dla nas! Dla kogo vittoria? A noi! Wszystko a noi! Albo taki aforyzm Mussoliniego: Naprzód ja, potem



mój pies, potem nic, nic, nic, a potem mój bliźni. Och, spójrzcie, dziady sakramenckie, na jeden polski sztandar łopocący na wietrze jak żywe serce człowieka: Za naszą wolność i waszą! Wy głupcy rabujecie biednej babinie ciepłą pierzynę, gdy z naszych serc tryskają płomienie! I choćbyś pękł, niemcze, będziesz wiecznie śpiewał swój ciasny nieprzewietrzany „**Deutschland über alles**“ i nigdy nie pojmiesz co to jest szlachetne, dostojne, rycerskie i bohaterskie serce ponad wszystko, über alles!

5 listopada

Czytam, co napisałem parę dni temu i grzeję się przy tym płomieniu serca. Bo jest zimno i dni są podobne do jakichś wilgotnych wieczorów. Mroki dobijające znużone serca ciężkim smutkiem przyrody. Na wieżyczce Ochrony wisi groźnie czarny sztandar SS-ów z wystylizowanymi dwiema błyskawicami. Łobuzeria SS-owa bije bezbronne kobiety za to, iż wierzą, że Polska powstanie do nowego wspanialszego życia. Jak gdyby kułakiem można było kogokolwiek przekonać.

Ponure ciemne dni i ta plugawa czarna szmata. Nie pamiętam już w której to pieśni „Iliady“ Achajowie modlą się do Zeusa: „Ojczy Zeusie, nie gub nas w mrokach, ale jeśli już ginąć mamy, daj nam ginąć w światłości!“ Cudowny motyw ostatniej strofy z przepięknego „Pogrzebu kapitana Mayznera“ Słowackiego.

11 listopada

Więści o zamachu w Monachium na tego krwawego błazna, który sprowadził na nas tyle nieszczęść. Tyłu ich żałuje, że zamach się nie udał. Iluż innych błaznów czeka swej kolejki, gdyby Hitler zginął! To nie on stworzył dzisiejsze Niemcy. W każdym jego geście, w każdym słowie powtarza się Wilhelm, a ten znowu miał wzór we Frycu czy w innym Hunnie. Tradycja. Potrzeba całych pokoleń, aby wznieść się na wyżyny człowieczeństwa i trzeba tak samo całych pokoleń, aby powrócić do stanu zwierzęcości.

14 listopada

Onegdaj, w niedzielę była córka na wsi w poszukiwaniu żywności. Mówiła mi o samotnym grobie przydrożnym podporucznika Kurczewskiego. Bolesny skurcz serca i myśl: kiedy pozbieramy te drogie nam śmiertelne szczątki naszych braci, aby je pochować ze czcią i miłością? Kiedy to będzie? Ileż jest takich samotnych mogił! I druga myśl: zginąłeś w walce, bracie kochany, czy też zbrodniarz niemiecki zaskoczył cię od tyłu i zastrzelił zbójcekim „genickschussem“? Czy może zatłukli cię bandyci niemieccy kolbami? Ale my żywi nie zapomnimy o tobie i w chwili odpowiedniej przypomnimy o tobie światu i sobie.

Na skwerku przed kościołem gromadka dzieci szkolnych urządziła giełdę książkową i wymienia sobie książki. Nikt teraz książek polskich nie drukuje i długo drukować nie będzie. Dzieci obdzielają się po bratersku tym, co pozostało i co będzie musiało służyć bardzo długo może.

Nędzo, nędzo polska!

17 listopada.

Siedzą u mnie bezradne kobiety i płaczą. Gestapo pozabierało im mężów i ojców i wywiozło do Radogoszczy pod Łodzią. Są pełne niepokoju, co się z nimi stanie. Ktoś im poradził, żeby pisać podanie do gestapo, ktoś inny, do generalnego gubernatora w Krakowie. Ale gdzie jest owo gestapo i co to jest? Albo jak pisać do tego generalnego gubernatora? Pocieszam, jak mogę, te płaczące bezradne kobiety i obiecuję im napisać, gdzie będzie trzeba. Tylko, Bóg widzi, nie bardzo wierzę, aby to miało odnieść skutek.

Idąc za wskazówkami naszych byłych współobywateli, sfoksiałych i spodłałych z godziny na godzinę, gestapo zabrało kilkudziesięciu ludzi z Żyrardowa, obiecując nie zapomnieć także o innych. Niemiecka rozkosz dręczenia bezbronnych i słabych folguje sobie. Moja obietnica uspokoiła zapłakane kobiety. Wspominają tamtą wojnę i generalnego gubernatora Besselera. Jakiś chłop w sąsiedniej wsi

wziął sobie okrągłaczek z opuszczonych okopów rosyjskich. Niemiecki wartownik zapisał sobie jego nazwisko, czym przeraził biednego chłopka. Było to w roku 1916, bardzo żywe były tradycje dawania łapówek, więc chłop niewiele myśląc, sięgnął do kieszeni i podał niemcowi 5 rubli: „Masz tu, **Herr Soldat**, ale nie zapisuj“. Niemiecki sztreber za-demonstrował swoją niepodkupność i zacny Tomaszewski dostał pół roku za wzięcie okrągłaczka i 5 lat za chęć skorumpowania cesarsko - niemieckiego żołnierza. Dowiedziawszy się co i jak, napisałem do Besselera, że Tomaszewski ani myślał korumpować im żołnierza, ale że działał zgodnie z tradycją, tak jak go uczyli ojciec i dziad. Kto dawał, temu się działo dobrze, kto nie dawał wychodził na tym źle. Prosty chłop, któremu nie dano nawet elementarnego wykształcenia, nie mógł wiedzieć jaka jest różnica między tamtymi a tymi. To nie zła wola, ale nieszczęście. Bessler polecił zbadać sprawę i uwolnił Tomaszewskiego z więzienia. Co więcej, kazał zbadać podobne wypadki i uwalniać skazanych, gdy wykroczenie miało za podkład nieświadomość. Sprawa stała się głośna i niebawem nie mogłem się opędzić wszystkim interesantom zgoła innego typu, niż sprawa Tomaszewskiego. Mówiono wtedy, że mam szczęśliwą rękę i zwracano się do mnie jako do właściciela tej szczęśliwej ręki. Pisaliśmy więc i teraz do kogo tylko kto poradził, ale było dosłownie tak jak między chłopem a obrazem. Obraz nie ozwał się ani razu. To już nie rok 1916 i nie generał Bessler, ale subiekci handlowi, mechanicy, czeladnicy rzeźniccy, fryzjerzy itd., jako naród panów, herrenvolk wysterlizowany z uczuć ludzkich...

25 listopada. Wczoraj był u mnie pan Janowski, który nazywa się teraz Jahn. Był buchalterem spółdzielni „Spo-łem“ w Żyrardowie. Założyli ją sobie robotnicy, rozwinęli wspaniale wysiłkami swoich działaczy i spółdzielnia porosła w piórka. Smaczny kąsek dla Niemca. Zagarnia ją więc dla siebie. Pan Jahn będzie jej dyrektorem a zadaniem jej będzie zaopatrywanie sfoksiałych byłych na-

szych współobywateli w rzeczy dobre, które odtąd będą „nur für Deutsche“. Władzom potrzebne jest niemieckie tłumaczenie statutu spółdzielni „Społem“. Mam, je zrobić. Skądże znowu! Nie umiem tak dobrze po niemiecku. Przychodzi dotychczasowy kierownik „Społem“ pan R. i prosi, aby jednak podjąć się tego. Mamy tu drobny lokalny przykład co nas czeka. Niemiec zabierze wszystko dla siebie. Wszystko, co posiada dla niego jakąkolwiek wartość.

Przychodzi do domu jakiś arkusz spisowy. Ile osób, w jakim wieku, w którym mieszkaniu, jakiej narodowości. Jest to spis dla celów zaopatrywania ludności w środki żywnościowe. „Dane nieprawdziwe będą surowo karane“. To znaczy, że będzie karany ten, kto poda się za Niemca. Och, co za potworna głupota niemiecka! Obawiają się, że raptem wszyscy zaczną się zgłaszać jako Niemcy. Nie umieją zdać sobie sprawy jak wielką niemiecko hitlerowskie wzbudza odrazę w sercu każdego uczciwego Polaka! Nie rozumieją tego, chociaż już przed pierwszą wojną światową w pismach niemieckich pojawiały się artykuły z nagłówkami dość znamienitymi: „Dlaczego jesteśmy tak znienawidzeni przez cały świat?“ Znienawidzeni? Powinno być: dlaczego wzbudzamy w porządnych ludziach taką nieprzewycięzoną odrazę?

Na ulicach coraz więcej *selbstschutzw* z białymi opaskami na ramieniu. Okazuje się, że jednak „nieprawdziwe dane“ dotyczące narodowości nie są surowo karane. Do foków zgłasza się szumowina charakteru i wykwit głupoty.

4 grudnia.

Stoję przy oknie. Gospodarze z sąsiedniej wsi wiozą ziemniaki dla Niemców. Na wyboinach wozy podskakują i spada zawsze parę kartofli. Dwaj chłopcy zbierają skwapliwie te kartofle, aby je koła następnych wozów nie zmiażdżyły. Są szczęśliwi, że do domu przyniosą pełne kieszenie kartofli. Przed szkołą stoi umundurowany paro-



bek niemiecki. Bardzo uważnie przypatruje się jednemu z chłopców, jakby coś kalkulował. Nagle robi skok w jego stronę i z podziwu godną wprawą kopie go w gołeń ciężkim swoim buciorem. Chłopiec skręca się z bólu a niemiec dodaje mu kopniaka w brzuch. Kartofle się rozsypują. Niemiec rozdeptuje je sprawnie i szybko. Chłopiec wlecze się i skomli cicho, trzymając się za brzuch. Jest śmiertelnie blady i utyka. Niemiec uderza lekko dłonią o dłoń, jakby coś strzepywał z rąk, zakłada prawą rękę za pas i spokojnie znika w szkole. Zwierzę? Bydłę? Och, nie obrażajmy stworzenia bożego! Koń, krowa, koza, pies, to arystokracja duszy i serca w porównaniu z niemcem. A więc wilk, szakal, hiena? Wilk, gdy jest syty, nie napada na nikogo. Nie ma w nim sadyzmu, a szakal i hiena mają swoją linię charakteru i swój sposób istnienia. Nawet Bismarck tłumacząc politykę antypolską, powiedział, że wilk nie winien temu, iż Bóg stworzył go wilkiem. Niemiec ma poczucie swej wilczości i niższości, i z tego przykrego, hańbiącego uczucia ucieka w okrucieństwo. Kopnąć bezbronne dziecko, zabić kobietę, sponiewierać jeńca, to jedyny rodzaj alibi Niemca, gdy świadomość krzyczy w nim: „Jesteś paskudnym mieszkańcem, jesteś nędznym kundlem wśród stworzeń, jesteś szumowiną ludzkości“. Niemiec krzyczy głośno na cały świat, że jest rasowy, że jest panem, że ma prawo panowania nad światem, ale nic mu to nie pomaga. Nie może w żaden sposób zapomnieć co mu powtarzali jego własni pisarze, myśliciele, politycy, że ma duszę lokajską. Nazywa się to po niemiecku: **Bedientensinn, Bedientenseele**. Toż nie gdzie indziej, ale właśnie w Niemczech napisał poeta: „Wolnego męża nigdy się nie boję, ale się lękam niewolnika, gdy kruszy pęta swoje“.

Niemal każde pokolenie niemieckie odczuwa potrzebę skruszenia swoich pęt i stąd te niekończące się niemieckie „feldcugi“ rabunkowe i mordercze. Daje to Niemcowi przynajmniej na jakiś czas poczucie siły i wyższości. Gdy



jednak to poczucie się rozwiewa, powraca niemiecki **Bedientensinn**, budzi się **Bedientenseele** i pachołek rusza w obce kraje, gdzie go nie znają i gdzie może udawać wielkiego pana.

Potwierdza się w całej swej potworności wieść o Wawrze, o wymordowaniu przeszło stu ludzi za jednego bandytę niemieckiego. Nic nowego. Toż przecie przywódca katolików niemieckich Erzberger głosił, że gdyby można było zmieść cały Londyn z oblicza ziemi, to należało by to zrobić, gdyby tym można było uchronić życie jednego żołnierza niemieckiego. A niejaki W. Stapel, duchowny hitlerowskiej maści wygłupiał się, że gdyby w całej Polsce było tylko dwóch Niemców, to znaczyliby nieskończenie więcej od milionów Polaków przez sam fakt swego niemiectwa. Na ten obłęd niemiecki nie pomoże nic. Europa będzie musiała czuwać i przy pierwszych objawach szału, nakładać Niemcom kaftan bezpieczeństwa.

11 grudnia.

Przyniesiono mi trochę niemieckich gazet z ostatnich trzech miesięcy. Czytać tego barbarzyńskiego samochwalstwa nie można. To będzie rozkoszna lektura za rok, za dwa, za trzy, gdy Niemiec będzie powalony i gdy będzie skomlił o łaskę. Teraz przerzucam numery i czytam tylko mimochodem: „Polska musiała być tak rozgromiona, aby już nigdy więcej powstać nie mogła!“ To Hitler tak się wygłupiał, a za nim inni. Miasto „Lodsch“ manifestuje burzliwie i dziękuje „unserem Führer“ za włączenie do Rzeszy. Później manifestacje z powodu przemianowania na „Litzmannstadt“. **Rira bien, qui rira le dernier**, (dobrze się uśmieje, kto będzie śmiać się ostatni).

16 grudnia.

Powracają sąsiedzi z Radogoszczy. Nie skorzy są do powiadania jak im się tam działo. Ma się wrażenie, że boją się mówić. Powracają via Kraków. Wywieziono ich

do Krakowa, obranych ze wszystkiego i tam puszczono. Któryś z nich ma połamane żebra. Nie mieli za co wracać i musieli prosić o pomoc ludzi nieznanym. Poratowano ich oczywiście. Jest mróz, nie ma opału. Och, jakże podle żyje się sam na sam z takim oprawcą ludzkości, jak niemiec!

18 grudnia.

Od jednego z naszych gości, doktora Wenera z Nowego Miasta na Pomorzu przysła kartka. „Jeszcze żyjemy“ — pisze doktor i pyta jakie są możliwości osiedlenia się w Żyrardowie. Te dwa słowa: „Jeszcze żyjemy“ mówią za całe tomy. To znaczy, że byli tam i tacy, którzy już nie żyją, że żyje się pod niemcem tak ciężko, a nie wiadomo, jak długo tego jeszcze będzie.

21 grudnia.

Na rynku ogromna choinka „starogermańska“. Pochód niemiecki z pochodniami. Pogański „Julfest“. Maszerowanie, muzyka, śpiew i mowy.

Była pani Przybyszewska, strapiona, przerażona. Wszyscy wrócili z Radogoszczy, tylko jej mąż, dyrektor gimnazjum, nie wrócił. Człowiek słaby, chorowity. Pocięszam ją, że ponieważ wieźli wszystkich na Kraków, więc może skorzystał ze sposobności i wstąpił do którego z przyjaciół. Kręci głową. Nie, skądże! Jakże mogłby pozostawić ją w takim niepokoju i nie wracać z innymi! — Istotnie...

26 grudnia.

Wilna była smutna. W życzeniach powtarzało się słowo „przetrwanie“. Daj Boże przetrwać niemca. Święta ponure, mroczne i głuche. Właśnie: nie ciche, ale głuche. Słońce ukazuje się na chwilę i znika. Przychodzą wieści, że nasi jeńcy w letnich swoich mundurach i w zdartym obuwiu muszą roznosić węgiel po Berlinie. Kiedy przestaną nadchodzić takie bolesne wieści?

28 grudnia.

Wczoraj był cudowny wieczór. Księżyc w pełni, biel śniegu. Patrzyłem na świat w jakimś zapamiętaniu. Tak dobrze bywa, gdy się na krótką bodaj chwilę zapomina, że w Polsce są Niemcy. Wyszedłem w południe na dwór. Moja miła foksiczka Godula wybiegła za mną i tarzała się w śniegu. Obskakiwała mnie, oszczekiwała, chwytiała zębami za stopy, jakby na swój psi sposób namawiała mnie, abym szalał razem z nią. Szczęśliwa Godulo! Jak dobrze, że nic nie wiesz o Niemcach i nie masz pojęcia o ile niżej stoją hierarchicznie od ciebie! Miej się na baczności! Podczas tamtej wojny łapali twoich pradziadków i prababki i jedli. Chwalili sobie, że dobre. Więc uważaj! — Mróz dochodzi do 14 stopni. Wieje cstry wiatr. Jak tam nasi biedni bracia w tym Berlinie roznoszą węgiel przy takiej pogodzie!?

7 stycznia 1940.

Minął nowy rok, ale nic się nie zmieniło na lepsze. Przeciwnie, wiele zmieniło się na gorsze. Nie ma chleba dobrego, nie ma mięsa, tłuszczów, brak cukru, kawy, herbaty. I rzecz najgorsza: mróz dochodzi do 26 stopni a nie ma opał. Śniegi duże, jakich już dawno u nas nie było. Życie jest okrutne. **Nur für Deutsche.**

22 stycznia.

Byłem chory. Sezonowa grypa. Dziesięć dni leżenia w łóżku. Nuda, ból głowy, rozpacz. Teraz już prawie dobrze. Kochani przyjaciele znoszą mi robotę. Tłumaczę, przepisuję na maszynie. Wiążę koniec z końcem, ale nie bardzo solidnie. Nic się kupy nie trzyma. „Ciężko żyć na świecie człowiekowi nieprzyzwyczajonemu“ — jak mawiał Bolesław Prus.

1 lutego.

Po śniadaniu siadam do roboty. Tłumaczę teksty handlowe po pięć złotych stronica. Chce się płakać. Przycho-

dzi łobuziak niemiecki z **Hilfspolizei** i każe wydać sobie maszynę do pisania. Ale zaraz! Żandarmi potrzebują. Powiadają, że wyrządzą mi dotkliwą krzywdę, bo maszyna to moje narzędzie pracy, a w fabryce mają tyle maszyn do pisania. Odpowiada mi impertynencko i wyniośle, że nie ma czasu na pogawędkę i żąda natychmiast maszyny. Zdejmuję z maszyny rozpoczęte tłumaczenie i oddaję swego zacnego „Underwooda“ zbójowi. Ale nie dajemy za wygrane i zaczynamy dochodzić co i jak. Okazuje się, że „Hilfspolizist“, który mi zabrał maszynę, jest narzeczonym Helenki Marx, która pomagała córce w czytelnicy. Gdy przychodziła czasem wcześniej i nie miała co robić, sadzałem ją przy swej małej maszynce i uczyłem ją pisać! „Przyda ci się może“.

Gdy wyjechałem do Wisły latem 1939 r., specjalnie pytała listownie czy nie mogłaby pisywać na maszynie dużej. Nie ryzykowałem powierzyć maszynę rąkom niedoświadczonym i odmówiłem. Nie namyślając się wiele, żona poszła do żandarmów: „Dlaczego panowie zabieracie mężowi narzędzie pracy, które daje mu dzisiaj możliwości jakiego takiego zarobkowania?“ Odpowiedzieli, że maszyna potrzebna jest im najwyżej na dwa — trzy dni. Czy nam tego ów „Hilfspolizei“ nie mówił? Nie, nie mówił, a w dodatku mąż ma akurat robotę i maszyna jest mu potrzebna.—, „Dobrze, niech pani pośle kogo jutro rano, maszyna będzie oddana“. — Została istotnie oddana. Stało się jasnym i zostało stwierdzonym: Helenka miała ochotę na maszynę. Wiedziała, że po paru dniach żandarmi zajęta maszynę oddadzą i postanowiła zatrzymać ją dla siebie. Otrzymałem jeszcze jeden przykry dla mnie dowód, że Niemca nie należy puszczać do mieszkania. Niestety, trudno było przewidzieć, że Helenka sfoksieje i że za moje dobre serce odpłaci mi się w sposób bardzo swoisty. Są tacy, którzy dopiero jako hieny zaczynają czuć się ludźmi.

11 luty.

Niedziela. 14 stopni jak ułał. Złośliwy wiatr. Ubogi



obdarty człowiek wiezie na saneczkach trochę węgla. Pokasłuje, widać po nim, że słaby, chociaż młody jeszcze. Drugiego lutego zabrał mnie doktor T. w drodze do chorego na sanki. Śniegu wbród, sanna cudowna. Na leśnej drodze do Wiskitek, w rowie leśnym, samotna mogiła żołnierza polskiego. Ile takich mogił! Kiedy pochowamy swoich poległych z taką czcią, jaka im się od nas należy? Nie mogę o tym grobie leśnym zapomnieć. Koło nas przechodził leśnik niemiecki, zażywny, zdrowy, wypasiony. Bije ludzi, którzy przychodzą do lasu po chrust.

Przeskoki w temperaturze są zabójcze. Przez kilka dni z rzędu jest 14 stopni, potem raptem odwilż, pada lepki śnieg, kapie ze strzech, ale wieczorem jest znowu mróz dziesięciostopniowy, a nazajutrz rano 34 stopnie! Opatulamy się w co możemy.

Ziąb okropny. Stoję przy oknie. Idzie pogrzeb. Pijany żołdat niemiecki odruchowo sięga po czapkę, ale zostawia ją na głowie, a potem czyni w stronę trumny jakieś dziwaczne gesty, jak gdyby mówił, że dobrze umrzeć i mieć po kłopotcie. Zachodzi słońce, miedziane jakieś, czy krwawe. Okropność!

W najgorszym mrozie przychodzą ludzie wygnani z Poznańskiego. Opowiadają mi, że kobiecina w nędznej chustce tuliła trupka dziecka do piersi. Nie płakała, tylko patrzyła na wszystkich obłąkanym spojrzeniem, sama ledwo żywa. Męża popędzili w inną stronę, dzieci w inną. Z Sochaczewa pędzono tłum Żydów podczas okrutnej zamieci śnieżnej. Wygnańców z Poznańskiego i z Pomorza coraz więcej.

Istnieją takie psy, które szukają zbłąkanych w górach i ratują. Psy z góry św. Bernarda czy tak jakoś. Dobrotliwe, szlachetne psy. Gdybyż duszę takiego psa można było przeszczepić w niemca, być może stałby się wreszcie człowiekiem.

19 luty.

Porównyвам stopnie mrozu ostatnich dwóch tygodni:



13, 18, 24, 7, 33, 25, 14, 16, 17, 9, 3 i znowu 14! Najgorsze te przeskoki i okrutne wschodnie wiatry. Przy takim mrozie trzymają ss-mani gromadkę źle odzianych Żydów na dworcu kolejowym. Ludzie cierpią strasznie, ale nawet ich dzieci nie skarżą się siniejąc od mrozu. Drżą ze strachu, że Niemcy zaczną polewać ich wodą, jak już robili. Gdy się koło nich przechodzi, to spuszczaają oczy jakby prosili, aby na nich nie patrzeć, nie dostrzegać ich, nie zwracać na nich uwagi i broń Boże, nie współczuć, bo dzicz niemiecka zaczyna szaleć. Według religii żydowskiej Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje. Gdy teraz patrzą na swoich oprawców, muszą zadawać sobie pytanie na czyj obraz i na czyje podobieństwo został stworzony ten potwór człekokształtny, który chełpi się swoją „niemiecką kulturą“. Gdyby w środkowej Europie mieszkaly dawne hordy Tatarów o ileż Europa byłaby spokojniejsza i kulturalniejsza!

5 marca.

Z rana pięć stopni mrozu, ale potem się ociepla i jest całkiem miło. W Domu Ludowym pękła rura wodociągu i ulica zalana jest wodą brudną i zmuloną. Ponury widok. Przed rokiem, dnia 4 marca, żona przyjmowała kilka pań znajomych. Gdy ozwał się dzwonek, poszedłem sam otworzyć. U drzwi stał człowiek bosy, lichy odziany. Płakał — zdaje się — i nic nie mówiąc wyciągał rękę. Wciągnąłem go do sionki. Skądś tam idzie, nie spadł przecie od razu z nieba. Obszedł pewno sporo domów obywateli chrześcijańskich i nic. Uczucie wstydu pomieszało się we mnie z uczuciem wściekłości. Jakto? Dali tak bratu w Chrystusie łązić boso po śniegu? Kazałem dać mu miskę letniej wody, żeby obmył stopy, córka poszukała mu grubych skarpetek, ja znalazłem jakieś trzewiki dla niego. Obułem się, pożywiłem; wetknąłem mu w rękę parę groszy i strasznie mi było wstyd, że potrafimy być tacy, powiedzmy, niezorganizowani uczuciowo i społecznie. To przypomniało mi się dzisiaj, w rocznicę akurat. Nie, tacy bardzo dobrzy to

my dla siebie na codzień nie jesteśmy. Dopiero wielka klęska budzi lepsze uczucia. Chociaż kto wie, czy wyłącznie lepsze uczucia, bo na pobożowiskach nie brak hien, a podczas trzęsień ziemi jest podobno dużo takich, co myślą przede wszystkim o rabowaniu cudzego dobra.

17 marca.

Ach, być zdrowym, krzepkim człowiekiem! Młócić zboże w jakiej solidnej stodole, albo rąbać drzewo, czy choćby zamiatać ulice, byle nie myśleć o tych potwornościach hitlerowskich, na które się patrzy! Ilu nieszczęśliwych ludzi wygnano z ich siedzib w Poznańskim i na Pomorzu! Moja siostra, pielęgniarka w Tuszyńku, w sanatorium dla gruźlików, została wygnana. To podlódzkie sanatorium urządzone bardzo współcześnie, podobało się Niemcom, więc je zagarnęli dla siebie. Personel polski won! Prawo do życia mają tylko mocni! Tak twierdzi Hitler. Siostra przyszła piechty, z tym jedynie, co mogła zabrać i unieść w ręku. Jest zbiedzona i chora na serce.

Gdzie są te jasne pioruny, które zaczną walić w kraj niemieckich morderców, łupieżców i bezwstydných złodziei?! Bo ten naród nie zrozumie żadnego innego języka. Zrozumiały jest dla niego tylko ta mowa, jaką on sam przemawia do swoich sąsiadów. Niemcy to „sudańskie negry“, jak się wyraziło czasopismo angielskie „Nineteenth - Century“ jeszcze w październiku 1916 roku. Autor powinien przeprosić tych sudańskich negrów za takie przyrównanie.

Niedziela Palmowa! Boże, jakie bywały cudowne Święta Wielkanocne przed laty, w domu rodziców! Po Niedzieli Palmowej zaczynało się bielienie, szorowanie, trzepanie, mycie okien... Każdy robociarz, osobliwie z młodszych, coś sobie sprawiał nowego: ten garnitur, ów kamazki, kapelusz, czy choćby rękawiczki. Flakonik kolońskiej wody na dyngus, żeby w „lany poniedziałek“ było czym polać dziewczęta. Malowano jajka. Pachniało wędzoną szynką, która się gotowała w saganie. Siostra tarła

chrzan z oczami pełnymi łez i co chwila wybuchała śmiechem. Takie to śmieszne przecie, że ci łzy lecą z oczu bez żadnego płaczu! Potem wieczorem ładnie pachniało świeże ciasto, na komodzie stały ładnie wypieczone baby i można było cieszyć się z całych trzech dni świąt. Z drogi śledzie, bo kielbasa jedzie! Teraz obżerają się „panowie świata“ naszym kosztem. Jeden z naszych kwaterantów opowiadał nam, że jego oddział stojący w Gdyni, dzień w dzień tygodniami żarł wspinałe polskie bekony przeznaczone dla Anglii. Nawet nie wiedziałem — dodał, — że w Polsce robiono masę takich dobrych rzeczy na wywóz. W końcu już patrzeć nie mogliśmy na bekony i szynki. Ale teraz przydało by się trochę rzeczy pożywniejszych. Kwestia przewidywania, panie poruczniku.

28 marca.

Święta minęły ponuro i cicho, bez placków, bab, szynek i kielbas. Jest już trochę cieplej. Oknem widzę obdarte dzieci z tobołkami kartofli na plecach. Chodzi się po te kochane kartofle daleko na wieś. Z lasu noszą kobiety nędzne wiązki chrustu. Mrozy nie chcą ustąpić. Okrutnie uparta zima.

5 maja.

Tak, nie kwietnia, ale maja! Nic nie było do zanotowania przez cały kwiecień. Tylko coraz jaśniej widać, że Niemiec szykuje nam zagładę na całego. W tamtą wojnę ludzie jeździli do Niemiec na robotę, gdy im się podobało, a jeśli nie, to nie. Teraz Niemiec bierze ludzi za łeb: musisz, choćbyś miał zdechnąć.

Pierwszego maja rano przyszły łobuzy niemieckie, foksy z karteluszkami, że zabierają córkę. Zostaje aresztowana. Przeraziłem się. Czego chcą od córki? Zasypana? Zerwałem się z łóżka i zacząłem się szybko ubierać. Po chwili okazało się, że żonę także aresztują. Mój niepokój wzrósł bardzo. Co to znaczy? Ale po chwili przyszedł jeszcze jeden łobuziak z oświadczeniem, że jestem także aresztowa-

ny. W porządku. Odetchnąłem z uczuciem ulgi. Pójdziemy razem. Gdy zeszlśmy na dół, stali tam już niektórzy nasi sąsiedzi, także aresztowani. Foksy z karabinami otoczyły nas i popędziły w stronę fabryki do starego budynku pończoszarni. Było tam już kilkadziesiąt osób, przybywało ich coraz więcej. Trzymano ludzi w warunkach fatalnych, na kamiennej posadzce bez możliwości usięścia. Potem jakiś małopolud w mundurze SA kazał wszystkim zszeregować się i wygłosił mowę o tym, że jesteśmy bardzo pilnowani i że dostaliśmy się tu jako zakładnicy, gdyby doszło do jakichś manifestacyj trzeciomajowych. Musimy pamiętać, że raz na zawsze skończyła się Polska i że jedynym panem tej ziemi jest Niemiec. Kto się z tym liczyć nie będzie, niechaj wie, co go czeka. I małopolud nabzdyczywszy się, strzelił przez okno kilkanaście razy z ciężkiego rewolwerzyska. Nietzsche napisał czarne na białym: „Niemcy mniemają, że siła winna wyrażać się w brutalności i okrucieństwie i dlatego poddają się chętnie, gdy się spotykają z brutalnością. Są wtedy pełni podziwu i nabożeństwa. Że siła mogłaby się wyrażać w łagodności i spokojności, trudno im wprost uwierzyć...” I jeszcze: „Niemcy nie wstydzą się być tylko Niemcami...”

21 maja.

Łapanki, wywożenie ludzi, bicie... Atmosfera najpaskudniejsza jaką sobie wyobrazić można. O jakiejś spokojnej pracy mowy być nie może.

Przychodzą wieści o masowych aresztowaniach inteligencji, o rozstrzeliwaniach, wieszaniach. W Żyrardowie popłoch, bo miejscowe foksy ze skóry wylażą, aby Żyrardów został włączony do Rzeszy. Są wśród nich tacy, którzy twierdzą, że sprawa przyłączenia Żyrardowa do Rzeszy jest na najlepszej drodze. Niejaki Dachs i jego pomocnik Hegemann, wychowankowie polskich gimnazjów, zaprzęдали się duszą i ciałem Hitlerowi i szaleją. Obiecują, że Żyrardów niebawem będzie w Reichu, że wysiedli się kogo



będzie trzeba i wybuduje szubienice, na których wywiesza się paskarzy. Wszystko będzie tanie i wszystkiego będzie wbród.

Któregoś czerwca. Daty nie zapisałem, bo bywam roz-targniony. Nie spałem dobrze, bo po mieście krążyły samo-chody i zabierały z domów ludzi. Nad ranem, śmiertelnie zmęczony, zasnąłem. Żona zbudziła mnie delikatnie. Wstań, przyszli po Elżbietkę. Zerwałem się przerażony. Co to? W mieszkaniu foksy, koło sieni żandarmi. Córka ubiera się nerwowo. Podchodzę do niej zawstydzony, że to nie mnie zabierają, ale ją. Głaszczę ją po głowie i przyrzekam zakrzętnąć się koło jej sprawy. Bądź dobrej myśli. Czekam bezradny i zdenerwowany do godziny dziewiątej, a potem zwracam się do znajomego Niemca, któremu wy-świadczyłem był dużą grzeczność. Tak i tak, córka jest chora po zapaleniu opłucnej. Miewa ciężką arytmie serca. Nie wytrzyma. Niemiec ociąga się, rozkłada ręce. Pozwa-lają mi wejść do Domu Ludowego, gdzie tłoczy się paręset ludzi. U wejścia stoi Bertram, syn żyrardowskiego kar-czmarza „wżeniony“ do garbarni Schmidtów. Unika me-go spojrzenia jak Judasz. Córka rozmawia z rówieśni-cą, Janką Kacperską. Zostały pouczone w jaki sposób na-leży wiać w razie najgorszym. Ale tymczasem mój nie-miec, któremu wyświadczyłem był wielką grzeczność, po-szedł ze świadectwem lekarskim do landkomisara. Że cór-ka chora na serce i pociechy z niej i tak nie będzie. Koło południa córka zostaje odesłana do domu. Przychodzi miły przyjaciel dr. T., dowiedzieć się, czy jego świadectwo le-karskie przydało się na co. Siedzimy, gawędzimy. Nagle wpada służąca: żandarmi! Wskazuję doktorowi, którądy ma wyjść. Doktor wychodzi, ale na schodach spotykają go: landkomisar, żandarm, sekretarz landkomisara, sfoksia-ły Krentz i jeszcze dwóch fokszów. Lekarza legitymował landkomisar. Kto pan jest? Lekarz. Skąd pan się tu wziął? Byłem u chorego. Foksy potwierdzają. Landkomi-sar pozwala doktorowi odejść. Bóg mnie widać natchnął.



że pochowałem najgorsze książki i popaliłem listy niebezpieczne, bo przybysze zabrali się do rewizji bardzo drobiazgowej: książka za książką. Ułożyli na kupce niektóre wydawnictwa Instytutu Śląskiego, parę książek rosyjskich i trochę listów, które znajdowały się akurat na biurku. Na stoliku przy biurku leżały pisma francuskie, między innymi parę numerów „Marianne”. Na karcie tytułowej jednego z tych numerów Hitler z trupa czaszką w ręku, w drugim numerze Hitler i Mussolini na jednej szali wagi, Chamberlain i Daladier — na drugiej. Roosevelt nadeptuje szalę aliancką i Hitler z Mussolinim lecą w górę. Niemcy oglądają bardzo starannie te numery, powracają ciągle do kart tytułowych i nie mogą się zdecydować, czy to jest kryminał ciężki, czy lekki.

Tymczasem rewizja idzie dalej. Krentz odkłada na stronę: „Mein Kampf” Hitlera z różnymi uwagami marginesowymi i moim skorowidzem, „Mit XX wieku” Rosenberga, „Podstawy XIX wieku” zniemczonego Chamberlaina, nacjonalisty niemieckiego i jednego z ojców duchowych narodowego socjalizmu, mnóstwo broszur nazistowskich i ulotek. Pyta mnie żandarm, na co mi to potrzebne. Wszyscy interesują się tym ruchem. Skąd pan to ma? Kupiłem. Gdzie? W Heidelbergu mam stałego księgarza. Dlaczego w Heidelbergu? Bo tam studiowałem. Co pan studiował? Filozofię. Niemiecką? I niemiecką także. — Landkomisarz oświadcza: „Ten pokój z książkami zostanie opieczętowany. Niech pan zabiera z niego, co panu potrzebne”. Próbuję mu tłumaczyć, że ten pokój, jak sam zresztą widzi, to połowa mego mieszkania. Ale niemiec trwa przy swoim: „Pokój zostanie zamknięty i opieczętowany, o losie książek zadecyduje inna instancja”. Zamyka drzwi od wewnątrz, wychodzimy innymi drzwiami, landkomisarz zamyka i te drzwi, od zewnątrz, i wychodzi. Nagle spojrzenie jego pada na list na stoliku. Do kogo ten list? Do dyrektora Foerstera, treuhändera fabryki żyrardowskiej. Co mu pan pisze? Dziękuję mu za to, że się wstawił

za córką do pana. Niemiec pęcznieje rozszadzany pychą od wewnątrz. To my pójdziemy do pana Foerstera i zabierzemy ten list ze sobą. Skinieniem głowy wyrażam zgodę. Jeśli Krentz powie teraz landkomisarowi o moich artykułach antyhitlerowskich w „Wiadomościach Literackich”, w „Robotniku” i w „Republice” Łódzkiej, to pojedę gdzie rośnie pieprz. I moja biedna córka z żoną najpewniej także. Coś jak u Poego: „Koniec domu Usherów”. Cicha nadzieja, że Krentz mógł tych rzeczy nie czytać, nic o nich nie słyszeć, a może nawet przemilczy życzliwie, jeśli wie. Ale nie: zabrał niektóre wydawnictwa Instytutu Śląskiego, zabrał list od nieznanego mi osobiście krakowianina Piegzy, urzędnika tramwajów miejskich, w którym mój korespondent dziękuje mi za pogadankę radiową p. t. „Młodzież, przyszłość nasza”.

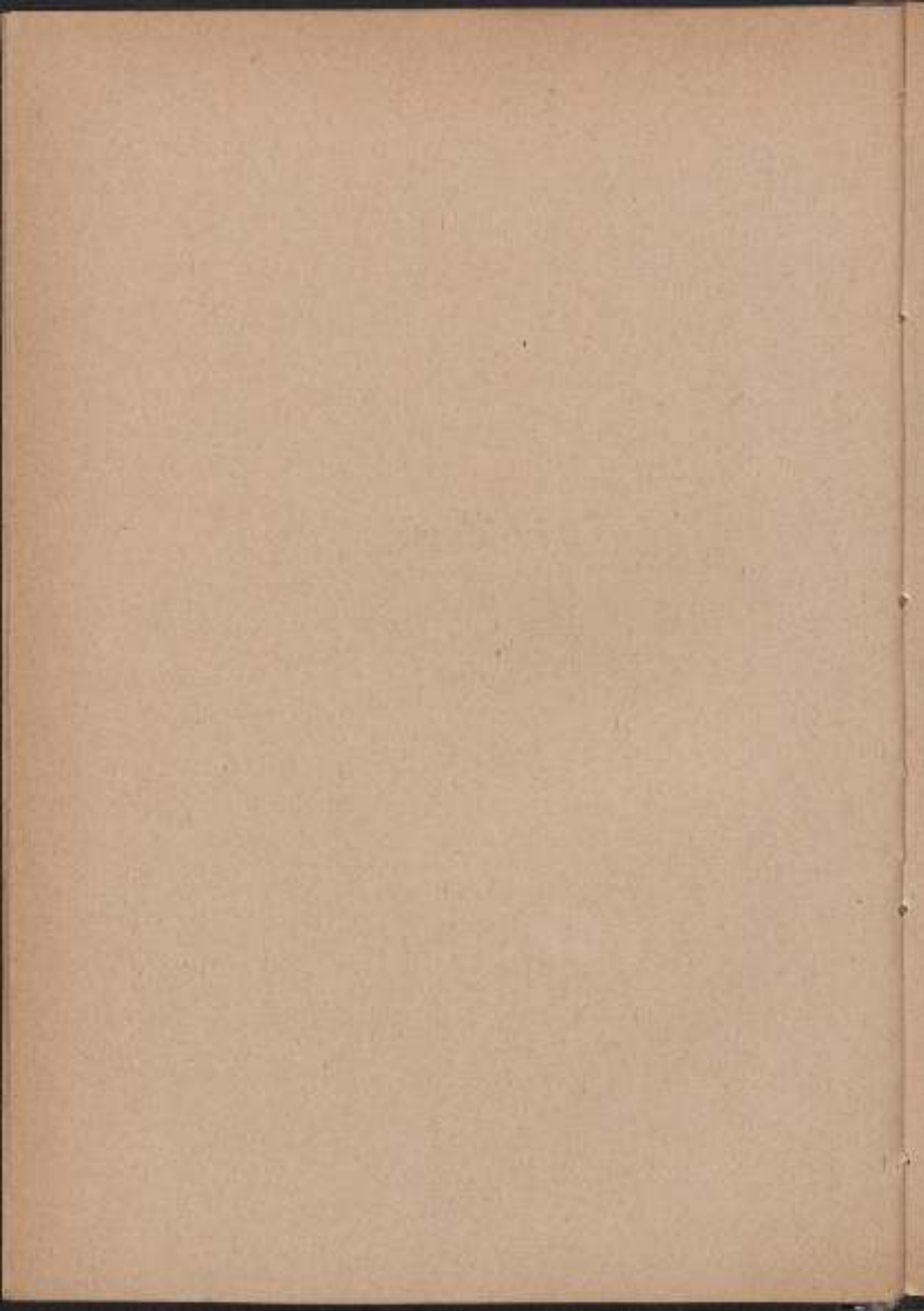
Jestem niespokojny. Mieszkanie mam na pół zamknięte, dostęp do książek odcięty i nie wiadomo, co tam uradzą. Po godzinie wraca landkomisar z żandarmem i uroczyście z wielkim nabzdyczeniem oddaje mi klucz. Powiada, że rozmawiał z dyrektorem Foersterem, że oddaje mi klucz, ale muszę się na piśmie zobowiązać, że żadnej książki ze swego prywatnego zbioru nikomu nie pożyczę i żadnej nie usunę, że oddam im swój paszport i że napiszę krótkie curriculum vitae. Paszportu postanowiłem nie oddać i oświadczyłem, że go nie mam, bo nie potrzebowałem jako stały mieszkaniec Żyrardowa. Zobowiązanie napisać mogę i krótki życiorys także. Na kiedy to ma być? No, to nie jest takie pilne: główna rzecz, żeby żadne pisma z tego domu nie były wydawane na zewnątrz. Zrozumiano? *Verstanden?* Naturalnie, że *verstanden*. — No to już wszystko. I prostuje się wyniośle: „Król belgijski idzie z nami”... Chcę go pouczyć, że król królem, ale Belgia bije się z Niemcami. Milczę jednak. W jego głosie jest pewność siebie. Król belgijski skapitulował pewno. Król, czy cała armia? Król, czy cały naród belgijski?

Król belgijski idzie z nami. Wojna skończy się nie-

długo. **Brave Leute**, porządni ludzie, będą u nas mieli pracę. Pan zna obce języki, pan też będzie mógł u nas zarobić na kawałek chleba. Ten landkomisar jest jeszcze bardzo młody i bardzo patetyczny. Mógłby sobie już pójść. Jakby na zawołanie prostuje się, stuka obcasami i podnosi rękę do góry. Żandarm czyni to samo. Idą sobie.

Och, co za szkaradny dzień! Od piątej rano do piątej po południu nerwowa tortura. Ileż tego jeszcze będzie i jakiego? Opadam na tapczan i staram się zidiociec. Udaje mi się, gdy przepowiadam sobie rozmowę z landkomi-sarem.

### III. Pawiak





Gdy z roku 1946 spogląda się wstecz, to widzi się potworną łapę niemca-dusiciela na gardle jego ofiary. Ile razy łapa potwora nieco folguje i ofiara mniema, że może swobodniej odetchnąć, ucisk staje się mocniejszy. Ledwo przewiała groza Wawra i Palmir, zaczęły przychodzić wieści o szubienicach, osobliwie po miastach terytoriów „wcielonych“. Potem przychodzi wieść o masowym aresztowaniu studentów uniwersytetów polskich, o wywiezieniu z Warszawy mieszkańców Domu Akademickiego.

Najgorsza była wymuszona bezrobotność. Publicysta i krytyk literacki przywykły do żywych nerwowych reakcyj wobec wszystkiego, co się działo wokół niego, nagle zostaje skazany na milczenie. Niemiec mówi mu przy każdej sposobności, że to milczenie nie jest chwilowe, ale wieczne. Ze szkoły powszechnej wyrzucono historię i geografę, inne szkoły zamyka się po prostu. Na co Polakom wykształcenie? Nie chcemy od was, abyście byli wykształceni, ale abyście byli dobrymi niewolnikami — drwi bezwstydnie niemiecki wyjec.

Praca dla jutra? Dobrze, ale jak pracować? Każdej chwili niemiec może wtargnąć do mieszkania i z pracy tej uczynić postronek szubieniczny. Opracowywać rzeczy neutralne, obojętne i nieszkodliwe? Niesposób! Dusza jest pełna uczuć odrazy i nienawiści dla dzikiego wroga. Odsunąć tych uczuć na bok nie można i nie można im nakazać,

aby nie przeszkadzały. Jeśli się szuka książek, to takich, które mówią o niemieckim barbarzyństwie, jeśli chwytą się za pióro, to z żarliwym pragnieniem powiedzenia tylko tego, co się mocno i żywo odczuwa. A tymczasem trzeba milczeć. Niemiec się panoszy i zagospodarowuje na nie swojej ziemi i mówi, że ona należała do niego od tysiącleci, że Polak na tej ziemi jest przybłądą. Jakiś półkretyn niemiecki przychodzi do domu i każe przygotować kwatery dla „panów oficerów“. I zaczyna się wygłupiać, że teraz Polacy muszą uczyć się po niemiecku, bo jak nie, to na Syberię! Czy Syberia już jest w ręku niemieckim? Jeszcze nie, ale niedługo będzie. — Nie można złapać takiego bydła za kark i zrzucić po schodach. Jeszcze nie.

Z pokoju kwateranta przynosi dziewczyna książkę i pokazuje mi „ładne malowanki“. Rzucam okiem. Propagandowa praca o Wielkim Frycu. Oko trafia na dialog. Podczas zbójeckich wojen Fryca w osiemnastym wieku, gdzieś w Westfalii, w okolicy Minden tworzy się grupka ochotników na pomoc królowi. Pewno błaga propagandowa, bo Fryc tak traktował żołdatów, że człowiek ze zdrowym i to jeszcze chłopskim rozumem, trzymał się zdala od jego wojska a tym bardziej od ochotnictwa. Dialog jednak zaciekawia. Król widząc ochotników, zgłupiał. Dotąd widywał tylko żołdatów z łapanek i oszukańczego werbunku, a tu raptem jacyś ochotnicy! Ki czort!

„Ja was nie wzywałem“ — powiada. — „Tym lepiej, najjaśniejszy panie!“ — „Kto was rekrutował?“ — „Nikt.“ — „Ktoś was przecie musiał przysłać tutaj!“ — „Nasi ojcowie“. — „Gdzie jest wasz oficer?“ — „Nie mamy oficera“. — „A któż wami dowodzi?“ — „My sami“. — „Ilu z was w drodze zdezerterowało?“ — „Zdezerterowało? Gdybyśmy chcieli zdezerterować, to nie przychodziłibyśmy tutaj“. — Zdaje się, że to jest zmyślone ku pokrzepieniu niemieckich żołdackich serc, bo jeszcze podczas wojen z Napoleonem, Niemcy nie kwapili się pod sztandary, z wyjątkiem szlachty i studentów.

Oddaję książkę dziewczynie i zamyślam się. Ten pruski bandyta łapał chłopów polskich na pograniczu, werbował najgorszą szumowinę niemiecką i obcą, odczułowieczał tych ludzi, przemieniał ich w mechanizm i za pomocą tego mechanizmu budował swoje zbójeckie Prusy. Wilhelm II, już na wygnaniu w Holandii, nazwał naród niemiecki narodem janczarów. Oto temat dla mnie. Rzucić spojrzenie na Niemcy jako na własność różnych Barbarossów, Wilhelmów i Hitlerów. Za każdym razem całe „Blubo“, czyli barbarzyński skrót krwi i ziemi, należało do władcy — czy to był wielki cesarz, czy pomyłony wnuczek Marii Anny Schickelgruber, dziewczki, która się zapomniała z nieznanym parobkiem, czy nawet, jak chcą złośliwi, z przejeżdżnym Żydem.

Wspaniały temat! Kto robi wojny i w jakim celu? Nigdy przecie żaden żołdat niemiecki nie wiedział, o co się bije i za co każą mu umierać. I zawsze powtarzało się słowo wynaturzonego Fryca do żołdatów: „Cóż to, draby, wiecznie chcecie żyć?!“ I zawsze dziwili się wodzowie niemieccy, jak właśnie ten pruski Fryc, że w obozie żołdatów swoich mogą czuć się bezpiecznymi. Doprawdy, dziwne, że nigdy w Niemczech nie podniosła się żadna ręka przeciwko takim zdziercom i wyzyskiwaczom życia ludzkiego. I nikt się jakoś nie umiał zadziwić, że pewni ludzie wybierali się tam w komiczne czapy — czy to było za czasów Fryca, czy za czasów „ładnego Adolfa“ — ubierali się w jaskrawe mundury i kazali tłumowi Michałków niemieckich iść na śmierć za swoje najosobistsze interesy. I Michałek szedł. Morduj! Mordował. Łup! Łupił. Depcz nogami prawa boskie! Deptał. W jakim celu? Nie pytał o to. Niemiecka dusza lokajska nigdy nie umiała otrząsnąć się z niewoli. I nigdy nie umiała porównać życia własnego z życiem swych władców. Tam pałac, tu nora. Tam samochody i powozy, tu wędrownka z roboty do roboty. Tam próżniaczka i używanie życia, tu pomnażanie godzin pracy. Gdzie i kiedy powstanie nowy Fichte, który wygłosiłby

nowe „Mowy do narodu niemieckiego“? Tylko nie takie mętne i szowinistyczne, jak tamten Fichte wygłaszał w roku 1808, lecz rzetelne, uczciwe, prawdziwe.

Filozofia hitlerowska! Miarą wszystkich rzeczy jest powodzenie. Wielcy kapitaliści to ludzie wielkiego powodzenia, a to powodzenie jest ich legitymacją, że mają słuszość we wszystkim co czynią. To właśnie jest typ wyższy, tworzący naród panów. Kto nie ma powodzenia, kto jest robotnikiem, pracującym ciężko na kawałek chleba, kto nie mieszka w pałacu, kto nie ma do dyspozycji wspaniałych samochodów, to skazaniec. Sama przyroda przeznaczyła go na niewolnika tych, co mają powodzenie. Czyliż można być sprawiedliwszym od przyrody? Słabym śmierć i bezwzględna uległość, mocnym dostatek, bogactwa i sława. Jedyłą miarą wartości człowieka jest i będzie powodzenie. To należało by powiedzieć mocno i dobitnie w mowach do janczarów niemieckich. Muszą przecie zbudzić się kiedyś ze swego letargu, muszą zrozumieć, że są oszukiwani i wyzyskiwani i że ich władcy czynią z nich odrazę rodzaju ludzkiego.

Siadam do maszyny i zakładam papier. Myśli płyną swobodnie i niecierpliwie, ręce drgają w przeczuciu rozkoszy współpracy z myślą. Dzwonek u drzwi. Nieśmiały jakiś i niezdecydowany. Idę otworzyć. Celinka! Gospodyni przyjaciela naszego, doktora T. Roztrzęsiona, zgorączkowana, zapłakana.

— Co się stało?

— „Pana doktora zabrali!“

— Kto zabrał? Kiedy?

— „Przyszli tacy w czarnych mundurach i paru w cywilnych ubraniach, przyskoczyli do pana doktora z rewolwerami, zrewidowali go, zezwali, nakrzyczeli, myszkowali po całym mieszkaniu i zabrali go ze sobą“.

Mówi jeszcze, że doktor był błądy i słaby. No tak, po niedawnej ciężkiej operacji, siedemdziesięcioletni starzec!

Wyglądam oknem. Na skwerze koło Domu Ludowego



wielka ciężarówka, osłonięta. Koło niej foksy z karabinami i paru „czarnych“ palących swobodnie papierosy. Do ciężarówki podjeżdża samochód i przeładowuje aresztowanych. Jest ich dużo, w ciężarówce tłok. Jak ci ludzie muszą cierpieć w tym zaduchu! Bo powietrze jest ciężkie, duszne, jakby nasycone mielonym grafitem. Brudne po prostu. I parne. Ciężko oddychać za płachtami takiej ciężarówki, szczególnie, gdy się nie wie, co oszalały zbrodniarz zrobi z bezbronnym człowiekiem w ciągu najbliższych minut.

Celinka płacze, żona stoi obok niej bezradna, córka patrzy na mnie, jakby mówiła: „Za chwilę przyjdą po ciebie“. W oczach ma niepokój, na ustach gorycz. Może lepiej zniknąć z domu na parę godzin czy na parę dni, a potem się zobaczy. Na schodach szybkie kroki. Uwaga skupiona na drzwiach. Myśl staje na baczność. Dzwonek niecierpliw, denerwujący. Żona wychodzi do przedpokoju i daje mi znak, abym się usunął.

Kto tam?

Przyjaciel! Wpada, zdyszany nieco, stary znajomy. Aha, jest pan jeszcze? To nie marudźmy: czapkę i płaszczyk i wiu! Przycupniemy sobie gdzieś i poczekamy. Może obejdą się bez nas. Prędezej!

Krótki uścisk dłoni, wymiana uśmiechów, które usiłują być niefrasobliwe i wychodzimy na podwórko. Przyjaciel mówi mi, że idziemy w okolice cmentarza, skąd najlepiej daje się wybrać dalszy kierunek ucieczki, jeśli zajdzie potrzeba. Ale nie razem. On tędy, ja tamtędy. Opłotkami i podwórkami. W razie koniecznej potrzeby wpaść do jakiej sionki, przeczekać. Ale uważać, żeby nie wpaść w ręce foksom albo „czarnym“. Rozstajemy się i idziemy osobno ku wspólnemu celowi. Przypomina mi się zasada wojskowa: maszerować osobno, bić razem. Boże mój, kiedy my będziemy bić tych zbrodniarzy? Chce mi się śmiać na myśl, że zabierałem się właśnie do pracy nad uświadamia-



niem janczarów niemieckich. Jeśli nas który z nich spotka, to on nas uświadomi o naszym położeniu obecnym. . .

Do domu wracam już w połowie lipca. Pobita Holandia, pobita Belgia, pobita Francja. Niemiec zapowiada buńczucznie bliską kapitulację Anglii. W ogródkach działkowych siedzą sąsiedzi i przeglądają stare pisma z warunkami kapitulacji Francji. Parweniusz niemiecki użył sobie w Compiègne upokarzając bohaterski, szlachetny naród francuski, wykierowany przez zramolałych starców i sprzedany przez zbrodniczego Lavalą. Została jeszcze Anglia, która nigdy nie zdoła dać sobie rady ze zmasowanym tłumem niemieckim. Co będzie z nami? Czy to już koniec? Czy Bóg trzyma naprawdę z mocniejszymi batalionami, jak mawiał wielki Fryc? Podnoszę oczy ku pięknym wieżom gotyckim żyrardowskiego kościoła, istnemu arcydziełu Dziekońskiego. Tam, na zadrzewionym cmentarzu była jeszcze niedawno tablica, której tekst prosił, aby nie jeździć tamtędy na rowerze, nie palić, nie rozmawiać głośno, „bo Bóg blisko jest!“ Ileż razy dziwiłem się temu napisowi, bo w ochronie fabrycznej jako dziecko słyszałem z ust nauczycielki stałe pouczenia, że Bóg jest wszędzie, nawet na pustyni, w lesie, w jaskiniach. . . A tu raptem wezwanie: chcesz palić, rozmawiać głośno, jeździć na rowerze, czy grzeszyć, pofatyguj się o trzydzieści kroków dalej, gdzie Bóg nie będzie blisko. Kto robi takie napisy?

Teraz znowu patrzę w tamtą stronę. Bóg jest blisko? Więc widzi chyba cierpienia milionów swoich dzieci? Dlaczego daje zwycięstwa zbrodniarzom, którzy bluźnią jego imieniu?

Podnoszę oczy ku niebu i czekam, czy nie ujrzę dobrotniwej twarzy Chrystusa. Ach, w tej chwili może dziesiątki milionów ludzi patrzą w tamtym kierunku. Z wielką siłą narzuciło mi się wspomnienie powieści katolickiego pisarza francuskiego, Leona Bloy, „Zrozpaczony“. Bohater tej powieści, Kain Marchenoir, tak samo podnosił oczy ku

niebu i wadził się z Bogiem głośno i zuchwale: „Obiecałeś nam, że wrócisz, czemu więc nie wracasz? Setki milionów ludzi ufało Twojemu słowu i pomarło w śmiertelnej twórczej niepewności. Ziemia spuchła trupami sześćdziesięciu pokoleń sierot, które czekały na Ciebie. Ty, który mówiłeś o śnie innych, jakimże to snem zasnąłeś sam, jeśli można krzyknąć przez dziewiętnaście wieków i nie zbudzić Cię! Gdy pierwsi Twoi uczniowie wzywali Ciebie podczas burzy, wstałeś i kazałeś wichrom ucichnąć. Giniemy chyba nie mniej od nich, a jesteśmy po miliardkroć nieszczęśliwsi od nich jako wyłączeni z Twojej obecności i nie mamy nawet tej żalostnej pociechy, iżbyśmy wiedzieli, w którym miejscu wszechświata śpisz swoim snem bez końca!“ Więc myśli takie powtarzają się w sercach ludzkich i to nie tylko w czasie straszliwej wojny i w obliczu śmierci milionów. I myśl leci swoim niezbadanym szlakiem ku dalekiej Norwegii, gdzie mieszka wielki pisarz i mierny charakter, ów Hamsun, co napisał „Głód“ i wiele innych cudownych powieści, a potem zapisał duszę Hitlerowi. W „Głodzie“ jest taki nieszczęśliwiec, który modli się: „I odpuść nam nasze winy, jako i my Tobie odpuszczamy“. Czy to jest wszystko? Nie! W pobożnej Anglii powieściopisarz Powys napisał powieść, w której Bóg przychodzi spowiadać się człowiekowi i prosi go o rozgrzeszenie za tyle cierpień świata!

A potem przypomina się cisza wierszy Kasprowicza z „Księgi Ubogich“. „Przestałem się wadzić z Bogiem, serdeczne to były zwady, zrodziły się z ludzkiej niedoli, na którą już nie ma rady. . . “ Więc te zwady z Bogiem. I Mickiewicz, największy z nas wszystkich, najgoręcej kochający i cierpiący za miliony, z oczyma wzniesionymi ku Bogu i grożący, że krzyknie, „iż Ty nie Ojcem świata jesteś, ale . . . carem!“ Więc to jest wieczne. Te zwady z Bogiem o swój los, o życie pełne cierpień, o wolność wydzieraną człowiekowi przez człowieka, o chleb powszedni. . . Ile teraz będzie wśród nas Edypów oślepych w rozpacz, ile Antygon płaczących, ile bezimiennych mogił braci

i siostr naszych, co będą umierali sam na sam z katem okrutnym i w ostatniej chwili nie spotkają spojżenia miłującego serca i nie poczują na skrwawionej głowie pogłaskania bratniej dłoni! Czy Bóg policzy wszystko i wszystkich? Czy wymierzy sprawiedliwość mordercom i okrutnikom?

W ogródku robotniczym siedzą ludzie pokoju i pracy i każdy z nich wie, że dziś w nocy może przyjść morderca i każdego z nich zabić bezkarnie. Siedzą i czytają gazety wydawane przez najeźdźcę, bo te inne nie do wszystkich docierają. Jest cisza. Co parę dni wywieszano najpaskudniejsze pod słońcem szmaty, aby święcić jeszcze jedno zwycięstwo i jeszcze jedną kapitulację. Jesteśmy smutni i przygnębieni. Praca? I ona ma dzisiaj inny sens i inne znaczenie, niż miała wczoraj. Słowo? Tyle słów zostało skazanych na śmierć i wiekuiste zamilknięcie. Nie mamy prawa używania słowa „wolność“. To jest tylko dla Niemców. Nie wolno nam mówić o wyzwoleniu. Za to grozi więzienie, obóz, śmierć. Nie wolno mówić prawdy o tym, że Polacy bili Niemców na Psim Polu i pod Grunwaldem, bo zwycięstwo jakiegokolwiek jest także „**nur für Deutsche**“. I cały świat jest tylko dla Niemców. Nawet cmentarz musi być osobny dla niemieckiej hordy. Nawet piekło musi mieć getto niemieckie, żeby się pan Niemiec nie strefił. Och, jakież ohydny jest ten niemiecki świat! Który uczciwy człowiek na nim wytrzyma?!

---

Lipiec dobiega końca.

Zyrardowskie powietrze jest przerażająco ciężkie. Tyle tu czadu, tyle pyłu z żużli zmielonych kołami wozów i stopami ludzi! Teraz dostać się gdzieś nad morze albo w góry! Jest to marzenie ściętej głowy. Do Rabki wozi się zdrowe megery niemieckie, w Zakopanem urządzają się Niemcy jako w uzdrowisku, które będzie tylko dla nich i dla służby polskiej.

Jakaż radością napełniło serce zaproszenie doktora K.

do Karolina! Tuż pod Warszawą, a w lesie, cienistym, pachnącym, grzybiastym! Cudowne brzozy przesypujące delikatne listki w jasnym błękitcie nieba! Szmaragdowy mech, a w nim koźlary w czerwonych kapturkach i grzyby w brunatnych czapkach. Cisza, dalekość bezchowa, schron przed Niemcami, którzy się przecie tak daleko nie zapuszczą. Jacyś zacni koledzy zakrzętnęli się koło tej sprawy wspólnie z fanatycznymi społecznikami — doktorem K. i jego małżonką — i wreszcie słowo pragnienia ciałem się stało: dwutygodniowy bezpłatny wypoczynek i wikt, i jaka taka radość życia zdala od splugawiających Niemców.

Nie przyjąć takiego zaproszenia? Niesposób! Tylu spotka się tam przyjaciół miłych, którym dobrze będzie spojrzeć w oczy i uścisnąć dłoń! Nie pójść do nich, nie podzielić się z nimi nadziejami i nienawiścią do potwornego gnębiciela? Nie pójść do lasu? Ależ naturalnie, jadać! W połowie sierpnia, gdy ranki bywają już przymglone i brudnawe, ale dni takie potem jasne, a wieczory takie ciche i gwiazdziste! Przybywam do tego boskiego wywczasowiska rano. Jest po gimnastyce, doktor K. wydaje rozporządzenia kochanym łazikom, co który ma robić i nuż się witać! Jest tu Nowaczyński, jest Irzykowski Karol, jest Kiedrzyński od „Krzyku w nocy“ i Gorczyński, jest poseł Żuławski, pełen umiaru i stanowczości i poseł Czapiński, cichy skupiony czytelnik rzeczy poważnych, jest Kisielewski z „Robotnika“, przyjeżdża przemiła Mira Zimińska, i muzykus Sygietyński i Januszek Stępowski, mający bliższe stosunki ze światem konspiracyjnych duchów i prosto z mostu zapowiadający czterolecie wojny... A idźże, Januszu, do najjaśniejszych duchów, kto by się zaś pieścił z niemieckim draństwem przez całe cztery lata? Jest i Smolarski, krakowiaczek skupiony w sobie... Dużo miłego narodu. Jakże was nie kochać, łaziki sakramenckie, moczymordy kochane!

I życie zaczyna płynąć. Dosłownie. Zadłużona Warszawa, nie mająca gotówki, wypłaca zalegające honoraria w postaci rzeczy płynnych, wiśniaków, ratafii i wszelakiej



baczewszczyzny. Wędliniarscy mecenasowie dostarczają zakąsek. Zaczynamy być lekkomyślni. Niemcy za górami i los ich przypieczętowany: prędzej czy później diabli ich wziąć muszą. Grywamy w bilard i w brydża. Ja chodzę z rana na grzyby i przynoszę ich na suszenie pełne kapelusze. Stary nałóg po ojcu. Leżakowanie, pogawędki, optymizm wzrastający w miarę spożywania płynnych honorariów. Wielbiciele Nowaczyńskiego przynoszą mu skądś kawę, którą przyrządza po turecku i po turecku pije częstując przygodnych gości. Staliśmy po przeciwnych stronach barykady i biliśmy się z nim wytrwale podczas pokoju, sprzymierziliśmy się w czasie wojny przeciwko Niemcowi.

Pewnego wieczoru zachodzę do niego do pokoju i siadam, aby pogawędzić. Leży w łóżku z lulką w zębach i pyka. Przed nim na stole grube zeszyty wycinków z pism polskich przedwojennych i z wojennych pism niemieckich. Chcę wymiarkować, co sądzi o wojnie. Jak długo tego dobrego? „Kiedy, panie Adolfie, myślicie zabrać się do opracowania tego materiału?” Patrzy na mnie chwilę, jakby obliczał. „Może i wcale nie doczekam takich dobrych czasów, gdy będzie można powiedzieć wszystko o wszystkich... Cztery lata minimum... Tu będzie gasło, tam się będzie zapalało. Duża wojna. A finał może będzie całkiem inny, niż się dzisiaj sądzi...”

— „Co wy wszyscy jak za złą: cztery lata i cztery lata!”

Rozkłada ręce jakby chciał powiedzieć, że nic nie poradzi. „Duży kawał czasu. Ilu z nas mogą Niemcy przypotrącić...” Kiwa głową bardzo gorliwie, że tak, przypotrąca. I na to nie ma rady. Los, mojra, ananke, kismet...

A nazajutrz o tym samym z Irzykowskim. „Ile czasu wyznaczacie na wojnę, panie akademiku?” — „Daj Boże, żebyśmy mogli zjechać się gdzie z całą dzisiejszą kompanią w roku Pańskim 1944... Bo to świństwo wygląda tak jakoś na siedmioletnią wojnę”. Przypominam mu chępliwe sło-



wa różnych firerów, że „czteroletnie paskudztwo tamtej wojny już nigdy powtórzyć się nie może“. „Niemcy nie znają polskich przysłów“ — śmieje się Irzykowski. — „Są wśród tych przysłów bardzo mądre: chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“. Istotnie. Niemcy przystrzeliwują się lepiej ze swoich armat niż w polityce, gdzie albo nie dostrzeliwują, albo przestrzeliwują. Brak im pięknego umiaru.

Chodzę po rozległym parku i zbieram grzyby. Cóż za rozkosz, miły Boże, nie widzieć pysków zbrodniarzy niemieckich. Ale ci trafiają wszędzie, gdzie można się obłowić. Pewnego popołudnia zajeżdżają dwa auta pełne szkopów cywilnych czy szpiclów po prostu i szczegółowo oglądają zakład. My rozchodzimy się tymczasem po parku i po lesie poza parkiem. Nie wiadomo co zacz ci goście. Po wyjeździe ich okazuje się, że to komisja lekarska. Będą chcieli zrobić z tego Karolina coś „nur für Deutsche“. To jasne. Za kilka czy kilkanaście dni każą nam się wynosić. Ponasadzają tu żołdatów i dziwek, jak i gdzie indziej. Taki los i nic na to nie poradzisz. Kwestia kilku dni czy tygodni.

Ale życie znowu płynie spokojnie. Nasiąkamy słońcem i ciszą. W okolicy jest zatrzęsienie trufli. Zbieramy je i suszymy. Przykład gospodarności daje Mira Zimińska, równie znakomita gospodyni jak artystka. Chodzimy, zbieramy trufle i grzyby, cieszymy się życiem i jasnością podjesiennych dni. Ale pewnego popołudnia czwartkowego, piątego września, zajeżdżają oficerowie niemieccy z niemieckimi siostrami-pielegniarkami. Obchodzą cały zakład, otwierają po kolei wszystkie drzwi, węższą... Czapy hitlerowskiej kompozycji, szabelki pstręk-brzdęk. Elita ułańska czy huzarska. Gramy w bilard. Przechodząc koło nas nie patrzą na nas, ale gęby niedobre. Na pewno polecą nas uwadze panów z gestapo, czy z SD. Istotnie. Naza-jutrz przyjeżdża do jednego z pensjonarzy Karolina znajoma pani i przestrzega. Daje się przestrzec tylko poseł Ż. Inni pozostają. Tak strasznie trudno rozstać się z ciszą leśną, słońcem, towarzystwem miłym. Kto zbyt długo zwleka, ten nieszczęścia się doczeka.

W sobotę po południu, 7 września, zajeżdża kilka aut nafaszerowanych gestapowcami i sonderdienstowcami w nieuniknionej asyście naszych foksów rodzimych. Jedni otaczają zakład, drudzy rozłażą się po parku z rewolwerami gotowymi do strzału i spędzają spacerowiczów. Legitymacje! Przedkładamy. Oglądają je foksy, wśród których jakieś paskudne indywiduum z przykrótkim nosem wodzi rej i podnosi głos, że meldunki nie w porządku. Ostatecznie wolno wszystkim pozostać czy wyjechać, nie podoba się tylko poseł Czapiński i nie podobam się ja. Czapiński zostaje zabrany pierwszy, ja drugi. Żegnam się z przyjaciółmi i idę za gestapowcami ku bramie, gdzie stoją auta. Nie od razu pozwalają mi wsiąść i na razie okrywają coś czy kogoś siedzącego na tylnym siedzeniu. Czapiński? Co mu się stało? Potem błyskawiczna myśl: zabili go czy co? I oślepiająca pewność: szpiegówka niemiecka! Na parę dni przed aresztowaniem przyjechała do Karolina „na kurację“ jakaś Ukrainka i koniecznie domagała się pokoju na piętrze. Niemcy mieli nadzieję, że nakryją jakąś wielką konspirację, tajną drukarnię polską razem z redakcją podziemnego pisma, czy nawet skład broni. Ale wszystko, co było do ukrycia, było ukryte i szpiclówka mogła była wskazać tylko parę nazwisk i zadenuncjować twarze, które się jej nie podobały.

Gdy w roku 1910 byłem aresztowany przez żandarmów carskich w związku z zamachem bombowym w Grodzisku, to podróż pod opieką żandarmów upływała nam na towarzyskiej rozmowie. Żandarmi zawieźli nas do Warszawy, dorożką odstawili do więzienia i wzięwszy pokwitowanie na nas, grzecznie zasałutowali na odchodnym. Niemiec zaczyna być nieprzyjemny od pierwszej chwili zetknięcia się z nim. Posadzono mnie między szofera i jakiegoś osiłka rzeźnickiego. Dwóch drabów usiadło na tylnym siedzeniu. W pewnej chwili odruchowo obejrzałem się za siebie w przekonaniu, że spotkam się z uśmiechem Czapińskiego. Dostałem kolbą rewolweru w potylicę i parę brzydkich słów.

Nie obeszło się i bez psich figłów. Zapadał zmierzch, drogi pustoszały. Rewolwerowcy z maszynami w garści kazali wysiąść i iść z nimi na przydroże. Przy jakiejś gruszy polnej kazali stanąć. Zrobiło mi się dziwnie głupio. Słyszałem wiele o takich wykańczaniach ludzi po drodze do więzienia, znałem z imienia i nazwiska działaczki harcerskie, zabite w drodze do Warszawy. Rzuciły się na mnie myśli o żonie i córce, i kotłowały się w głowie pomieszane uczucia, trudne do zanalizowania. Było głupio. Tu mnie zakatrupią i pies z kulawą nogą nie będzie wiedział co i jak. Nie zwrócę się do nikogo z jakimś ostatnim słowem czy życzeniem i będę tu leżał przez tę nadchodzącą noc, może nawet nie zabity, tylko ciężko ranny i będę się straszliwie męczył. Odezwać się do nich, zaapelować do ich ludzkich uczuć? Przyszła bardzo szybka reakcja. Nie! Popatrzyłem na tych pachołków z uczuciem najwyższej odrazy, jak się patrzy na swego\* kata i upuściłem kapelusz. Niepotrzebny — pomyślało mi się. Miałem żal, czy pretensję do tych, co będą żyli, co będą mogli mówić, pracować, pisać o zbydlęiałych zbrodniarzach niemieckich. O sobie i swoich przeżyciach tej chwili już nie będę mógł powiedzieć. Żal! Przed oczami przesunęły mi się szybko wszystkie trupy z „genickschussami“, jakie widziałem, chłodny dreszcz przebiegł po plecach i zatrzymał się, czy zjeżył boleśnie na karku, tam, gdzie zapewne zaraz strzela. I ostry wyrzut sumienia, że myślę tak dużo o sobie w tej chwili, która będzie jakże straszną dla moich najbliższych, gdy do nich dotrze. Będą to przeżywały, i żona, i córka, daleko może boleśniej niż ja — i o tyle przecie dłużej niż ja. I przelotna pociecha: tylu ich umiało zginąć i musiało zginąć, potrafię i ja. Żeby tylko prędzej i żeby się nie męczyć. Moi dręczyciele stali za mną. Odwróciłem się ku nim: załatwiali naturalną potrzebę. Uczułem się boleśnie dotknięty, że mnie dręczą, że mogli przecie potem... Rozrechotali się głośno, zapinając spodnie. Jeden z nich kopnął mój kapelusz.. „Los!“ — i kciukiem wskazał ku autu.

Powlokłem się nie czując nóg. Było mi śmiertelnie mdło i zdawało mi się, że zaraz upadnę. Po twarzy spływał mi lepki pot i studził przy powiewie chłodnego wiatru.

Śmierć może nie jest straszna. Złe jest umieranie, a raczej świadomość, że się umiera i że nie ma na to rady. Podobno skazaniec nie traci nadziei nawet pod szafotem i patrzy, czy nie biegnie goniec z wiadomością o ułaskawieniu. Ciężko chorzy zdający sobie sprawę ze swego stanu, chętnie poddają się zabiegom lekarskim, które częstokroć są przeznaczone dla zamydlenia gasnących oczu. Ale sam na sam z mordercą, który ma broń i przewagę, i który zabija na zimno, jest ponure. Mózg pracuje jak mechanizm pozbawiony hamulca. Nakręcony zegarek, który stracił trybik hamujący, biegnie właśnie tak szybko. Och, tyle myśli niedomyślanych do końca! Jeszcze to i jeszcze owo. Komuś nie powiedziało się dobrego słowa, które mu się należało, dla bliskich swoich było się zbyt chłodnym i nie okazywało się im dość tej miłości, której w sercu jest tyle! Jakże im tu dać znać, że jednak. . .

Dokoła mnie utworzyło się coś, czemu najtrafniej było by dać nazwę skłębionego, wirującego tłoku. Niedoczytana książka. Nie wiadomo, jak to się skończyło. Jakiś stary dom babki, z obórkami pełnymi dużych szcurów. Czyjś ogród z czereśniami chce być koniecznie zauważony. Goły wróbelek podniesiony kiedyś z ziemi powraca. Zapomniane zadanie matematyczne, którego nie umiałem rozwiązać, staje się takie jasne i łatwe. Co za szkoda, że się wtedy dostało niepotrzebnie zły stopień i nauczyciel był taki rozgniewany! Piesek mój merda ogonkiem i liże mi dłoń. Gdzieś stoi ojciec i grozi mi palcem: zawsze ci mówiłem, żebyś. . . Topole przy kościele chcą mi koniecznie jeszcze raz zaszumieć. Kradziona pszenica z czapki na głowie sypie mi się na twarz. Ciotka się śmieje: wszystko się zawsze wyda. Strasznie wstyd. W oczach żar i strach, żeby nie trysnęły łzy. Pudełko pluskiewek, które były tak bardzo potrzebne, znalazło się nagle. Tyle piekła narobiłem o nie!



Jakiś chłopiec prosi, żebym mu kupił jabłek. Matka nieboszczka podaje mi słomkowy kapelusz: masz, żebyś sobie głowy nie przepalił. Obity kot patrzy na mnie z wyrzutem. Tak bardzo go biłem! Niemka w heidelberskim sklepie z papierem śmieje się ze mnie, że zapomniałem krawat zawiązać. Żona z córką nie mogą się do mnie dotłoczyć. Och, tak gorzko będą płakały! Bezradnie! Będzie im się wydawało, że gdyby może to, albo tamto... Czy to będzie bardzo bolało? Czy długo się wie, że to już?

„Los!“ — dolatuje to słowo z jakiejś ogromnej dali, jakby już nie do mnie, tylko do czegoś obcego, nie obchodzącego mnie w gruncie rzeczy. „Dalli! Dalli!“ Podniosłem z ziemi kapelusz, jakby to było takie bardzo ważne. Więc jeszcze nie. Nie tutaj i nie teraz. Sam już nie pamiętam, jak znalazłem się znowu w samochodzie. Rewolwery znikły. Siedzę w środku między tymi, którzy ze mnie tak ohydnie, nieludzko zakpili. Jestem straszliwie upokorzony i nie mogę podnieść głowy, aby spojrzeć na tych oprawców. Jakaś okrutna słabość nie pozwala mi gniewać się, nienawidzić, gardzić. Jest mi wszystko jedno. Zbójcy dysponowali mnie w tak nieludzki sposób na śmierć. Czy im przebaczam? Nie mam sił na ludzkie rzetelne i normalne uczucie nienawiści. Może później. Teraz jest mi mdło, jakbym był już częściowo zabity. Gdyby mnie byli obili i skopali, czułbym się pewno lepiej, ale tamto... Będę się zawsze wstydził za tych potworków, którzy podobni są do ludzi, ale ludźmi nie są. Hitler... Hitler... co to jest? Zalatuje mnie zapach karbolineum, jakim malowano płoty. Coś jakby dziegieć, czy smołowiec. Hitler — to mocno cuchnie, i wspomnieniem tego karbolineum ratuję się od tego smrodu śmiertelnego. Koło mnie siedzą dwa Hitlerzy, dwaj mordercy. Gorzej, dwaj wynaturzeńcy nieludzcy, plugawi sadyści. Dopiero przez nich zrozumiałem wszystkie ukrzyżowania duszy ludzkiej. Ręce przygwożdżone do drzewa, mięśnie i żyły napięte, ciężar i duszność. Po twarzy łażą bezkarnie muchy i robaki. Nie można ich spędzić, bo ręce



przygwożdżone do drzewa. Hitlerzy łażą po twarzy ukrzyżowanego człowieka i śmierzdzą potwornie.

Zapada zmierzch. Tyle godzin mroku nocnego czeka na mnie! Gdzie? Czy razem z tymi Hitlerami? Al Capone, wróg społeczeństwa numer pierwszy! Skąd ja to mam? Aha! Film amerykański. Wielki, dostojny, rycerski Al Capone! Jeden przeciwko całemu społeczeństwu. Rinaldo Rinaldini, Kartuz, wielki bandyta włoski... wysocy i dostojni w porównaniu z tymi milionami Niemców idących przeciwko jednemu, zawsze przeciwko jednemu człowiekowi. Na swoje zuchwalstwo, na swoją chamską odwagę, muszą się składać groszami swego nikczemnego tchórzostwa, jak wszawie dziady składają się na butelkę siwuchy, którą można zapić świadomość nędzy. Gdy ich jest tysiąc przeciwko jednemu, gdy mogą bić bezkarnie, kopać, wrzeszczeć, szaleć, wtedy czują się dopiero czymś, czym chcieliby być, ale nigdy nie będą. Jakże to wyczuł Goethe, gdy w „Fauście“ powiedział Niemcowi głosem Ducha: „*Du gleichst dem Geist, den du begreifst, nicht mir!*“ Podobnyś, Niemcze, do ducha, jakiego pojąć jesteś w stanie, ale... nie do mnie!

I znowu: „*Los!*“ Samochód stoi w ponurym zaułku. Ciemno. Znowu w rękach oprawców rewolwery. Jakaś czarna, żelazna brama. Gdzieś tam światelko nikłe. Pukanie do bramy. Otwiera się okienko. Hitlerzy pokazują komuś srebrne talary na łańcuszkach, jakby dobywali z kieszeni zegarków. Okienko zamyka się z trzaskiem, ale otwierają się drzwi obok wielkiej bramy. Te drzwi mnie wchłaniają. Gdy zamykają się za mną, Hitlerzy chowają broń — są tu już bezpieczni! — i prowadzą mnie do kancelarii. Jestem śmiertelnie zmęczony, ale widzę groby pod murem. Jeden z niezliczonych cmentarzy warszawskich z roku 1939. W kancelarii więzienia znowu pokazywanie tych talarów srebrnych. Kancelista wypisuje pokwitowanie, że zostałem w porządku dostarczony do dyspozycji gestapo. Hitlerzy znikają. Szukam oczami czegoś, na czym można by

usiąść i spotykam spojrzenie krótkowzrocznego, kochanego posła Czapińskiego. Co za szczęście zobaczyć twarz przyjaciela, człowieka, istoty stworzonej na obraz Boga!

Kancelista księguje mnie dokładnie: imię, nazwisko, rok i miejsce urodzenia, panięskie nazwisko matki, imiona rodziców. Zupełnie jak w kancelarii parafialnej przy dawaniu na zapowiedzi. Potem odbiera portfel, portmonetkę, zegarek... Wypisuje mi pokwitowanie na złotych 272 i groszy 90 i na zegarek z łańcuszkiem. — „Niech pan niczego nie zatrzymuje, bo tam pana i tak zrewidują“ — napomina mnie. Niczego nie zatrzymuję. Chce mi się skryć w jakiej norze, spać i zapomnieć o tamtym przydrożu i o paskudnym rechocie Hitlerów, gdy ja przeżywałem chwile ciężkie i upokarzające. Siedzimy w kancelarii i czekamy. Kancelista podaje mi futerał z okularami. W jaki sposób futerał ten znalazł się na biurku kancelisty? Sztuczka magiczna Hitlerów. Wyjęli mi go zgrabnie z kieszeni obmacując mnie i szukając, czy nie mam armatki przy sobie. Może wstydzili się oddać okulary mnie, więc wręczyli kanceliście, który oddając mi moją własność robi perskie oko.

Po długim czekaniu przychodzi dozorca i zabiera nas z sobą. Idziemy przez ciemne podwórze podobne do dziedzińca fabrycznego z wielką kotłownią, obok której leży kupa żużla. Jakieś „nigdzie“. Kontury budynków są ponure, mroczne i wrogie. Całość jakby wycięta żywcem z powieści Wallace'a „Zaułek morderców“. Nie idziemy, ale brniemy skroś mrok. Dozorca wprowadza nas wreszcie w uchylone drzwi. Baczość, schody. Po tych schodach idziemy coraz niżej, niżej. Suterena. Kryminał? Nawet nie. Raczej jakaś niechlujna ubikacja fabryczna. Podłoga z ponadrywanymi deskami, na ścianach tynk odrapany, pod sufitem rury wodociągowe czy rury ogrzewania centralnego. Niechlujnie, chybotliwie, brudno i śmierdząco. Zakatrupialnia raczej niż uczciwy kryminał.

U jednych drzwi staje. Otwiera kluczem — celę? Nie,

nie celę, ale loch. Zapala mdłą, przepaloną lampkę. Kancelaria jakiejś nie sutereny, ale suteneryny. Paskudnie. Przychodzi jakieś złe, jadowite oblicze należące do rodaka, niestety, ale zimne i drańskie. Zapisuje nas sobie i poddaje obmacywaniu bardzo szczegółowemu. Zabiera mi scyzoryk i każdy świstek papieru, jaki mam przy sobie. Umie rewidować. Wprawna łapą trafia, gdzie trzeba. Interesują go nawet „mankiety“ u spodni. Przy rewidowaniu Czapińskiego wyjmuje mu z sekretnej kieszonki u spodni dwadzieścia złotych i kładzie je na stole nie dziwiąc się. Zwyczajna rzecz. Ty sobie chowaj, a ja znajdę i tak.

Wreszcie prowadzi nas przez korytarz wśród mnóstwa pozamykanych drzwi do mrocznej nory. Klucz zgrzyta, zatliła się mdła lampka elektryczna i z głębi nory patrzą na nas mrugające oczy ludzi, którzy zostali zbudzeni. Niecierpliwy dozorca popycha nas po trosze i pomaga przezwyciężyć odrazę dla tego przybytku ohydy i smrodu. Aż dziw, że nie mówi: los! — Proszę go o trochę wody do picia. Nawet nie odpowiada, ale robi kciukiem wysuniętym z garści taki gest, jakby mnie wgarniał do swej nory i zapraszał do zdechnięcia. Nie jego dzieło. Nie jest tu przecie od podawania wody przybłędom, co się dają nakryć. Zamyka drzwi, przekręca klucz.

Z tapczana więziennego zeskakuje dwoje ludzi. Rysopis mają nie bardzo miły. Ziomkowie, no tak, ale z bardzo dalekich okolic zawarszawskich. W pierwszej chwili przestraszyli się nocnych odwiedzin. Mogło być gestapo z jakimiś bardzo paskudnymi zamiarami. Ale potem zabrali się do wyciągania ze swego tapczana sienników i derek. Sienniki jak święta ziemia. Brudne słomianki po wysuszeniu bywają właśnie takie. W siennikach słoma, owszem, ale w postaci sieczki pomieszanej z pluskwami, bo śmierdzą tymi owadami z daleka i całkiem wyraźnie. Robią nam posłanie na posadzce. Wywracają się dwa talerze cynowe z czerwonymi burakami i lurką. Pensjonat bardzo a bardzo niskiej klasy. Układamy się jako tako. Byłem chory,

kiedy wyjeżdżałem do Karolina, ale pełen nadziei, że się podlecę w atmosferze powietrza leśnego i opieki kochanego doktora K. Teraz widzę, że serce moje nie dorasta do takich awantur, jak tamta na przydrożu. Tłucze się w piersi boleśnie, wielkie jakieś i ciężkie. Biję szybko i niezdarnie. W piersi ciasno. Pić! Gdy się kładę na sienniku, serce wchodzi w gardło. Trzeba paru dobrych poduszek. Chciało się Zosi jagódek, oczywiście. Siadam i próbuję dać sercu jak najwięcej spokoju. Bóg zmiłowuje się wreszcie i zasypiam siedząc. Budzi mnie palenie skóry. Pluskwy! Drapię się po dłoniach, karku, piersi. Myślę, że Pan Bóg zgoła zbędnie stworzył te robaczki. Oczy się kleją. Och, spać, zasnąć głęboko, jak pod chloroformem, zdechnąć nawet, byle nie uczestniczyć w tym śmierdzącym hitlerstwie.

Podnoszę głowę ku okienku pod sufitem. Czarna noc i krata. Zegarka nie mam, bo mi zabrali. Kiedy wzejdzie słońce, kiedy nastanie dzień miłosierniejszy trochę od straszliwej, chorej nocy? Podciągam swój siennik pod ścianę, abym mógł oprzeć się o nią i próbuję drzemać. Nie bardzo mi się udaje. Za parę godzin przyjedzie córka do Karolina, przywiezie mi coś z domu, będzie się cieszyła, że mnie spotka. Przerazi się wiadomością, że mnie wywieziono. Pojedzie przerażona do domu i powie żonie. Będą się miały jak tyle kobiet w dzisiejszej Polsce, w całej Europie, z łaski krwawego błazna, który się mianował największym Niemcem wszystkich czasów. W celi mrok. W Polsce mrok. I w Europie całej także. Kiedy to się skończy, czy choćby zmieni?

Z okrutną powolnością do nory sączy się świt. Czapiński nie śpi, obaj nasi towarzysze niedoli także nie śpią. Po głowie tłuką się myśli mgliste, niejasne i tą niejasnością przerażające. Jesteśmy numerami. Jakiś chłystek niemiecki, czeladnik kowalski czy piekarski, rzeźnik albo krawiec, przebrany za nadczłowieka, może nas zabić i nikt się o nas nie będzie mógł upomnieć. Jakiś bardzo parszywy szczeniak może każdego z nas poprowadzić na nieznane



puste przydroże i potrząsać nam przed nosem rewolwerem. Może nas kopnąć i lżyć do woli. Mówiliśmy kiedyś o sprawiedliwości, o cywilizacji i kulturze, o pięknym człowieczeństwie... Al Capone, bandyta amerykański, jest tym wielkim człowiekiem, któremu Hitlerzy nie dorastają do kolan. Z gangsterem można się dogadać, można wzbudzić w nim jakieś uczucia, tak. Ale z niemieckim **Schweinhunden**, z tym dziwnym skrzyżowaniem specjalnie germańskim, kto się kiedy dogadał? Jeszcze raz i jeszcze przypominam się słowo Mickiewicza o krzyżackim gadzie, którego nie ugłaszczesz nic.

Wstajemy, prostujemy się, układamy sienniki. Okienko u góry jest już jasne, ale my jesteśmy jacyś bardzo niejasni i pokąsani niemiłosiernie przez pluskwy. Co będzie dalej? Na to pytanie odpowiada zapowietrzenie lochu jakimś piekielnym smrodem. U drzwi w kącie stoi wiadro, które od szeregu pokoleń zapewne śmierdzi i śmierdzi jak zatracenie. We drzwiach zachrobetał klucz. Wchodzi rodak w złym humorze z takim właśnie wiadrem jak to, co stoi w kącie, i na brudne cynowe talerze nalewa naszym sąsiadom kawę zbożową bez cukru i odrobiny mleka. Dorzuca pajdy chleba. Nam, Czapińskiemu i mnie, nie dają nic. Nie mamy jeszcze przydziału. Nie przeraża nas to. Ani kawa, ani chleb nie wzbudzają apetytu. Nasi sąsiedzi już zapewne troszkę przywykli do nowych warunków istnienia, bo gryzą chleb i popijają lurą.

Po śniadaniu zabierają nas na dwór, ustawiają w szeregu i każą stać. Czekamy cierpliwie nie wiedzieć na co. Tak się stało od piątej rano do dziewiątej w polu za Żyrdowem dnia 13-go września 1939, zanim pozwolono nam po strasznej nocy powrócić do domu. Największa uciecha niemiecka: ustawić ludzi w szeregu, kazać im stać i wrzeszczeć na stojących, czy nawet bić ich. Przychodzi jakiś ważniejszy wartownik o łagodnym wyrazie twarzy i szeptem mówi coś do Czapińskiego. Nie słucham, co mówi. Jest mi wszystko jedno. Nogi drętwieją od długiego stania



i wreszcie ruszamy naprzód ku budynkowi podobnemu do kotłowni. Jest tam łaźnia: będą nas parowali i zniszczą nam ubrania. Przybywamy z sanatorium, więc ten zabieg jest zgoła zbędny, ale spróbuj, człowieku, wyperswadować coś niemieckiemu biurokracie esesowemu!

Dostajemy po kostce mydła i szmatce. Włazimy do izby przed łaźnią i rozbieramy się. Nasze ubranie wędruje do wielkiego kotła, my idziemy pod prysznic i pod parę. Plecy różne: bite i niebite. Niektóre dopiero z lekka zabliznione, inne mają już tylko ślady pobicia, jeszcze inne strupiaście i nabiegłe krwią. Są także ludzie o posiniaczonych twarzach i spękanych wargach. Mówią z niezdarnym wysiłkiem i szeplenią: powybijane zęby. Kąpiel taka jest dla mnie zabójcza i zakazana. Serce tłucze się w piersi niespokojnie i oddycha mi się ciężko. Nawet nie próbuje wytłumaczyć tego komuś. Nie zdałoby się to i tak na nic. Możesz sobie zdechnąć, człowieku, na jakikolwiek fason. Ludzka rzecz. Ale „**Ordnung muss sein!**“ Jeden z sąsiadów naszej nocnej celi pomaga mi wytrzeć się i prowadzi mnie na ławę. Siedzę i dyszę ciężko. Ktoś podaje mi łyk wody. Golców na ławach coraz więcej. Siedzimy i czekamy na swoje garnitury. Oddają nam je zdefasonowane zgoła fantastycznie. Jedna nogawka jest jakby ukarbowana, druga skurczyła się śmiesznie. To samo jest z marynarką i z płaszczem. Można by się zdrowo uśmieć, gdyby się nie chciało płakać ze zmęczenia. Co dalej? Znowu stajemy w szeregu i znowu na coś długo czekamy. Wreszcie komenda i ruch. Idziemy do „siebie“. Przenoszą nas na piętro.

Żelazne schody mają jakiś ponury rezonans. I korytarz także żelazny. Ma to zapewne ochronić mieszkańców tego ponurego gmachu przed tragicznymi skutkami pożaru, ale ciekaw jestem, ilu ludzi zdołałoby się uratować po rozpalonych do białości schodach, gdyby tu wybuchł pożar. Przechodzimy obok pootwieranych drzwi cel większych i mniejszych. Ludzie w różnym wieku między dwu-

dziestką a sześćdziesiątką siedzą na brudnych siennikach, martwią się i nudzą. Niektórzy łażą po celach i majstrują coś koło swych tobołków. Ściany brudne, odrapane, okienka wysoko. Ale w porównaniu z norą, w której spaliśmy — salon. Dozorca idzie z nami od celi do celi, patrzy, orientuje się i przydziela. Dostajemy się z Czapińskim do celi, w której jest już czterech więźniów. Ciasno, bo normalnie cela pomyślana jest na jednego więźnia śledczego i tak też jest urządzona. Teraz będzie nas tu gospodarowało sześciu.

Przyjmuje nas gospodarz celi, pepesowiec wybitny. Serdeczny uścisk dłoni i dobre słowo. Będzie dobrze. Ileż razy żałowałem, że nie zapytałem o nazwisko tego kochanego człowieka! Jeszcze w czasach carskich peregrynacji po więzieniach obowiązywała zasada: znać jak najmniej nazwisk. Ważna jest sprawa i człowiek, nieważne nazwisko. Nawet o pseudonim partyjny pytać nie należało, aby podczas badania w ochronie i zaskakiwaniu nazwiskami nie zdradzić się ani drgnieniem. Zasady tej przestrzegałem i teraz bardzo skrupulatnie — i nieraz tego żałowałem. Gdy się z ulicy opanowanej przez chamstwo niemieckie i sołdackie barbarzyństwo wchodziło na Pawiak, to od razu było się w oazie najpiękniejszego człowieczeństwa. Tu była już nie tylko realna komuna więzień politycznych, ale komunia serc, wysokie szlachectwo dusz zjednoczonych w życiu i śmierci. Nasz gospodarz zorientował się od razu co i jak, i urządził mi na siennikach wygodne łoże pod oknem. „Będzie dobrze. Tu sobie poleżycie u nas. Zaprowadzę was do lekarza i jeśli dobrze pójdzie, dostaniecie się na izbę chorych, a tam jest trochę luźniej“. I uśmiech zycziłwy.

Cela już była zagospodarowana. Wtedy wolno było wypisywać z miasta produkty spożywcze i gospodarz często wał nas jajami, kiełbasą, pieczywem. Ileż razy pragnąłem napisać do niego, dowiedzieć się o nim, podziękować mu za jego zacne serce! Nie znam jego nazwiska. Obiecywa-

łem sobie, że i tak się dowiem, gdy posiedzimy dłużej. Ale los jest kapryśny na Pawiaku tak samo, jak gdzie indziej. Mój kochany gospodarz widząc, że dokucza mi serce i że mam gorączkę, sam zaczął nagabywać dozorcę, aby mnie zabrał na salę „inteligencką“, gdzie można otwierać okna i skąd łatwiej dostać się na izbę chorych. Tymczasem leżałem skulony pod oknem i podrzemywałem, jak się podrzemuje przy niewysokiej grypkowej gorączce i bólu głowy, o ile serce bardzo nie dokucza.

Wspominałem, rzecz prosta, wspaniałości więzienia na Spokojnej. Jakimiż drogami prowadzi los człowieka, zanim go wreszcie porzuci i zdradzi razem z życiem! Zimą 1909 roku jechaliśmy z doktorem Onufrowiczem do Włoch północnych i zatrzymaliśmy się w domu państwa Płoskich w Krakowie. Płoski, wybitny działacz socjalistyczny, był zesłany na Sachalin i przebywał tam z żoną, siostrą doktora Onufrowicza, aż do wojny rosyjsko-japońskiej, gdy Japończycy zagarnęli połowę wyspy po układzie w Portsmouth. Nie mógł, rzecz prosta, wrócić do Królestwa i osiadł z rodziną w Krakowie. W domu tym poznałem wielu ludzi, którzy zdekonspirowani w swej pracy rewolucyjnej musieli uciekać za kordon. Wśród bywalców domu państwa Płoskich szczególnie przypadł mi do serca miły i ruchliwy „Henryczek“, Bartniak, jeden z najdzielniejszych bojowców PPS. Po powrocie z Włoch do Grodziska Mazowieckiego, gdzie szalał straszny gnębiel robotników żyrardowskich, kapitan żandarmerii, Aleksander, nagle i niespodziewanie spotkałem „Henryczka“ w Grodzisku. Uderzyło mnie, że wita się ze mną jakoś opieszale i skraca rozmowę na ulicy, ale nie domyślałem się, że ma powody po temu daleko ważniejsze niż przypuszczałem.

W czerwcu roku 1910 rzucił bombę na Aleksandrowa. Wybuch skaleczył mu nogę. Nie mógł uciekać. Ostrzeliwał się bohatersko na stacji w Grodzisku i wreszcie, ciężko ranny i skopany przez żandarmów, został zawieziony do

Warszawy do cytadeli. Mieszkałem w tym samym domu co Aleksandrow. Po południu w dniu zamachu zjechało do mnie kilku ochraniarzy, zrewidowali bardzo dokładnie całe mieszkanie, pozabierali wszystkie książki, które miały czerwoną okładkę, powydzielali ładne facsimilia rękopisów z kosztownych wydawnictw, jako podejrzane, i przekazali mnie żandarmom. Ktoś musiał mnie widzieć przy moich przypadkowych spotkaniach z „Henryczkiem“. Sprawa była groźna.

A jednak, cóż to było za życie w porównaniu z kryminałem niemieckim! Nikt ostatecznie nie był pozbawiony sądu i obrony. Sędziowie rosyjscy bardzo często zgola krytycznie odnosili się do oskarżeń ochrony i żandarmów i wydawali wyroki uniewinniające. Więźniowie nie byli odcięci od świata zewnętrznego, mogli sprowadzać do więzienia rzeczy potrzebne, książki, jedzenie. Jakoś na trzeci dzień po moim aresztowaniu w r. 1910, do więzienia przyszedł Andrzej Niemojewski z eleganckim mecenasem Papieskim i naczelnik więzienia, kapitan Carikow, nie miał nic przeciwko temu spotkaniu w jego kancelarii. Zresztą w kancelarii tej odbywały się regularnie t. zw. rauty, gdy przychodziła księżna Woroniecka i wzywała do kancelarii akurat tych więźniów, o których wiedziano, że muszą się z sobą porozumieć i pragną się zobaczyć. Ktoś bawił kapitana Carikowa, a więźniowie rozmawiali z sobą o czym było trzeba. W przepaścistej kieszeni ks. Woronieckiej zniknęły „grypsy“ przeznaczone dla przyjaciół na wolności. A ci przyjaciele czuwali. Pierwszą rzeczą z ich strony było zamawianie obiadów w pobliskiej restauracji. Czasem dostawało się takie obiady dwa, a nawet trzy, od różnych przyjaciół nie wiedzących o sobie nawzajem, i można było obdzielać nimi tych, co nie mieli nikogo, kto by się o nich troszczył. Inne były czasy, inni ludzie.

Niemiec podchodził do tych rzeczy inaczej. Nic może nie charakteryzuje Niemca tak dobitnie jak „nabzdyczenie“. Biurokrata niemiecki, policjant, czy pedel uniwersy-



tecki, nabzdyczał się zawsze, ilekroć ktoś musiał korzystać z jego informacji czy usług. Nawet buchalter w jakiej firmie, który dopiero co płaszczył się przed „oberbuchalterem“, od razu się bzdyczył, gdy zbliżał się do niego ktoś niższy rangą buchalteryjną. Nie bzdyczył się tylko sklepikarz niemiecki. Ten zginał się w ukłonach i komplementach przed każdym, kto mógł w jego sklepie coś kupić. Nie bzdyczył się też komiwojażer niemiecki, układny zawsze, grzeczny, usłużny. Ale gdy taki komiwojażer stawał się ministrem, jak np. Ribbentrop, od razu się bzdyczył. Wszyscy pamiętają jeszcze komiczną postać Ribbentropa podczas odwiedzin w Warszawie r. 1938, gdy pękał z napuszenia. Albo jeszcze wcześniej, gdy jako ambasador Rzeszy arcykomicznie pozdrawiał króla angielskiego niemieckim „grussem“, trzaskając obcasami i wyrzucając w górę prawicę. Wiemy, że ten usłużny, lizusowaty i mydlkowaty komiwojażer był krwiożerczą kreaturą zgoła pierwszego sortu. Polaków polecał mordować, osiedla palić.

Cóż więc mówić o najróżniejszych odmianach himmlerzystów, gdy nawet taki minister spraw zagranicznych popisywał się zbydłęcieniem. Wszystko się bzdyczyło, a największym i najbardziej typowym przedstawicielem tego bzdyczenia był Adolf Hitler i jego prawa ręka: Hermann Goering. Nie było to bezinteresowne, bo chodziło o puszczanie strachu na niemieckich janczarów i na nie-niemieckich „podludzi“. Tym, co się ludzą, że Niemców można wychować i wyzwolić, należało by ofiarować jedno z albumowych wydawnictw nazistowskich przedstawiających marsze i parady tych filistrów, którzy tak namiętnie lubią być tłumem, masą, kupą, zbiorowiskiem. Jakże mocno ludzie ci są przywiązani do swego feldfebelstwa, kapralizmu, sierżantstwa, gefreiterstwa! I nie wiadomo, co u nich jest wyższą postacią rozkoszy: komenderowanie czy słuchanie komendy. Gdy Niemiec słyszy słowo „ludzkość“, to odbezpiecza rewolwer; gdy zostanie porządnie kopnięty, to staje z radością i uwielbieniem na baczność. Tylko ta jego



właściwość może nam otworzyć oczy na przyczyny postępowania Niemca. Dystans! Szereg, tłum, kompania, dywizja. Dziesięć dywizyj! Sto dywizyj! Zgłupiały Frank, generalny gefreiter krakowski, wypisze sobie świadectwo ubóstwa moralnego, gdy zacznie się wygłupiać, że koniec z Kazimierzem Wielkim, bo teraz jest on — **Hans wielki** czy wielki Hanswurst. Tak sobie wymierzył ten kauzypierda dystans wzwyż. Nie łatwo znaleźć takiego pyszałkowego goryla na przestrzeni paru ostatnich stuleci, jeśli pominąć wielkiego nabzdyczeńca Mussoliniego. Ale też daremnie szukalibyśmy wielkiego filozofa w Anglii, czy we Francji, który by — jak Immanuel Kant — dedykował swoje główne dzieło „Krytykę czystego rozumu“ bandycie i łupieżcy Fryderykowi II, podpisując się jako „**najpoddańszy pies**“ (**untertänigster Hund**). Gdzie na całym świecie jest taka olbrzymia rozpiętość między samouwielbieniem i samoupodleniem?

Niemiec musi mieć wszystko największe. Największą armatę, największe zwycięstwo, największy porządek, największy przemysł, największą gębę samochwała. Nic go nie doprowadza do takiej wściekłości jak to, że ktoś może go nie uznawać, patrzeć na niego krytycznie, śmiać się z niego. Opowiadano mi, że gdy gestapowcy szaleli w obozie w Radogoszczy, jakiś biedny epileptyk, niezupełnie normalny, przerażony tym co widział, rzucił się na kolana i prosił, aby go nie bili „jaśnie wielmożni panowie Niemcy“. Gestapowcy byli tak zaskoczeni tym hołdem półgłówka, iż nie tylko że go nie bili, ale co więcej, uwolnili go natychmiast z obozu. Miarą strachu przed Polakami i szacunku dla ich bohaterstwa i pogardy śmierci, jest rozkaz Hitlera zrównania Warszawy z ziemią. Gipsowanie ust i wiązanie rąk mordowanemu, to także wyraz nieprzyznawanego podziwu dla Polaków. I właśnie to wymuszone na Niemcach poszanowanie dla polskiej siły ducha doprowadziło ich do szału.

Kazdy z nas wiedział, że od pierwszego lepszego łobuza

niemieckiego zależy nasz los, nasze życie, ale któż byłby pomyślał o upokorzeniu się przed Niemcem, który budził odrazę nieprzewyciężoną? Życie nie trzeba koniecznie, zachować cześć wolnego człowieka — trzeba koniecznie! To się czuło, chociaż się tego nie mówiło. I z tego poczucia płynął spokój. Jestem w ręku swego najgorszego a zarazem najnikczemniejszego wroga. Nie jestem panem najbliższych dziesięciu minut. O moim życiu może zadecydować wczorajszy kelner kawiarni berlińskiej, któremu rzuciłem sowity napiwek i który zgiał się przede mną w głębokim ukłonie. Dzisiaj ma broń w ręku i przychodzi się zemścić za to, że nie ja byłem kelnerem jego i nie on mi rzucił napiwek.

Oto cały sekret herrenvolkizmu. Wielki pan — to ów matematyk grecki, co siedząc na ziemi kreślił figury geometryczne w obecności Aleksandra Wielkiego, którego nie przyjmował do wiadomości. „Co mogę zrobić dla ciebie“? — pyta wielki wódz. „Zejdź mi ze słońca!“ — odprawił wielkiego władcę wielki pan. Czy można sobie wyobrazić, że w podobny sposób postąpiłby jeden z niezliczonych profesorów niemieckich? Zażądałby uznania, że „Deutschland über alles“, że miasta greckie pobudowali Germanie, że Homer urodził się w Norymberdze, a Sokrates pochodzi z Buxtehude. Z czego wynika, że Grecja powinna zobowiązać się traktatowo do oddawania wszystkich oliwek „nur für Deutsche“, że z portów swoich ma zrobić bazy dla podwodnych łodzi niemieckich i w ogóle pójść sobie na Kretę!

Niemiec nie znosił konkurencji. Dlatego walczył z Anglią, dlatego rzucał się na Francję, dlatego chciał zgładzić Polskę i Polaków. Dla tych samych powodów gnębił Żydów. Zdaje się, że w roku 1920 na 34 nagrody Nobla przyznane za wybitne zasługi uczonym i pisarzom niemieckim — 11 nagród przypadło Niemcom pochodzenia żydowskiego, czyli wyrażając się językiem szowinistów niemieckich: Żydom! Było 65.000.000 Niemców i 600.000 Ży-

dów, to znaczy że na każdym stu Niemców nie przypadł nawet jeden Żyd. Powinni byli otrzymać wszystkie nagrody Nobla, a Żydzi tylko 1/100! A ci otrzymują 1100 razy więcej, niż im parytetycznie przypada. Rozsądny człowiek byłby sobie zadał pytanie co to właściwie jest: pracowitość, zdolność, talent, geniusz? Niemiec rozsądnym człowiekiem nie jest: organizmowi przeciwstawia mechanizm, siłę inteligencji narzuca pęta. Porównajcie doktora Ehrlicha z Goeringem. Tu władca i pogromca morderczych mikrobów przez 606, tu władca 65 milionów dobrowolnych zer. Porównajcie „Czarodziejską Górę“ Tomasza Manna z kant-maszynką militarną Hitlera! Przypomnijcie sobie słowa nazistów o Jezusie: „Nawet Goethe mógłby od biedy być dowódcą kompanii, ale Jezus...“ Niemiecka miara wszechrzeczy: kompania, batalion, dywizja, luftwaffa, panzerwaffa, SS-waffa... Uf! Co za paskudny żargon! Kiedy to jakiś naród cywilizowany mówił i myślał takimi kategoriami?!

Tak się myślało o Niemcach w niemieckim kryminale. Ale Niemiec w swoim „hausordnungu“ nikomu nie pozostawiał zbyt wiele czasu na myślenie. Od wielkiego Fryca nauczył się, że poddany i podwładny winien wszystko robić na komendę: nawet oddawanie waterclosetowi co jego jest. Och, te poranne procesje więźniów ku wychodkom! Ciasnym korytarzem sunie tłum ludzki, a obok niego jacyś desygnowani bliźni niosą na drągach ciężkie śmierdzące kubły! Gdziekolwiek pojawi się Niemiec, wszędzie mnożą się latryny, SAmany, hitlerjugendy i deutsche Mädle. Jedno śmierdzi Niemcem fizycznym, drugie — moralnym, czy raczej amoralnym. Widzieliśmy, jak Niemcy wzięli się do rozkopywania ogrodu szkolnego w Żyrardowie. Cóż to? Okopy? Nie, latryny. Jak to, tak w ogrodzie? Och, osłoni się je ładnie katedrami, barykadami z ławek szkolnych, ostatecznie pozawiesza się je mapami polskimi, których już nikt i nigdy nie będzie przecie potrzebował. Teraz Niemiec rządzi na Pawiaku i Pawiak śmierdzi.

Tłum ludzi w ogonku. Powietrze odpowiednio, nastroj przygnębienia i zawstyżenia. **Ordnung muss sein!** Niemiec od strony zwierzęcej jest straszny, od strony swego niedoczłowieczenia — komiczny. Chce rozkazywać wstytkiemu: nawet kiszkom i nerkom. **Eins, zwei, drei...** Ostatecznie te wędrówki do W. C. przemieniają się w raut polityczny, którego dalszym ciągiem jest spacer na dziedzińcu wieziennym. Nie Arkadia, oczywiście, ale lepiej, niż w cuchnącej celi. Mój zacny gospodarz *podaje mi ramię i mówi* o rzeczach ciekawych obejrzawszy się naprzód za siebie czy tam są swoi, czy obcy, niedość znani. Gdy jest coś bardziej poważnego do omówienia, to się tak manewruje, żeby się dostać na sam koniec poloneza. Pary spacerujących zmieniają się często. Teraz ten z tym, potem tamten z owym. Wymiana wiadomości, przestrog, pouczeń. Na wieżyczkach wartownicy u karabinów maszynowych. Kamienice warszawskie, wyrastające wysoko ponad mur wiezienny, ponury mają aspekt. Powyrywane okna, deski zamiast szyb, poszarpane dachy. Tylko z rzadka w jakim oknie ukaże się oblicze ludzkie. Czasem czyjes ręce dają znaki rozwarciem dłoni, zamknięciem, podniesieniem palców, złożeniem rąk. Jest między nami jakaś stacja odbiorcza tych znaków, ale nie szukamy jej, przeciwnie, udajemy, że niczego nie dostrzegamy.

Spacer się kończy i wartownik czuwający nad nami daje znak: do cel! Na całe dwadzieścia i cztery godziny w zaduch, smród, niepokój wyczekiwania i nudę! Przed badaniem musimy skruszeć. Niemiec jest majster w obrzydaniu ludziom życia. Śpiewacy krzyżacy śpiewali spętany jeńcom krzyżackim podczas pijatyk tych dziwnych zakonników, którzy mieli krzyż na piersi a w piersi szatana: „Co was boli, to dla nas jest rozkoszą“. Ponieważ niemiec ciągle łaknął rozkoszy, więc ciągle musiało kogoś coś boleć. Tak to szło przez całe stulecia aż do starego raubrittera Bismarcka, który w 1871 roku złupił Francję a w piętnaście lat później wołał w Landtagu pruskim:



„Bijcie Polaków dopóki im się życie nie zmierzi... Jeśli my mamy istnieć, to ich wytępić musimy“. Wilk nie wienien temu, że Bóg stworzył go takim, jakim on jest. Był to ten sam Bismarck, który do ojca kanclerza Bülowa, wywłaszczyciela Polaków, powiedział, że „Fryderyk II ukradł Śląsk, a jednak jest jednym z największych ludzi tego świata“. Jeśli wiedział, że Fryderyk II ukradł Śląsk, to tym bardziej wiedział, że ukradł Polskę. A jednak każe bić Polaków, aż im się życie zmierzi. Tym energiczniej zabrał się do zmierzania ludziom życia głupawy Hitler. Jego dojście do władzy poprzedziła masa mordów politycznych i samobójstw.

W czerwcu roku 1934 krwawa rzeź wśród jego przyjaciół i sprzymierzeńców. Potem nikczemny mord na kanclerzu Austrii Dolfusie i wreszcie masowe samobójstwa po wkroczeniu hitlerostwa do Austrii.

Nie możemy spodziewać się niczego dobrego po Hitlerach. Gdzie Niemiec staje, tam trawa schnie. Murzyn umiał być wspaniałomyślny, Indianie bywali wybitnie rycerscy dla swoich przeciwników, nawet dzikie zwierzę nie zawsze bywa pozbawione cech rycerstwa, ale Niemiec jest zawsze cham i zawsze wiarołomny. Nie ma takiej zbrodni, której nie dopuściłby się, gdy obiecuje sobie po niej jaki taki zysk. Władca rzymski Cyncynat, który sam orał swój kawałek ziemi, nie przyjął złota od podbitych Samnitów, oświadczając im, że dość mu na tym, iż panuje nad takimi, co złoto mają, ale Hitler kradł zegarki uważając, że są one tylko dla Niemców. Pawiak był nabity mściwymi myślami więźniów jak dynamitem. Nie trzeba było plotek o Niemcach, bo widzieliśmy ich z bliska przy ich niecnej mordczej robocie.

Patrzyliśmy po sobie: który z nas ocaleje, który zginie? Który musi być ofiarą, który stanie się mścicielem? Że Niemiec ostatecznie zostanie pokonany, o tym nikt nie wątpił, prócz Niemca. Dni płynęły mroczne, duszne, jadowite. Gdy nam dawano zupę na obiad, czuliśmy bratnią



dłoń polską, która od ust sobie odejmowała, abyśmy my nie głodowali. Pamiętajcie jeszcze czarne cegiełki z bryłek węgla z obrazem kajdan i słowami: Chleba naszego powszedniego...? Niemiec tolerował tę akcję dożywiania więźniów, bo to było zrazu korzystne, ale gdy mu przyjdzie na myśl, że lepiej więźniów głodzić i dobijać głodem, przestanie tolerować pomoc dla więźniów. Bo — „co was boli, to dla nas jest rozkoszą”. Za tamtej wojny wykroczenia przeciwko przepisom przemiałowym były karane grzywną przez kreischefów niemieckich, teraz żołdat niemiecki puszczał młyn z dymem, a młynarza ciężko obijał albo i zabijał. Siedzieliśmy w więzieniu nie za wykroczenia przeciwko jakiemuś prawu czy choćby przepisowi policyjnemu, ale dlatego, że zapanował kult bezprawia i że Niemiec pisze nam zagładę i stawia sobie za cel wymordować nas jak najwięcej. Nie przerażała myśl o zagładzie indywidualnej, ale smutno było, że nie widać jeszcze brzasku dnia, w którym gad zostanie przydeptany i zmiażdżony.

W tych dniach ponurych, gdy byliśmy narodem skazanym na śmierć, jak za księcia Alby skazane były na śmierć Niderlandy, gdy nic się nie działo, gdy wydarzeniem było łązenie po dziedzińcu więziennym podczas krótkiego spaceru, albo rozdawanie posiłku, gdy życie nasze podobne było do wyczekiwania na przybycie kata, dużym wydarzeniem stało się dla mnie przeniesienie na salę „inteligentką”. Przeniesiono nas tam razem z Czapińskim. Wrażenie było duże, bo zastaliśmy tam resztę Karolińczyków: Nowaczyńskiego, Smolarskiego, Stępowskiego... Dowiedzieliśmy się też, że razem z nimi została aresztowana Mira Zimińska, która podniosła głos przeciwko chamskim metodom gestapowców. Nowaczyński, pozbawiony swego codziennego tonicum w postaci kawy, siedział osowiały i zmęczony przy oknie, miejscu uprzywilejowanym, Smolarski i Stępowski łązili z miejsca na miejsce. Wydawca Łazarski gawędził z literatami na temat prac, które trzeba będzie napisać i wydać, subtelny artysta Gerżabek portre-

tował jednego z więźniów. Paru chorych leżało na łóżkach. Posłowie, starostowie, adwokaci, lekarze, oficerowie policji, urzędnicy, prali skarpetki, przyszywali guziki do marynarek czy spodni, czytali.

Dziwna rzecz: instynkt człowieka, ta pierwotna niezawodząca mądrość! Spojrzysz na człowieka i instynkt mówi ci: brat! Albo mówi: wróg! Albo napomina: uważaj! Podchodzi ktoś z dobrym słowem i uściskiem dłoni. Pyta, czy się widziało ostatnio tego a tego. Co porabia? Jak się ma? Czy go się nie czepiali? Płyńie miła pogawędka o wspólnych znajomych, o sprawach i zdarzeniach. Przysiada jeszcze ktoś. Przyjaciele. Ale nagle czyjeś ucho pochyla się w naszą stronę i rozmowa utyka. Oczy zaczynają usilnie patrzeć oknem. Baczność, mówcie o pogodzie, albo opowiadajcie sobie kawały. Zły człowiek? Niekoniecznie, ale może taki, co nie ma wrodzonego talentu trzymania języka za zębami.

Na sali wspólnej jest niemal jak w szpitalu: okna normalne i dość duże. Widać przez nie dziedzińczyk z bramą wjazdową. Tędy wyjeżdżają rankiem ciężarówki z Żydami wożonymi na roboty. Za bramą stoi zawsze mnóstwo krewnych, kobiet i dzieci przeważnie. Rzucają więźniom paczki z jedzeniem. Niejedna z tych paczek spada na ziemię i koła ciężarówki ją miażdżą. Eskorta niemiecka się śmieje. Kobiety krzyczą. Z ciężarówki padają jakieś słowa, nawoływania. Wreszcie wehikuł znika i tłum się rozchodzi. Niejedna z kobiet płacze, że nie zdołała podać paczki synowi czy mężowi. W ciągu dnia z rzadka tylko otwiera się brama: jakichś towarzyszy wiozą na badanie w Aleje Szucha. Kogoś przyprowadzili, ktoś został zwolniony. Poprzez bramę widać część ulicy i umiarkowany na niej ruch. W otwartych oknach przeciwległych kamienic z rzadka pojawi się czyjaś sylweta. Siedzimy u tych okien i używamy świata, którego nie ma w celach z oknami pod sufitem i grubymi kratami.

Pewnego dnia przychodzi dozorca z kartą w rękę i wy-

mienia nazwiska. Wszyscy uważają. Pada i moje nazwisko. Na badanie! Wołają Nowaczyńskiego. Prędeż, panowie. Bierzemy płaszcze i kapelusze, wyrzucamy z kieszeni co niepotrzebne i wsuwamy do nich kawałek chleba na wszelki wypadek. Na dziedzińcu stoją ciężarówki. Och, jakże trudno będzie wdrapać się na nie przy chorym i słabym sercu! Ale „jak trzeba, to musi!“ Ciężarówka brudna. Ślady tłuszczów czy smarów, krwi czy rdzy. Stoimy bezradni. Żeby tak ławka. Skądże! Jeszcze im się komfortu zachciewa! Esmani krzątają się koło maszyny i wreszcie jakiś bardzo zakazany pysk wrzeszczy: „Szedźycz!“ Siadamy akurat w czas, bo ciężarówka rusza i gdybyśmy nie byli usiedli, to byłibyśmy się zwalili na nos. Jedziemy żwawo, ale niewiele widzimy, bo płachta zasłania widok ulicy. Czasem, gdy ją pęd powietrza odgarnie, ukazują się pogorzeliska. Ale widzimy także spacerujące kobiety, wózki z dziećmi, a tu i ówdzie migną resztki świetności stolicy.

Wreszcie jesteśmy u celu. Straszliwe słowo: Aleja Szucha! Cetno czy licho? Życie czy śmierć? Bo tu szumowina moralna narodu chamów decyduje o losach ludzi cennych, wartościowych, często takich, że ze stu tysięcy tych „władców“ nie dało by się skomponować ani jednego równego im. Ale subiekci ze sklepów bławatnych, kelnerzy i mechanicy niemieccy przemundurowani na SS albo SD, orzekną nieodwołalnie kto ma prawo żyć dalej, a kto musi umrzeć w obozie. Serce tłucze się w piersi niespokojnie, jak zawsze w chwilach rozstrzygających, losowych. Gmach piękny, ale jego chwilowe przeznaczenie jest straszliwe. Okna suterren otoczone są drutami kolczastymi. Pełno wartowników. Przez eleganckie drzwi wchodzą i wychodzą oficerowie, czasem bardzo wysocy. Mimo woli spoglądam na swoje spodnie tak straszliwie zmaltretowane przy dezynfekowaniu mego garnituru. Robiłem co mogłem, aby wyrównać niedobory toalety, ale to się na nic nie zdało. Jedna nogawka to kolekcja obwarzanków nanizanych na

sznurek, druga jest taka, jakby specjalnie szyta dla kogoś z nogami w literę X. I płaszcz też jest żałosny, chociaż z dobrego materiału i przez dobrego krawca uszyty.

Prowadzą nas zszeregowanych, sprawdzają, odnotowują. Ach, **ordnung**, psiakrew, **muss sein**, choćby się świat miał zawalić. Wchodzimy do głębokich cel niby do kapliczek. Ławki są tak poustawiane, że musimy siadać tyłem do korytarza i nie możemy widzieć, co się za nami dzieje. W kapliczce nie ma ołtarzyka, ale jest napis: Milczeć! Wszyscy milczą. Elegancy panowie, ubodzy robotnicy, młodzi, starzy. Wszyscy odczytują ten napis i wsłuchują się w swoje myśli ponure. Za chwilę zawołają, każą się przyznawać, każą wymieniać może jakie nazwiska. Któż to wie? Siedzimy długo. Za mną Nowaczyński. Jakieś kroki na korytarzu, wojskowe, ciężkie, germańskie. Mam spokojną świadomość, że tu się ważą moje losy. Każą mi zginać, albo odroczą mi śmierć. Znowu ta filozofia fatalistyczna: sto tysięcy lat temu Bóg wiedział, co się ze mną stanie tutaj, przy Alei Szucha. Na myśli niemal wyczuwalnie spływa zupełny spokój. Bóg wiedział, a skoro wiedział, co się stanie, nie może się nie stać. Musi się stać. Chce mi się odwrócić do Nowaczyńskiego i pocieszyć go tą filozofią. W głowie coraz jaśniej. Może by mi Nowaczyński odpowiedział, że Boga może nie ma, więc cała ta koncepcja oparta na wszechwiedzy Boga upada. Ale ja mam już gotową niecierpliwą odpowiedź. Czy pan nie rozumie, panie Adolfie, że istnienie czy nieistnienie Boga nic tu zmienić nie może? Wystarczy najzupełniej sama koncepcja wszechwiedzy. Gdyby pan w tej chwili stał się wszechwiedzącym i mógł spojrzeć na chwilę obecną i na to miejsce z perspektywy Amenhotepa IV czy Hammurabiego, czyliż nie musiałby pan zobaczyć to, co jest? A więc tę wojnę, samoloty, łodzie podwodne, Hitlera, głupotę uczestników tej wojny, czołgi i nas obu tutaj siedzących przed napisem: Milczeć! Przecież to takie jasne!

Chciałbym tak rozmawiać z Nowaczyńskim, ale nie



mogę odwrócić się do niego bo nie wiem, czy ktoś nie stoi za nami i nie czyha, aby grzmotnąć kolbą rewolweru w łeb. Cisza. Gdzieś na samym końcu korytarza otwierają się drzwi. Lekkie dalekie skrzypnięcie. Znowu cisza. Jakie to dziwne, że nie ma tego dawnego szumu Warszawy, który się słyszało z każdego miejsca i o każdej porze dnia aż do północy i poza północ. Kroki. Dzwonek telefonu. Słyszę swoje nazwisko, ale tak jakoś z daleka, spoza tysiącleci fatalizmu, jakby je wymawiał Asurbanipal czy Kambyzes. Wstaję, odwracam się. Żołnierz SD cofa się o krok, przepuszcza mnie naprzód i wskazuje drogę. Po schodach w górę. Na którejś kondygnacji ładna krata zamyka drogę. Dzwonek. Zbiega lalusz w smokingu, heilhitleruje prawiczką wymanicurowaną, otwiera drzwiczki. Coś mówią do siebie. Jeszcze wyżej. Schody czyste, porządne. Korytarzyk, dużo drzwi, przez okna ładny widok. Jestem spokojny. To było kiedyś, to nie może nie być. To musi być. Jestem spokojny o siebie, o cały świat. Niemiec zostanie pobity. Teraz jeszcze tu panuje, ale jego szczęście, jeśli zdoła uciec.

Otwierają się drzwi pustego pokoju. Gest ręką. Wejść i poczekać. Wchodzę. Biurko z maszyną do pisania, na której wypiszą moje nazwisko i mój los. Fotele i krzesła. Kanapka. Za biurkiem okno jasne i duże. Miły widok Warszawy. Czekam niedługo. Znowu ten lalusz ładnie uczesany, upomadowany, o wymydlonych rączkach. „Czy pan mówi po niemiecku?“ — Nieoczekiwane pytanie. Decyduję się szybko: Tak. „Ale czy dobrze?“ Sądzę, że dobrze. I tak wydobyliby wiadomość, że studiowałem w Heidelbergu. Lalusz skłania się jak kelner i znika. Byłby służył pewno jako tłumacz. Jestem rad, że go nie będę potrzebował. **Traduttore — tradittore.** Tłumacz to zdrajca — powiada Włoch, specjalista od zdradzania. Zresztą już Mickiewicz powiedział: „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie. . .“ Kto wie, co taki może przykconcypować do swoich tłumaczeń! Inteligent. Ma dobrą polską dykcję.



Na pewno foks. Może student uniwersytetu warszawskiego. Mam niemal pewność, że czytywał moje artykuły w „Wiadomościach Literackich“ i w innych pismach, że zna moje ostre charakterystyki hitlerstwa i Hitlera. Do tłumaczenia mógłby dodawać swoje uwagi fatalne. Lepiej, że ja sam...

Czterech oficerów o gębach z rysunków Grossa „Die Gezeichneten“ (Poznaczeni) wchodzi do pokoju, staje przede mną i przygląda mi się uważnie i bezczelnie, jakby oglądali rzecz martwą. Spoglądają po sobie i rechocą wesoło. Jestem zabawny dla nich w swoim wydezynfekowanym garniturze i niegolony od paru dni. Wychodzą i wnet za nimi przychodzi przysadkowaty oficer zalatujący piwem i kiepskimi cygarami. Mam wrażenie, że ci czterej, co właśnie wyszli, zdecydowali o moim losie, a teraz odbędą się już tylko pewne formalności. Za oficerem wchodzi sekretarz. Obaj sadowią się przy biurku. Oficer wskazuje mi krzesło. Siadam u skraju biurka i widzę „swój“ papier: imię i nazwisko, **festgenommen am 7 september 1940 durch Kommissar Scheerer**. Oficer spostrzega moje zaciekawienie i usuwa papier na środek biurka. Mówi mi, że należy odpowiadać zwięźle i wyczerpująco, aby nie tracić czasu. I mówić prawdę.

„Pańska aktywność polityczna?“ — Znowu takie niespodziewane pytanie, ale odpowiedź jest bezpośrednia: — Prawie żadna. Byłem chory i musiałem ciężko pracować na utrzymanie. — „No, niezupełnie żadna“. Oficer daje znak sekretarzowi, aby jeszcze niczego nie pisał. Na arkuszu papieru kreśli sobie jakieś słowa. „Pan dużo pisywał przecie. Co pan pisywał?“ Odpowiadam, że artykuły literackie i publicystyczne. „O, właśnie, publicystyczne. Na jakie tematy?“ Filozoficzne, religiologiczne, literackie. — „Gdzie pan studiował?“ — W Heidelbergu w latach 1903—1907. — „Gdzie pan mieszkał stale?“ — W Żyrardowie, w swoim mieście rodzinnym. — „Dlaczego nie w Warszawie? Literat powinien był mieszkać w Warszawie chyba“. — Mia-

łem zawsze słabe zdrowie, zarabiałem za mało, aby móc mieszkać w Warszawie. — „Pan pisywał o Żyrardowie...” — Tak. Żyrardów po wojnie światowej przeszedł w ręce konsorcjum francuskiego, Boussaca. Krzywdzili robotników, okradali skarb państwa... „Boussac to Żyd?” — Tego nie wiem. „Żyrardów to niemiecki gründung?” — Nie, polski. Założył go polski minister skarbu, Drucki-Lubecki w r. 1827. — „Kierownictwo było niemieckie, oczywiście”. — Nie, francuskie. Wielki wynalazca, inżynier Girard, stąd nazwa miasta. Potem Szkoci, Garviowie. — „Ale ostatnio Żyrardów był własnością niemiecką”. — Tak, od roku 1857, gdy nastąpiła koniunktura przemysłowa. — „Na czym polegała ta koniunktura wspaniała?” — Robotnik był niesłychanie tani, świadczenia społeczne żadne, grunta można było nabywać za grosze, podatki były bardzo niskie, prawie żadne, a do tego stałe kredyty rządowe były obfite i bardzo tanie. W dodatku w roku 1877 była wojna turecko-rosyjska i fabryka żyrardowska szła dniem i nocą... — „Czy pisząc o kapitalistach francuskich, pisał pan także o niemieckich właścicielach Żyrardowa?” — Tak. Zarzucałem Francuzom, że niszczą instytucje pozakładane przez Niemców.

„Dobrze. Zaprotokółujemy, sprawdzimy, ewentualnie postawimy inne pytania...”

Niemiec zwraca się do maszynisty i dyktuje mu krótkie zdania. Po paru minutach każe mi czytać. — „Czy pan to podpisze?” — Tak. — Dyktuje dalej. Maszynista pisze żwawo. W pewnej chwili oficer zwraca się do mnie. „Jest już późno. Potrzebujemy krótkiego życiorysu pana. Och, bardzo krótkiego. Czy może nam pan napisać parowierszowy życiorys?” — Mogę. — Podaje mi papier i pióro. Pióro jest podłe, zardzewiałe. Pisze mi się źle. „A może pisze pan na maszynie?” Chwila wahania. Powiedzieć, nie powiedzieć? Piszę. — Niemiec wychodzi. Sekretarz mówi do mnie: „Było by dobrze, gdyby pan się podał za Czecha. Wszak pańscy przodkowie...” Trzysta lat temu wywędro-

wali z Czech. Jestem Polak. — „No tak, ale ja tylko radzę. Było by lepiej zaakcentować czeskie pochodzenie...“ — Trzysta lat, wrośliśmy w Polskę i polskość. Czeskie pochodzenie jest tylko pochodzeniem. Czeskich przodków szanuję dla ich postawy moralnej wobec ucisku, myślę o nich ze złości, ale jestem Polak. „Szkoda...“

Oficer przynosi mi maszynę do pisania. W uszach brzmi mi jakoś niedobrze to ubolewanie sekretarza. „Szkoda?“ Dlaczego szkoda? Myślę, że może jednak nie należy pisać tego curriculum vitae, ale odpowiadać na pytania. Maszyna jakiegoś obcego mi systemu. Chwytam się tego. Mówię, że na tym systemie pisać mi trudno. Pisałem na „Underwoodzie“. Oficer wstaje usłużnie i przynosi mi „Underwooda“ przenośnego. Piszę ogromnie zwięźle: data i miejsce urodzenia, praca w fabryce. Samouctwo. Uniwersytet za pożyczone pieniądze. Zarobkowanie jako tłumacz. Stałe mieszkanie w Żyrardowie. Choroba... Niemiec patrzy mi przez ramię: „Niech pan nie pisze o chorobie. My to wszystko wiemy“. Czekał zapewne, że napiszę coś, o czym nie wiedzieli. Wstaje. Wstaję i ja. Podaje mi protokół. Czytam go przez zamglone okulary. Czuję, że gorączka mi się podniosła. Jest mi gorąco i duszno. Myślę z rozkoszą o sienniku więziennym. Ta napięta czujność, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, bardzo mnie zmęczyła. Położyć się, rozpiąć koszulę... — „Może pan to wszystko podpisać?“ — pada suche pytanie. — Czy mogę? Nie ma tu nic takiego, czego bym nie mógł podpisać, ale któż wie, co w was siedzi? Może podpiszę wyrok na siebie? Wszystko jedno! To już kiedyś było. To być musi. Co ma być, będzie. Biorę pióro, które mi oficer podaje i podpisuje. Jestem u kresu sił. Gorączka pewno duża, bo okulary mgłą się jak w łaźni parowej. Niemiec bierze protokół, kładzie go sobie na biurku. „Może jeszcze będziemy musieli porozmawiać... Może zainteresuje się panem inny wydział...“

Robi ruch głową jakby mówił, że badanie na razie skończone. Naciska dzwonek. We drzwiach staje żołnierz

SD i wyprowadza mnie. Idziemy po schodach na dół. Inny żołnierz czeka już na mnie i pyta o nazwisko. W książce leżącej na stoliku robi znak i podprowadza mnie do celi.

„Jak tam poszło?“ — pyta szeptem Nowaczyński. — „Na razie niczego sobie“ — odpowiadam równie szeptem. — „Zobaczymy co będzie dalej“. Zapada zmierzch, w naszej celce robi się szaro. — „Długo was trzymali“ — szepce znowu Nowaczyński. — „Czego chcieli?“ — „Dużo by gadać. Powiem potem“. — Siedzimy i czekamy. Robi się chłodno. Jest już wieczór. Chce się pić. Boli głowa. Myślę, czy ktoś z towarzyszy niedoli ma proszek od bólu głowy. — „Ciekaw jestem, jak długo będą mnie badali?“ — szepce Nowaczyński. Ale tego dnia już go nie badają. Przychodzi gestapowiec i każe nam wyjść na korytarz, gdzie w długim szeregu stoją już inni towarzysze niedoli. Niemcy chodzą, liczą nas, notują sobie coś na listach i wreszcie prowadzą nas na dziedziniec. Jestem ostatni w szeregu. Sierżant stojący obok i odliczający dwójki przechodzące koło niego zatrzymuje mnie: „**Halt! Bleiben da!**“ (Zostać tu!) Duszyczka opada w pięty. Serce ścisną lodowate uczucie niespodziewanego lęku. Tyle się przecie słyszało o badaniach przy Alei Szucha! Więc dopiero się zacznie? I jak tu będzie? Zamkną samego w jakiej celi? Pawiak z towarzyszami wydaje mi się nagle pensjonatem pełnym kochanych przyjaciół. Stoję i patrzę w prawo, gdzie ustawiono w szeregu kilkanaście kobiet. I one patrzą na mnie z ciekawieniem i współczuciem. Ich oczy zdają się mówić: „O, biedaku, będziesz się miał z pyszna!“

Na korytarzu zaczyna być już nie chłodno, ale zimno. Staram się wymiarkować, za które drzwi mnie zaprowadzą. Tak bardzo chciało się pogadać z Nowaczyńskim i z przyjaciółmi, którzy po południu odprowadzali mnie spojrzemianami. Kiedyż wolno mi będzie usiąść? Ile to już razy stało się w takim niemieckim szeregu! Pierwszy raz było to 13 września 1939 roku na polu za Żyrardowem, gdzie nas trzymano w szeregu od piątej rano do dziewiątej. Co



za specjalna uciecha dręczenia ludzi na taką feldfeblowską manierę! Kobiety stoją znieruchomiełe i przestępują ze zmęczenia z nogi na nogę. Przychodzą SD-many i wdzięczą się do kobiet. Jest wśród nich jeden pysk arcy-paskudny z obleśnym uśmiechem. Jego oczy nie mówią, ale wykrzykują pod adresem co ładniejszych kobiet jakieś bardzo plugawe propozycje. Przechodzi przed frontem i puszy się swoją wszechmocą. Pysk na glanc, jak po wyżerce na typowym niemieckim *schweineschlachtfeste*. Bezczelność i bezwstyd na pokaz.

Obojętnie na to wszystko. Głowa boli coraz bardziej. Serce bije szybko. Pragnienie staje się coraz dokuczliwsze. O, miłosierdzie rzeczy nieżywych! Poduszko dobrotliwa, stołeczku drewniany, usłużny i pokorny, jasnie wielmożny wielki sienniku z kocem, pod którym można ukryć dygotanie zmęczonych mięśni! Szklanko pełna czystej wody! Leku nasenny, niosący ukojenie! Wszystkie rzeczy martwe wydają mi się pełnymi życzliwości i miłości dla człowieka. Tylko niemiec, ta rzecz od innych bardziej martwa i tępa, niczym nie przypomina tego kamienia, na którym wsparł głowę patriarcha, aby śnić o drabinie wiodącej z ziemi ku niebu. Obok Niemca śnić się może tylko drabina wiodąca do cuchnących piekieł wiekuistego zatracenia. Nie ma w nim ani krzty miłosierdzia i dobroci rzeczy martwej. Nie ma w nim szlachectwa duszy psa, jednego z tych psów górskich, które ratują zbłąkanych wędrowców i odkopują ich dla życia, spod śniegów. Niemiec jest tylko Niemcem, człowiekiem o wielkiej sztuce bezwstydu i bezczelności. Dziwił się wszak Niemiec Nietzsche, że jego ziomkowie Niemcy nie wstydzą się być tylko Niemcami, to jest zapomnianymi przez Boga tworamami, w których zatraciła się zwierzęca niewinność, a nie zrodziła ludzka mądrość dobroci i dobroć mądrości.

Już nie pamiętam, kto i kiedy skomenderował „Los“ i kiedy powiadaliśmy do omnibusu, który zawiózł nas z powrotem do więzienia. Kancelaria! Przed nią trzeba



znowu stać w szeregu. Wywoływanie nazwisk. Obleśna wyglancowana gęba SD-mana oblatuje lubieżnymi ślepiami ładną aresztantkę. Inne jego kamraty czynią to samo. Ech, głupcze! Twoja Greta dożywia się na przydzielonym jej jeńcu, na łapankowym robotniku rolnym. Zanim mnie tu przywieźli, dostałem od młodego magistra filozofii, wywiezionego spod Warszawy do Rzeszy, list, raczej gryps — przesłany okazyjnie — w którym pisze o pracy, o nadziejach i przygodach. „Do obsługi mam trzy krowy, pięć świń, osiem owiec i jedną bardzo sentymentalną Saksonkę“. Mściwe wspomnienie odplaca się tej niemieckiej męskiej podfruwajce. SD-many przekazują nas więzieniu, kancelaria wypisuje pokwitowania i wreszcie: „Los!“

Przychodzę na „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ śpiewane szeptem i wpadające w ucho dziwnie mile. Czapińskiego jeszcze nie ma. Wożą go na badania co dzień i wraca z nich coraz bardziej zgnębiony. Młody przyjaciel, którego nazwiska nie znam, niestety, widząc że jestem chory oddaje mi swoje łóżko, a sam układa się na podłodze. Ileż razy wspominałem go, aby się dowiedzieć czy żyje i gdzie przebywa. Był bibliotekarzem naszym i zaopatrywał nas w książki. Nosił bardzo grube szkła. Łóżko, które mi oddał, było pierwsze od okna z lewej strony, gdzie siadywał Nowaczyński i gdzie miał kącik Czapiński. Gdyby się poznał w tym chaotycznym rysopisie, byłbym szczęśliwy otrzymując od niego znak życia.

Spałem źle, budziłem się co chwila i widziałem za każdym razem to, co w języku potocznym pewnych osób nazywa się „brajgiel“. Śród więźniów nie brakło ludzi poważnie chorych na serce i ci, nie mając pod głową spiętrzonych poduszek, musieli siadać co chwila. Siennik leżał przy sienniku i trzeba było mieć nadzwyczajne czucie w nogach, aby nie nadepnąć na czyjąś twarz, gdy kto musiał w nocy wstawać. W ciągu dnia sterty sienników piętrzyły się wysoko. Sala ta miała jednak swoje dobre strony: przez okna widać było część ulicy i tamtędy docierały do nas różne wiadomości przy pomocy zmyślnej

sygnalizacji. Był to trzeci krąg z systematu Dantejskiego. Pierwszym była cela suterenowa, drugim — cela na piętrze, trzecim — sala „inteligencka“. Mój zacny przyjaciel z drugiego kręgu, gospodarz celi, nie tracił mnie z oczu i podczas spacerów zdecydował, że jednak powinienem pójść do lekarza. Sam mnie do niego zaprowadził. Lekarz wysłuchał serce i zmierzył ciśnienie, po czym kazał przenieść mnie na izbę chorych.

Straciłem z oczu Czapińskiego i Nowaczyńskiego, Smolarskiego i Stępowskiego. Przed przeniesieniem mnie na izbę chorych, Czapiński prosił o spełnienie pewnego zlecenia. Przepowiadał mi możliwe zwolnienie. Co do siebie miał przecucia najbardziej pesymistyczne. Potrzebował trochę bielizny i różnych drobiazgów. Miałem te jego potrzeby zakomunikować jego domownikom, jak tylko nadarzy się sposobność. Do izby chorych szło się przez dziedzińiec i podczas przenosin ujrzałem nagle przyjaciela, Wójcika, kierownika szkoły czy inspektora nawet. Siedzieliśmy w roku 1910 razem na Spokojnej, wmieszani w sprawę zamachu bombowego. Spotkanie było wzruszające, jak to już w podobnych wypadkach zawsze bywa. Tegoż samego dnia kochany recydywista i niepoprawny spiskowiec opuszczał więzienie po dość długiej kwarantannie i przekazywał mi w spadku swoje łóżko, słoik cukru i łyżkę, która była równocześnie nożem, a raczej piłką, niegroźną dla mięsa, które czasem dostawaliśmy, ale nie bardzo bezpieczną dla ust jako łyżka. Jednak w więzieniu potwierdza się w całej pełni trafność przysłowia, że „jak się kto przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej“. Izba chorych była raczej rajem.

Tu otrzymywało się własne łóżko i nie było potwornej „paraszy“ u drzwi, ale był elegancki W. C. Towarzystwo było dość jednolite: inteligencja zawodowa, wojskowi, sądownicy, duchowni, działacze partyjni. Wyjątek w tym zespole tworzył Chińczyk, który Bóg wie jakimi drogami dostał się na Pawiak. Przywitał mnie kochany sędzia Sądu Najwyższego, Rapaport, zapewnieniem, że będzie dobrze.

Któż byłby śmiały wątpić o tym? Nie odbierano nam tu ubrania cywilnego, ale wszyscy nosili na ubraniu zgrzebne kitle i spodnie więzienne, co dawało nam aspekt poważnych kryminalistów. Tu się grywało w brydża na stoliku zaimprovizowanym z walizki ułożonej na kolanach albo na dwóch krawędziach łóżek. Tu kochany proboszcz z Milanówka, właściciel worka cebuli, obdzielał nas „świeżą witaminą“, bo jedzenie z kotła zabijało wszystkie witaminy.

Jakaż to była rozkosz leżeć na własnym łóżku i drze-  
mać! Rozkosz tę zakłócał mi sąsiad — major w mundurze  
polskim, który czytał pół-leżąc jakąś książkę ciągle na tej  
samej stronie. Zrywał się nagle, potrącał łóżko i budził  
mnie z dobroczynnej drzemki. Przebiegał parę razy od  
łóżka ku drzwiom i znowu zaczynał czytanie. Czasem na  
sali rozległ się dyskretny śmiech, gdy ktoś opowiedział  
dobry kawał, czasem ostre syknięcie przerywało nagle  
cichy szmer miłej pogawędki. „Gessstapo“! — wiało od  
drzwi i sala zamierała. Dwie potwornie paskudne czapy  
wygięte od przodu i tyłu, skomponowane przez samego  
Hitlera, nakrywały dwa łby małopodów rasy i klasy.  
Stawaliśmy przepisowo u łóżek i z twarzy zrzucaliśmy  
wszystko, co było ludzkim uczuciem upodabniając się do  
drzewa, muru, żelaza. Napięcie mijało, gdy gestapowcy  
przechodzili obok nie zauważając, ale pogłębiało się, gdy  
kogoś przykiwali do siebie i kazali się pakować. „Mitkom-  
men!“ Odchodzący nie patrzył na nikogo i tłumił w sobie  
uczucia, które były przecie jawne dla każdego z nas.

Płynął dzień po dniu, noc po nocy. Okna sali wycho-  
dziły na dziedziniec. Kotłownia, sterta węgla i żużła, krót-  
ki spacer więźniów z gmachu głównego i dłuższy spacer  
nasz. Według ruchu na dziedzińcu, pojawiania się gesta-  
powców i SD-manów, i z wyrazu twarzy wartowników  
i wartowniczek, i z żywości ich gestów staraliśmy się wró-  
żyć niefachowo o tym, co dzień przyniesie — jak fachowe  
wieszczki wróżą na sitku albo z fusów kawy. Szóstym

zmysłem wyczuwaliśmy — często bardzo trafnie — rzeczy niedobre, tak zwany „swąd“. Ale mówiliśmy zawsze o czym innym. Była to kwestia taktu. Gorączka moja podnosiła się i opadała, bóle głowy były i lżejsze, i ostrzejsze. Sąsiad z przeciwległego łóżka, lekarz, podawał mi proszek od bólu głowy, a Januszek Stępowski, który z ciężkim ischiassem przywędrował za mną, zdobywał gorącą herbatę i poił mnie z menażki siadając nieischiasową stroną swej osoby na krawędzi łóżka. Golił nasze parodniowe zarosty elegancki fryzjer warszawski. Pieniądzy nie mieliśmy oczywiście. Nie chodziło mu o nie. „Jak sobie ci dranie pójdą, to mnie pan odwiedzi. Krakowskie Przedmieście 67. Lorenc“. Było tam dobrze wśród kochanych, zacnych, dobrych ludzi.

Pewnego dnia gospodarz izby, radośnie podniecony, przybiegł do mnie: „Na wolność! O pierwszej!“ Była jedynasta. Jeszcze dwie godziny! Gdyby mi byli powiedzieli, że zostanę zwolniony za dwa tygodnie, byłbym się pewno burzliwie cieszył i dziękował Bogu, że to już. Ale dwie godziny! Cała wieczność. I niepokój, czy to aby nie pomyłka i czy ktoś nie cofnie decyzji. Gospodarz powinszował mi pierwszy. Za nim przyszli inni, kłując twarz serdecznością niegolonego zarostu. Pomogli spakować plecak i nawtykali mi grypsów dla rodzin i przyjaciół. Rzecz osobliwa — nie cieszyłem się specjalnie. Więzienie niemieckie ogromnie dysponowało na rzeczy najgorsze, a wyjście z niego nie było wyjściem na wolność, lecz na przestronniejsze więzienie. Kto wie czy nie groźniejsze od Pawiaka. W Żyrardowie szaleli Dachsy i Hegemanny, wychowankowie szkół polskich i aspiranci kariery wojskowej w wojsku polskim! Denuncjowali na lewo i na prawo wysyłając ludzi do Rzeszy na roboty i do obozów na zatracenie. Szalał zbydlęciały foks, Funk, służący u żandarmów niemieckich i bijący ludzi w sposób istic germański.

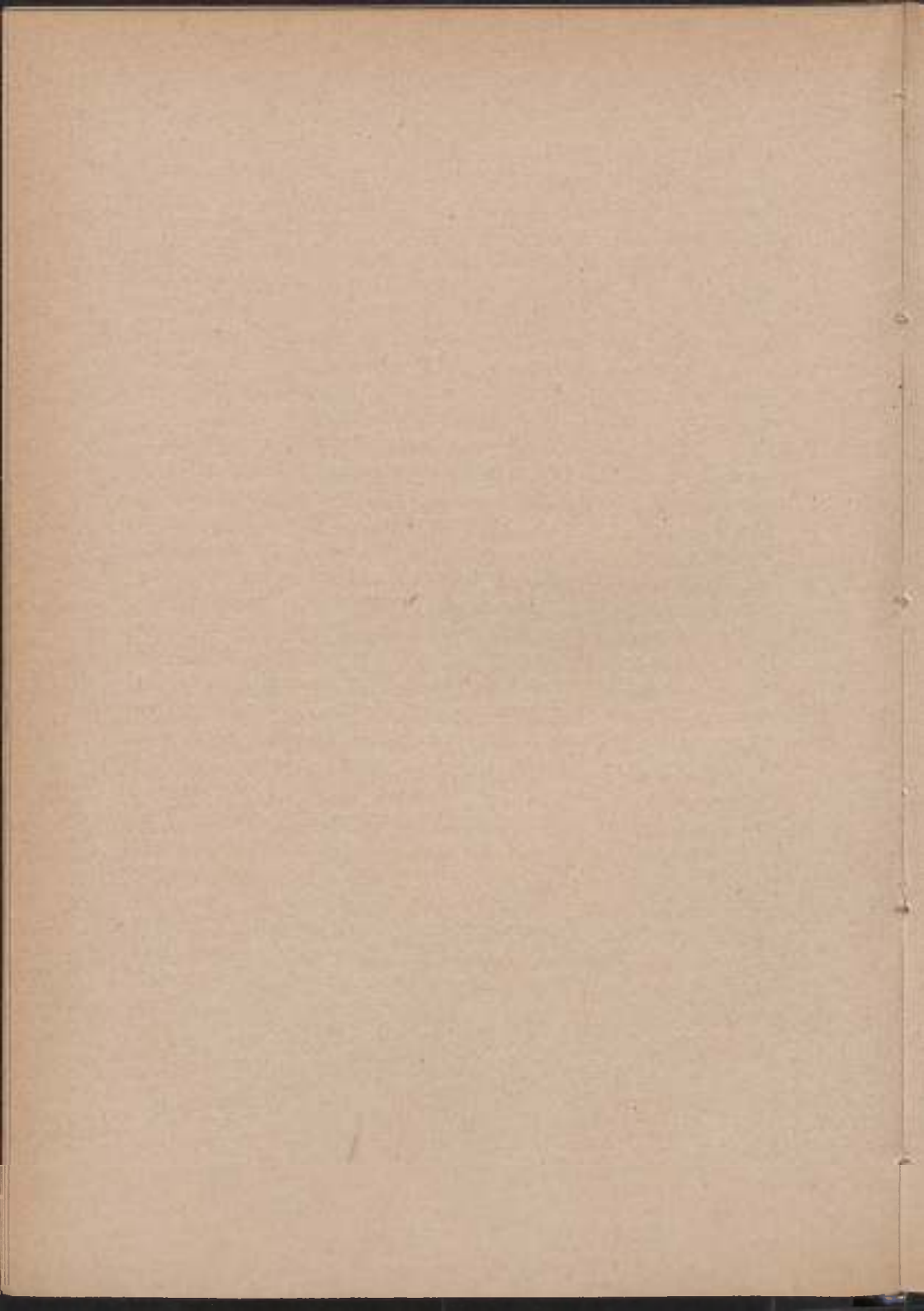
Poza tym więzienie niemieckie bardzo było podobne



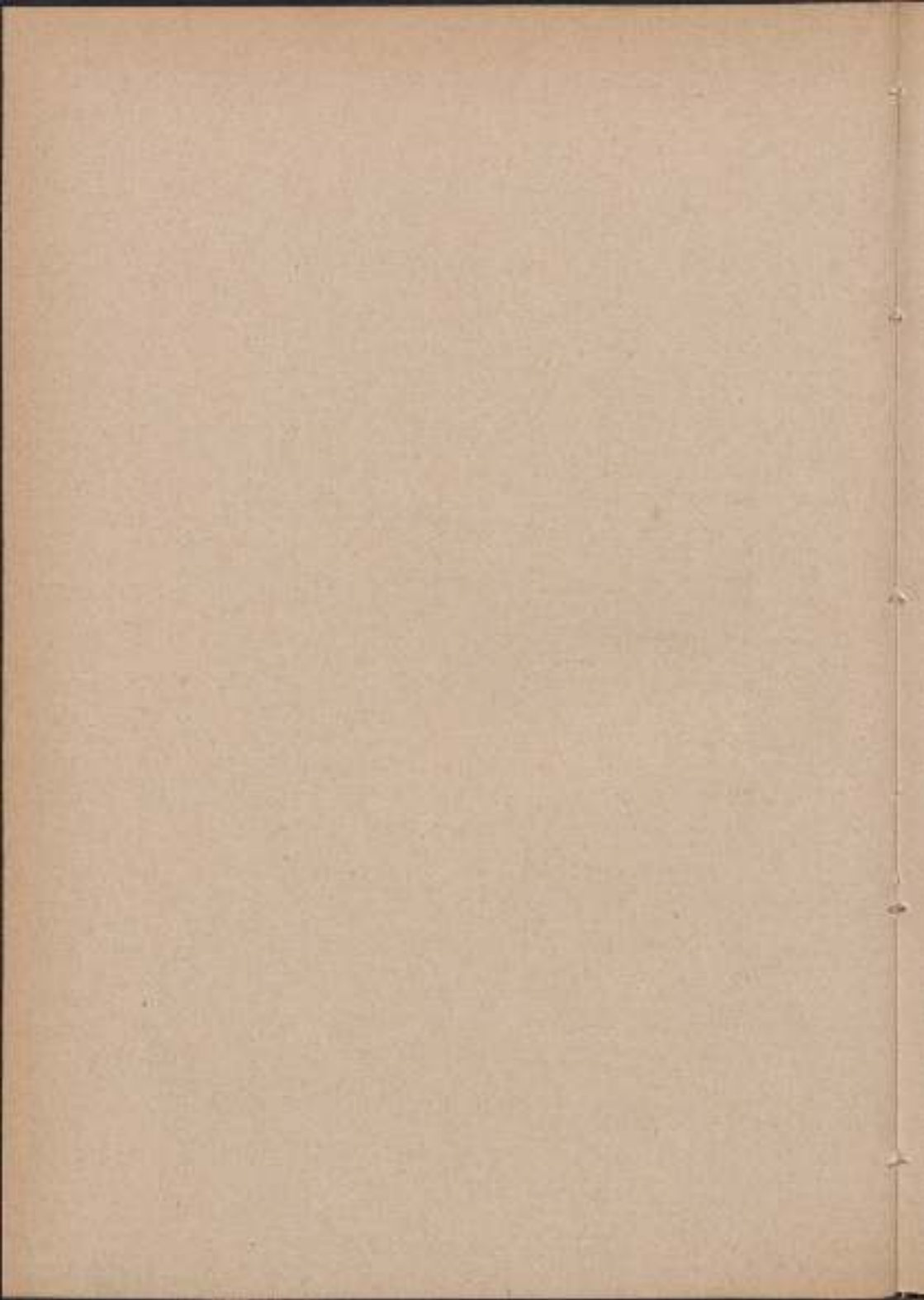
do kwater przyfrontowych. Z takiej kwatery idzie się czasem na urlop, ale częściej na front, na linię ognia karabinowego, armatniego czy krematoryjnego. Między towarzyszami niedoli wytwarzała się wspólnota losowa bardzo ścisła. Czulem coś w rodzaju zażenowania, że ich mam opuścić. Tu lekarz-więzień podawał proszek, tu Janusz Stępowski przynosił herbatę od zagospodarowanych i poił nią, chociaż sam musiał dużo leżeć trapiiony ischiasem. Tu była życzliwość wzajemna tak wielka, że gdy pewien młodzieniec zauważył wieczorem, iż zasłaniam oczy przed kłującymi promieniami lampki elektrycznej płonącej na dziedzińcu, wstał z łóżka i ręcznikiem zawieszał te szyby, przez które dobiegał do mnie promień niepokojący. Przy wydawaniu obiadu pierwszy lepszy z towarzyszy chwycił menażkę i przynosił jedzenie. Tu byli bracia kochani, a rozstawanie się z braćmi jest zawsze ciężkie, szczególnie podczas straszliwych pomorów i nagłych niespodziewanych śmierci. Z myśli o domu i zobaczeniu najbliższych rodziła się radość, myślom o opuszczeniu kochanych przyjaciół towarzyszyła melancholia. Gdyby wybór zależał ode mnie, byłyby trudnawy, ale prawo opuszczenia więzienia było nakazem. Poukrywałem starannie „grypsy“ powierzone mi przez towarzyszy niedoli, obiecałem poodsyłać je natychmiast i zarzuciwszy plecak na ramiona, szybko wyszedłem na korytarz.

Formalności kancelaryjne, zwrot pieniędzy i zegarka, przepustka dla odźwiernego, mająca służyć mi także jako legitymacja czy świadectwo szczepienia ospy... Potem ulica pustawa i czarna brama za mną. Dopiero teraz poczułem się słabym i wyczerpanym. Jakaś miła, dobra pani, idąca do więzienia, pobiegła i sprowadziła mi dorożkę. Pojechałem do przyjaciół a potem na dworzec. Niebawem Pawiak i Warszawa zostały daleko. Wychodziłem na straszliwą niemiecką „wolność“.





## **IV Epoka zaciemnienia**



Czy pamiętacie jeszcze lata swego przedszkola i lekcje historii świętej?

Za moich, jakże dalekich czasów, siedzieliśmy u długich stołów i skubaliśmy szarpie. Oczywiście, tylko podczas wczesnych wieczorów zimowych, bo wiosenne i letnie spędzaliśmy na dworze. Skubaliśmy tedy szarpie pociągając z wielkiej gorliwości nosem, a nauczycielka czytała o wieży Babel, o potopie, o arce Noego. . . Wieża Babel sięgała do samego nieba. Na taką się wdrapać dopieroż byłaby uciecha! A tu raptem Pan Bóg miesza wszystkim języki i już wieży budować nie można, bo gdy majster chce gliny, pomocnik podaje mu kielnię albo łopatę. Arka Noego także sympatyczna. Tyle w niej było zwierzaków najróżniejszych: morskich świnek, królików, synogarlic, i wróbli, i psów, i koni! A tu woda i woda dokoła!

Nad głową syczał gaz, a pani czytała o rzeczach coraz dziwniejszych. O szarańczy w Egipcie. „Przyszła szarańcza na wszystką ziemię egipską i okryła wszystek wierzch ziemi, a pożarła wszystką trawę ziemi i wszystek owoc drzewa, a nie zostało żadnej zieloności na drzewie i na trawie polnej“.

Podnosimy głowy i uważamy. Szarańcza? Zjadła trawę? Wszystką trawę i nic nie zostało dla królików? Co to jest szarańcza? Pani tłumaczy, ale nie bardzo rozumiemy. Nic to jednak nie szkodzi. A potem o ciemnościach takich

gęstych, że można je było macać ręką. Zamykamy oczy, żeby wymiarkować te ciemności, ale nie jest tak ciemno, żeby można było macać ręką.

Komentarz do tych historyj biblijnych przychodzi dopiero teraz. Szarańcza. Tak, teraz wiemy. Pożarła wszystko, co było można i ustępuje ciemnościom, które można zmacać.

Siedemnastego czerwca dekret panów świata nakazuje nam zaciemnianie. Żeby broń Boże żadnego światła! Jak się przejedziesz jeden z drugim do obozu, to się nauczysz słuchać! I jeszcze raz: żadnego światła! Okna muszą być szczelnie zasłonięte! Jakto, zasłonięte? Lato przecie, gorąco, zaduch! A tu okno ma być zasłonięte? Patrzą po sobie sąsiedzi i sąsiadki. Moiściewy! Ile to już czasu jak ogłosili, że okres wojny skończony, a tu w samo lato zamykaj okna, nie pal światła! E, tam! Ogłosili, ogłosili! Koniec wojny. Nawet początku nie ma jeszcze porządnego. Jak pies szczeka, to wiadomo na co szczeka, ale niemieckie gadanie — to zawsze jakieś oszwabki. Kogoś znowu nabijają w doniczkę. Tylko, że jeśli koniecznie bujać, to już nie nas. My już podbujane galancie i wiemy co znaczy: Anglio, to twoje dzieło!

Tak sobie przygadują sąsiedzi na ławce w ogródku działkowym, a na ulicach tymczasem ruch jakiś niezwykły. Pełno werkszuców z karabinami i w mundurach. Pan Ostryt i pan Kober jeżdżą samochodem tam i sam. Czy aby nie jakaś grubsza łapanka? Uważać, chłopaki, i w razie czego wiać troszeczkę.

Ale znowu z tymi ciemnościami? Łapanka po ciemku? Nie sztykuje. Trudno uczciwemu człowiekowi trafić za Niemcem. Cholera! Werkszuce chodzą po ulicach i patrzą pilnie w okna, czy gdzie nie błysnie światełko.

Bywa czasem troszkę niemieckiej przesady, świadomego zakłamania. Jakiś chłopina zapala papierosa, ale maszynka się zacina: błysnie—zgaśnie, błysnie—zgaśnie. Benzyny widać nie ma, czy może kamień zdarty. Werk-



szuce do niego: — „Co ty, draniu, sygnały dajesz? Nieprzyjacielowi!” — Werkszuce mają chybkie ręce, wygimnastykowane na robotnikach i robotnicach. Amator papierosa dostaje po łbie, maszynka zostaje rzucona na ziemię i zdeptana. Chłopok wytrzeszcza oczy i dziwi się, że dopiero co dawał sygnały nieprzyjacielowi. No tak, nieprzyjaciel przybiegł na te sygnały i sprął go. Przeciera dłonią czoło i idzie dalej, a werkszuce napominają go, żeby podziękował Bogu, że to nie żandarmi go spotkali.

I tak przez parę dni z rzędu. Gdzie tylko za oknem błysnie na chwilę światło, choćby przy rozpalaniu ognia w kuchni, ciężkawa cegła leci w okno i z brzękiem sypie się szkło. Oczywiście i niedobre słowa o „takich” synach i o nieporządnej „maci” dają się słyszeć z ust werkszuców i starszych hitlerjungów. Umieją dobrze po polsku. Jeszcze tak niedawno chodzili przecie do polskich szkół, bawili się z polskimi rówieśnikami. A teraz separacja na całego. Tu pan, tu knecht owego pana! **Heil Hitler i Siegheil!** Och, orangutany rasowe, **selbstschmutze** takie i siakie!

Skąds od Wiskitek jadą ciężkie armacidła i kraftwagi niemieckie. Ale tylko o zmierzchu i tylko pod drzewami przystają, w możliwie ciasnych uliczkach. Armaty jak kominy fabryczne. Przystanie taki komin pod drzewami, Niemiec osuszy spocone czoło i pokręci kółkiem. Armata, owszem, rusza się posłusznie. Okryta jest szarym futerałem niby tkliwą kołderką. Zdejmują tę kołderkę, oglądają czy wszystko aby w porządku. Soldaty pożywią się, otrzepią ubranie z kurzu i dalej w stronę Mszczonowa.

— Widziała pani? — rozkłada ręce sąsiadka przed sąsiadką. — Gdzie to się tałałajstwo jeszcze pcha!

— No tak, moja pani! — odpowiada zagadnięta. — Albośmy to nie dawały na mszę świętą do Przemienienia Pańskiego! Już „tamci” temu draniowi guza nabijają. Naszych za mało było...

Dzień w dzień werkszuce łążą po ulicach i dzień w

dzień bywają pobici za zapalenie światła na ulicy, i ciągle sypią się szyby wywalone cegiełkami hitlerjungowymi.

Ludzie szepczą sobie do ucha o mnóstwie armat idących w „tamtą“ stronę i powtarzają słowa kolejarzy, że idzie „toto“ i idzie dniem i nocą całymi pociągami. Armaty, armaty, armaty: mniejsze, większe, ogromne... Konie także, widać mają konnicę. Ale tam też mają, nie bójcie się! Żeby się aby nie dali zaskoczyć, tak jak nasi wtedy. — E, moja pani, jak my tu, zwyczajne ludzie nie wojskowe, umiemy wymiarkować co i jak, to pani myśli, że tamten śpi i nic nie miarkuje? Chwała Bogu, że sobie idą po to, co im się należy.

I poszli po to, co im się należy. Najprzód znowu kolejarze: już się robi! I mocne zacieranie rąk albo nawet „kilonek“ pod „nasze i wasze, zgubią fryce kamasze“. A potem już niemieckie gazetki i szczekaczki uliczne. Chętnie, po germańsku, szeroko rozwartym pyskiem „od oceanu Lodowatego do wybrzeży morza Czarnego“. I znowu radość w domu germańskim, że do tyłu rzeczy „największych“ przybywa „największa koncentracja wojsk w historii świata“. Ano, **hajtla**, panowie niemcy! Jeszcze niedawno była „największa bitwa unicestwiająca w dziejach świata“, gdzie niemiec mordował nas. Potem było sporo różnych największych rzeczy. Teraz to.

Ludzie stoją i czytają: „Od dziś operacje wojskowe na wschodzie“. Spoglądają po sobie i robią perskie oko, jakby czytali, że „od dziś co dzień flaki z pulpetami“. Dobrze!

„Minister spraw zagranicznych Rzeszy przyjął w dniu dzisiejszym ambasadora sowieckiego i wręczył mu notę rządu Rzeszy. Według noty tej Rzesza niemiecka, wobec nieprzyjaznej polityki rządu sowieckiego i zagrożenia granic niemieckich wskutek olbrzymiej koncentracji wojsk Czerwonej Armii, przystępuje obecnie do wojskowych kroków obronnych“.

Ładnie wykoncypowane, tylko że się nie zgadza z prawdą, bo „Mein Kampf“, który wyszedł drukiem w roku

1925 i 1927, a przekroczył już 523 wydania i sześć milionów egzemplarzy — to bardzo ostra proklamacja wojny ze Związkiem Radzieckim i bardzo szczegółowe uzasadnienie tej proklamacji. Przecie jeszcze nie tak dawno mówiło się całkiem beczelnie o lebensraumie od Flesyngi po Władywostok. Do Władywostoku można dostać się tylko pewnymi drogami i przy pomocy pewnych środków. Niemiec łągać lubi, ale nie umie. Samiż niemcy nazywają siebie „ein durchaus unpolitisches Volk“ — całkiem niepolitycznym narodem.

A potem „proklamacja kanclerza Hitlera“ o zdradzie, której dopuszczono się na barankach niemieckich.

Och, poczciwi Michałkowie, kto was nie zdradza! Każdy, kto się bronił przeciwko waszym Krzyżakom i Bismarckom, dopuszczał się zdrady na was. Nie zdradzał was tylko ten, kto spokojnie i dobrowolnie dawał się wam okradać i wyzyskiwać. Pamiętamy jeszcze, jak to niemiec w r. 1918 zagarniał 40 milionów ludności rosyjskiej z obszarem dwa razy większym od obszaru całej niemieckiej Rzeszy. Pamiętamy „przyjacielski“ pokój podyktowany Rumunii. Odepchnięto Rumunię od morza, które miało być odtąd „nur für Deutsche“, zabrano jej źródła nafty, podporządkowano politykę rumuńską kontrolerowi niemieckiemu, ludność męska miała służyć niemcom za parobków. Okupacja niemiecka miała być stała i koszty jej ponosić miała Rumunia. Gdy delegat rumuński rozplakał się przy podpisywaniu tego dokumentu, feldmarszałkale niemieccy klepali go po ramieniu i zapewniali, że to przecie najbardziej przyjacielski pokój, jaki sobie można wyobrazić. „Niechże się pan uspokoi i pocieszy! Zobaczysz pan, jaki pokój podyktujemy Francji i Anglii!“

Znamy was, panowie niemcy! Wiemy, jakie „Królestwo Polskie“ chcieliście nam dać w roku 1916 w zamian za 800.000 żołnierza polskiego, który miał się bić za was i dla was z Rosją. Królestwo to miało się zaczynać od Wisły i kończyć na Bugu, bo kopalnie miały przypaść wam, jako że nam wyznaczaliście rolę dwóch G, którą

później zrealizował generalny gefrajter Hanswurst Frank, gdy Hindenburgom i Ludendorffom się to nie udało.

Znamy wasze rozstrzeliwania naszych chłopców w roku 1914 i 1915 „dla przykładu“. Znamy „grubą Bertę“, która dla psich figlów mordowała ludność francuską w Paryżu, chociaż wojskowo była bez znaczenia, o czym sami najlepiej wiedzieliście. Znamy wasz odwrót z Francji.

Tatarzyn w porównaniu z wami to był marny szczeniak. Wycięliście każde drzewo przydrożne, wydarliście z ziemi każdy krzak, zasypaliście starannie każdą kopalnię francuską.

Ile trudu i pracowitości włożyliście w to dzieło niszczenia, zgoła niepotrzebne i bez żadnego wojskowego znaczenia! Niszczyliście z jakiegoś wewnętrznego przymusu, bo Niemiec nie może oprzeć się pokusie niszczenia, gdy może to czynić bezkarnie. A dzisiaj znowu, jagniątka ciche, idziecie bronić się przeciwko napaści napadniętego przez siebie sąsiada!

Och, tartuferia — to nie tylko interesowne religianctwo, to także niemieckie propagandziarstwo. Wasz Lück nie zapisał pewnego polskiego przysłowia w swej polakożerczej książce. Przypominam je wam: „Niemca oczy, wilcze gardło — co zobaczy, to by żarło“. Stąd właśnie te wasze liczne zadławienia.

Niemieckie hurony wyją, foksy tańczą na ulicy, na fabryce olbrzymie „fany“.

Sąsiadka sfoksiała przychodzi wieczorem i znęca się nad nami: „Za dziesięć dni firer wygłosi z Kremla mowę do całego świata“. Czy nie za prędko maszerują?

— „No to niech pan sam policzy. Ile? Tysiąc kilometrów? Przecież najcięższy czołg robi na godzinę najmniej 30 kilometrów. Więc w dziesięć godzin 300, czy tak? To znaczy, że za trzy, no cztery dni, nasi będą w Moskwie. Ale niech będzie pięć dni czy nawet sześć...“.

Ale przecie będzie jaki taki opór.

— „Opór? Kto się oprze niemieckiemu żołnierzowi?“



— śmieje się foksica rudowłosa. Nie można jednak doprowadzić jej do schodów i kopnąć troszeczkę.

Ciężkie dni. Z oczyma wbitymi w mapę śledzimy szybki, niestety, marsz niemiecki. Rozstrzyga się los wojny. Także nasz los. Na zachodzie bez zmian, na naszych domach kołyszają się swastyki plugawych szmat niemieckich. Coś tam gdzieś komuś wzięli, nad kimś natrzęsają się tymi chorągwiemi, zwyciężają. „**Die Fahne hoch!**“ drą się zapite gardła miejscowych SA-manów, których już nauczono **Horstwessa**. Puzoniści grają. Bum-bum, bum-bum — — — wałą w bębny hitlerjungi, maszerując bezustannie pod oknami uczciwych ludzi. Na dziedzińcu szkolnym BDM, czyli „**banda durnych małpisonów**“ pod batutą rudej dziewczki z rajchu uczy się „**Deutschland über alles**“. Klaszcze w dłonie i przerywa śpiewającym dziewczynom. Nie tak! Poucza je, jak należy śpiewać i znowu macha rękami i trzęsie rudymi kudłami. Oszaleli Niemcy. Kto tu z nimi wytrzyma?

Papiernie robią czarny papier na story do zaciemnienia. Komendantura miasta podaje od kiedy do kiedy mają być okna zaciemniane. Niebawem istnieje dokładny praktyczny wzór papierowych zasłon, a godziny zaciemnień przedłużają się.

Dzień jest krótszy. Mija sierpień, nadchodzi pamiętny wrzesień.

Spotykam foksicę, która obiecywała sobie i innym Moskwę za dziesięć dni od rozpoczęcia wojny.

Jak tam z Moskwą, pani sąsiadko?

Wydyma usta i macha ręką. „Już są za Moskwą! Nie będą szturmowali, bo szkoda ludzi. Okrążą i sama się podda. Potem kolej na Anglię. . .“

Tutaj może nie pójdzie tak prędko — mówię do niej.

— „Ja nie twierdziłam, że akurat za dziesięć dni, na godzinę i minutę, ale co się odwlecze, to nie uciecze“.

A tak, co się odwlecze, to nie uciecze.

Ze szkoły polskiej powypędzano polskie dzieci i nau-



czycieli. Na froncie szkoły ryczy wielki napis: **Deutsche Volksschule**. Zaczyna się nowy rok szkolny. Urządzają wielki schron w suterenie szkolnej. Na dziedzińcu szkolnym ustawiają wysoki słup i wciągają nań chorągiew ze swastyką. Gdy chorągiew płynie ku górze, zszeregowane dzieciaki podnoszą na komendę ręce do góry. Przedstawiciele niemieckich okupantów, oficerowie, żandarmi, lekarze lazaretu zapasowego, landkomisar i foksy, pełniący obowiązki inspektorów szkolnych, salutują. Nauczyciel przemawia. „Jesteście uczniami szkoły niemieckiej. Wysoki to dla was zaszczyt, ale także wielki obowiązek. Uczeń szkoły niemieckiej musi ciągle pamiętać, aby niczym nie splamił honoru niemieckiego. Niedawno jeszcze niejedyn z was chodził do szkoły polskiej razem z różnymi oberwańcami, od których nie mogliście przyswoić sobie nic dobrego. Musicie się odzwyczaić od różnych brzydkich nawyków tamtej szkoły, bo teraz wychowuje was szkoła niemiecka dla ojczyzny niemieckiej i dla firera. Dla uczczenia chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego zaśpiewamy nasz wielki i piękny hymn śpiewany przez liczne pokolenia naszych współobywateli i szeregi naszych, nigdy nie pokonanych wojsk!“

Wszyscy podnoszą ręce i śpiewają „**Deutschland über alles**“. Przemawia przedstawiciel władz cywilnych, wyrzucając z siebie krótkie, ostre słowa, jakby je rąbał. „Zwycięski oręż niemiecki zdobył tę ziemię dla was. Macie tu stać na straży spraw wielkiej Rzeszy. A jak to wasze strażowanie ma być wykonywane, tego nauczy was szkoła niemiecka. Już dzisiaj wiedzieć powinniście, że kraj ten został zdobyty dla Niemiec i nigdy do Niemiec należeć nie przestanie. Kraj ten ma dla was wysokie przywileje, ale niemiecka ojczyzna żąda od was przysposobienia do płodnej pracy i do służby w szeregach firera. Do jednego i drugiego przygotowuje was niemiecka szkoła i dlatego winniście cenić i kochać swoich nauczycieli i wychowawców. Wzniesmy okrzyk na cześć naszego niezrównanego

firera i naszych pełnych chwały niezwycięzonych wojsk, odnoszących w tej chwili największe zwycięstwa świata!"

Takie jest tło naszego życia pod niemiecką okupacją. Hitlerjungi uczą się bębnić na małych bębnach i na wielkich bębnach. SA-many zbierają się na dziedzińcu szkolnym w niedziele i święta a czasem także w tygodniu. Hitlermadle śpiewają pod batutą rudej Greta z rajchu. Ta Greta często do nich przemawia i zawsze wykrzykuje jakieś paskudztwa na Polaken. Wychowawczyni kobiety niemieckiej.

Ulicami maszerują dziady kategorii XYZ. Na placach miejskich feldfeble przeszkalają starsze roczniki. Czasem z sąsiednich wsi przyjeżdżają koloniści niemieccy co młodsi i przy pomocy żandarmów urządzają łapanki.

Na podwórzach Żydzi z opaskami zbierają odpadki żelastwa, stare obręcze zardzewiałe, gwoździe, śruby. „W każdym śmietniku leży kotlet“ — woła pan Goebbels. Niechże się nie zmarnuje! Na każdym podwórku jest kopalnia rudy żelaznej!

To jednak nie wszystko. Jest jeszcze zabieranie ludziom mieszkań co lepszych. „Dla naszych panów z Rzeszy“, jak brzmi motywacja tych wydziedziczań biednego ludu roboczego. Nikt nigdy nie wie, kiedy mu każą opuścić mieszkanie i to powoduje dużą nerwowość. Co chwila dowiadujemy się, kogo i gdzie aresztowali i kto został wywieziony „w niewiadomym kierunku“, powieszony czy zastrzelony.

Ulicami Warszawy przewożą jeńców rosyjskich. Warszawiacy, pragnący podać jeńcom kawałek chleba czy parę papierosów, dostają od żołdatów niemieckich po łbie. Żołnierze rosyjscy, więci do niewoli, bywają trzymani na deszczu i chłodzie. Nie dostają jeść, zjadają resztki trawy podgniłej już na deszczu jesiennym i giną jak muchy. Tak jest w okolicach Warszawy, Skierniewic, Łowicza. Ludzie pamiętają, że i podczas pierwszej wojny światowej, gdy chcieli dać jeńcom rosyjskim chleba i otworzyć

im domy ludowe, hale fabryczne i szopy, bywali odsyłani z kwitkiem. Dzisiaj jest pod tym względem nieskończenie gorzej. Nikt nie odważa się przyjść tym nieszczęśnikom z pomocą, bo można dostać w łeb, a poza tym pogarsza to jeszcze sytuację jeńców.

Październik jest wyjątkowo ponury. Szczekaczki chełpią się, że bitwy toczą się na przedpolach Moskwy. Hitler czeka, aby z Kremla obwieścić światu pokój germański. Foksy opowiadają, że radio niemieckie donosi o rychłym zdobyciu Leningradu.

Ludzie dostają imienne wezwania do pracy w Niemczech. Uciekają. Ale to nie pomaga. Biorą zamiast chłopca, który uciekł, starą matkę, siostrę, ojca, czasem całą rodzinę. Biją, niszczą mieszkanie, znęcają się na wszelki sposób. Co dzień rano ludzie z ust do ust podają sobie nazwiska aresztowanych ostatniej nocy. Kogo pobili, kogo wypuścili z aresztu. Bo bywa i tak, że wypuszczają. Aresztują przed Trzecim Maja i przed 11 Listopada. Trzymają ludzi stłoczonych w jakim lochu i wypuszczają potem.

Ileż razy aresztowano prezydenta miasta, Orlika!

Zaczął się wcześniej. Gdy 12 września 1939 roku wprowadzono nas za miasto, szlachetny ten człowiek, wiedząc, że w polu nie ma wody i że tylko niektórzy złapali w ostatniej chwili kawałek chleba, poszedł wieczorem do dowództwa niemieckiego i prosił o pozwolenie dostarczenia ludności wody i chleba. Generał niemiecki, jak każdy z tych zawodowych morderców, przyjął go z rechem opasa i oświadczył mu: — „Dobrze, że pan przyszedł. Zostanie pan u nas do rana, a jeśli w mieście padnie jeden jedyny strzał, zostanie pan zastrzelony. **Verstanden?** Zrozumiano?“ — Kazał go zatrzymać i biedny ten człowiek przez całą noc czekał na wykonanie wyroku, na morderczy strzał, który mógł wszak być strzałem prowokatora niemieckiego. Potem bywał aresztowany przy każdej sposobności i wypuszczany, aż wreszcie zabrano go

w roku 1943 do Warszawy i tam z Pawiaka wyprowadzono go na stracenie razem z wielu innymi podczas masowych mordów ulicznych.

Pewnego dnia całe miasto zostało zbulwersowane wiadomością, że w lokalu hitlerjungów został sprofanowany portret Hitlera i sztandar ze swastyką. Profanacji dokonano w sposób bardzo pierwotny i nieładnie pachnący. Foksy szalały. Aresztowano dziewięć osób i trzymano pod grozą rozstrzelania za tak wielkie „świętokradztwo“. Po upływie dziesięciu dni aresztowanych zwolniono. Okazało się, że „profanacji“ dokonał jeden z hitlerjungów. Fakt ten został ustalony z całą pożądaną dokładnością. Co spowodowało takie rozsierdzenie się hitlerjunga na swego firera, że aż go zmusiło do załatwienia naglącej potrzeby na jego portrecie i na sztandarze, nie wiadomo.

Pewnego popołudnia przyszedł do mnie bardzo ułożony i greczny pan zgięty w ukłonie i trzymający kapelusz na piersi tuż pod brodą. Czy mógłby ze mną porozmawiać? Może lepiej nie, ale może też lepiej tak. Poprosiłem go do pokoju. Pod kapeluszem ukrywał srebrną swastykę. Jakiś wstydlivy fok. Otóż zna książkę moją o Żyrardowie. Zbiera materiały dotyczące „byłej“ Polski. Czy mógłbym dostarczyć mu materiałów dotyczących Żyrardowa jako niemieckiego „gründungu“? O „byłej“ Polsce mówi z typową niemiecką bezczelnością, ale rozmawia ze mną po polsku i to dość poprawnie. Mam się na baczności. Powiadam mu, że żadnego materiału nie mam i sam go daremnie poszukuję, aby napisać monografię Żyrardowa.

Z kim mam przyjemność rozmawiać? — pytam się.

Odpowiada mi z ukłonem: Fiedler. Żałuje bardzo, że mu nie chce posłużyć. Może napisałbym do pani dyrektorowej N. w Warszawie. Ona na pewno materiał potrzebny posiada. I z rozrzutnością typowego Niemca rzuca na stół dwa złote. Na pocztę. Potem będzie bardzo wdzięczny. Posiada duże środki. Powtarzam mu, że nic



nie wiem. Gdybym posiadał materiał obfitszy, to byłbym go wyzyskał w swej książce. Do pani dyrektorowej N. nie ośmieliłbym się napisać, bo z jakiej racji pani ta ma mi udzielać informacji o swoim mężu? Byłoby to nie-taktowne z mej strony. Niemiec nie ustępuje. Opowiada mi gdzie i co studiował. Wyjmuje papierosy. O, mógłby mi dostarczyć papierosów i wódki. Nie palę i nie piję.

Odchodzi wreszcie. Ale po paru dniach wraca. I znowu to samo. Odsyłam go do zarządu niemieckiego Zakładów Żyrardowskich. Mówi mi, że stamtąd posłano go do mnie. Nie będzie chciał darmo. Powiedziano mu, że jestem żywą kroniką swego miasta rodzinnego, więc może napisałbym... Nie, nie napiszę. Nic więcej nie wiem i bardzo mi przykro, ale mało mam czasu. Niemiec nalega. Nie odpowiadam. Odchodzi i znowu po paru dniach przychodzi z szeregiem pytań. Będzie sam pisał, a ja mam mu dyktować. Odpowiadam mu, że wszystko, co mógłbym mu podyktować, jest już w mojej książce i nic więcej nie wiem. Pan Fiedler jest wyraźnie zły, ale ostatecznie idzie sobie.

Zaczynam rozpytywać swoich znajomych, czy nie wiedzą co zaczął Fiedler. Wiedzą już coś niecoś. Przesiaduje całymi dniami na plebanii i z metryki wypisuje nazwiska o niemieckim brzmieniu. To samo czyni w urzędzie gminnym i w kontroli fabryki. Czy coś specjalnie wypatruje, węszy, denuncjuje? Nie wiadomo. Po paru dalszych dniach dowiaduję się, że to były nauczyciel języka niemieckiego w polskim gimnazjum w Łowiczu. Napisał książkę o narodowym socjaliźmie i Hitlerze. Szukam tej książki i znajduję ją. Niezdarne, sentymentalne książczydło o narodowym socjaliźmie, wydane nakładem „własnym“, ale na pewno za pieniądze od Goebbelsa. Uważał, że skoro jest polsko-niemiecki pakt nieagresji to należy wydawać takie właśnie książki pisane ad maiorem Germaniae gloriam. Wyszła ta książka w r. 1937 i miała wolny debiet w Polsce. Teraz pan Fiedler siedzi



pewno w Niemczech i zbiera materiały do dziejów byłej trzeciej Rzeszy. Był dość sprytny chyba, aby nie czekać, aż zostanie zamknięty w Polsce w takim lokalu, w którym trudno o zbieranie materiału dotyczącego byłej Polski.

Typowy niemiec: nie umiał przewidywać. Zachłystywał się zachwytem dla Hitlera jak tyłu innych jego ziomków i był jednym z piątej kolumny.

Przyszedeł październik z wczesnymi chłodami i deszczami. Hitler wciąż jeszcze nie wygłaszał z Kremła swej mowy do całego świata. A potem zaczęły się dziać rzeczy, wobec których Hitler poczuł się bezradny. Jesienne deszcze rozgłiniły i rozbebeszyły ziemię, ciężkie czołgi śpieszyły się, aby wybrnąć z tej straszliwej mazi i dostać się wreszcie do Moskwy. Jeszcze tylko kilkanaście kilometrów. Hitler wylażił ze skóry, żeby prędeż, prędeż! Ale czołgi nie wylażyły z podmoskiewskiej mazi i pewnego dnia wierny sprzymierzeniec Rosji, generał mróz, zrobił swoje: uderzył nagle i niespodziewanie na napastliwe germaństwo i zakuł w dyby ciężkie czołgi najeźdźców. Stop! Masa niemieckiego żelastwa została zamrożona i „ani wewte ani wewte“ — jak mówią w Zakopanem.

Dowiadujemy się o tym nie zaraz, chociaż prasa podziemna jest już zorganizowana i kolportaż ma wspaniały. Pod czujnym okiem żandarmów niemieckich wiozą kolporterzy paczki pisemek z Warszawy do Żyrardowa i z nich dowiadujemy się, co i jak. Jest i nasłuch miejscowy. Niemcy pozabierali nam aparaty radiowe jeszcze w październiku 1939, ale tu i ówdzie aparat ocalał. Przy jednym z nich, ukrytym w piwnicy, siaduje Jurek Rozwenc; zapisuje komunikaty alianckie i przepisuje pracowicie egzemplarzyki dla swoich stałych odbiorców. Krążą one z rąk do rąk i krzepią serca. Wiadomości obie-gają miasto z szybkością głosu. Gdy po otrzymaniu miłej wiadomości chcesz uradować czyje serce i nie uczynisz tego zaraz, to za pół godziny przyjaciół, o którym myśla-

Jeś, przychodzi do ciebie z tą wiadomością nieco już zakrągloną w liczbach i daleko pożywniejszą.

Kochany Jurek ma tylko jeden brak: nie umie podawać dokładnie nazw cudzoziemskich i Saint-Nazaire np. zapisuje Chemnażer, tak że tego i owego trzeba się domyślić. Ale to nic nie szkodzi: domyślamy się trafnie. Ułatwiają nam to wiadomości niemieckie o innym oczywiście brzmieniu.

Nie tak regularnie, ale za to gruntowniej informuje przyjaciel Karol M., niezrównany mechanik. Zarejestrowany aparat odbiorczy musiał oddać, jak wszyscy, ale zmajstrował aparacik niemal kieszonkowy i przy pomocy anteny ze stalowego elastycznego metra „łapie“ Londyn i Paryż. Gdy zanosi się na jakie ważniejsze wydarzenie, gdy np. trzeba posłuchać przemówienia Roosevelta, ten zuchwały, kochany człowiek przynosi w kieszeni swój aparat i zaczyna się nasłuch. Oddajemy słuchawki córce jako najlepszej Angielce i czekamy. Słucha, uśmiecha się i szepcze, że w Waszyngtonie pada deszcz, że wyraźnie słyszy krople spadające na niezliczone parasole. Dobry aparacik, który tak świetnie przekazał transmisję londyńską mowy Roosevelta. Każdy z informatorów uważał niejako za swój obowiązek, aby dobre wiadomości rozchodziły się jak najszybciej. Rozbiegały się też lawinowo.

Innym typem informatora był przyjaciel Edward R., zwany przez wszystkich „czynnikiem miarodajnym“. Ten był nie tylko świetnym referentem, ale także doskonałym komentatorem referowanych wydarzeń. Syntetyzował różne wydarzenia, scalał je i układał w rodzaj kapitalnych artykułów wstępnych dobrego dziennika. Posiadał rzadki dar trafnego przewidywania, namiętnie zwalczał wszelki pesymizm i defetyzm i cieszył się serdecznie, gdy „jego było na wierzchu“.

Nie stracił rezonu nawet po straszliwie deprymującej kapitulacji Francji i kazał spokojnie czekać. Gdy wskazywaliśmy na straszne straty angielskie na morzu i na

skutki bombardowań Londynu, Coventry i Sheffield, uśmiechał się i zapewniał nas, że tak być musi, że to jest jedyny sposób rozruszania tak wielkiej maszyny, jaką jest Anglia. To jest wyzywanie nieszczęścia przez Niemców, którzy każdym nalotem i każdym zatopieniem statku angielskiego wołają gromko: „**England erwache!**“

Minął listopad, przyszedł grudzień i pewnego dnia gruchnęła wieść: wojna japońsko-amerykańska! Wojna niemiecko-amerykańska i włosko-amerykańska!

Powiało nadzieją. Śród nas, oczywiście, bo śród Niemców powiało bladym strachem. Niemieccy oficerowie, starsi specjalnie, mawiali: „Zazwycięzamy się na śmierć!“ No, nic nie szkodzi i daj wam Boże! Może nauczycie się wreszcie siedzieć w domu i pracować uczciwie, a nie urządzać wiecznie swoich feldcugów, i raubcugów, i mordcugów. Może zrozumiecie, co to jest: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło. Wasi lotnicy śmiali się pochamsku z cierpień ludności Warszawy. Wasi lotnicy byli tak zezwierzęceni, że siekli karabinami maszynowymi nawet małe dzieci bawiące się poza miastem. Oficerowie niemieccy mordowali masowo bezbronne kobiety i starców. Może wreszcie ocknie się wasza mroczna dusza jaskiniowca. Widzieliśmy przecie jak ciężkie wasze buciory spadały na twarze rannych jeńców, leżących na ulicy, spętanych. Ci, którym za ich cudowne męstwo powinniście byli nisko się pokłonić, stawali się przedmiotem waszej nizoty moralnej. Może wreszcie jaki potężny wstrząs zbudzi w was człowieka i przerazi was wasza własna dusza zrodzona z mroków i okrucieństwa. Może zdołacie wreszcie zatrwożyć się o zaprzepaszczonego w sobie obraz Boga w zamian za żarcie i pijaństwo, za folgowanie najniższym swoim instynktom. Dzisiaj żyjecie tylko nienasyconą chciwością, nieposkromioną krwiożerczością, brutalną zachłannością, dziką odwagą wiecznie pijanych tchórzów, pozbawionych wszelkiej rycerskości i chadzących zawsze rudłami jak nienażarte wilki.

Być może, że wbrew pozorom w jakimś zakamarku straszliwej duszy germańskiego podczłowieka tkwi poczucie jego niższości i stąd to nadrabianie strojem i typowym pruskim nabzdyczeniem. Gdzież na całym świecie jest armia, która nosiłaby takie komiczne nakrycia głowy, jakie żołdat niemiecki nosił zawsze, poczynając od zamierzchłych czasów, kiedy to odziewał się skórą krowią i na głowie nosił jej rogi, a kończąc na kołpakach armii Fryca, pikelhaubach Wilhelmów i śmiesznych czapach komponowanych przez poronionego malarzynę, który jak na drwiny stał się dyktatorem narodu janczarów? Nie udało się jednak Niemcowi zamundurować i ucząpić najpospolitszego złodziejstwa tych raubritterów, którzy zawsze wychodzili na łup i kradli, gdzie się dało i co się dało. Żołdat niemiecki, czy to janczar szeregowy czy rajchsfeldmarszałek, dawał przykład wszystkim foksom w cywilu, którzy zresztą co rychlej przywdziewali mundur SA o zastanawiającym kolorze rozmaconego g..... Krytyczny biograf Hitlera, Heiden, wyliczając notorycznych morderców z otoczenia krwawego firera, zastanawia się nad wynaturzencami jak Heines, ongi wrocławski komisarz policji, i Rossbach, twórca munduru esmanowego. „Czy Rossbach wpadł na swój pomysł ze względu na praktyczność brunatno-żółtej czapki i brunatno-żółtej koszuli a wreszcie i spodni?” — zadaje sobie pytanie Heiden. — „Nasuwa się myśl, że przy wyborze tej jaskrawej, plugawej barwy współdziałały uczucia niezdrowe”. To są zapewne jedyne ludzkie uczucia niemieckie z dziedziny zresztą uczuć najbardziej plugawych.

Odziane w żółte mundury foksy kradły wszystko, co ukraść było można. Najprzód generalna gubernia okradła generalnie wszystkich właścicieli kin, przeznaczając je na rozrywkę foksów i na ogłupianie tej części ludności, która przy swoim niedopolszczeniu chodziła jednak do kina w te dni, jakie bywały wyznaczone dla Polaków. Wyświetlano wtedy marne i plugawe filmidła niemieckie



albo zgoła „polskie“ z Samborskim w rolach zohydzających imię polskie. Najważniejszą częścią tych pokazów kinowych były chełpliwe *Wochenschauy*, popisujące się zwycięstwami niemieckimi na wszystkich frontach. Miały one imponować „ludności GG“. Okupanci nie umieli jeszcze wtedy wykrztusić imienia Polaka. Był tylko mieszkaniec GG: Niemiec, Ukraińiec, Polak, Żyd. Ogłoszenia urzędowe umyślnie podawano w takiej kolejności, aby tekst polski znajdował się gdzieś na końcu. Nigdy też nie był drukowany czcionkami tej samej wielkości co tekst niemiecki. To już była złośliwość Hanswursta Franka, który „uczynił koniec wszystkim Kazimierzom Wielkim“ wypierając ich swoim wielkim hansostwem.

Przyzwoici ludzie do goebbelsowskiego kradzionego kina nie chodzili i nie wdawali się w żadne dyskusje na temat narzucanej im niemieckości. W żadnej dziedzinie życia nie ujawniła się głupota niemiecka tak jaskrawo, jak w dziedzinie kaptowania „podludzi“ dla stumilionowego narodu niemieckiego. Najprzód groźba, że kto się poda za Niemca niezgodnie z prawdą, będzie surowo karany, bo oczekiwano, że całe tłumy zgłoszą się do kompanii narodu panów. Potem, gdy to oczekiwanie tak sromotnie zawiodło, Mahomet ruszył pokornie do góry i szeroko otworzył swój sklepik dla każdego, kto by chciał zostać członkiem narodu najwybrańszego. Pojawiły się wielkie ogłoszenia w języku niemieckim, że każdy mieszkaniec GG. o nazwisku niemieckim ma się zameldować w komisji rejestracyjnej. Nikt się nie zgłosił. Wtedy zaczęto rozsyłać wezwania imienne według adresów dostarczonych przez pana Fiedlera wysiadującego godzinami nad metrykami parafii chrześcijańskich i spisami magistrackimi.

W komisji rejestracyjnej dochodziło do scen arcykomicznych. Ludzie szli tam z poczuciem zażenowania, że czymś w ogóle przypominają Niemca, a oficer rejestracyjny z wielkim zdziwieniem naiwnego barbarzyńskiego



kacyka zapytywał, dlaczego nie zgłoszono się po pierwszym ogólnym ogłoszeniu. Nikt nie odpowiadał; milczeli nawet ci, co język niemiecki znali. Rozwodził się szeroko, że to przecie wysoki zaszczyt i wielka łaska firera należeć do narodu, który dzisiaj panuje nad całą Europą, a jutro będzie panem całego świata. Gdy milczenie trwało zbyt długo i oficer tracił panowanie nad sobą, zapytywani pojedynczo odpowiadali, że po niemiecku nie rozumieją. Tego było Niemcowi już za wiele. Jakto nie rozumieją? Dlaczego nie rozumieją? Jeśli ktoś nazywa się Lange czy Eckstein, albo Breitkopf, winien rozumieć po niemiecku, bo jest Niemcem. Tak czy nie? — Nie! Jestem Polak! — odpowiadał zagadnięty. Oficer wali pięścią w stół. Co za bezwstyd! Wprost ręce opadają. W oczach migoczą mu złe błyski i wreszcie usta wyrzucają coś jakby uroczystą kłutwę: — Skoro pan nie chce zgłosić się jako Niemiec, musi pan zmienić nazwisko! — Przez chwilę czeka na efekt swego piorunującego słowa, ale bomba nie wybuchła: — Bardzo chętnie! — odpowiada grzecznie obywatel o niemieckim nazwisku. Niemiec rozkłada ręce w poczuciu bezradności wobec tak wielkiej głupoty i odycha głęboko. Nic nie rozumie. Ofiarowuje się oto takim obszarpancom tak wielki zaszczyt, a ci nic. Plują na własne szczęście, odrzucają tak wielką szansę.

Tak samo postępowali nauczyciele żyrdardowscy. Oceniając ich podług własnej utylitarnej mentalności, Niemcy byli przekonani, że nauczyciele chętnie przerzucą się do foksizmu. Rzucono im złote mosty i ogromnie ułatwiono przejście z obozu polskiego do niemieckiego. Nie kazano im wyrzekać się niczego, nie żądano zaprzęstwa, ale tak ot sobie rzucono im pytanie, czy nie są czasem pochodzenia niemieckiego, *deutschstämmige*, czyli z niemieckiej „ształy“, jak się wyrażano z humorem. Pewnego dnia wszyscy żyrdardowscy nauczyciele i nauczycielki otrzymali imienne kwestionariusze, czy nie życzą sobie, aby co do ich osób były przeprowadzone dochodzenia w kie-

runku „deutschstämmigkeit“. Obok pytania były odpowiedzi: Tak — Nie. Już wszystko gotowe, tylko przekreślić niepotrzebne słowo, a potrzebne podkreślić. Odpowiedzi nauczycieli były jednomyślne: nie, nie życzą sobie żadnych takich dochodzeń. Byli wśród nich także ludzie o niemieckich nazwiskach, których rodzice, zależni od niemieckiego zarządu fabryki, musieli dać się wciągnąć na listę foksów. Ci puciekali po prostu z Żyrardowa, aby mieć spokój wobec narzutliwych przedstawicieli narodu panów. I to był także jeden z dowodów beznadziejnej głupoty niemieckiej i zupełnego braku zmysłu orientacyjnego. Niemiec nigdy nie zdoła zrozumieć, że wzbudza w każdym uczciwym człowieku najgłębszą odrazę.

Jeden z niewielu szlachetnych Niemców, F. W. Foerster, który nie przestawał przestrzegać Europy przed barbarzyństwem swych ziomków niemieckich, powtarza za pułkownikiem Sonnenbergiem, jak to oficerowie niemieccy powracający z Chin statkiem francuskim obchodzili na tym statku rocznicę Sedanu pijąc i hałasując wobec służby i publiczności francuskiej. Na takie rzeczy zdobywa się tylko szkop doprawdy! I tylko szkop może sobie wyobrazić, że porządnym i uczciwym ludziom pilno zeszkopieć.

Belgijsko-francuski poeta, Verhaeren, apostrofując Niemców w jednym ze swoich wierszy powiedział między innymi: „... Jeśli dzisiaj z odrazą najgłębszą świat od ciebie odwraca się cały — to nie tylko za wszystką krew przez ciebie przelaną i za ponure błazeńskie twe zbrodnie, lecz za bieg myśli twoich spotworniałych, za duszę twoją tak niską!“

Szlachetny Ossietzky, zamordowany przez nazistów, napisał głębokie i mądre słowa: „Rewizja niemożliwego traktatu musi być poprzedzona przez rewizję niemożliwego stanu umysłowego“.

Poeta niemiecki, Hoelderlin, napisał w swym „Hyperionie“, że brutalna odwaga niemiecka rodzi się ze stra-

chu. Tak jest istotnie: Niemcy wiecznie boją się czegoś, chociaż ich Bismarck zapewniał, że boją się tylko Boga i nikogo poza tym. Wychowani po żołdacku, rozumieją doskonale, ile daje nagłe i niespodziewane zaskoczenie i dlatego drżeli w ciągłym strachu, żeby nie zostali zaskoczeni sami, gdy innym gotowali zaskoczenie. Nieprzyjemnie jest dać się zadusić gazami, wypluwać po kawałku przepalone płuca. Równie nieprzyjemnie jest dać się rozszarpać jakiej paskudnej bombie. Lepiej już uderzyć samemu a mocno! Tak mocno, aby zwycięstwo odnieść w ciągu jednego dnia. Bo cóż pozostanie nieprzyjacielowi, gdy mu się rozwali gazownie, elektrownie, fabryki broni i amunicji, magazyny sprzętu wszelakiego i żywności? Choćby się ukrył głęboko pod ziemią, musi się poddać, bo zaplecze jego istnieć przestanie i nikt mu nie będzie dostarczał rzeczy najpotrzebniejszych.

Cóż to były za cudowne marzenia niemieckie! W ciągu jednego dnia zwycięstwo zasadnicze, a potem już tylko wykańczanie nieprzyjaciela i zagarnianie wszystkiego wartościowego. Dworce kolejowe, mosty, wiadukty, wodociągi — wszystko poniszczy lotnictwo. I ludność własna, która czasem nie lubi mobilizacji i przygotowań do wojny, dowie się o wojnie z pierwszego a zarazem ostatniego komunikatu o wielkim zwycięstwie. Nie będzie żadnych demonstracji pacyfistycznych i żadnych kobiet kładących się na szynach przed pociągami odwożącymi rezerwistów. Kilkadziesiąt samolotów, odpowiednia ilość porządnych bomb i koniec. Niedroga będzie taka wojna i zyskowna ogromnie. Tak mniej więcej wyobrażali to sobie teoretycy blitzkriegu i tak powtórzył to za nimi Ludwig Bauer, inteligentny Szwajcar, autor książki o wojnie jutrzejszej, to znaczy drugiej wojnie światowej. Ale — niemiecki cham strzelał, a kule nosił Pan Bóg. Wypadło wszystko troszeczkę bardzo inaczej. Niemiec pouczał swoich janczarów, że armaty lepsze są od masła i budował armaty. Nie chciał jednak, czy nie umiał zro-

zumieć, że potężniejsza od armat jest głęboka odraza, jaką uzbroił narody przeciwko sobie. Narodowy socjalizm okazał się czymś tak plugawym nawet dla wielu gruboskórnych Niemców, że setki tysięcy członków narodu panów trzeba było pozamykać w obozach koncentracyjnych, aby nie przeszkadzali zdobywcom świata.

Tymczasem jednak Niemiec szalał w sposób jemu tylko właściwy. Rauschning, autor książki o „rewolucji nihilizmu“, dostrzegł w hitlerstwie typ mentalności kelnera pomocniczego z restauracyjki podmiejskiej. Widzieliśmy tego Niemca w Żyrardowie. Był groźny jak każda postać wściekłej, ale jakże był zarazem komiczny! Kauzyperda norymberski i prywatny adwokacik Hitlera, imię pan Hans Frank, generalny gubernator krakowski przybywszy do Żyrardowa, gdzie go uroczystie witały foksy, rozglądał się dokoła zdumiony i dotknięty. „A gdzie są Polacy?“

Myślał, że Polacy przyjdą do niego z chlebem i solą, jak „naród gorolski“, i był wściekły, że jego najjaśniejszy przyjazd zignorowano totalnie. Takich rzeczy Żołzikiewicz Niemiec nie darowują. Pouczył foksov, że są narodem panów, że Polacy są odtąd ich knechtami i pojechał w niedobrym humorze.

Foksy robiły swoje. Wyrzucały spokojnych ludzi z ich mieszkań, aresztowały, szykanowały, groziły. Nawet tkliwe Grety niemieckie, służące w biurach żandarmów jako pisarki i tłumaczki, umiały napadać na aresztowanych dość ordynarnie: „Przyznaj się, łobuzie, że jesteś komunistą, bo i tak i tak będziesz rozwalony!“ Tak odzywały się do obywateli, wobec których chodziły jeszcze wczoraj na palcach. Inna znowu pinda saska, której pozwolono znęcać się nad urzędnikami miejskimi, groziła: „Jak nie będziecie słuchać, to was powysyłam do obozów!“ A pan dyrektor, wczorajszy urzędniczyna w oddziale konfekcji, miewał jeszcze wyższe tony. „Ja pana każę rozstrzelać! Zrozumiał pan?“ No cóż, mógł kazać



rozstrzelać i czynił to niezawodnie. Bał się jak ognia właścicieli butów z wysokimi cholewami i zaraz na takie cholewy nasylał żandarmów, którzy pod takim czy innym pretekstem „rozwalali“ najspokojniejszych ludzi. Gdy jednak czasem spostrzeżał, że przesadził i że ośmiesza się przed samymi żandarmami, gdy widział, że tego czy owego „rozwalać“ nie należy, udawał przyjaciela i obrońcę. Uspokajał starą, przerażoną matkę czy żonę, zapewniał, że zrobi, co będzie w jego mocy i wyreklamowywał tego czy owego, którego wczoraj wysyłał na „rozwalenie“.

Ale ogół mieszkańców musiał ciągle czuć, że co innego pan niemiecki, a co innego jego sługa i niewolnik. Wyrzucano tedy ludzi z całego jednego domu np. dla tego jedynie, że dom był ładny i wygodny i że chciano zrobić z niego prezent młodzieży hitlerowskiej: łobuziakom z bębniami, sztandarami i sztyletami, a nawet rewolwerami. Gdzie się podziejesz, Polaku, gdy cię wyrzuca z mieszkania?

Z kogo los uczynił Niemca, tego takie rzeczy nie obchodziły. Idź człowieku w pole, zdechnij sobie gdzieś pod płotem — o ile ci żandarm na to pozwoli — albo wędruj do obozu koncentracyjnego na powolne i długie umieranie. Zabrano dom sąsiedni. Kazano się wyprowadzić. Ale zaraz! Już! Potem dom stał tygodniami pusty, aż wreszcie sprowadzono malarzy i kazano odmalować ściany dla jaśnie wielmożnych żołdatów pana Adolfa Hitlera z Schickelgruberów.

Przyszła kolumna sanitarna i zaczęło się z robieniem porządków. Domy fabryczne w Żyrardowie, budowane dla robotników, mają cuchnące śmietniki i równie cuchnące wychodki. Niemiec zaczął robić higienę. A więc porobił „dekle“ do sedesów ustępowych, żeby zaś muchy łązić tam nie mogły. Nic go to nie trapiło, że muchy znajdowały tysiące innych dziur do miejsc zakazanych przez niemieckie przepisy higieniczne. Potem sprowadził malarza i kazał na drzwiach ustępów wymalować, która



ubikacja jest dla tej sieni, a która dla tamtej i które są dla parterowych izb, a które dla piętrowych. Sołdаты z kolumny sanitarnej chodziły istotnie przepisowo do przydzielonych im wychodków i czytały napisy o deklach, którymi należy sprytnie szachować muchy roznoszące zarazę. Sameż muchy musiały się śmiać zdrowo z tych niemieckich porządków, bo szpary wystarczały im najzupełniej i roznoszenie zarazy odbywało się w sposób niczym nie zakłócony. I Niemiec był rad i mucha była zadowolona.

Wieczorem, gdy sołdаты sanitarne wróciwszy do domu podjadły sobie, pomyły się i pogoliły, to siadywały na stopniach schodów drewni i śpiewowały całkiem niebrzydsko o spotkaniu w hajmacie. „**In der Heimat, in der Heimat, da gibt's ein Wiedersehn.**..“ Poszedłbyś sobie jeden z drugim na to spotkanie i nie szwendałbyś się, gdzie cię nie lubią!

Potem kończyło się śpiewanie, skądś z daleka dolatywał odgłos trąbki ze znanym sygnałem, na podwórzu wychodził wartownik w dęciaku, a sołdаты jeden za drugim szły spać.

Sypialiśmy wtedy nie bardzo spokojnie. Rzadko kiedy mijała noc bez alarmu. Wyły syreny, gasły światła i mieszkańcy przepisowo wychodzili na podwórze. Na tle ciemnej nocy wrześnieowej albo październikowej jaskrawo płonęły wiszące w powietrzu świece i ostry warkot motorów ploszył spokój nocny. Gdzieś daleko wybuchała bomba doniczką blado-fioletowego ognia, a potem dudnił odległy grzmot. I znowu! Potem wzmagął się turkot nad głowami i markujący ludzie wciągał głowy między ramiona niby żółwie.

Po niebie snuły się pasy reflektorów albo śmigwały gwałtownie jak olbrzymi miecz przecinający konstelacje i mleczne drogi. Znowu wybuchał kociołek ognia o jadowitym kolorze i ziemia stękała ciężkim grzmotem. Jakieś ogniki kolorowe przelatywały obok siebie na dalekim

horyzoncie: wyżej, niżej, znowu wyżej i z boku, a potem ognik dawał nagłego nura i ruchem wielkiego świdra zjeżdżał za horyzont. Jeśliś to ty, Frycu, to hajtła i niech ci będzie na zdrowie! Nie chodź po wsi, draniu, siedź u Greta pod pierzyną albo idź na ochlaj do swojej sztamknajpy! To daleko zdrowiej niż takie harcowanie po nocnym niebie i skręcanie karku.

Potem wszystko zacichało, świece się dopalały, turkot ustawał i syreny posyłały nas spać. Ale po upływie pół godziny znowu: da capo. Nie, nie przejmowaliśmy się już tak bardzo tymi nalotami i nie było nam tak ciężko wstawać jak na początku wojny. Teraz bili Niemca w jego drański blitzkrieg, a myśmy widzieli mściwymi oczami popłoch, jaki wzniecały wśród Michałków te nocne alarmy. Samochody i ciężarówki rozjeżdżały się przepisowo na wszystkie strony, a w nich panowie świata uciekali jak najdalej za miasto razem z żonami i dziećmi. Tylko nam pozwalano pozostawać w mieście i nie bać się tak panicznie, jak bali się Niemcy. Czasem, gdy już bywaliśmy bardzo zmęczeni niespaniem w nocy i szykanami w dzień, posyłał Pan Bóg deszcz i wtedy można było przespać noc jako tako, o ile akurat nie było nocnych aresztowań i niepokojących raidów samochodowych. Często — gęsto samochód gestapowców stawał na ulicy i wtedy człek podrywał się z łóżka i przypadał do zaciemnionego okna. Wiać czy nie wiać? Jakieś paskudne wieprzowe oczka zapłygnięte tłuszczem i piwem patrzyły w ciemne okna, jakby macały śpiący dom. Czasem wysiadały jakieś zbójce postacie, zrobiły parę kroków, powstały, podeliberowały i wracały do samochodu, który jakoś opieszale i niechętnie ruszał dalej.

Razu pewnego podszedł do mnie jakiś mocno już używany żołdat z kolumny sanitarnej i wskazując na moją wesolą foksiczkę zagadnął:

— Ładny piesek...

— Ładny...

-- Pewno drogi?

-- Dałem za szczenię trzysta koron...

-- Koron? — zdziwił się sąsiad.

-- Tak. Kupiłem ją w Morawskiej Ostrawie u Mżika u Mżika“.

-- Ach, mój Boże! — zawołał mój rozmówca po czesku. — „Já jsem z Vitkovic! Vite? To je u Moravské Ostravy“.

-- No to co pan robi tutaj, skoro pan jest Czech?

-- Ba! Wzięli mnie na wojnę. Jestem w tej kolumnie, ale bez broni. Nazywam się Mates...“

Był szczęśliwy, gdy odezwałem się do niego po czesku i powiedziałem mu, że mieszkałem w Pradze. Znowu zaczął wzdychać. Tak, Praga! Pracował kiedyś na Królewskich Winohradach. Co za widok, gdy się poprzez Plac Waclawa patrzy ku Hradczanom! „Tak, widok niezrównany“ — zgodziłem się łatwo, a pan Mates kiwał tylko głową, że tak, tak, ale, mój Boże, co ma być dalej? Czy to już tak zostanie?

— Któż to może wiedzieć dokładnie? Ale zdaje się, że na tym świecie nawet nieszczęście nie bywa stałe, prawda, panie Mates?

Przez parę dni go nie widziałem, a kiedym go spotkał, mrugnął na mnie i obiecał mi gazety czeskie. Dzień był jasny, młodziutka wiosna, radość życia i melancholia. Wszedłem do ogródka i usiadłem na ławce. Pan Mates wyszedł przed sień, rozejrzał się, gdzie jestem i przyszedł za mną do ogródka. Obejrzał się w lewo i w prawo, sięgnął szybko do wewnętrznej kieszeni swego zbyt obszernego munduru i podał mi gazetę, której nie znałem, chociaż dość długo referowałem prasę czechosłowacką w Pradze i w Warszawie. Na pierwszej stronie dwa portrety: Hitler i Hacha. Gęba zuchwałego kelnera i stręczyciela — i twarz starca, który przetrawia w sobie wstyd i żal. Napis: Twórcy Protektoratu Czech i Moraw. Pod portretami: Manifest prezesa rządu, dra Jar. Krejczego. —

„Największy dzień naszych dziejów...” Nie wierzę własnym oczom. Ten człowiek nazwiskiem Krejczy nazywa największym dniem narodu czeskiego ustanowienie protektoratu Czech i Moraw — czyli ustanowienie niewoli czeskiej. Czytam jeszcze raz: „Jest to dzień, który co do znaczenia należy do największych w całych dziejach naszego narodu... Dzień 15-go marca jest dla nas wszystkich sposobnością do zrekapitulowania olbrzymich wydarzeń ostatnich paru lat. Jedni zaczerpną z nich potwierdzenie, że szli drogą właściwą, drudzy zaś zrozumieją, że czas już najwyższy zawrócić. W roku 1918 założone zostało państwo czechosłowackie jako wynik ówczesnych stosunków międzynarodowych. Naród nasz nie uświadomił sobie wtedy, że istnienie tego państwa nie może być skierowane przeciwko interesom wielkiego sąsiada, Rzeszy. Dlatego też, gdy narodowo-socjalistyczna rewolucja zapoczątkowała wzrost narodu niemieckiego, los państwa czechosłowackiego był przesądzony...” I tam dalej. Plucie na państwa zachodnie i na Rosję radziecką. Jedno jest tylko na świecie warte czci, miłości i szacunku: Rzesza wielkoniemiecka. Rzucam jeszcze okiem na nagłówek artykułu niejakiego Karola Wenera: „Podczas wojny nie ma praw, są tylko obowiązki... Przyłączamy się do nowego ładu europejskiego pod wodzą Rzeszy wielkoniemieckiej. Pragniemy zwycięstwa tego nowego ładu i dlatego pragniemy także zwycięstwa Rzeszy w tej wojnie. I dlatego też będziemy nie tylko pełnić powinności swoje, każdy na swoim miejscu, ale każdy z nas uczyni nadto wszystko, co będzie w jego mocy, abyśmy do zwycięstwa Rzeszy dopomogli...”

Dość! Dalej czytać nie mogę. Jakto? Naród Husa, Żyżki, Prokopa Łysego i tylu śmiałych bojowników o godność duszy ludzkiej i wolność przemawia językiem, który może być dla psa zasługą, ale dla człowieka jest hańbą! Patrzę na pana Matesa. Kto zacz ten człowiek? Prowokator? I on patrzy na mnie. W jego oczach jest smutek,



w ustach zaciętość. Nie, to nie prowokator. Chyba nie.

— Kto to panu posyła?

— No, posyłają mi to... — odpowiada wymijająco.

— Dlaczego daje mi pan to czytać?

— Myślałem, że pana to zainteresuje, skoro mieszkał pan w Pradze... Mam jeszcze dużo.

— Czy nie lepiej wrzucić od razu do pieca? — mówię z zaciekłością. Pan Mates milczy chwilę, a potem odpowiada powoli: „Tak. I ja chciałem to wrzucić od razu do pieca, ale nie mogę. Czytam to już dziesiąty raz i wciąż jeszcze nie wiem, czy mi się to tylko śni, czy też jest to smutna prawda...”.

Do ogródka wbiega jak burza moja foksiczka i rzuca się na mnie z kwikiem i szczekaniem, oszalała z radości, że mnie znajduje. Pan Mates promienieje. Głaszcze foksiczkę: „Nu-nu, piękny pejsek, miły pejsek!” A potem mówi już sam do siebie: „Ach, Bożinku, ile dobroci jest w takim piesku, ile serca... A człowiek dla człowieka...” Rozkłada ręce bezradny i wstaje. Gazetę wsuwa za pazu-chę i szybko wychodzi z ogródka.

Nie zatrzymuję go i nie zapraszam. Jest mi go żal, w oczach miał coś takiego obitego, sponiewieranego, ale, rzecz dziwna, bezwiednie przenoszą się na niego niedobre uczucia, które wzbudziło czytanie protektorackich gazet czeskich. Przymus? Zapewne, znamy go przecie sami. Ale u nas muszą Niemcy fabrykować sobie swoje paskudne szmatławce sami, tu zaś przejawia się tyle żarliwej ochoty tych Krejczich, Morawców, Wernerów, Chrów i jak ich tam zwali! Pan Mates z Witkowic koło Morawskiej Ostrawy jest teraz w służbie niemieckiego wojska i otrzymuje od kogoś gazety czeskie, które są w służbie grosrajchu niemieckiego. Zaczynam rozumieć tego pana Matesa i nagle wiem, dlaczego nie wrzuca do pieca tych ohydnych dowodów ludzkiego upodlenia. Wracamy czasem do panoptikum, aby jeszcze raz przekonać się, że widzieliśmy dobrze jakiegoś niewiarogodnego potworka.



Zresztą jak mogło by być inaczej! Otchłań przywołuje otchłań. Święty Franciszek wzbudza setki naśladowców, bandyta znajdzie zawsze naśladowców miliony. Mimo woli patrzę na swoją suczkę taką życzliwą dla wszystkich, tak pokojowo usposobioną! Jakże serdecznie spoufalał się Franciszek z Assyżu ze zwierzętami i kwiatami! Jego kazania do ryb czy do jaskółek są pewno legendą, ale jakże aktualną! Hitler nigdy nie wygłaszał przemówień do jaskółek czy ryb. Jego uważnym i posłusznym słuchaczem mógł być tylko wynaturzeniec, morderca i bandyta.

Od wspomnienia św. Franciszka myśl biegnie do dalekiego jeziora Garda, gdzie na jednej ze ścian domu stojącego tuż nad modrym jeziorem w Torbole jakaś naiwna franciszkańska wiara wymalowała kazanie do ryb. Święty stoi nad szafirową wodą, rozłożył ręce i patrzy w ciche fale jeziora, z których wysuwają się pyszczki ryb pragnących usłyszeć dobre słowo człowieka. U brzegu kołysze się mnóstwo łodzi i czółen rybackich o kolorowych żaglach, czasem malowniczo poławianych. Cisza i spokój. Od strony miasteczka zbliża się towarzystwo: mężczyźni, kobiety, dzieci. Jeden z mężczyzn jest trochę pijany i zatacza się. Podchodzą do wybrzeża, sprawnie i szybko odwiązują jedną z łodzi i sadowią się w niej. Pijany Włoch układa się od razu i zasypia. Jego towarzysze plują w garści i imają się ciężkich wiosł. Za chwilę łódź płynie dość żwawo gdzieś w stronę Malcesine i znika za pagórkiem wysuniętym w jezioro. Z lewej strony wznosi się potężny masyw Monte Baldo, a na jego stromych zboczach stoją rzędy ciemnych cyprysów podobnych do wędrownych mnichów jakiegoś górskiego klasztoru. Tam się mieszkano za pięć lirów dziennie, na doskonałym — och, nie kartkowym niemieckim! — wikcie, a wspaniałe góry, wodospady szumiące, błękit jeziora i szafir nieba z soczystymi świeżymi zapachami laurów miało się na dodatek do radości życia. Jak cudnie pach-

niały laury podczas deszczu, jak beztrąsko szczypały ich liście swawolne kozy!

Ach, tak... „Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?“ Jaśnie wielmożny mądry Europejczyk, Johann Wolfgang Goethe, śpiewał tak sugestywnie: „**Kennst du das Land...**“ Dzisiaj musiały Goethe milczeć, a Schiller, piewca wolności, siedziałby w obozie koncentracyjnym, zaś cichy skupiony Hoelderlin byłby potwornie spowinowierany i zamknięty w więzieniu, powtarzałyby sobie słowa swego „Hyperiona“: „Przyszedłem tedy między Niemców. Żądałem niewiele i godziłem się znaleźć jeszcze mniej... Barbarzyńcy od samego zarania swych dziejów, przez pracowitość, wiedzę, a nawet religię, jeszcze bardziej zbarbaryzowani, do gruntu pozbawieni wszelkiego boskiego uczucia, zepsuci aż do szpiku kości, ku szczęściu świętych gracji, w każdym stopniu przesady i miernoty obrażający dla każdej dobrze wychowanej duszy, tępi i nieharmonijni niby skorupy odrzuconego naczynia — takimi byli moi pocieszyciele... Zapragnąłem więc znowu z Niemiec odejść. W narodzie tym nie szukałem już niczego, byłem aż nadto dotknięty nieubłaganymi znieuwagami, nie chciałem tedy, aby dusza moja wśród takich ludzi wykrwawiła się do reszty...“ Takie są słowa marzycielskiego Hoelderlina. Goethe miał dla swoich rodaków słowa nielepsze. Dnia 3-go maja 1827 roku w jednym ze swoich rozmów z Eckermannem, powiedział: „My, Niemcy, jesteście od wczoraj. Od jakiegoś stulecia uprawialiśmy wprawdzie dość dzielnie kulturę, ale może upłynąć jeszcze parę dobrych stuleci, zanim między rodaków naszych przeniknie tyle ducha i wyższej kultury, aby podobnie jak Grecy hołowali pięknu, zapalali się dla pięknej pieśni i aby można było powiedzieć o nich, że to już dawno temu, odkąd przestali być barbarzyńcami“.

Goethe musiał ich znać. Gdy Hitler najgłośniejszym wrzaskiwał swoje wezwanie do Niemców, aby się zbudzili, każdy z nas rozumiał, że on sam nie wie, co to znaczy

zbudzić się do twórczego pięknego życia. Hitler budził tylko masowych morderców, włamywaczy, sadystów, złodziei i oszustów. I znowu przypominał się Goethe w swej rozmowie z historykiem niemieckim, Ludenem, w czasie niemieckiej wojny wyzwolenczej, w roku 1813. „Mówi pan — zwracał się do Ludena — o przebudzeniu i powstaniu ludu niemieckiego i sądzi pan, że lud ten nie da sobie wydrzeć tego, co zdobył kosztem krwi i mienia, a mianowicie — wolności. Czy lud naprawdę się zbudził? Czy on wie, czego chce i co potrafi?... Sen był zbyt głęboki, aby nawet najmocniejsze tarmoszenie mogło mu przywrócić świadomość tak szybko. I czyż każdy ruch jest powstaniem? Czy powstaje ktoś, kogo gwałtem popychają?... Powiada pan: wolność, chociaż może właściwiej było by powiedzieć: uwolnienie — uwolnienie nie od jarzma obcych, ale od pewnego obcego jarzma... Nasze piękne kobiety ściskają konie i obcych jeźdźców, a pan powołuje się na piękne proklamacje panów obcych i naszych..”

I to jest także trafne słowo. Naród niemiecki nie zbudził się ani wtedy, ani dzisiaj i kto wie, czy zbudzi się kiedykolwiek do somodzielnego życia takich ludzi, którzy na własnym ciele badali skutki ukąszeń owadów i pasozytów i własną śmiercią okupywali życie milionów. Wszystkie Barbarossy, Karole Wielkie, Fryderyki, Wilhelmcy i Hitlercy niosły milionom nie życie, ale śmierć. Gdy nie nadarzała się sposobność do mordowania innych, wymordowywali się w najokrutniejszy sposób między sobą. Czyliż nie uczymy się w szkołach, co robił taki Karol Wielki z dzielnym szczepem wojowniczych Sasów? Wymordowywał ich po prostu i to pod pretekstem zaprowadzania chrześcijaństwa wśród nich. Pobiwszy ich zaprowadził w ich stronach rządy jakiegoś permanentnego stanu oblężenia i mordował ich tak, jak teraz Hitler wymordowywał narody podbite trzymając je także w stałym stanie oblężenia. Albo taka wojna trzydziestoletnia, podczas której Niemcy wykładali sobie Chrystusową

ewangelię miłości i miłosierdzia. Albo dzieje krzyżaków... No cóż? Przecież już Tacyt zapisał w swej „Germanii“, że dla germanina wstydem jest wyrabiać czy kupować rzeczy, które można złupić, ukraść, przywłaszczyć sobie siłą.

Wkroczyli do Czech i skrzyknęli to wszystko, co było do nich duchowo podobne. Gdzież nie ma szumowiny? Wielka nikczemność jest jak biegun magnetyczny przyciągający śmieci znikczemnienia. W chwili jasnovidzenia Hitler powiedział coś takiego o magnesie przyciągającym śmieci. Wszystko, co w śmieciu jest choć troszkę magnetyczne, lgnie do magnesu. Tak przecie zaczął. Cały narodowy socjalizm jest nie do pomyślenia bez wyrzutków społeczeństwa. Najprzód potrzeba mu było łobuzów nie cofających się przed żadną nikczemnością i żadnym aktem zbrojstwa. Przy pomocy tej hołoty mógł rozbijać wiecie i zebrania ludzi porządných i spokojnych. To był początek jego władzy. Szumowiny znalazło się daleko więcej, niż byłby kto mógł przypuszczać. Zaczął się terror tak dalece skuteczny, że można było sięgnąć po władzę nad „stadem pustogłowych baranów“ i nad „głupimi współobywatelami“, jak się autor „Mein Kampf“ malowniczo wyrażał. Reszta poszła względnie łatwo i gdzie tylko znajdowały się pustogłowe barany, wszędzie sukces był pewny. Nie brakło go i w Czechach, gdzie pierwszy dzień niewoli uznano za największe wydarzenie w dziejach całego narodu. Tylko biedny pan Mates z dala od tego całego jublu protektorackiego miał wątpliwości tak wielkie, iż czeskiego szmatławca nie palił, ale czytał jeszcze raz i jeszcze nie mogąc zrozumieć, co i jak się stało.

Pewnego dnia wyranżerowany żołdat niemiecki, kategorii mocno pośledniej, chodził z naręczem książek w kolorowej okładce i podawał przechodniom. Ludziska brali, zdziwieni niemają, że niemiec, a też czasem coś daje darmo. Książeczka była niemiecka, więc niewiele się ta



zrozumie, ale choćby i na podpalenie w piecu może się przydać. Dawaj, panie niemiec! I pan niemiec dawał, żeby się jak najprędzej pozbyć swej misji i móc wrócić do kantyny. Nie wszyscy jednak myśleli tak gospodarnie o podpalaniu w piecu niemiecką książkę. Naprzeciwko sklepu stał powozik dworski, a w nim siedziała młoda kobieta czekając, widać, na kogoś. Stary żołdat podał jej kolorową książkę. Nie spojrziała nawet na niego. Położył jej książeczkę na siedzeniu powozika i dodał grzeczny uśmiech. Strąciła ją końcem parasolki na ziemię. Zdziwiony żołdat popatrzył chwilę na panią tak wyniosłą, schylił się, podniósł książczynę i poszedł zawstydzony dalej. Wiejska dama miała szczęście, że to nie był gestapiak albo choćby zwyczajny foksowaty S. A-man.

Sąsiad z przeciwka przyszedł pokazać mi swój nabytek uliczny. Co by to zaś być mogło, że Niemcy wtykają ludziom do rąk i płacić nie każą. Brytyjska flaga Union Jack, a nad nią czarna korsarska chorągiew z trupią główką. Tytuł: „Poprzez kłamstwa i trupy ku imperium. Krwawa droga Anglii ku światowemu mocarstwu i upadkowi“. Napisał to niejaki Springborn. Na wewnątrz karty tytułowej napis: Podano przez Reńskie Towarzystwo Kolejowe T. A. w Düsseldorfie. I cytata z Victora Hugo: „Nadejdzie czas, gdy na ziemi zostaną wzniesione dwie tablice; na jednej będzie napis: „Ludzie“, na drugiej — „Anglicy“. Nie wiem, czy ta cytata jest autentyczna, ale jeśli tak, to niech Bóg będzie pochwalony, że wścieklizna niemiecka spotyka przeciwnika takiego, jaki jej jest konieczny. Sąsiad zostawia mi książkę do przejrzania i prosi, abym po przejrzaniu jej powiedział mu, co w niej jest ciekawego.

Ciekawego jest w niej niewiele. Wiekuiste pretensje do świata, że jest zawistny i zazdrosny, że Niemcom nie życzy miejsca pod słońcem. Oczywiście, ani słowa o tym, że Niemiec ulegał okresowo zezwierzęczeniu i że np. swoich niedysyjszych posiadłości afrykańskich używał na to



jedynie, aby móc folgować swoim popędom sadystycznego wynaturzenia. Nikt w gruncie rzeczy nie chciał wierzyć, że Niemcy dopuszczali się swoich typowych lustmordów na kobietach afrykańskich, bo to brzmiało zbyt potwornie; nikt też nie wierzył, że Niemcy używali skóry swoich czarnych poddanych na oprawę książek, które w ten sposób stawały się osobliwościami. Gdy wreszcie to i owo wyszło na jaw i lustmörderów niemieckich trzeba było sądzić, lekarze niemieckich kolonij wydawali oskarżonym świadectwa choroby, która po niemiecku nazywała się **Tropenkoller**. Autor książeczki wywodzi, że „Adolf Hitler był na drodze stworzenia upokojowionej Europy, ale to nie odpowiadało celom klikki plutokratów kierujących się jeszcze zasadami z ducha Elżbiety, Cromwella i Pitta. Istniały też widoki, że przez rezygnację firera na korygowanie granic na zachodzie, Francja i Niemcy zarzucą wieczną rywalizację i podadzą sobie ręce do współpracy jako dobrzy sąsiedzi. Do tego trzeba dodać jeszcze fakt, że Niemcy i Rosja oświadczyły, iż pod żadnym warunkiem nie sięgną po argument broni, ale zgodnie z tradycją żyć będą obok siebie w zgodzie i będą się gospodarczo uzupełniać“.

Tego Anglia — według wywodów niemieckich — chcieć nie mogła i stąd „Anglio, to twoje dzieło!“ Książeczkę Springborna można śmiało nazwać księgą niemieckiej zawiści. Oczywiście, wszystko te Żydy i ta chciwość angielska i zaciekłość, z jaką Anglicy walczą o wszystko, co im się wydaje pożytecznym i korzystnym. Jeżeli Anglia zostanie pokonana, to cały świat odetchnie, bo wtedy Żydzi stracą swoją najpotężniejszą bazę operacyjną. Taki jest tenor wywodów nacjonalistów niemieckich. Ale to jest kłamstwo.

Inaczej oceniał te sprawy wielki patriota niemiecki, Moritz Arndt (1769—1860), miętusowaty poeta i szowinista największego formatu. Uważał on, że Anglik jest ciałem z niemieckiego ciała i kością z niemieckiej kości. „Czy

sądziecie, że taka wielkość, taka światowość i taki majestat może być osiągnięty bez potu i bez cnoty?... Widzimy tu światotwórczą i światodzierżczą cnotę, cnotę pracowitości, stałości, odwagi i umiłowania wolności. Stoi tu poważny, stanowczy, pewny, praworządny mąż przed wami, który wykazać się może zaszczytnymi bliznami swoich prac i bojów. Bóg przydzielił temu narodowi w ostatnich stuleciach wielką rolę i naród ten nie sięgnął po nią samowolnie.. Gdziekolwiek Europejczycy w innych częściach świata dokonywali podbojów, zakładali kolonie itd., tam działo się to w sposób ludzki, to znaczy nie bez uchybień i wykroczeń, musicie jednak przyznać, że życie, prawo i sprawiedliwość najbardziej zakwitły tam, gdzie Anglik postawił stopę... Ta wielka rola została mu przyznana; on ma świat rozruszać kształtując, co jest bezkształtne — otwierając, co jest zamknięte...“ Fr. W. Foerster, autor książki p. t. „Europa a sprawa niemiecka“, przytacza te słowa i dodaje od siebie, że handlowy i przemysłowy liberalizm angielski nigdy i nigdzie nie wyeliminowywał obcych sił twórczych i przedsiębiorczych i że niemiecki konkurent mógł śmiało współzawodniczyć z Anglikiem na jego własnych terytoriach. Tylko zawiść niemiecka i duch wyłączności niemieckiej nie godził się na takie liberalistyczne ustosunkowanie angielskie do niemieckiego współzawodnika. Jeśli Anglik stawał do walki z Niemcem, to nie dlatego, że Niemiec był dzielny i pracowity, ale dlatego, że zagrażał istnieniu Anglii i sięgał nie po warsztat pracy, ale po panowanie nad światem.

Jedynie odwieczna głupota niemiecka mogła czcić meczanizm tak fanatycznie, jak to czynili Niemcy. Najprzód obrzymia armata, olbrzymia armia, lotnictwo, łodzie podwodne, gazy trujące, a dopiero potem to jakieś życie z wieprzowiną, kapustą, piwem i stammtischem. I dla zabezpieczenia takiego życia — największe kryminały świata, największe obozy koncentracyjne i największe komory gazowe z największymi krematoriami. Było

w Niemcu coś wybitnie psiego: na jego szacunek zasługiwał tylko ten, co go dobrze bił, kopał, pomiatał nim. Kto go dobrze i po ludzku traktował, uchodził za słabeusza zasługującego tylko na pogardę i lekceważenie. Niemiec dzielił świat na takich, co biją innych i co są sami bici. Nie bijesz Niemca, to znaczy, że sam musisz być bity. Komm! I żandarm niemiecki zabierał z ulicy paru chłopców i prowadził ich w ustronie, gdzie ich rzeczowo kładł na ziemi i zabijał typowym niemieckim **genickschussem**. Za co? A za to, że ty, głupcze, nie strzeliłeś do mnie. Nie zabijam tylko tego, kto zabija mnie!

Oto niemiecka filozofia żołnierska. Potwierdzała się na każdym kroku w praktyce okupacyjnej: Niemiec nie wierzył ani w człowieka, ani w Boga, którego bojaźń miała być cnotą pruską według zapewnień Bismarcka. Wierzył tylko w terror. Nie miał wyboru: albo on mordował, albo jego mordowali. Ale wtedy taki Fryc ginął za firera, za rajch, a raczej grosrajch, a nawet za wolność Polaków, jak czasem bezwstydnie łągały kamienie mogilne. Na kamieniu nagrobnym SS-mana, Josefa Vikolera, poległego 26. 6. 1941 pod Mońkami (?), czytamy zdumieni wezwanie w mowie polskiej: „Przechodniu, powiedz swoim rodakom, że za waszą wolność tutaj spoczywam“. Na niczyje mogiły nigdy pluć nie należy, ale na kłamstwo niemieckie owszem, nawet gdy jest wypisane na kamieniu mogilnym.

Śród przyjaciół miałem podczas wojny kilku miłych młodych cieszyniaków, którzy musieli uciekać ze Śląska, aby nie dostać się do niemieckiego obozu, albo do niemieckiego wojska. Jakoś w połowie marca 1942, jeden z nich, nauczyciel Kluz, wpadł do nas na chwilę, przygnębiony i podniecony zarazem.

Co się stało, drogi przyjacielu?

„Uciekłem spod szubienicy niemieckiej“ — odpowiedział krótko i w niewielu słowach powiedział mi, że nie mogąc wytrzymać z dala od swoich, prześlizgnął się na Śląsk Cieszyński i o mały figiel byłby został schwytany

razem z wielu innymi, którzy albo już zostali powieszoni przez Niemców, albo powieszoni zostaną. Był bardzo poważny i skupiony, gdy to mówił. Nie można było wątpić, że coś takiego się stało albo stanie. Serce ścisnęło się boleśnie, jak już tyle razy podczas tej potwornej wojny niemieckiej, ale jeszcze wzbierało się uwierzyć. Może jednak tylko przywidzenie przyjaciela maluje taki czarny obraz.

Na potwierdzenie ponurej wieści nie trzeba było czekać zbyt długo. Jakoś po Wielkanocy 1942 r. otrzymałem obszerny list od przyjaciela z Ustronia w Cieszyńskim, bibliofila, silezjanisty i pisarza, Jana Wantuły. Z głębokim żalem donosił mi ten wierny i oddany patriota polski o „dwudziestu czterech Okrzejach“ nad Olzą. List był tym boleśniejszy, że autor jego wypowiadał się bardzo ostrożnie, aby nie narazić odbiorcy listu. Wstrząs był straszny dla wszystkich wiernych Ślązaków. Mój przyjaciel ustronński cytatami z Biblii, zaznaczonymi liczbą rozdziału i wersetu danej księgi, mówił o zemście, która na morderców przyjść musi i to niedługo. Odszukiwałem w Biblii zaznaczone miejsca i kołem bólu serca zapowiedział zemsty Bożej. Ale sprawa nie była, niestety, wyczerpana tym listem. Niebawem trzeba było jeszcze raz przeżywać całą cieszyńską tragedię naszej bezsilności wobec najpodlejszego z wrogów, gdy nam donoszono szczegóły tego dramatu, który podłość niemiecka nazwała „zabawą ludową“ (**Volksfestem**). Działo się to w ładny dzień 20 marca, tuż w przededniu wiosny.

Oto jak mi ten dzień opisał jeden z przyjaciół, który został zmuszony do patrzenia na męczeństwo 24 Polaków za to jedynie, że byli Polakami. W chwili, gdy pycha germańska zapowiadała światu zdobycie Moskwy i Leningradu, a hordy Hunnów pchały się poprzez Ukrainę na Kaukaz i ku Woldze, Niemcy cieszyńscy uważali, że nadszedł czas, aby rozprawić się ze znieprawionymi Polakami, którzy nie tylko że nie uginali się przed brutalnym



chamstwem, ale przeciwnie, organizowali ruch oporu. Dla kretynów niemieckich było to wyzwaniem godnym śmierci. Dnia 20 marca rozeszła się nagle wieść po Cieszynie i okolicy, że nad Olzą, koło drugiego jazu, gestapo buduje jakąś długą galerię: szubienice! Obywatele Cieszyna i okolic narodowości polskiej otrzymali urzędowe wezwanie do stawienia się na miejsce masowego mordu i asystowanie przy mordzie braci polskich. Tłumy Niemców cieszyńskich, zbydlęciałe jak całe w ogóle niemiectwo, ubrane odświętnie kręciły się koło szubienic i dawały wyraz swej radości na samą myśl, że za niewiele chwil zawiśnie na niemieckich szubienicach kilkudziesięciu Polaków. Kanałia krwiożercza przysłała na typowe niemieckie żerowisko.

W gwar wesołych roześmianych głosów niemieckich i w skupione bolesne milczenie, spędzonych na to miejsce Polaków, wpadł turkot ciężarówki, wiozącej skazańców. Prawie wszyscy młodzi i pełni życia, chociaż storturowani przez zbydlęciałe gestapo i wymizerowani w więzieniu. Usta zacięte, w oczach błysk dziwnej pewności siebie. Jasnowidzeniem umierających wiedzą, że chociaż za chwilę skończy się pasmo ich dni, idzie za nimi zastęp braci, który ich pomści. Oprawca niemiecki zarzuca im pętle na szyję... Za chwilę powróz pręży się pod ciężarem ciał, belki szubienicy uginają się pod tragicznym brzemieniem. Gdzieś w gromadzie spędzonych Polaków odzywa się zduszony szloch kobiety, pokryty hałaśliwym śmiechem bydła niemieckich. Trupy pomordowanych kołyszają się na naprężonych sznurach, a jakaś tkliwa Greta niemiecka spośród niemieckich Madłów robi wesołą uwagę, że jest tak jakoś jak w teatrze marionetek. „**Wie im Puppentheater!**” Ciała biednych męczenników mają wyciągnięte stopy, jakby całą siłą chciały dotknąć zbawczej ziemi, oprzeć się na niej, uwolnić szyje ze straszego uścisku pętli. W oczach zebranych Polaków błyska niedowierzaniem, a pochylone głowy straconych kiwają się na wietrze, jakby przyświadczały: „tak, tak!” Niemcy śmieją



się burzliwie i pokazują sobie wzajemnie śmiertelne wykrzywienie twarzy nieboszczyków. Wołają, że należy im się jak najwięcej takich Volksfestów. Trupy wiszą parę godzin pod spojrzeniem braci swoich i pod spojrzeniem zbydlęciałych i odczłowieczonych Niemców. Pod wieczór Polacy otrzymują wreszcie zezwolenie zdjęcia zwłok z szubienicy. Układają je na ciężarówce, która zawiezie je do najbliższego krematorium. Zaś oprawcy niemieccy otrzymują za swoją patriotyczną pracę po pięćset marek i idą pić do „Germania”. Upiwszy się włożą na stoły i pokazują przy burzliwym śmiechu gawiedzi germańskiej, jak to ich ofiary się krzywiły zwisając na prowozach.

Jedno było jasne ponad wszelką wątpliwość: sprawcy takich Volksfestów — to nie ludzie, ale jakieś człeko-kształtne potwory. Zewnętrznie podobni są do ludzi, ale ich dusze nie mają nic a nic ludzkiego. Ich zwycięstwo byłoby końcem cywilizacji i początkiem najpowszechniejszego ludożerstwa czy czegoś w tym rodzaju. Każdy z nas wiedział, że jest z brzoza i że żyjemy na minuty nigdy nie wiedząc, czy najbliższe dziesięć minut do nas należą, ale wszyscy byliśmy nieugięci: raczej zginąć, niż żyć w jakiegokolwiek wspólnocie z potworem moralnie tak cuchnącym jak Niemiec. Lecz potworek niemiecki i tym razem dokonywał wbrew swym intencjom czegoś innego, niż pragnął: heroizował tego właśnie człowieka, którego chciał zmiążdżyć i rzucić sobie pod stopy. Młodzi chłopcy i młode dziewczęta szli na śmierć raczej niż na ugodę z Niemcem. Siedemdziesięcioletni starcy szli obok kilkunastoletnich młodzieńców pod pluton egzekucyjny i ostatnimi słowami, jakie im wypowiedzieć pozwolono, rzucali taką trwożną na niemieckich oprawców, że ci niebawem zaczęli gipsować usta umierających i zastrzykami paraliżować języki, aby tylko nie słyszeć tego, co umierający miał do powiedzenia „panom świata” i największym tchórzem, chadzącym w dziesięciu przeciwko jednemu, ukrywającym się za masą żelastwa, napadającym z powietrza i z głębin wody.

Coraz częściej powracało pytanie: co zacz jest niemiec, któremu tak łatwo przychodzi niszczenie wszelkich zdobyczy kultury ludzkiej? Czy jest naprawdę tym, za co się chepliwie podaje, a więc twórcą i konserwatorem kultury światowej czy też pasożytem tej kultury?

Cała współczesna cywilizacja jest dziełem nie-niemców. Zbadanie globu ziemskiego, kontynentów i mórz zawdzięczamy Hiszpanom, Anglosasom, Portugalczykom, Włochom, Rosjanom, ale wśród tych badaczy nie znajdziecie Niemców. Maszynę parową, maszynę do przędzenia i tkania, kolej żelazną itd. wynajdywali Anglicy, Francuzi, Belgowie, Szwedzi, ale nie Niemcy. Najskuteczniejszej broni dostarczyli Niemcom wynalazcy obcy. Niemiec był wspaniałym korsarzem przy pomocy łodzi podwodnej, ale nie on ją wynalazł.

Co więcej: sztab generalny niemiecki idąc za skłonnościami typowo niemieckimi zalecał budowanie jak największych pancerników, ale łodzie podwodne uważał za igraszki niegodne prawdziwych marynarzy. Dopiero gdy Anglicy, Francuzi, Amerykanie, Szwedzi, udoskonalili łódź podwodną, Niemiec zrozumiał, na co może mu się taka łódź przydać. Robił z niej użytek wydatny i wybitnie zbrodniczy. Czołgi są także wynalazkiem nie-niemieckim, ale anglosaskim. W Niemczech sam pomysł czołgu budził wesołość, ale gdy podczas ostatniej ofensywy tamtej wojny światowej Foch pokazał Niemcom, jak się tego używa, Niemcy nabudowali masę czołgów, aby zgnieść świat i zamordować raz na zawsze wolność człowieka. Gdy Amerykanie zaczęli poważnie pracować nad wynalezieniem samolotu, Niemcy ze zwykłą sobie butą i pewnością siebie oświadczyli, że samolot to wielkie głupstwo, bo nigdy przedmiot cięższy od powietrza nie będzie mógł unosić się w powietrzu. Latać można tylko na gazie lżejszym od powietrza i dlatego budowali Niemcy swoje ciężkie i nieobrotne kobyły, „Zeppelin”. Gdy jednak wysiłki Amerykanów, Francuzów, Anglików i przedstawicieli innych

narodów rozwiązały zagadnienie samolotu, spostrzegł niemiec, że jego Zeppelin „do luftu“, a „luftwaffe“ to właśnie to, co uważał za wyłączone, ausgeschlossen.

Pusty i tępy łeb, pozbawiony wszelkiej wyobraźni twórczej. Jest doskonałym majstrem i umie zbudować na przykład wspaniały mikroskop, ale samą ideę mikroskopu musi mu dać Holender, Leuwenhoek. Sławetny Koch odkryje mikroba gruźlicy i zostanie przez Niemców ogromnie rozreklamowany, ale poprzedzić go musi genialny Francuz — Pasteur. I tak jest ze wszystkim. Niemiec ma zawsze swoją pewność siebie, dzięki której przegrywa w walce z bystrzejszym umysłem i lotniejszą wyobraźnią. Inżynierowie niemieccy twierdzili z całą pewnością siebie, że lokomotywa jest czymś niemożliwym, bo koła będą się wprawdzie obracały, ale wóz nie ruszy z miejsca. A znowu bawarskie kolegium medyczne dało się słyszeć, że kolej żelazna doprowadzi do ciężkich schorzeń, bo przy tak szalonej szybkości — 30 kilometrów na godzinę! — ludzie zapadać będą na choroby spowodowane wstrząsem mózgu. Nie Niemcy wynaleźli radio, nie oni też stworzyli kino, żarówkę elektryczną i fonograf. Wszystko, co w dzisiejszej cywilizacji odgrywa wielką rolę, jest dziełem innych narodów. Ale Niemiec umie dobrze podpatrywać i naśladować. Jest niezrównanym plagiatorem i umie powiększać owoc wysiłku innych. Ale nie on przeleciał pierwszy przez Atlantyk, nie on rozbił atom i nie on wynalazł penicylinę. I zdaje się, że właśnie nie brak mu poczucia niższości, a to poczucie przyprawia go o szal. Przecież „największy Niemiec wszystkich czasów“, jak się mianował Hitler, ześciubał swój narodowy socjalizm z nacjonalizmu, który zrodził się nie w Niemczech i z socjalizmu, który sformułował naukowo Marx. Nie bez słuszności powiedziano, że Niemcy to olbrzymia melina, gdzie się gromadzi cudze idee i cudze mienie, cudze wynalazki i cudze dzieła sztuki.

Ale Niemcom przypada sława autorstwa „Młota na

czarownice“, tortur norymberskich zwiedzanych przez turystów całego świata od dziesięcioleci, obozów koncentracyjnych, komór gazowych i krematoriów w skali upodobania niemieckich dla wszystkiego — co największe. To trzeba Niemcowi zostawić, podobnie jak jego gospodarność, dla której wyrывał trupom złote zęby, strzygł kobiety przed ich zagazowaniem, aby mieć doskonały materiał na ciepłe kołderki dla swoich dzieci — i rozbudowywał przemysł mydlarski na gruncie masowego mordu. Gdy podczas tamtej wojny mówiono o Niemcach, że robią tłuszcz i smary z trupów ludzkich, Niemcy przywoływali Boga na świadka, że tylko nikczemna zawiść może posadzać ich o coś równie nieludzkiego. Okazało się jednak, że gdy chodzi o każdą postać zezwierzęcenia i zbydlęczenia, Niemcowi nic nie jest obcym. W wyzysku człowieka przeszedł wszelkie dotychczasowe granice: zabrał się do wyzyskiwania nawet trupów. Gdy masowy niemiecki morderca, Haarman, mordował młodych ludzi, a ich ciała ćwiartował i solił, aby je sprzedawać jako wieprzowinę, nikt nie przypuszczał, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem powszechniejszym niż zbrodnia wynaturzonej jednostki. Milionowe armie niemieckie okazały się milionami Haarmanów. I trzeba, aby świat przyjął to do wiadomości.

Z takimi tedy rzezimieszkami, złodziejami, sadystami, mordercami i fabrykantami mydła z trupów ludzkich trzeba było żyć, spotykać ich stale, przyjmować na kwatery, słuchać ich chełpliwych dyskursów i nie wiedzieć nigdy, co takiemu zwyrodnialcowi strzeli do głowy w chwili najbliższej. Szedł sobie spokojny obywatel traktuarem, niósł paczuszkę czegoś, co właśnie kupił w sklepie i myślał o wszystkim innym, tylko nie o jakiejś osobistej tragicznej przygodzie. Bo niby dlaczego miałyby o niej myśleć? Nikomu nigdy w drogę nie wchodził, na polityce się nie znał i tyle tylko wiedział, co i wszyscy: Niemcy wojnę przegrają i będą musieli ze wstydem ucie-



kać. Lecz oto nagle słyszy samochód pędzący z przeciwnej strony. Niech sobie będzie samochód! Małoż ich to teraz śmiga we wszystkich kierunkach? W samochodzie żandarmy tłuste i ocieźałe. Pal ich diabli — i żandarmów! I oni też się skończą! Ale samochód przystaje, żandarm kiwa właśnie na statecznego, niepolitycznego obywatela. Aha, chcą się, widać, zapytać o drogę do Wiskitek czy może nawet do Łowicza. Podchodzi do samochodu i czeka na pytanie, ale nikt go o nic nie pyta, tylko każą mu siadać. Jak to, siadać? Dlaczego i po co? Idzie do domu — i w całkiem innym kierunku. Łapią go za kark i wciągają do samochodu. Samochód odjeżdża i wszelki ślad po zabranych obywatelu ginie.

Albo łobuziak foksowaty zbiera gromadę robotników polskich i wygłasza do nich przemówienie w języku niemieckim o nowym ładzie i o konieczności wydatnej pracy dla tego właśnie nowego ład. A jeśli będzie opór, to mają sposoby: gdy powiesi się paru Polaków na dziedzińcu fabrycznym albo nawet w hali jednego z oddziałów, to reszta zrozumie, że to nie przelewki. Słuchacze stoją i patrzą na mówiącego z takim uczuciem, z jakim patrzy się na wściekłego psa, który jest wprawdzie groźny dla swego otoczenia, ale nosi śmierć w sobie i bardzo rychło zdechnie. Niechże sobie na ostatek jeszcze poszczeka do woli. Ale zgłupiały foks nie tylko szczeka, lecz także działa. Wpada któregoś dnia do mieszkania obywatela, który ma czteropokojowe mieszkanie. „Pan się jutro wyprowadzi z tego mieszkania. Tu zamieszka pani Schönowa z córką“. Obywatel wie, że to jest zwykła szykana i że na to nic nie poradzi, ale na wszelki wypadek próbuje tłumaczyć, że tu ma swoje laboratorium, że ma liczną rodzinę i że trudno przecie o mieszkanie. Ale foks jest w dobrym humorze. Może zainteresowanego zapewnić, że mu żadnego mieszkania narzucać nie myśli, że może sobie wybrać mieszkanie, jakie mu się będzie podobało. Pani Schön musi mieć mieszkanie wygodniejsze od



dotychczasowego. Ma ta pani opinię ustaloną. Jej córka także. Niemiecki soldat ceni sobie to, że mama jest nie-  
droga i zawsze bardzo uczynna. Córka jest trochę droższa  
— zwei mark fünfzig — ale diabli wiedzą dlaczego, bo  
doprawdy, to córka ma więcej lat wysługi od swej mamy!  
I obywatel wyprowadza się do jakiejś norki przydzielonej  
przez magistrat.

Albo znowu taka rzecz: foks każe się stawić żonie  
lekarza żydowskiego, któremu zabrano mieszkanie i pozo-  
stawiono ledwo jeden pokój dla całej rodziny. Wezwana  
przychodzi i czeka półtorej godziny na stojąco. Poszłaby  
do domu, bo już stać nie może, ale u drzwi stoi **selbst-**  
**schutz** z karabinem i nie wypuści. Więc podchodzi rezo-  
lutnie do drzwi gabinetu dygnitarza foksowego i puka,  
ale wtedy spostrzega, czego sobie narobiła. Foksowy łobu-  
ziak wybiega ze swego pokoju, przyskakuje do samotnej  
kobiety z pięściami i wrzeszczy na cały głos wykrzykując  
co plugawsze wyrazy niemieckie pod adresem wystraszo-  
nej doktorowej.

„Jak ja każe czekać, to czekać! **Verstanden?** Zrozu-  
miano?“ I znika za drzwiami pracowni, a doktorowa  
czeka. Po twarzy spływają jej łzy wstydu i wściekłości.  
Wreszcie foks każe jej powiedzieć, że dzisiaj już nie ma  
czasu. Ma się stawić jutro. Doktorowa przychodzi jutro  
i znowu czeka. I znowu pan foks nie ma czasu. Więc  
jeszcze raz tego samego. I wtedy cała sprawa zostaje za-  
łatwiona w trzech słowach. Mieszkanie ma być opróż-  
nione natychmiast. Z lokatorów dotychczasowych. Mebli  
zabierać nie wolno.

To było zjawisko stałe. Złodziejstwa poprzedzane szy-  
kanami. Wyzysk, groźby, łapanki, aresztowania. Żyran-  
dów miał najgorszą reputację. Ludzie, którzy uciekali  
z Żyrandowa do Podkowy Leśnej, albo do nieco dalszego  
Brwinowa, opowiadali przygodnie, że tam się żyje cał-  
kiem inaczej. „Jakto? Nie ma tam Niemców?“ — „Gdzie  
nie ma Niemców? Wszędzie są. Ale nie ma tam foksów“.

Foksy to była zakała polskiej ziemi. Nigdy ich Polacy nie upośledzali, a Rzeczpospolita traktowała ich jako zupełnie równoprawnych obywateli, ale . . . „krzyżackiego gada nie ugłaszczesz!“

Już na parę miesięcy przed wojną zaczynały dźbiać się rzeczy zwracające na siebie uwagę. Aż dziw, że władzom naszym nie rzucały się w oczy ucieczki foksów za granicę, do Rzeszy — i ich skruszone powroty, a zawsze takie, żeby łatwo było ich złapać. No, sąd i opowiadanie podsądnych, że w Niemczech nędza i głód, i w ogóle dopust Boży w każdej postaci. Tak, chcieli szukać szczęścia w Niemczech, ale musieli uciekać. Tam nie można wytrzymać. Trzy miesiące więzienia z zawieszeniem. Gdyby tych podsądnych byli od razu „pozawieszali“, Polska byłaby uniknęła wielu nieszczęść. Bo to byli agitatorzy, którzy przechodzili w Niemczech kurs szpiegowski i dywersancki. Natychmiast po uwolnieniu z aresztu i po otrzymaniu łaskawego wyroku zabierali się do roboty. Gdy w lipcu r. 1939 płonął wielki dworzec kolejowy w Warszawie, wszyscy wiedzieli, czyja to robota.

Piąta kolumna niemiecka była w Polsce wielka i groźna. Ale cóż? Mieliśmy „pakt nieagresji“ i nasi władcy ówczesni nie chcieli psuć humoru panu Adolfowi Hitlerowi, chociaż pan Adolf traktował ten pakt jako świstek papieru, który ostentacyjnie podrze, gdy nadejdzie odpowiedzialna chwila. Ten świstek papieru miał nas krępować, ale Niemcowi miał zapewniać wolność każdego łajdactwa. Bezpośrednio przed wybuchem wojny wszystkie foksy służące w wojsku polskim prosiły o urlopy na czas żniwa i otrzymywały je. Do pułków swoich nie wracały już, ale wiały do trzeciej Rzeszy. Dziwiliśmy się naiwnie, że tylu niemieckich żołdatów mówi biegle po polsku i mało kto wiedział, że to są „polscy żołnierze“ zbiegli do wroga, aby go informować i prowadzić, a zarazem wskazywać tych Polaków, którzy zdaniem ich byli groźni dla Niemiec. W ostatnich dwóch tygodniach sierpnia policja nasza za-

częła jednak dostrzegać, że coś się święci i że odbywa się za wiele zebrań wśród kolonistów niemieckich po wsiach i nie tylko po wsiach. Gdy jednak Niemców aresztowano, ci przysięgali najuroczyściej, że są wiernymi i oddanymi obywatelami Polski i że zbierali się jedynie na późniejsze nabożeństwa dziękczynne, jakie u nich są zwyczajem. Puszczano ich na wolność i potem spotykaliśmy ich specjalnie dużo w Sonderdience i wśród żandarmów. Tysiące obywateli polskich im właśnie zawdzięczało aresztowanie, obozy albo nagłą i niespodziewaną śmierć. Volksdeutsche byli ogromnie wszechstronni i niestrudzeni w walce z Polską i z polskością. Dopiero teraz rzucał się w oczy fakt, że koloniści niemieccy osiadali, a raczej byli osadzani przez swoich władców niemieckich bardzo planowo pod względem strategicznym.

Trzeba przyznać, że dopóki żyli w bliskich stosunkach z Polakami, zachowywali się dość przyzwoicie i dość trudno było podejrzewać ich o wrogię knowania przeciwko Polsce. Należeli chętnie do polskich stowarzyszeń, w domu mówili wyłącznie po polsku i byli na najlepszej drodze do całkowitej polonizacji. Gdy zaczęła działać okupacyjna komisja przesiedleńcza i wielu kolonistów niemieckich osiadało np. w Bawarii, to z krewnymi, pozostającymi w Generalnej Guberni, korespondowali wyłącznie w języku polskim, bo po niemiecku nie umieli. Jeśli fokowski wypadało czasem napisać jakie podanie do władz niemieckich, to zwracał się do inteligentniejszych Polaków, umiejących po niemiecku, aby mu podanie napisać. Nawet zamożni Volksdeutsche, którzy pokonczyli gimnazja polskie, nie umieli przetłumaczyć sobie świadectw dojrzałości, gdy trzeba było przedłożyć je okupantom. Jeszcze jedno pokolenie, a ludzie ci byłiby bez reszty wsiąkli w swoje polskie otoczenie.

Ale agitacja hitlerowska w Rzeszy robiła swoje. Ferment nazistowski przerzucał się szybko do Czech, do Polski, Skandynawii, Francji i Anglii... I to nie tylko do

środków niemieckich. Czyliż nie mieliśmy w Polsce entuzjastów hitleryzmu i mussolinizmu? Gobbels budził zachwyty nawet w inteligentnych skądinąd ludziach. Chamskiego i bandyckiego Goeringa zapraszano u nas na „dworskie“ polowania, snoby oklaskiwały kuternogę Goebbelsa, a poważni polscy prawnicy rozprawiali z głupawym Frankiem na temat zasady prawa niemieckiego, że „prawem jest, co służy narodowi niemieckiemu“. Prawem było, co służyło narodowi włoskiemu, francuskiemu, belgijskiemu, polskiemu itd. Nikt nie chciał dostrzegać w takiej parcelacji prawa początku najgroźniejszej anarchii. Spostrzeżono się dopiero po niewczasie albo i nie spostrzeżono się dotychczas. Gdy więc głupiały francuskie Deaty, belgijskie Degrelle i angielskie Mosleye, czyliż można się dziwić, że głupiały wszystkie foksy, gdziekolwiek się znajdowały?

Gdybyż tylko głupiały! Ale te foksy szalały. Agitacja niosła im ogromnie kuszące obietnice panowania nad światem. Po wkroczeniu Niemców do Polski i po zagospodarowaniu się ich, foksy zaczęły realizować obietnice dawane im przez firera i zagarniać dla siebie wszystko, co można było zagarnąć w GG. I nagle zagrała w nich ostatnia kropla krwi niemieckiej przeistoczona w mściwość germańską i w okrucieństwo. Każde dawniejsze krzywe spojrzenie Polaka, każde ostrzejsze słowo rzucone w sprzeczce, każdy wyraz drobnej chwilowej niechęci kazali opłacać sobie bardzo drogo. Byli w fabryce **werkschutzami**, czyli ochroną zakładów i na tym stanowisku dopuszczali się czynów karygodnych, chociaż niestety, zupełnie bezkarnych. Wyzyskiwali swoją bezkarność, tak jak to umie czynić tylko Niemiec; toteż niebawem zachowanie ich stało się wprost zbrodniczym. Niemiec nigdy nie czuje się tak szczęśliwym jak wtedy, gdy może kogoś bić. Jest to u niego taki sam atawizm, jak u tresowanego psa gończego. Niemiecki **werkschutz** bił tedy robotnika przyłapanego na czymś, co uważał za wykroczenie przeciwko



porządkowi domowemu fabryki. Znęcał się nad kobietami i w ogóle był bardzo niemieckim pod każdym względem.

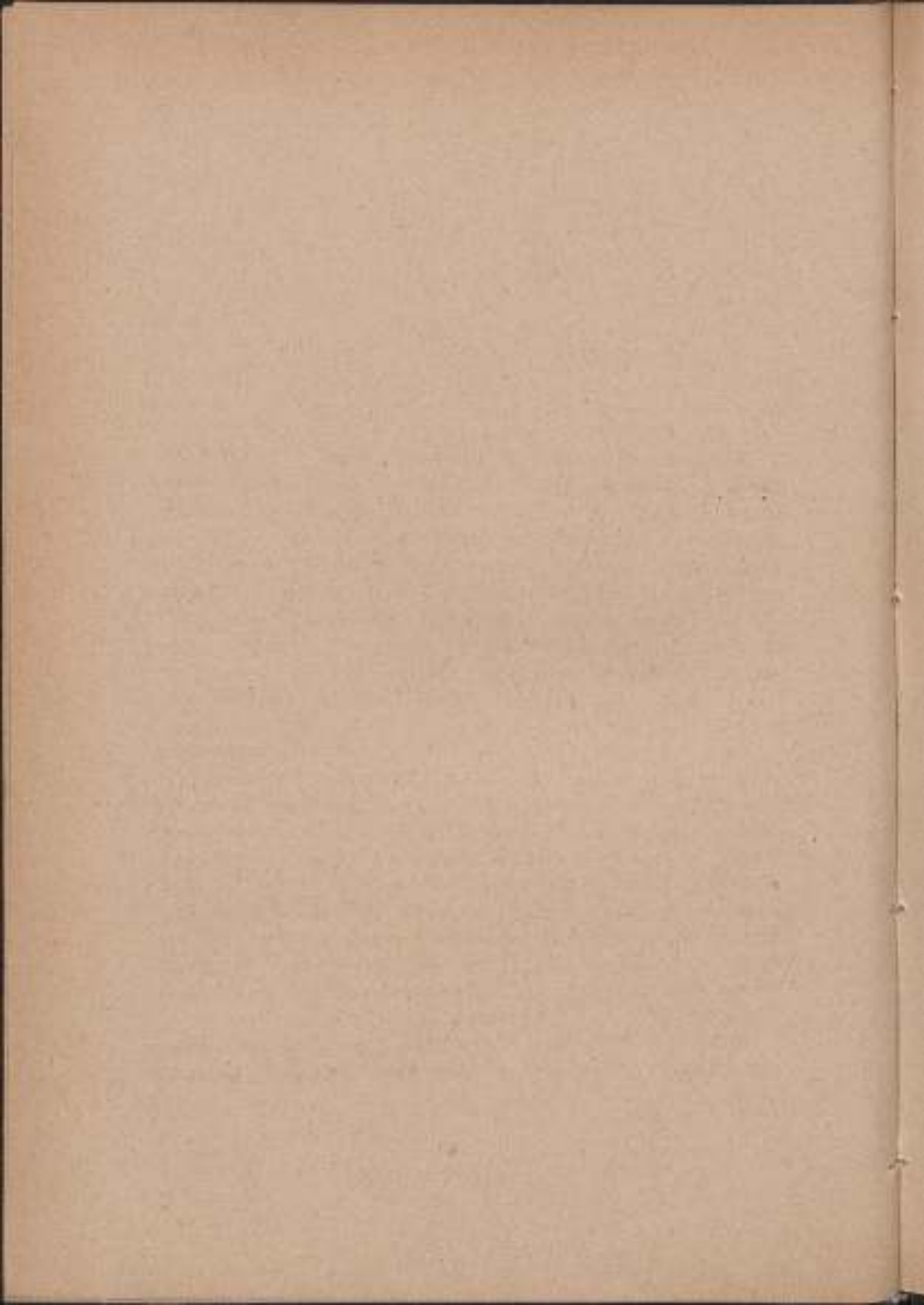
Płace w fabryce były takie same jak wtedy, gdy za kilkadziesiąt groszy można było zmontować doskonałą kolację na kilka osób. Przydziały żywnościowe były „nur für Deutsche“, dla nas zostawiano ochłapy. Robotnik musiał dokradać sobie wynagrodzenie, jeśli chciał żyć. Gdy spotykałem znajomych robotników i pytałem, jak sobie radzą, odpowiadali mi szczerze: „Kradniemy“. Niemiec nie musiałby być tak wytrawnym szabrownikiem, jakim się zawsze okazywał, aby nie rozumieć, że każdy „raubritter“ stwarza dokoła siebie raubritterstwo. Ustanowił więc bardzo surowe rewizje. Werkschutze z karabinami przez ramię czuwali nad wychodzeniem robotników i robotnic i rewidowali dosłownie wszystkich — i to bardzo szczegółowo. Przyłapani robotnicy bywali zrazu wysyłani do obozów karnych, ale to się na nic nie zdało, bo fabryka potrzebowała rąk roboczych. Bito więc przyłapanych i pozostawiano ich na noc w zimnych halach fabrycznych bez chleba i wody. Kobietom nadto golono pół głowy.

Foksy w ogóle szalały. Ustanawiano np. pilnowanie torów kolejowych i to tak niedostateczne, że gdy dywersanci chcieli wysadzić jaki mostek albo wykoleić pociąg niemiecki, przychodziło im to bez większego trudu. Strażujący obywatel został wtedy powieszony przy torze kolejowym, możliwie w towarzystwie innych obywateli, i nic nie pomagało tłumaczenie, że widzieli dywersantów i wszczęli nawet nakazany alarm, ale żandarmi zamknęli się w swoim lokalu ze strachu przed dywersantami i nie przyszli im z pomocą. Nie pomagało też wskazywanie na fakt, że dywersanci przybywali uzbrojeni, a strażnikom broni odmawiano. Niemcy rozumieli doskonale, że popełniają zbrodnię na niewinnych, bezbronnych ludziach, ale nie umieli oprzeć się pokusie wobec nadarzonej okazji. Niektóre foksy, przydzielone do sonderdienstu, przybawając na urlop do Żyrardowa chwaliły się, ilu to pol-



skich dywersantów wyprawily osobiście na tamten świat. Zwierzę niemieckie szalało na całego. Życie stawało się coraz bardziej życiem na minuty. Z umundurowanym draństwem było by można wytrzymać jako tako, z foksam i współzycie stawało się coraz wyraźniej piekłem. I wtedy właśnie, gdy atmosfera była najbardziej ponura, pojawił się Kuba. Znamy jego legendę, nie znamy jego samego. Musiał się konspirować, oczywiście, ale nagle i niespodziewanie wyrósł niby uosobienie sprawiedliwości i zabrał się przede wszystkim do foksov, którzy nam życie tak niegodziwie zatruwali. Jeśli żyjesz, obywatelu Kubo, i jeśli słowa te wpadną ci w ręce, ozwij się! Nie wiemy, skąd się wywodziles, do jakiej podziemnej organizacji należałeś i jakie było twoje wyznanie wiary politycznej, ale dla wszystkich byłeś wyrazem Polski żyjącej i walczącej. Byłeś odważny, często zuchwały, jak wtedy, gdy z oddziałem swoim urządzales ćwiczenia na łące korytowskiej o parę kilometrów od Żyrardowa i napędziles niemcom wielkiego strachu, ale byłeś także rycerski: przetrzepales skórę niejednemu foksovi, lecz nie mordowales bezmyślnie i jeśli w jednym miejscu wzięles z przybytku foksowego, to tylko na to, aby po nakarmieniu i odzianiu swoich odważnych i dzielnych towarzyszy uzupełniać niedobory tych, którzy obierani systematycznie przez złodziejskiego okupanta przymierali głodem. Taka była twoja legenda, która zaszczyt przynosi i tobie, Kubo, i tym, którzy sobie tę legendę z ust do ust podawali widząc w tobie rycerza sprawiedliwości społecznej i odwetu narodowego. Opowiadania o twoich wyczynach ratowaly niejednego przed rozpaczą. Wiedzieliśmy bowiem, że jesteś w dynastii polskich Kubów pierwszym w naszej okolicy, ale nie jedynym. I istotnie, po tobie przyszli inni, aby coraz dobitniej i wyraźniej pouczać niemca-opryszka, że nie zbraknie w Polsce mężnych i ofiarnych bojowników do walki z ohydny m masowym mordercą i łupieżcą. I za te chwile przejaśnień na naszym horyzoncie w epoce zaciemnień germańskich cześć ci, obywatelu Kubo!

V. Wał zachodni i „Wały“ wschodnie



W atmosferze klęski, która od września roku 1939 pogłębiała się dla nas stale przez kolejne podboje niemieckie Holandii, Belgii, Francji, Norwegii, niewiele było dla nas punktów jaśniejszych. Możemy się przyznać dzisiaj, że propaganda niemiecka umiała podtrzymywać wojnę nerwów nawet po wojnie orężnej, jak poprzedzała ją rozprawę na polach bitew. Ogłoszenia okupanckie, publikacje mniejsze i większe generalnego gubernatora, gazety i pisma przychodzące z rajchu, a nawet takie rzeczowe — jakby się zdawać mogło — atlasy geograficzne, wszystko działało jeśli nie deprymująco, to zawsze irytująco. Trudno było wyobrazić sobie, aby Hitler był tak beznadziejnie głupi, iżby narażał setki tysięcy Niemców, rozkolonizowanych po wschodniej i południowej Europie, na skutki swojej własnej klęski. Żaden uczciwy człowiek nie odważyłby się przecie doradzać komukolwiek jakiejś przeprowadzki ze wsi do wsi nie wiedząc, czy swoim doradztwem nie narazi bliźniego na przykrości albo nawet duże straty. Skądże więc można było przypuścić, że firer, historycznie ambitny i megalomański, zaryzykuje nie tylko sławę osobistą, ale i los milionów Niemców nie mając pewności, że to, co robi, jest trwałe?

Takie było logiczne rozumowanie prostego, uczciwego człowieka. Czyżby więc Niemcy mieli absolutną pewność

wygranej? Czyżby posiadali jakąś broń jeszcze nie znaną, która ostatecznie zadecyduje o losach wojny? I wtedy właśnie wpadały nam w ręce publikacje niemieckie o wale zachodnim. W publikacjach niemieckich ten wał wyglądał naprawdę jakoś piramidalnie i kolosalnie, z niemiecka. To już nie była śmieszna linia okopów z tamtej wojny, ale beton i żelazo — i znowu żelazo i beton. Nie jedno jakieś Verdun, ale setki twierdz rozsianych wzdłuż i wszerz historycznych dróg wypadowych. I wszędzie ochrona pancerna niewidzialna dla oka — i tym właśnie groźna. Wszędzie setki i tysiące armat różnych kalibrów, wszędzie schrony i schowy, wszędzie dziesiątki tysięcy karabinów maszynowych. Linia Hindenburga w tamtej wojnie była w porównaniu z tym wałem istną igraszką i zabawką dla dzieci. I co najważniejsza, ta linia miała nie tylko swoją sensacyjną długość od Holandii po Szwajcarię, ale miała także swoją głębieć, idącą w dziesiątki kilometrów. Przeciwnik, który kosztem olbrzymich ofiar zdoła przebić się przez dziesięć kilometrów tego wału, może skrócić kark na dwudziestym kilometrze, a tu jeszcze dwadzieścia i trzydzieści kilometrów takich żelazo-betonowych umocnień z masą zamaskowanych zapór przeciwczołgowych, a wreszcie wielkie lotnictwo i ochrona przeciwlotnicza! Jak tu się z tym wszystkim uporać?

Ale to nie wszystko. Jest przecie jeszcze Ren, szeroka rzeka o spadzistych brzegach, o licznych rozwidleniach i kanałach w dolnym swym biegu. Już sama taka rzeka — to obrona poważna przy istnieniu dużej i dobrze zganej artylerii. Dajmy na to, że zostanie ta rzeka sforsowana, ale co dalej? Przecie za nią zaczyna się to, co Niemcy nazywali dżunglą Renu: owe tysiące małych, ale strasznych twierdz podziemnych. Oracz orze ziemię nad tymi twierdzami i sam nieraz nie wie, jaki olbrzymi potencjał siły drzemie pod skibami odwalanymi jego pługiem. A skąd ma znać te wszystkie twierdze przeciwnik? Zaś przy konfrontowaniu przeciwników Niemiec zawsze bę-



dzie górą, bo to żołdat z żołdatów i janczar z janczarów. Anglicy i Amerykanie to ludzie nie wojny, ale pokoju i to pokoju komfortowego, wygodnego, ludzie wysokiego standardu życia.

To są jednak troski na później. Troski olbrzymie, ale nie najpierwsze. Trzeba się przecie dostać na kontynent, aby można było w ogóle ruszyć na Ren. A tu jeszcze jeden wał: atlantycki! I Niemcy pokazywali swoim i obcym ów nadmorski wał, owe jakieś piramidy żelaza i cementu, schrony dla łodzi podwodnych, żelazo-betonowe płyty dla gigantów, baterie nad brzegiem, zamaskowane cudownie i bronione z powietrza przez potęgę goeringowskiej luftwaffy. Wtargniesz na ląd tylko kosztem olbrzymich strat, a tu zza żelazo-betonowych osłon pluną masy karabinów maszynowych i zmuszą albo do ucieczki, albo wysieką co do nogi. Ale dajmy na to, że się wtargnęło w głąb lądu, jakiejże nadludzkiej siły potrzeba, aby bić się z jednej strony, a z drugiej dostarczać bezustannie zaopatrzenie dla wojska i umożliwić stałe lądowanie dalszym wojskom! Jakiej potrzeba tu olbrzymiej floty! A ta flota idzie dzień za dniem na dno, bo niemieckie łodzie podwodne zatapiają, zatapiają... I znowu ilustracje niemieckie pokazują swoim i nieswoim wredne pyski mieszkańców germańskich, którzy jeżdżą łodziami podwodnymi i zapaskudzają oceany.

Nie, to nie były refleksje zbyt przyjemne. Nie był też przyjemny atlas niemiecki z granicami grosrajchu, z GG i z Ostlandem i z Ukrainą „niemiecką“, i z Kaukazem „niemieckim“. Jaki taki Niemiec wygłupiał się przygodnie, że lada dzień Niemcy zagarną całą Europę od Atlantyku po Wołgę i „zrobią porządek“. Od wschodu ruszy Japończyk, od zachodu niemieckie i włoskie dywizje i gdzieś tam w Indiach Brytyjskich podadzą sobie dłonie na grobie imperium brytyjskiego. Ale przedtem jeszcze jakieś von Kleisty czy Paulusy dotrą przez Kaukaz aż do Suezu, a tu już będzie czekał Rommel i gdy ci poda-  
dzą sobie dłonie, to Anglicy mogą się powiesić.

A na wybrzeżu afrykańskim huśtaweczka. Niemiec z Włochem pchają się aż pod Sidi Barani. Egipt tuż! Tyłko ręką sięgnąć. Wszystkie tak zwane „klucze“ trzymał sobie firer w kieszeni od spodni. Miał już klucz od morza Śródziemnego na Sycylii i na Adriatyku, klucz od Atlantyku, od Skandynawii, od Bałkanów, od całego Wschodu... Rommel bzdyczył się „echt“ po niemiecku i mówił o kluczu od Egiptu z emfazą. „Co trzymamy, to trzymamy mocno“. Okazało się jednak, że ten rzekomy klucz był tylko kiepskim wytrychem, bo Montgomery przepędził Rommela i ruszył za nim żywym truchcikiem ku Trypolitanii, ale trzeba było zawrócić a w dodatku stracić Tobruk. A potem przyszło coś jeszcze gorszego od Sidi Barani, bo El Alamein. Ale znowu ruszają Anglicy i znowu uciekają Włosi ze swoimi niemieckimi sprzymierzeńcami.

Huśtaweczkę afrykańską zatrzymał wbrew swoim intencjom Japończyk napadając na Stany Zjednoczone 7 grudnia 1941. Kończyła się neutralność Ameryki i jej izolacjonizm. Dobrze i to. Niemcowi wydało się, że teraz będzie mu lepiej, więc skwapliwie wypowiedział wojnę Ameryce. Włochy uczyniły to samo. Och, jakże długo trzeba było czekać na jakiś skutek tego nowego stanu rzeczy! Dieppe, 19-go sierpnia 1942, udało się nie bardzo i Hitler wykrzykiwał zwycięsko, że każda taka próba zakończy się dla aliantów podobnie. Będą mogli cieszyć się, jeśli uda im się utrzymać na wybrzeżu przez dziewięć godzin, jak właśnie w Dieppe. I znowu miesiące upływają do czasu zdobycia przez generała Montgomery Trypolis. A tymczasem wąż się losy Stalingradu. Armia radziecka okazuje się silniejszą moralnie od armii niemieckiej. Zaś 8-go listopada Amerykanie i Anglicy lądują w Afryce północnej. W dwa miesiące później elita armii niemieckiej pod Stalingradem ginie albo idzie do niewoli. Gwiazda Hitlera zaczyna przygasać. Zarazem widać jednak, że krwawy błazen nie ustąpi tak łatwo, że na zachowaniu kilku milionów istnień niemieckich nie zależy mu tak

bardzo. Sprzymierzeńcy lądują na Sycylii i zdobywają wyspę. Mussolini widzi, że przegrał Afrykę, swoje faszystowskie imperium i że zaczyna przegrywać Włochy, więc zrzeka się władzy, a Włochy kapitulują. Jeszcze tylko gestapo i ss-many trzymają Włochów u swego boku, ale to już nic nie znaczy.

Trzyma się także wał atlantycki i wał zachodni i na nim budują Niemcy swoje nadzieje. I na wale terroru. Ciągłe kogoś aresztują, kogoś wywożą nie wiadomo gdzie, rozstrzelują, wieszają. Coraz potężniej rozchodzą się wieści ponure o obozach koncentracyjnych. Jest jeszcze bardzo wielu takich, co nie dowierzają tym wieściom, ale liczba ich maleje w miarę jak od krewnych i przyjaciół dochodzą wieści bezpośrednio z miejsca zatracenia i bestialstwa ludzkiego. Typ życia niemieckiego ustala się. Coraz jaśniej widać, co czekałoby świat na wypadek zwycięstwa niemieckiego. Armaty, karabiny maszynowe, więzienia i obozy koncentracyjne, masowe rozstrzeliwania i gazowania jako zjawisko stałe. To, co w wiekach średnich było skutkiem zabobonu i ciemnoty, teraz miałyby być owocem wiedzy i kultury niemieckiej. Palenie herezyków i czarownic na stosach stałoby się wspomnieniem czarującej sielanki wobec spotęgowania niemieckiego tępienia „typów niepożądanych i szkodliwych“.

Przypomniał mi się Karol Irzykowski, gdy w Karolinie z zachwytem wołał: „Panie Pawle, co za tematy, co za tematy! Jacy to szczęśliwcy będą ci, co doczekają wolności opracowywania tych tematów!“ Mylił się Irzykowski, jak myliliśmy się my wszyscy. Jeden Edyp jest wspaniały, ale sto tysięcy Edypów jest artystyczną potwornością. Jeden święty Franciszek czaruje, ale pół miliona świętych Franciszków byłoby nudą. Jedna tragedia — to oczyszczający wstrząs, grecka katharsis, milion tragedij — to atmosfera. Ktoś kiedyś żartem dowodził, że piekło jest niemożliwością, bo człowiek nie przestając być człowiekiem, musiałby się w nim zaaklimatyzować. Gdyby zaś

nie uległ aklimatyzacji — przestałby być człowiekiem. Dla człowieczej duszy dostępne są tylko średnie rejestry wrażeń i wzruszeń. Organ wzroku i słuchu percypuje tylko pewne stopnie światła i dźwięku. Zbyt niskich tonów nie słyszymy tak samo, jak nie słyszymy tonów zbyt wysokich. W głębokim mroku zamykamy odruchowo oczy, jak je zamykamy przed zbyt jaskrawym światłem. Nie widzimy, jak trawa rośnie i nie widzimy zbyt szybkich drgań strun, wydających wysokie tony.

Wzrusza nas wyjątkowość. Dla oglądania arcydzieł Praksytelesa czy Canovy jeździmy do odległych muzeów, ale gdyby ulice nasze były usiane setkami i tysiącami rzeźb tych mistrzów, nie zwracalibyśmy na nie uwagi, bo nie byłyby one arcydziełami. Majdanki, Oświęcimie, Treblinka to generalizacje. Można ze zgrozą i zaciekawieniem przeczytać opis przeżyć jednego z więźniów tych obozów, no dwóch, czy trzech wreszcie. Ale setki tysięcy? Jak się do tego zabrać, aby to sobie jakoś wyobrazić, jakoś się z tym uporać? Głód? Straszliwa rzecz. Jedzenie ciała trupów. Wygrzebywanie z kału ludzkiego niestrawionych cząstek pokarmu. Puchnięcie i opadanie z sił... Z jakim biciem serca czytywałeś o nieszczęśliwcach, których zamuroywano z bochenkiem chleba i dzbanem wody! Zjedzą chleb i wypiją ostatnią kroplę wody, a potem świadome umieranie, długie i męczące. Ale pomnóżcie to przez milion, czy dwa miliony. Co z tego wyjdzie? Nic. Dla jednego nieszczęśliwca mamy gorące łzy współczucia, dla stu nie znajdujemy sto razy więcej łez, ale sto razy mniej dla każdego z nich. Podczas epidemii cholery nie współczujemy nikomu, ale chronimy się w miarę możliwości przed zagładą. Gdy zaś cholera szaleje i jest blisko nas, tępiejemy. I zdaje się, że to jakieś otępienie jest zjawiskiem ochronnym, bo inaczej musielibyśmy zwariować jeszcze na długo przed śmiercią.

„Głód“ Hamsuna cóż to za cudowna rzecz dla czytelnika szukającego wzruszeń artystycznych. Fizjologia



i przede wszystkim psychologia — porywa, zaciekawia, czaruje. Głód nie jest tu wyosobniony niby jakiś preparat kliniczny, ale tworzy tło zdarzeń, uwarunkowuje te zdarzenia, nadaje im barwę i ton. Jest tu i wariacki pomysł modlitewnika elektrycznego i modyfikacja „Ojcze nasz“ (I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy Tobie!), i komiczne skutki przeliczenia się sklepikarza i wizja słodkiej Ylajali. Ale powtórzcie to kilkadziesiąt razy! Nie, nawet kilka razy powtórzyć tego nie zdołacie, bo stopień napięcia uwarunkowujący wzruszenie, jest w jego jednorazowości i niepowtarzalności. Czy możemy wyobrazić sobie wioskę zaludnioną samymi Hamletami, Beniowskimi, Faustami?

Wielkie tematy? Nie ma ich w świecie hitlerstwa. Jest powtarzanie się tego samego, potworność wielkiej liczby. Zrazu uderza jeszcze mentalność człowieka, który to wszystko sprowadza na świat. Siła, czy idiotyzm? Ma się wrażenie, że jakiś wielki matoł, w skali światowej, stoi u olbrzymiej zapory wodnej posiadającej subtelny mechanizm regulacyjny. Wykształcony mechanik wie, co w danej chwili należy uczynić, aby spotęgować dopływ czy odpływ wody, aby zasilić wielkie turbiny potężnych elektrowni lub siłę ich pomniejszyć. Ale nasz matoł uważa takiego mechanika za głupiego pedanta i otwiera wszystkie śluzy od razu. Oczywiście, powoduje potworną powódź, która zniszczy wsie i miasta, pozbawi życia tysiące ludzi i zmiecie wreszcie także wrednego matoła. To nie jest wielki temat. To jest gigantyzacja kretynizmu moralnego i umysłowego. Przede wszystkim — moralnego.

Tylko tak należy spoglądać na Hitlera. To nie szaleńiec — bywali szaleńcy wspaniali w przejawach swego szału — to błazen, któremu zachciało się sławy większej niż Herostratowa. Ale wyczyny tego błazna są nie do pomysłenia bez udziału milionów innych błaznów. Jednakże i błazeństwo może być wielkie, uparte, sobiepańskie, nie-



podległe niczyjej trzeźwości i niczyjemu prawu. Tu jest błazeństwo zuchwałe nad miarę i nad miarę tchórzliwe. Himmler — pospolity opryszek i sadysta, Goering — żarłok i tępak, Ribbentrop — fanfaron i podskakiewicz, Keitel — żołdat i stupajka, najemny żołdak gotowy sprzedać się każdemu kajzerowi, Ebertowi czy Hitlerowi, miętusowaty asymetryczny Brauchitsch gotowy napadać na każdego, na kogo go poszczują, to przesłanka siłactwa — nie siły, ale właśnie siłactwa Hitlera. Każdy z tych ludzi wyrasta tylko w miarę pigmeizacji całego niemiectwa.

Hitler we Francji, Anglii, czy Ameryce jest nie do pomyslenia, bo tam są mężczyźni. Tam nawet gangster nabiera pewnej wielkości moralnej, gdy staje do walki z całym społeczeństwem. A Hitler ze swoimi sloganami i sztandarkami, ze swoimi niemieckimi „grusami“ i swastyczkami powędrowałby do domu zdrowia albo do cyrku, gdzie biłyby rekordy komizmu. Ile razy w Niemczech pojawił się człowiek „wielki“, zawsze przesłanką było zmalenie masy ludowej.

Kto polemizował z Hitlerem? Kto mu się przeciwstawił? Nie mówmy o jednostkach, jak Ossietzky, Foerster, Niemoeller, i o emigrantach, którzy ratując życie uciekli z zasięgu krwawego matoła. Ale masy ludowe? Te radykalne socjal-demokraty, w których krótkowidze polityczni widzieli zastępy rewolucyjne, masy ludu katolickiego zorganizowanego w partii centrowej i walczącego zrazu z antychrystem? Och, jakże mdło robiło się przy czytaniu pastorskich akcesów do hitlerstwa, gdy ci cudaccy „uczniowie Chrystusowi“ wypowiadali swoje „radosne taaak“ (**ein freudiges Jaaa**) w tonacji wybitnie osiołkowej. Nie, to nie Hitler wyrastał na wielkoluda, to człowiek niemiecki malał i malał, podłał, nikiemniał, głupiał, dawał się sterylizować i bezjał moralnie i umysłowo matołowi, który przecie zrazu nawet w Niemczech budził wesołość. Firma Rowohlta w Berlinie wydawała broszury zapewnia-

jące, że nigdy żadnego „trzeciego rajchu“ nie będzie, a Włoch Maleparta kpił z dyktatora w kusych portkach tyrolskich. Odważny Gross rysował i malował karłujące i bestializujące się niemiectwo, a Foerster przestrzegał cały świat przed wybuchem niemieckiego zbydłecenia. Czy może sobie ktoś wyobrazić, że Hitler bez dobrowolnego akcesu milionowych mas ludu niemieckiego byłby mógł rozpętać barbarię niemiecką?

Spotykałem dużo znajomych z poranieniami piszczeli. To żandarmi niemieccy i gestapowcy kopali napotkanych w piszczel. Był taki rodzaj sportu czy co? Gdy się spotykało żandarma niemieckiego czy gestapowca, nigdy nie było wiadomo, co taki zrobi. Kopnie, zabierze z sobą, zastrzeli, zdzieli kolbą karabinu w łeb? I on sam pewno także nie wiedział, jaki bydlęcy pomysł strzeli mu do głowy w ostatniej chwili. Ileż atramentu napsuli krytycy na zbędne wykpiwanie dadaizmu literackiego, który sam się przecie wykpiwał! Ale kto dostrzegł dadaizację polityki niemieckiej w hitlerstwie? Dadaizm ten został zresztą zapoczątkowany już dawno, w czasach, gdy Niemcy zaczęli wyzbywać się resztek ludzkich uczuć wstydu. Nie chodzi tu o wstyd kogoś przyłapanego na czymś nieprzystojnym, ale o ten wstyd wewnętrzny, który kontroluje i reguluje nasze czyny bez względu na to, czy ktoś na nas patrzy i czy mamy zapewnioną bezkarność. Zdarza się przecie, że czasem w pasji mocno uderzymy nieposłusznego psa. Rzecz jest przecie poza wszelkim kodeksem karnym i poza możliwością czyjejs przygany, a jednak, jakże wstydzimy się wobec samych siebie i może wobec spojrzeń uderzonego psa! Ze wszystkiego, co Niemiec robił podczas pierwszej wojny światowej i co robił podczas drugiej, wiemy z całą pewnością, że brakło mu wstydu wobec samego siebie, że popadł w najpaskudniejszą rozpustę, jaką wyobrazić sobie można. Znamy przecie procesy sądowe o zabójstwo z litości. Żona zabija we śnie męża, który zżarty przez raka, męczy się straszliwie. Nie zapiera się, oczywiście, mówi sądowi, jak i dlaczego zabiła, ale gdy

pada wyrok uniewinniający, wybucha płaczem. Dlaczego płacze? Ach, bo sama siebie nigdy nie zdoła uniewinnić!

Niemiec nie wstydził się wyruszać na swoje feldcugi rabunkowe, mordercze, złodziejskie. Wracał do domu obarczony łupem i stroił żonę i dzieci w to, co zrabował we Francji najczęściej. Teraz mówią: Hitler! Ale to niczego nie tłumaczy i niczego nie dowodzi. Hitler jest tylko gramatycznym **superlativem** niemieckiego **positivu** i **comparativu**. Wielkie Fryce i Bismarcki poprzedziły go, a Bismarck wzywał Niemców, aby bili Polaków dopóki im się życie nie zmierzi. Zaś sławetny Fryc był pospolicym złodziejem, który kradł nawet ludzi z polskiego pogranicza. Był fałszerzem waluty polskiej i gdy fałszerze dostarczyli mu nakazane sumy sfałszowanego pieniądza, zapłacił im w tej właśnie fałszowanej walucie uważając, że to jest dowcipne.

Niemiec wymyślił zasadę prawną, która kpi z wszelkiego prawa: „Prawem jest to, co służy narodowi niemieckiemu“. Jeśli narodowi niemieckiemu służy doliniarstwo, to doliniarstwo jest właśnie prawem. Owszem, był taki filozof niemiecki, Kant, który napominał: „Postępuj tak, aby postępowanie twoje w motywach swoich stać się mogło zasadą wszelkiego prawa!“ Ale to zostało przekreślone przez takich właśnie wielkich Fryców, którym tenże Kant dedykował swoje główne dzieło „Krytykę czystego rozumu“ jako „najwierniejszy pies“.

Czego mogliśmy oczekiwać od takich niedoczułowieczonych, goryłowatych istot, które odrzuciły były obraz i podobieństwo Boga? Te małpoludy były jednak dość sprytne, aby wiedzieć, że każdy człowiek o wysokiej moralności zawsze do nich sprawę swoją przegra. Nic nam nie wiadomo, aby Anglicy byli rozstrzelali odwetowo parę tysięcy oficerów niemieckich w zamian za rozstrzelanych jeńców angielskiego lotnictwa. Nic nam też nie wiadomo, aby Rosjanie byli postępowali na ziemiach niemieckich tak, jak Niemcy postępowali na ziemiach rosyjskich, mor-

dując miliony ludności i niszcząc niezliczone osiedla ludzkie. Niemiec nie wstydzi się tego spotkania z typem dostojnej moralności, ale przeciwnie, jest dumny, że w zbestwieniu nie dorówna mu nikt, że do poziomu jego zbydłocenia nigdy żaden naród nie spadnie, że to jest „nur für Deutsche“ teraz i jutro, i na wszystkie przyszłe czasy. Człowiek pozostanie człowiekiem, niemiec będzie zawsze tylko niemcem.

Takim go widzieliśmy na wszystkich odcinkach życia okupacyjnego. Jeśli Hitler widział ideał najeźdźcy w Dżyngis-Chanie, to składał jedynie dowód, że nie rozumiał tego najeźdźcy. Hordy Dżyngis-Chana nie mordowały na zimno, ale w walce i w ataku wściekłości. Niemiec nie dorastał do wysokości moralnej Dżyngis-Chana. Pewnego dnia przyniesiono mi papier do wykorzystania. Do niemieckiego zarządu fabryki przyszło pismo ze wskazaniem dokładnym, jak się buduje komorę gazową. Rozmiary takie a takie, okna uszczelnione tak a tak, materiałem takim a takim, drzwi podwójne. Okna na takiej wysokości, aby od wewnątrz były niedosiężne dla człowieka dorosłego, od zewnątrz zaś były łatwo dostępne dla obserwatora. Dokładne wskazówki, jak budynek ma być wpuszczony w ziemię i ile stopni dokładnie wymierzonych ma prowadzić w głąb. Jak umieszczać „Gaskörper“ i jak rozbijać naczynie zawierające gaz. Przepisałem to sobie szybko i przesłałem komu należy, ale nie powiem, aby wiadomość ta była rzuciła na nas popłoch. Wiadomo było, że Niemcy są gospodarni i że nawet przy zgładzaniu ludzi pierwszeństwo dają sposobom zalecającym się taniością. Wiadomo też było, że w wielkich obozach unicestwienia coraz bardziej doskonalono proces masowego mordowania i kremacji zmierzając ku temu, aby się obozy finansowały. Niemiec był według Hoelderlina, poety niemieckiego, obrażającym w każdym stopniu barbarzyńskiej przesady. I tą przesadą przekreślał grozę, którą pragnął wzbudzać w swoich ofiarach. Nawet gdy był groźny, nie



przestawał być śmiesznym. A już nigdy nie przestawał być barbarzyńcą.

Jeśli Wawer budził zgrozę niewspółmiernością niemieckich represyj w stosunku do rzekomych wykroczeń przeciw Niemcom, to późniejsze wyczyny niemieckie były przyjmowane znacznie spokojniej. Wiedzieliśmy: w tej chwili może się coś stać, za co każą nam zbiorowo odpowiadać. Jakaś prowokacja niemiecka może każdego z nas zgubić każdej chwili, ale gubi nas ktoś, kto już jest osądzony i zgubiony, czyli trup na urlopie. Młody lekarz jechał do Warszawy na swój ślub. Po drodze coś się stało. W Warszawie zagarnięto pasażerów pociągu, którym ów lekarz jechał. Wzięto, oczywiście, także jego. Został z wielu innymi rozstrzelany. Wyrok podpisał pan gubernator Fischer.

Pod masowymi wyrokami warszawskimi podpis pana Fischera pojawiał się bardzo często. Mylili się jednak ci, co mniemali, że ten Fischer to jakiś potwór. Nic podobnego! Był to sym jakiegoś zapewne piekarza czy rzeźnika albo właściciela sklepu, ukończył przykładowie uniwersytet, miał stopień doktora praw, a ponieważ jako narodowy socjalista przyjaźnił się może z panem Hansem Frankiem, generalnym gubernatorem, więc go sobie ów pan Frank przydzielił i uczynił z niego synekurzystę dobrze płatnego i za nic nikomu nie odpowiadającego. A za dobrą pensję Niemiec zaryzykuje nawet szubienicę. Jakież to na przykład charakterystyczne, że gdy kiedyś zagraniczni goście Goeringa zastanawiali się nad biskupem Rzeszy, Müllerem, iż tak obcuje przy swoim urzędzie wbrew opozycji bardzo silnej, Goering wytłumaczył im całą rzecz po swojemu: „Taki biskup ma bardzo ładną pensję, więc nic dziwnego, że Müller trzyma się mocno swego stanowiska“.

Niemcy sami zdawali sobie sprawę z faktu, że czyny ich są predestynowane. Jeden z ich poetów napisał: „Jest to przekleństwem złego czynu, że czyn ten zło wciąż stwarzać musi“. Mieliśmy kwateranta z Hamburga. Wy-



jątkowo porządnego człowieka. Przybył do Polski z Francji, gdzie nauczył się doskonale po francusku i był szczęśliwy, że może popisać się znajomością języka obcego. Nawiasem mówiąc, jest to słabość Niemców w ogóle, bo obcych języków uczą się dość ciężko. Przychodził na pogawędki, przynosił z kantyny papierosy, czasem butelkę dobrego koniaku czy duński pasztet w puszcze, a gdy zachodziła potrzeba zawiezienia czego naszym głodującym przyjaciołom w Warszawie, służył chętnie samochodem. Gdy odjeżdżał, życzyliśmy mu całkiem szczerze, aby wrócił zdrowo do swej rodziny, której liczne fotografie często nam pokazywał. W odpowiedzi na nasze życzenia rozłożył ręce bezradnie i odpowiedział: „Jeśli pójdzie dobrze, to wrócę do domu może za rok, jeśli pójdzie gorzej, to za dwa- trzy lata, jeśli zaś pójdzie jeszcze gorzej, to nie wrócę wcale. Bo cóż nam, Niemcom, pozostaje? Iść i' iść naprzód, a gdzie ostatecznie zajdziemy, to wie tylko Bóg“. W słowach była bardzo ostra krytyka hitlerstwa.

Inaczej rozumowali nasi volksdeutsche. Najazd niemiecki na Polskę był niespodziewanie świetną dla nich karierą, a Niemiec wierzy zawsze w to, czego bardzo pragnie. „Babie sa prisniło, co sa babie chtiło“ — powiada serbskie przysłowie. Toteż foksy żyrdowskie za nic w świecie nie dopuszczały do siebie myśli, że ich synekura mogłaby się kiedykolwiek skończyć. Jedno ich tylko bolało, że Żyrardów nie został włączony do rajchu. Nie przestawali też bombardować władz berlińskich żądaniem włączenia Żyrardowa do Rzeszy. Składali petycje, wysyłali delegacje, obiecywali złote góry komu tylko mogli. I zawsze, gdy im się wydawało, że już-już sen ich jest bliski realizacji, cieszyli się, jakie to oni pobudują szubienice i jak będą wieszali tych, co podbijają ceny i nie trzymają się cennika urzędowego.

Jest to dość dziwne, że im tak bardzo chodziło o te ceny urzędowe, bo w gruncie rzeczy oni otrzymywali wszystko, czego dusza zapragnęła po cenach urzędowych.

Za kilo masła płacili 5 złotych i to wtedy, gdy my musieliśmy płacić trzydzieści razy drożej. I tak było ze wszystkim. Dla nas nie było leków niektórych i tylko przez grzeczność któregoś z niemieckich lekarzy można było dostać czasem rzeczy konieczne, ale Niemiec dostawał wszystkie leki i drogie specyfiki w warszawskiej „niemieckiej“ aptece, kierowanej przez von Sydowa, za grosze dosłownie. W dni przydziałów Niemcy łązili z ogromnymi kosztami wyładowanymi wszystkim dobrym, aż do cukierków wedlowskich włącznie. Znakomity teolog niemiecki, Adolf Harnack, powiedział kiedyś, że idea tyle jest warta, ile gotowi jesteśmy za nią zapłacić. Hitler zmienił sens tego powiedzenia zasadniczo: dla narodowego socjalisty niemieckiego idea była akurat tyle warta, ile się na niej zyskiwało. Że to w straszliwy sposób pustoszyło dusze niemieckiego ludu, tego Hitler zrozumieć nie był w stanie. Jego teoria powodzenia była ostatnim wyrazem niemieckiej mądrości. „Miarą wartości każdej rzeczy na tym świecie jest tylko powodzenie“. Tak samo powinniśmy Niemcy powiedzieć, że miarą bezwartościowości wszelkiej rzeczy jest niepowodzenie. Ale tak daleko rzetelność niemiecka nie sięga. Gdy Polacy dopominali się ongi sprawiedliwości w Rzeszy, odpowiadano im, że „dzieje świata są sądem nad tym światem“. Ale gdy wyrok dziejów zapada przeciwko nim, nie mówią, że „dzieje świata są sprawiedliwym sądem“.

Wojna trwała, blitzkrieg nie udał się zupełnie, potęga aliantów rosła, siły niemieckie malały. Ustalało się i potężniało z dnia na dzień panowanie wściekłej niemieckiej. Wał zachodni istnieniem swoim ani z daleka nie dorównywał coraz potężniejszym „wałom“ wschodnim. Niemiec jest zaiste dziwnym człowiekiem: nie znosi oporu czyjegokolwiek. Gdy się z nim spotyka, wpada w szal. Dlaczego tak jest? O odpowiedź nie trudno. Człowiek będzie zawsze miarą wszystkich rzeczy. Gdziekolwiek stoi, zawsze jest centrum świata i cokolwiek powie, zawsze to

w jakiś sposób wyraża jego samego. Nawet gdy mówi o rzeczach tak niematerialnych jak prawo ciężenia czy przyciągania, wyobraża sobie własną rękę, która właśnie przyciąga. Cóż robić? Człowiek nie zdoła nigdy wyjść poza siebie, skoro nawet Boga wyobraża sobie w postaci człowieka o nieograniczonej mocy, wszechwiedzy, miłości, mądrości. . .

Rycerzem jest ktoś, kto zdolny jest do wyobrażenia sobie innych ludzi także jako rycerzy. Psem jest, kto we wszystkich ludziach widzi psy. Szatan dopatruje się wszędzie szatanów i szataństwa, anioł przedstawia sobie świat po anielsku. Tak już jest, tak być musi. Ze wszystkiego, co nas spotykało ze strony Niemców, musimy wynioskować, że traktował nas na obraz i podobieństwo własne. Uważał, że ludzie pobici muszą przestać być ludźmi i stać się psami, które albo uciekają przed bijącym, albo skomlą u jego nóg o zmiłowanie. I to właśnie charakteryzuje Niemca. Ma w sobie po prostu coś psiego; i w zuchwałstwie — gdy czuje swoją przewagę, i w łaszeniu się — gdy dostrzega swą słabość. To nie jest rys specyficznie hitlerowski, ale ogólnoniemiecki. Zuchwałstwem popisywał się przecie nawet Wilhelm II, kabotyń wprawdzie, ale bądź co bądź człowiek z lepszym wychowaniem, niż miał Hitler. Nawet na raportach dyplomatycznych wypisywał Wilhelm ordynarne „Witze“, jak na przykład: „Porządnie zdzielić po kamizeli!“ Albo: „Dobrze nadepnąć tej hołocie na odciski!“ Gdy ambasador niemiecki, Lichnowski, donosił cesarzowi z Londynu, że sytuacja w Anglii nie jest taka, jakby sobie Niemcy życzyli, Wilhelm napisał na marginesie depechy: „Biedny Lichnowski! Dopieroż będzie patrzył, gdy zbudzi się ze swoich dyplomatycznych marzeń! O mały figiel byłby mnie powstrzymał w moim wymarszu!“ Tak samo Hitler przed wybuchem drugiej wojny światowej groził kopnięciem i zrzuconiem po schodach każdego, kto by go chciał powstrzymać od rozpoczęcia wojny. Dodajmy dla naszej

orientacji, że na całym świecie nie znajdziemy takiego fanatycznego kultu wojny jak w Niemczech.

Goering groził nam przed wybuchem wojny, że jeśli nie ulegniemy Niemcom, to z Polski nie pozostawią kamienia na kamieniu. Było to nie tylko pobożne życzenie, ale plan dokładny. Polska miała zostać zdeorganizowana całkowicie i ostatecznie. Inteligencja polska miała zostać wytępiona, a masy ludowe zdegradowane do poziomu niewolników niemieckich. Masowe mordy przedstawicieli kultury polskiej i wywożenie milionowych rzesz ludowych do Niemiec na roboty łączy katorżne, miały być przedśmiertnym ogłoszeniem naszego społeczeństwa. Potem zabrano się do dezintegracji szczepowej przez tworzenie różnych przeciwpolskich „narodowości” z gorolów, Kaszubów, Mazurów. Bóg raczy wiedzieć, jakich dalszych narodowości byłiby się Niemcy doszukali na polskim obszarze narodowym.

I nagle musiał Niemiec ujrzeć na własne oczy rzecz zgoła niespodziewaną: szybką w Polsce reorganizację społeczną i kulturalną. Po zamknięciu uniwersytetów wiedza polska zesłała do podziemi, podobnie jak szkolnictwo średnie i fachowe. Po unicestwieniu prasy polskiej powstała rozgałęziona i wspaniale informująca czytelnika prasa podziemna. Kolportaż był doskonały, ważne wiadomości obiegały Polskę z szybkością głosu. Co więcej, prasa polska wychodziła nieraz z podziemi i wesołymi plakatami polemizowała z okupantem. Do najlepszych plakatów należał ten, który przypominał, co firer powiedział. Chodziło o to, aby wykazać, że firer popełniał same gaffy i że działa się akurat odwrotnie, niż powiedział. Na murach pojawiały się daty 11. XI. 1918 wypisywane smółcem. Niemcy byli wściekli i mieszkańcom domów, na których wypisywano takie wyznania wiary w bliską klęskę Niemiec, kazali zmywać napisy natychmiast. Ale nie to nie pomagało. Ruch oporu wzrastał się coraz bardziej.

Nikt też nie upadał na duchu. Byliśmy nieśmiertelną armią. Poległym oddawaliśmy należną cześć, zwieraliśmy



szeregi i każdy robił w swoim kółku, co było jego powinnością. Młodzieniec oderwany od ławy szkolnej uczył się dalej i w odpowiedniej chwili i miejscu zdawał egzamin na świadectwo dojrzałości. Gdy go Niemiec zagarniał w swoich bezustannie powtarzanych łapankach i wywoził do Niemiec na roboty, pisywał wesołe karty i listy donosząc np., że „Ania i Frania nie dają spać po nocach i prószą w oczy“. Albo, że do obowiązków jego w gospodarstwie należy obsłużenie trzech krów, pięciu owiec, czterech świń, dwóch kóz i jednej szkopki. Nie doczekał się Niemiec przygnębienia i upadku, na które liczył.

Doczekał się natomiast rzeczy innych. W szkole żyrardowskiej był szpital, w którym gnili za życia Niemcy dotknięci straszliwymi skutkami ciężkich odmrożeń. Niemieckim „madlom“ zdarzało się, że gdy szły do sal z takimi żywymi trupami, aby im śpiewać, to ten i ów nie-szczęśnik zrywał się resztkami sił i krzychał: „Precz z wami, błazeńskie dziewuchy! Żeby nie wasza zdrada wobec Polski, to bym żył, pracował i cieszył się życiem razem ze swoją rodziną! A teraz gniję tu i zgniję za waszą podłość. Zdradzicie Niemcy tak samo jak zdradziliście Polskę!“ I ruda „wychowawczyni kobiety niemieckiej“, specjalnie wydelegowana z Rzeszy, uciekała co rychlej razem z „madlami“, żeby nie słyszały tak straszliwych bluźnierstw. Bo i nieomylnemu firerowi dostawało się przy takiej sposobności.

Zdarzało się też, że foksice żyrardowskie szwendały się koło szkoły i podawały chorym żołnierzom cukierki, papierosy albo ciastka domowego wypieku. Ale nagle te odwiedzenia chorych zostały zakazane, bo znowuż ponieważ któryś młody chłopak bez ręki albo nogi rzucał sentymentalnej foksicy w twarz jej ciastka i papierosy, posyłał ją do wszystkich diabłów i wykrzykiwał pod jej adresem nieładne słowa. „Nogę mi oddaj, durna małpo, a nie ciasteczko z makiem! Złe wam tu było w tej Polsce? Nikt wam tu włosa nie skrzywił, ale wam się chciało łupić tych



dobrych ludzi i chciało się wam wojny! Ja straciłem nogę, wy straciecie swoje podle łby!" Przychodzili wartownicy i lekarze, odprowadzali biedaka czy nawet odnosili—i chorych izolowali od natrętej miłości foksowych rodaczek. Przyjeżdżał np. ojciec żołnierza, który umarł wśród strasznych mąk w szpitalu. Dawano mu kwaterę u rodaków foksowych, a ten w przystępie rozpaczony po stracie syna wypowiadał swoje zdanie o firerze, foksach i całej wojnie. Odtąd tacy przyjezdni bywali lokowani tylko w pokojach gościnnych resursy fabrycznej. Coś się psuło w państwie duńskim i to coraz wyraźniej.

Pewnego dnia przyszedli cieśle i porobili ogrodzenia wysokie wokół szkoły, która była dotychczas tylko szpitalem. Nad wysokim płotem poprzprowadzano druty kolczaste i poustawiano stójki z karabinami. W oknach pojawiły się twarze melancholijne. Foksowie twierdzili, że to wariaci z frontu. Powariowali jakoby od ciężkich wstrząsów podczas bitw na froncie wschodnim. Ale były już i takie foksy, które uważały, że to nie wariaty, lecz „zbudzeni Niemcy“, czyli najmądrzejsi przedstawiciele narodu niemieckiego, którzy mieli już dość hitlerowskich błazeństw i buntowali się przeciwko nim. Ci więc „zbudzeni Niemcy“ siedzieli teraz w szkole żyrardowskiej przemienionej w więzienie i czekali na sąd i wyrok. Uprzykrzył im się „największy Niemiec wszystkich czasów“ razem z jego swastyczkami, chorągiewkami i z tym potwornie już śmiesznym „heilhitlerowaniem“ i siegheilowaniem“. Czasem, gdy na tych rzekomych wariatów puszczano przez radio jakie wielkie przemówienie pana Adolfa Hitlera, robił się nagle rumor, powstawał hałas i radio zamilkało, jak gdyby mówca dostał nagle i niespodziewanie w gębę.

Ale dla żyrardowskich foksów było to tylko epizodem. Foksice zbierały się na dziedzińcu szkoły i szyły albo robiły na drutach „für unsere braven Soldaten“ — dla naszych dzielnych żołnierzy. A w pewne dni przychodziły z całym przychówkiem swoim i otrzymywały z rąk róż-

nych komitetów, zaopatrujących sfoksiałych naszych współobywateli, ubranka i ubrania, buciki i buty. Wtedy mniemaliśmy, że to przychodzi z Niemiec i jest wyrazem miłości Rzeszy dla „uciśnionych“ rodaków w Polsce i indziej. Mało kto domyślał się nawet, że to jest dar trupów mordowanych masowo w Majdankach i Treblinkach, w Brzezinkach i Oświęcimiach. Hiena niemiecka obdzierała umierających i ubranka przesycone jeszcze potem przedśmiertnym ofiar niemieckiego barbarzyństwa szły między innymi do Żyrardowa, gdzie na nie czekały chciwe i nigdy nienasycone ręce niemieckie. Toteż w Żyrardowie ubranka te i ubrania rzucały się w oczy. Kto był elegancko ubrany, to już było wiadomo: fok. Dopiero później stało się wiadomym, skąd idzie to bogate zaopatrzenie dla foków. Na strojach foków i na ubrankach ich dzieci była krew ofiar niemieckich, wołająca do nieba o pomstę nad zbrodniarzami.

Z jaką dumą myślało się później, że nasze obdarte i głodne dzieci polskie nie zostały skalane szatami pozdieranymi z trupów, że nasi głodujący bracia znajdowali się zawsze daleko poza sferą niemieckiego barbarzyństwa. Tymczasem panowie świata odbierali chleb pracującym, aby go pchać w nadmiarze w nienasycone gardła próżniaków i wyzyskiwaczy. Co dzień z rana przed szkołą niemiecka stawał wóz z bańkami mleka dworskiego, niedostępnego dla nas. Na stołach pojawiały się sterty białego pieczywa. I spalone dzieci volksdeutschów otrzymywały drugie śniadanie, zanim jeszcze zdążyły strawić pierwsze. Dzieci niemieckiego przedszkola i szkoły były przekarmiane wprost usilnie i tak dalece nie odczuwały głodu, że chlustały na siebie kubkami mleka.

Śród przyjaciół mieliśmy Flamandczyków z Belgii, wyprawionych na roboty do GG. Ci opowiadali nam o cienkich zupkach, jakimi niemcy ich karmili. Przychodzili do nas po prostu na kawałek chleba i szklankę herbaty, gdy im się bardzo zachciało jeść. I wtedy z wielką satysfakcją

dowiadaliśmy się o ruchu oporu w Belgii, o żywiołowej nienawiści ludu belgijskiego dla niemieckiego okupanta. Mówili nam też rzeczy ciekawe o żołdatkach niemieckich stojących na Rudzie za przejazdem, gdzie były warsztaty reparacyjne niemieckich autokolumn. Otóż żołdatki niemieckie nie uznawały takiego pożywienia jak ryż na mleku czy jajka. Dla nich prawdziwym pożywieniem była grochówka na tłustych płatach „szpeku”, zawiesziste kapuśniaki i różne gęste „bryje”, w których pływały kawały mięsa.

Razu pewnego nie dopisała piekarnia polowa i żołnierze nie dostali swojego „Vollkornbrotu”, który był po prostu straszliwy, tym bardziej, że wydawano go w postaci nieco szczerstwiej. Dowódca oddziału kazał wydać żołnierzom po trzy jajka jako dożywienie, zanim chleb zostanie im dostarczony. Żołnierze wściekli, że nie mają chleba, rzucali jajkami o płot i to w oczach głodujących dzieci i robotników polskich. Innym razem, gdy nagle zabrakło grochu na zapowiadzaną grochówkę czy też gotowej grochówki, jaką fabrykowano w niemieckich fabrykach Knorra, żołnierze dostali zamiast ulubionej zupy ryż na mleku. Manifestacyjnie zbojkotowali ten ryż z mlekiem wywodząc, że to jest pożywienie dla dziewczyc w pologu. Nikt go nie chciał jeść, wobec czego dowódca niemiecki kazał całymi kubłami wylewać ten ryż do ustępów, aby się czasem nie dostał do rąk Polaków.

Taką już była i taką pozostała natura niemiecka, niezależnie, czy chodziło o Niemca na tak zwanej wolności, czy o Niemca katującego Polaków w obozach koncentracyjnych. O jedno mu zawsze chodziło: złamać duszę Polaka, zgniebić ją, odebrać jej wszelką nadzieję, napełnić rozpaczą. To usiłowanie Niemców nie zdało się na nic. Postawa Polaków w Żyrardowie i indziej była nawet w chwilach najtragiczniejszych wspaniała. Nie łudziliśmy się: każdy z nas był z brzoza i wszyscy żyliśmy na minuty, bo Niemiec sam nigdy nie wiedział, co uczyni w chwili najbliższej.

Nie uczynił jednak rzeczy dla nas najgroźniejszej. Wszyscy patrioci znający Niemca obawiali się, że po wkro-  
czeniu do Polski Niemiec zwróci się do społeczeństwa z li-  
szą odezwą wzywającą do zgody i współpracy. Mogł by  
dać nawet wyraz ubolewaniu, że doszło do wojny, mógł  
oświadczyć, że walczył jedynie z rządem, a nie chce wal-  
czyć z narodem polskim i t.d. Nie było obaw, aby społec-  
zeństwo dało się wziąć na takie obietnice niemieckie, ale  
naiwnych i ufnych, często niekoniecznie złych, nigdy i ni-  
gdzie nie braknie.

Niemiec był jednak tak pewny siebie, że uważał taki  
wybieg za zupełnie zbędny i niepotrzebny. Być może, iż  
to uchroniło nas przynajmniej przed częściowym rozbi-  
ciem i że front nasz pozostał zwarty i jednolity w stosun-  
ku do okupanta i okupacji. Nie rozdwoiliśmy się w mie-  
rze nawet najmniejszej i gdy spotykaliśmy na ulicy ro-  
daka znanego nam choćby tylko z imienia, to mieliśmy  
99 proc. pewności, że to jest brat, któremu ufać można.

Zdałem sobie sprawę z siły moralnej tego stanu rzeczy  
w miarę, jak odwiedzał mnie pan Mates i przynosił mi  
czeskie pisma protektorackie. Z ogromnym zawstydze-  
niem pokazywał mi gazety, w których dziennikarze cze-  
scy opluwali to wszystko, co tworzyło rdzeń i treść dzie-  
jów czeskich. Pan Mates był zachmurzony i ponury. Nie  
mówił prawie nic, tylko podawał gazetę i pokazywał na-  
główek artykułu. Czytałem z uczuciem odrazy: „My, Cze-  
si instynktownie czujemy pociąg do Wielkiej Rzeszy nie-  
mieckiej“. „27.000 listów dzieci czeskich do niemieckich  
żołnierzy“. „Zjednoczyciel i wódz nasz...“

Robi się gorzko i głupio. Czuję się coś jakby osamo-  
tnienie. Rozumiem tego Matesa z Witkowic koło Moraw-  
skiej Ostrawy. Jest mi go żal. Próbuję go pocieszyć.

— Przecie to nie dzieci czeskie robią tę politykę...

— Ja wiem. To w szkole i w domu. Ale 27.000 listów  
do „przyjaciół i obrońców narodu czeskiego“, to troszkę  
za dużo.



— Pan, przypuszczam, nie czuje takiego instynktowego pociągu do Rzeszy niemieckiej.

— **Chroń Buh, pane.** Ale jest ich tam dużo, takich przekabaconych...

— No, przyjdzie kolej i na nich...

— Tak, przyjdzie... **Ale ta hańba, pane!**

Pan Mates macha ręką i mówi mi, że ich przenoszą do innego lokalu przy ulicy 1-go Maja. Zabrali tam jakiś dom, wyrzucili ludzi i przerobili to dla siebie.

— No, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Teraz uwolni się dla naszych ludzi ten dom obok.

— Nie uwolni się. Tu przyjdą włosowcy... — powiada pan Mates i zamilka nagle stropiony, że wygadał się z sekretu.

Uspokajam go, że go nie zdradzę, więc pan Mates mówi, że tu będą mundurowali jeńców rosyjskich, których zmuszono do zgłoszenia się do wojska Własowa. Mates uśmiecha się jakby chciał powiedzieć, że niewielka będzie z nich pociecha. Dodaje jeszcze, że teraz nie będziemy się widywali tak często.

— Dlaczegoż to? Ulica 1-go Maja nie na końcu świata przecie.

— No tak, ale ja jestem dobrze pilnowany jako nieprawomyślny i mógłbym na pana ściągnąć podejrzenie jakie. No, z Bogiem, panie. Może jednak...

Nie kończy swej myśli, ściska mi dłoń i odchodzi. Po paru dniach kolumna sanitarna wyprowadza się z naszego podwórka, a na jej miejsce przychodzi oficer niemiecki z pomocnikami i organizuje co potrzeba na przyjęcie transportów jeńców rosyjskich.

Robi się ruch. Ludzie przychodzą zdrożeni, przemęczeni, wynędzniali i zagłodzeni po obozach niemieckich. Oficer, jakiś poczciwy wirtemberczyk Schwäble, karmi ich, odziewa w mundury niemieckie, kwateruje... Wieczorami słychać tęskne pieśni rosyjskie. Czasem co młodszy puszcza się w tan pod przyśpiewy towarzyszy.



Pokazuje się jednak, że to nie są entuzjaści Niemców, że ci „ochotnicy“ są po prostu niewolnikami niemieckimi i ulegają przymusowi. Oczywiście, nie brak wśród nich służbistów, którzy pyszną się mundurami i czapkami niemieckimi. Wyglądają w nich arcykomicznie.

Pewnego wieczora, koło dziewiątej, młody „własowiec“ zmierza ku ulicy. Zatrzymuje go umundurowany z niemiecka sierżant — rodak i klaruje mu, że już jest godzina niemal dziewiąta i wychodzić nie wolno. Zatrzymany młodzieniec w zdartym i znoszonym mundurze rosyjskim przystaje i z nienawiścią patrzy na sierżanta, który z zegarkiem w rękę obstaje przy swoim.

— Ach, ty mordo germańska! — syczy przez zaciśnięte zęby zwracając powoli. — Przypomnę ja ci twoje draństwo, gdy wrócisz do domu.

Słowom tym towarzyszy milcząca aprobata kolegów zatrzymanego. Stoją i z nienawiścią patrzą na służbistego sierżanta. Nie, to nie są ochotnicy! Tych ludzi oszukano starym zwyczajem niemieckim, albo zmuszono po prostu do przyłączenia się do własowców.

Dni płyną rozpaczliwie wolno. Na świecie dzieje się wiele nowego, potężnego i decydującego o jutrzejszych losach świata, ale do nas dociera to w postaci krótkiego komunikatu albo niewiarogodnej plotki i nad duszami zapanowuje nastrój ponurej bezdziejowości. Po nocach śmigają ulicami samochody, czasem nadlatują samoloty, czasem jest zupełnie cicho i milczenie nocy miażdżą ciężkie buciory żołdackich i żandarmskich patroli niemieckich. Niekiedy w pobliżu pada strzał i budzi grozę niewiadomego.

Co jakiś czas z ust do ust idzie szept: przyjechało gestapo. Na ochronie powiewa czarna paskudna szmata z dwoma SS wystylizowanymi na błyskawice. Łapanka na ulicach i zabieranie ludzi z mieszkań. Coś złego wisi w powietrzu. Już o wczesnym zmierzchu ulica pustoszeje i opustoszały bruk wydaje się jakimś struchłałym,

umarłym, niby kamień miasta zasypanego popiołem wulkanu i odkopanego po stuleciach przez ciekawość ludzką.

Niby posunięcia wskazówek olbrzymiego zegara posuwa się zmierzch i zbliża się mrok nocy, sprzymierzeniec złodziei i morderców. Co któremu z nas ta noc przyniesie? Wielu zostanie aresztowanych? Wielu powędruje do obozów koncentracyjnych? Wielu zostanie zabitych odręcznie? Ulice szybko pustoszeją. Tu i owdzie z okna ostrożnie wychyla się głowa, niespokojne oczy badają pustkę.

Jest tak, jak bywa czasem przed gwałtowną burzą, gdy ziemia staje się popielatą, jakby pobladłą z przerażenia i gdy w czarnej chmurze gromadzą się pioruny o niewiadomych przeznaczeniach. Strach? Nie, nawet nie strach, ale uczucie głębokiej odrazy. Można mieć do czynienia z najstraszliwszym władcą i nie bać się go, dopóki ten władca ma rozum. Ale niemiec? Nie ma rozumu, bo wierzy niezachwianie, że firer ma zawsze recht, że armia niemiecka jest niepokonalna i że nadchodzi tysiącletni trzeci rajch.

To nie sąd nadchodzi, w którym jest oskarzenie i obrona i w którym zapada wyrok na mocy jakiegoś prawa. To idą wykonawcy wyroku, który zapadł zaocznie. Nasz sąsiad foks wskazał na nas palcem, żandarm nas zapisał, jakieś gestapo przeczytało nasze imiona i nazwiska i zrobiło przy nich odpowiednie znaki: tu kreskę, tu krzyżyk. Za to, że jesteś Polakiem, że kochasz ten kraj i ten lud, wśród którego się wychowałeś jako wśród oddanych ci braci, zginiesz. Piekarz z Poczdamu i mechanik z Wrocławia łącznie z szewcem z Norymbergi i ślusarzem z Hamburga zadecydowali o twoim losie bezapelacyjnie.

Jeśli mundur niemiecki wejdzie do twego mieszkania, to wiedz, że zginąłeś albo zginiesz. Mundur niemiecki nie ma duszy. Nie zna żadnego języka ludzkiego, zna tylko komendę. Nie zna kodeksu prawa jakiegoś, zna tylko listę, na której stoi wypisane twoje nazwisko. Więzienie, obóz, śmierć, czyli gramatyka stopniowań niemieckich: źle, gorzej, najgorzej.

Noc mija na wsłuchiwaniu się w odgłosy kroków niemieckich. Ulica jest od godziny ósmej do godziny czwartej rano zakazana dla wszystkich. Otwarta jest „nur für Deutsche“. Dla jakiegoś Fryca z Buxtehude, dla Maxa z Bambergu, dla Oskara z Döberitz, dla Heinricha z Essen. Przestali być piekarzami, szewcami, listowymi, rzeźnikami i stali się SS-ami, gestapowcami, sonderdienstowcami, w ogóle kanaliami.

Harris, pisarz amerykański, opowiada, że studiując w Heidelbergu, miewał do czynienia z bardzo dziwnymi obyczajami studentów niemieckich. Student niemiecki uważał za wyzwanie dla siebie, gdy ktoś patrzył na niego dłużej niż drobny ułamek sekundy. Wyzywał wtedy na rapiery i bił się o swój „honor“ skalany czymś spojrzaniem.

Jednocześnie wszakże ten sam student uważał, że jest jego prawem potrącić (**anrempeIn**) każdego, kto mu się nie podoba. Pewnego razu Harris został właśnie tak z niemiecka po studencku „anremplowany“ na ulicy. Gotów był nawet rzucić Niemcowi sakramentalne „pardon!“ — ale spostrzegł, że Niemcowi ani się śniło uczynić to samo. Więc zapytał:

— Czy pan potrącił mnie rozmyślnie?

— Tak — odpowiedział bursz w dekle i z ciężkim kijem w garści.

— No to się pan broń! — dwornie zaprosił Harris i odczekawszy chwilę lewym sierpowym znokautował jeden z obiecujących kwiatów narodu niemieckiego.

Niemiec zwałił się jak kłoda, Harris chciał go po bokserku „odliczyć“, ale Niemcy nie dali. Gwałt i krzyk. **Polizei!** Wszyscy widzieli, jak Harris grubą laską zwałił w głowę biednego spokojnego bursza niemieckiego. Harris tłumaczył, że laska jest własnością studenta i że dał studentowi tylko po amerykańsku w zęby, jako spowodowany jego zaczepką.

Nie pomogło. Policja zaprowadziła go do władz uniwersyteckich, a te osądziły go na relegację za użycie kija w walce ze studentem niemieckim. Harris gotów był każdemu z sędziów swoich zaaplikować lewy sierpowy, aby ich przekonać, że do znokautowania nie potrzeba kija, ale w Niemczech nie znano jeszcze boksu i słuszność miał jak zwykle — mocniejszy.

— No to się broń! — Co za cudowne, rycerskie słowo! Jakże musiałby świat szanować nawet barbarzyńcę niemieckiego, gdyby ten zaczynał swoje zbrojactwo od takiego wezwania! Ale Niemiec nigdy i nikogo nie uprzedzał, że ma się bronić. Był zawsze raubritterem, to jest takim, co napada z za węgła, co rabuje i bije tylko słabszego od siebie. Niemiec miał zawsze tylko jedno wezwanie: „Przyznaj się, że jesteś komunista, bo i tak i tak zostaniesz rozwalony“! Jeśli i tak i tak oskarżony zostanie „rozwalony“, to na co ci, głupi niemiecki zbroju, przyznanie się? Przyznam się — to mnie rozwalisz za to, że się przyznałem, nie przyznam się — to zginę z twej morderczej ręki za to, że się nie przyznałem.

Niemiecka cisza nocna była zgoła inna niż nocne cisze nieniemieckie. Kroki patroli niemieckich miały odgłos kroków kata podchodzącego przed switem do celi skazańca. Mordercy idą! Czuwajcie! Gdzieś tam sapał samochód osobowy z gestapiakami. Mordercy jadą! Baczność! Gdzie indziej zagruchotała na bruku ciężarówka. Oprawcy nadchodzą! Uciekajcie! Padał strzał, jeden, drugi... Trupy, czy tylko sygnał? Albo może zwykły strach opryszka, który zląkł się własnego cienia? Francuz Barres opowiada w swym dzienniku, ilu to ludzi zapłaciło we Francji w roku 1870/71 życiem za to, że się Niemiec czasem wystraszył.

Śmiertelnie długa noc trwa i trwa. Wreszcie w zaduch izby, szczelnie zamkniętej i zaciemnionej, cienutką szczeliną wciska się popielaty brzask. Może będzie można spojrzeć na rodzący się dzień z nową nadzieją? Ale nagle ło-



mot niecierpliwy. Znamy go: kolby karabinów wałą we drzwi domu. Zachryple głosy grożą i każą się śpieszyć. Ktoś otwiera drzwi, jakiś drżący głos kobiecy tłumaczy coś, odpowiada na charkot niemiecki. Słychać powtarzające się nazwisko: Sentowski. Od paru miesięcy szukają ciągle tego Sentowskiego, który podobno już dawno nie żyje.

— Sentowski musi tu mieszkać! — podnosi głos żandarm. — Szkolna 10, tak?

— Tak, Szkolna 10, ale ten sam numer powtarza się na tej ulicy nieco dalej ku dworcowi kolejowemu.

Ostrożnie wychylam się przez okno i widzę czterech żandarmów w dęciakach z bagnetami na karabinach. Jakaś grubsza oblawa. W szarym brzasku rodzącego się dnia obraz jest ponury i złowieszczy. Kobieta w szlafroku, w pantoflach na bose nogi, stoi na progu przytrzymując wyłogi szlafroka tuż pod szyją. Tłuste żandarmy są bardzo złe i nieustępliwe. Dawać im tego Sentowskiego!

— Sentowski umarł! — powtarza sąsiadka.

— Nie może być! Jest na liście! Co za schweineri, żeby miał umrzeć już dawno, kiedy ma umrzeć dopiero teraz!

I żandarm pcha się do sieni, aby znaleźć koniecznie Sentowskiego. Nie znajduje go jednak i razem z resztą kolegów opuszcza podwórze. Czeka chwilę, czy nie zawrócą, ale niebawem zaczyna terkotać motor samochodu i żandarmi odjeżdżają. Po cichu otwierają się okna i wychylają głowy. Udręczeni ludzie oddychają z uczuciem ulgi. Idzie dzień, wszędzie słońce, będzie jasno.

Ale gdy wreszcie jest jasno, dowiadujemy się, ilu to ludzi pozabierano, ilu pobito przy tej sposobności. Chorągiew z dwoma stylizowanymi SS wisi ciągle na swoim miejscu i grozi przez szereg dni. Gestapo jeździ po okolicy i robi to samo, co w Żyrardowie.

Jesteśmy sobie jednak wierni i w tym wielka nasza pociecha. Pomagmy sobie w miarę możliwości. Foksy jak szarańcza pożerają wszystko, co się pożreć daje. Dla nas pozostaje w gruncie rzeczy niewiele. Ale tą resztą dzielimy się rzetelnie, po bratersku. Nie mamy mleka, które wychlustują na siebie łobuziaki niemieckie z Deutsche Volksschule i z przedszkola niemieckiego, trudno o nie i na wsi, bo gospodarny bandyta niemiecki każdy drobiazg obliczył dokładnie i każe oddawać sobie wszystko. Nie mamy jaj, bo Niemiec policzył kury i każe oddawać wszystkie jaja. Nie ma w handlu mąki i kaszy, a jeśli jest, to kosztuje nad stan. Było by ciężko, gdyby nie było stałego sprzyśiężenia przyjaźni. Wieczorem, w ostatniej chwili przed godziną policyjną, wpadnie nagle spokojny zawsze i rzeczowy przyjaciel Niemira, wysunie spod pazuchy coś pożywnego, doda krzepiącą ploteczkę i dobranoc! Masi iść, bo zaraz zaczną łązić szkopy. Innym razem przyjdzie inżynier Sokołowski, który nie uznaje żadnych pesymizmów i tak ot, mimochodem, wygarnie z torby to i owo dla gospodarstwa domowego. Zaś wielką i stałą rezerwą dla Żyrardowa są państwo Lazzariniowie: potrafią zawsze odgarnąć na stronę trochę mąki, kasz najrozniejszych, a nawet maku, aby obdzielić tych, co takich rzeczy poszukują. Umieją ukryć trochę mleka przed czujnym okiem kontrolera i gdy ceny na mleko szaleją, jak gdyby cały świat zaludniony był milionerami, nauczyciel czy inny proletariusz dostanie od nich tego drogocennego płynu po cenie dla niego dostępnej, ludzkiej i zycziwej.

Przyjdzie paczka od nieznanego przyjaciela ze Śląska Cieszyńskiego. Nazwisko nie mówi nic, a czasem nawet jest obce, bo nadawca ma jakieś powody, dla których nazwisko przed Niemcami zataja. W paczce jest bielutka mąka, wspaniała cukier, słoik konfitur i różne takie skarby wojenne. Ponieważ tłuszczów wysyłać nie wolno, więc zręczna dłoń schowała dwa zawinięte kawałki masła do zaszytego woreczka z mąką. Prócz tego dodano duży słoik

pergaminowy wspaniałej śląskiej zupy w proszku. Doskonały tłuszcz i smak: łyżkę na talerz gorącej wody i używaj, człowieku, ile wlezie! Cudowni ludzie ci Cieszyńscy! Posyłając paczkę, podpisują się jako wdzięczni czytelnicy. Nie dość na tym: do Warszawy zjeżdża ferdyzyczna Ślązaczka z mamoną i obdziela chudych literatów. Nawet Makuszyński, pisarz za wesoły chyba dla śląskich Ślązaków, nie zostaje pominięty. A prócz tego przychodzi ten i ów ze szczyptą herbaty, z bochenkiem dobrego chleba czy nawet z łokciem solidnej domowej kiełbasy, z pękatą kaszanką albo salcesonem, jak to czynili państwo Lazzariniowie na Boże Narodzenie albo Wielkanoc.

Taki był nasz chleb powszedni. Ważny, ale nie najważniejszy. Po głowie tłukły się ciągle myśli, co dalej? Cała biblioteka — narzędzie pracy, z którym się obcowano z dnia na dzień przez tyle lat — nabrała obecnie odmiennego znaczenia. Chciało się w niej znaleźć odpowiedź na jedno, jedyne pytanie: co dalej? W którymś z tych setek tomów musi być słowo odpowiedzi na zagadnienie życia i śmierci. Musi być coś o sensie życia i o sensie tego masowego wojennego umierania, tych mordów niemieckich.

Staję u półek z książkami i błędzę po nich spojrzaniem. Którą wziąć do ręki, aby znaleźć w niej słowo na dzisiaj? Proroctwo czy wskazówkę choćby, co będzie jutro. Ostroróg? „Uwagi o naprawie Rzeczypospolitej”? Był to głos wołającego na pustyni. W Polsce, do której przemawiał, nie słyszano go, nie rozumiano. „Panowie rządzący Rzeczpospolitą! Jakżeście ograniczeni, zeście dotychczas cierpieli, iż z klasztorów, dobrami i dochodami przodków naszych uposażonych, żyjących na ziemi polskiej i z niej przez Polaków karmieni, waszych ziomeków wyłączają i do zakonów nie przypuszczają, chyba dlatego może, że ich ustawa wiąże, aby samych tylko Niemców do zakonu przyjmowali... Nie dopuszczajciez nadal, waleczni mężowie, jeżeli za takich uchodzić chcecie, aby

niemcy, a zwłaszcza owe proste i zniewieściałe mnichy, naigrawały się z narodu polskiego. . .”

A więc już za Ostroroga, w wieku piętnastym, pano-  
wało w Polsce hasło: „*nur für Deutsche*“. I już wtedy było  
tolerowane, co więcej, otaczane opieką „panów rządzą-  
cych Rzeczpospolitą“. Mickiewicz? Ten wiedział lepiej  
od kogokolwiek, że „krzyżackiego gadu nie ugłaszcz-  
nikt. . .” On nie byłby zawierał paktów nieagresji z taki-  
mi, dla których wszelki układ jest świstkiem papieru. Kto  
pamiętał w Polsce o słowie tego wielkiego ducha? Czy to  
nie przeciwko niemu i wbrew niemu zawarto układ z no-  
torycznym wiarołomcą i zdrajcą każdego, kto się z nim  
układał i sprzymierzał?

Zeromski? **Cor cordium**, serce serca polskiego dni na-  
szych. Spór Baryki z Gajowcem. „Wy jesteście mali  
ludzie — i tchórze! . . . Musicie iść w ogonie „Europy”.  
Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie  
reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikol-  
wiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać jak  
powietrzem. Tu jest zaduch. Był tego wielkiego państwa,  
tej złotej ojczyzny, tego świętego słowa, za które umie-  
rali męczennicy, był Polski — za ideę!”

Za ideę, to znaczy za program istnienia i pracy twór-  
czej. Bo żyje się tu bez tego właśnie programu, bo istnieje  
się dla żywota wiecznego, pośmiertnego, tego wiekuiste-  
go *dolce far niente*, świętego nieróbstwa. Bo tu się czci  
Boga i świętych pańskich nieróbstwem, pijaństwem, ob-  
żarstwem. Kto pamięta o słowie Norwida, że „ojczyzna  
to wielki zbiorowy obowiązek”? Nie przywilej wyzyaki-  
wania słabszego przez mocniejszego, ale zbiorowy i wielki  
obowiązek. Kto pamięta powiedzenie Słowackiego, że  
„ideał my się wyróżniemy jak ząb z ciała obcości”. A tu  
jest ideał bezideowości, improwizacja swawoli jednych  
przez upośledzanie innych. Gdy Polsce groziły rozbiory,  
pani Katarzyna z Potockich Kossakowska pisała do amb-  
sadora austriackiego, barona Reviczky: „Jeśli mi zostawi-  
cie majątek i religię, czegoż mam jeszcze żałować?”



Milczenie muz, gdy rozlega się szcęk broni, jest takie ponure! Oto mamy emigrację tak olbrzymią, że „wielka emigracja” jest wobec niej malutką co do liczebności. Ale gdzie jest śpiewak tej straszliwej wędrowki ludu naszego? Słyszymy ciche liryczne piosneczki, takie niewinne w gruncie rzeczy i nikłe w stosunku do wielkości wydarzeń, jak ćwierkanie ptaszka podczas bicia piorunów. Czyżby naprawdę wieszcz był taki, jakim jest słuchacz? Nie ma w dzisiejszej poezji żadnego stosunku do chwili dziejowej, a jeśli jest, to taki mniej więcej, jak mapa oceanu Spokojnego w atlasie szkolnym wobec rzeczywistego oceanu. Brak eposowości językowi, brak rzetelnego stosunku ludzkiego do sprawy życia i śmierci narodu. Są stylizacje, są jakieś próby oryginalności i nowości, te jakieś nadrealizmy i integralizmy, czyli w gruncie rzeczy wykręty i usuwanie się od osobistej odpowiedzialności za właściwy stosunek do życia. Wszystko to razem jest jakąś efemerydą, która na życiu dzisiejszym nie pozostawi nawet najniklejszego śladu.

Geniusz mówi językiem ojczystym swoich słuchaczy i im większa jego poezja — tym prostszy język. Homer nie potrzebuje komentatora. Nie potrzebuje go Mickiewicz, Byron, Słowacki, Puszkina, Norwid, Petrarca... Stulecia kształtowały mowę ludzką i tworzyły jej atomy niejako. Próby dezintegracji tych atomów, rozbicia ich, są tylko próbami i pozostają ogromnie daleko poza fizyką. Wysiłek w kierunku ubezsensowienia wyrazów mowy ludzkiej jest olbrzymi, efekt zaś jest co najwyżej komiczny. Uciekamy od tego. Atom zostaje rozbity jakimś gigantycznym nadludzkim wysiłkiem, ale bez wybuchu. Góra stęka straszliwie, ale rodzi tylko mysz. Śpiewak, który nie jest Orfeuszem, jest tylko księdzem Baką i na to nie poradzą nawet nagrody literackie.

Jak cudownie łatwo utrwalają się w pamięci wiersze genialnych poetów, którzy z ludzi prostych czynią genialnych czytelników! Jak mile powtarza sobie wdzięcz-

na pamięć po raz tysięczny słowa Norwida: „Jak gdy kto w oczy cisnie człowiekowi garścią fiołków i nic mu nie powie... Jakby akacją zwolna zakolysze, by woń podobna jutrzennemu ranu z kwiaty białemi na białe klawisze otworzonego padła fortepianu...” Co za olbrzymi margines uczuciowy i refleksyjny pozostawia tu poeta słuchaczowi! Albo jaką wizję narzuca czytelnikowi rytmem i onomatopejami swego rapsodu żałobnego na śmierć Bema! „Czemu, Cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz? Śród pochodni, co skrami grają około twych kolan. Miecz wawrzynem spowity i gromnic płakaniem dziś polan, rwie się sokół i koń twój podrywa stopę jak tancerz...” Kto tu nie dosłyszy złocistych trąb rytmu marsza pogrzebowego, kto nie widzi konia prowadzonego za trumną wodza — ten przepadł dla poezji.

Albo takie wezwanie Słowackiego: „... miejcie czucie! Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnej chmury słychać i słychać jakby jakieś kucie podziemnych zbrój, a z góry słychać jak gdyby sztandarów rozprucie i szelest, niby orzeł je w pazury chwycił i ciągle darł jak stare szatry — słuchajcie, to ja błogosławię wiatry!” Aleksandryn taki klasyczny u Malczewskiego z troskliwą cezurą pośrodku, jest tu rozbity i płynny, ale jakież melodyjny zarazem! Ile treści może włożyć czytelnik w taką jedną oktawę z „Beniowskiego“! I genialny Słowacki wie o tym, że jest tylko suflerem czytelnika, że czytelnik sam niesie te wiersze w krainę marzenia.

Gdy się stawało przy oknie z sercem pełnym tego niewypowiedzianego piękna i widziało się przypadkiem chodzących parami żandarmów niemieckich, to budziła się w sercu litość dla niedoczłowieczonych istot, które nigdy nie dowiedzą się, że istnieje taka polska opowieść zaczynająca się od słów: „W szwajcarskich górach jest jedna dolina, gdzie Aar wody złocistemi spada“... Czy można być niemieckim żandarmem w służbach Hitlera, wieprzożercą i piwożłopem, a przygodnie mordercą i ka-

tem, gdy się zna takie właśnie opowieści, o których poeta rosyjski powiedział: „Eto do biezumia prekrasno!”

Jakże nie litować się nad istotami, którym los pisał, iż mają być tylko Niemcami, tylko żandarmami i mordercami i nigdy nie mają doznać tego świętego dreszczu, jaki towarzyszy słowom Mickiewicza, gdy niby w misterium ofiarowuje Bogu swój naród i woła: „Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić. Nie mam sposobu i tu przyszedłem go dociec“. I gdzież tobie żandarmie niemiecki, pojąć serdeczność słów poetki polskiej, Konopnickiej, gdy chłopu polskiemu, powracającemu z morza do Polski, każe mówić: „Idziem do ciebie, matko, Polsko miła, by upaść sercem na twoje zaproszenie. Nie jedno liczą my, ale i siła. Nie jedno pląg my, co ziemię twą orze, ale i pieron, co go Bóg posyła, by kruszył dęby o zmurszałej korze...!”

Taka jest magia i cud i siła polskiego słowa. I taka jest tego słowa wysokość, na którą nigdy żaden Goebbels wznieść się nie zdoła. I żaden Goering, a już najmniej to różne Keitlie i Brauchitsche z rodu katowskich pacholków, służących na zawołanie każdemu kto płaci, munduruje i odznacza, choćby to była jego niższa — Adolf zwyrodniały.

Gdy prostota i jasność tego słowa dotrze do świadomości poetów piszących rebusami, zażenują się zapewne i rozumieją, że najprzód myśl, najprzód uczucie dostojne, a później wyraz dla niego. Poezja jest także wyrazem pewnej woli panowania przy pomocy słowa. Z takiej woli zapewne zrodził się słowa Juliusza Słowackiego, gdy pod adresem Krasinśkiego pisał: „... ale twardo, ale jasno wśród narodu swego stać, myślać, chorągwie rwać, świecić czynu tarczą własną!“ Ale to są rzeczy nie dla wszystkich zrozumiałe, a już najmniej dla Niemca, który nie wziął tego pod uwagę i nie umiał przeliczyć sobie na siłę dywizyj. A przecie w tym, co ta poezja nasza wyrażała i w jej źródłach najgłębszych była niespożyta siła utajonych dywizyj.

Gestapo odjechało, chorągiew z dwoma stylizowanymi SS została zdjęta z ochrony i z resursy fabrycznej. Przez parę dni będzie względny spokój. Pewności absolutnej nigdy nie ma, ale istnieje prawdopodobieństwo, że po dniach szału gestapowego będzie można odpocząć. Korzystam z tego i szybko wydobywam poukrywane książki niemieckich emigrantów, wydawane w Szwajcarii i w Holandii. Życiorysy Hitlera i charakterystyki narodowego socjalizmu, opisy okrucieństw obozowych, masowych mordów Niemców na Niemcach.

Książki te powychodziły na długo przed wojną, ale nie brak w nich trafnego przewidywania tego, do czego Hitler i jego hitlerstwo doprowadzi. Wojna zaborcza i klęska cywilizacji — oto tenor wniosków ostatecznych tych książek. Przerzucam kartki dwutomowej książki Heidena o Hitlerze, o grozie Dachau, o jakichś stojących grobach betonowych, w których zamyka się ludzi niemiłych wyrzutom ludzkości i szumowinie germanstwa. Czytam o wybuchach szału wobec obywateli pochodzenia żydowskiego, którzy tak wydatnie przyczynili się jako przemysłowcy i naukowcy do rozślawienia imienia niemieckiego.

I za to właśnie, że zdobyli dla narodu niemieckiego kilkanaście nagród Nobla, że dali niemieckiemu narodowi wielkie bogactwa, spada na nich sadyistyczna niemiecka mściwość. Gdyby Hitler umiał być myśleć logicznie i konsekwentnie, byłby łatwo doszedł do wniosku, że przesladując Żydów sam sobie przeczy. Fundamentem jego mądrości jest twierdzenie, że jedynym probierzem wszystkich wartości jest tylko i tylko powodzenie. Willmans, znakomity psychiatra uniwersytetu w Heidelbergu, zwracał uwagę, że nie ma nigdzie antycyganizmu, ale jest antysemityzm. Bo Niemiec nie mógł zazdrościć cyganowi, ale musiał zazdrościć Żydowi i to właśnie powodzenia, tej miary wszystkich wartości.

Czytam o pogardzie, jaką Hitler nie przestawał ujawniać dla robotników jako właśnie tych, których przy-



roda sama skazała na niewolę i napiętnowała brakiem powodzenia. Gdyby byli co warci, musieliby mieć własne wille, akcje ciężkiego przemysłu i pierwszorzędne samochody. Ponieważ zaś tego nie mają, czyli nie mają powodzenia, są typem niższym nie nadającym się do panowania.

Czytam o ciągłym powtarzaniu przez Hitlera słów o konieczności panowania mocnych, o ujarzmianiu i tępieniu słabych. Wskazuje na to Heiden i Olden, Oehme, Caro i von Miltenberg. Zresztą tak łatwo doczytać się o tym w „Mein Kampfie“, nudnym książczydle, zionącym nienawiścią przeciwko całemu światu. Hitler to naprawdę Lafirdecki dzielący ludzi na lepszych i gorszych, jak to czynią wszystkie drobnomieszczuchy niemieckie. Jest to typ jakby żywcem wyrwany z dzieł Mniszków-ny. Z panem hrabią czy z panem milionerem zaszczytniej jest obcować niż z robociażem, dla którego ten dobrokiewicz polityczny ma tylko pogardę i którego pas-  
kudnie oszkalował w swojej książce.

I budzi się zdziwienie, że ten robotnik, taki szkalowany przez Hitlera i taki pogardzany, raptem idzie i głosuje na tego głupawego tyrana, który zakuje go w niewolę, jakiej nie znał za kajzerów. Będzie musiał pracować dziesięć godzin dziennie, będzie musiał płacić olbrzymie składki, nie będzie miał prawa cieszyć się życiem w pojedynkę, ale nawet w dniu święta robotniczego będzie musiał wystawać w szeregu i radować się z życia na komendę. Wilhelm powiedział o Niemcach, że to naród janczarów. Byliśmy skłonni mniemać, że przesadził i że się mylił. Myśl taka nasuwała się tym bardziej, że Wilhelm tak źle ocenił stosunek „republikańskich“ Niemców do swej osoby i najniepotrzebniej w świecie uciekał przed cesarsko - niemieckimi „rewolucjonistami“. W ocenie janczarów niemieckich nie mylił się pamiętając jeszcze tych swoich żołdatów, którzy na jego osobiste pytania odpowiadali w myśl życzeń cesarskich, że

w razie potrzeby na rozkaz cesarski strzelaliby do własnych rodziców.

Przeglądam spis politycznych zbrodni niemieckich przed dojściem Hitlera do władzy nad fraternizowaniem z mordercami z Potempy, skazanymi przez sąd niemiecki na śmierć za zamordowanie polskiego robotnika. Jaką to tkliwą depeszę wysłał do nich oświadczając, że jest z nimi związany sercem i duszą i że wszystko uczyni, aby im ani włos z głowy nie spadł. Dotrzymał słowa: władza jeszcze nie była w jego rękach, ale była już blisko tych rąk i nawet najwyższy sąd niemiecki nie byłby się odważył przeciwstawić się panu i władcy Trzeciej Rzeszy. To był symbol i przepowiednia, że mordercom pod panowaniem Hitlera nigdy nic złego się nie stanie.

Potem przechodzę do książki szlachetnego Foerstera: „Europa und die deutsche Frage“ — Europa a sprawa niemiecka. Zaczyna ten człowiek sięgać daleko wstecz w czasy Fryców, co kradli Śląski — i w czasy Bismarcków, w całość ten bezwstyd niemiecki, który nie uznawał prawa do życia innych narodów i na cały świat spoglądał jak na przyszłą wyłączną własność niemiecką. Kult wojny, kult chamstwa i nikczemności, zatracanie całkowite uczuć ludzkich, przekreślanie zupełne solidarności wszechludzkiej. I głośna przestroga pod adresem świata: miejcie się na baczności wy wszyscy, którzy miłujecie pokój! Jakiego dziwnego uczucia doznawało się jednak, że są na świecie pojedynczy członkowie narodu niemieckiego uznający prawo do życia innych narodów!

A potem radość dla oczu: Grosz! Dwa kajety pełne zjadliwych rysunków wybitnie już nie tylko antyhitlerowskich, ale antyniemieckich. Pyski biurokratów, dorobkiewiczów i sentymentalnych osłów niemieckich kiwających głowami na zgodę ze wszystkimi i ze wszystkim. Kto płaci, kto daje schab i piwo, ten ma słuszość i temu należy się władza. Gdzieś tam na trotuarze siedzi szczątek człowieka spod Verdun czy spod Ypres, bez nóg, na pół

ślepy. Ma zapalki na sprzedaż, ale handel idzie nietęgo. Przechodzą spalone milionery w futrach kosztownych, drogie kokoty i taniutki wyranżerowane rogówki, mijają nędzarza policaje, biurokraty z teczkami, spekulanty chytre, ale kto spojrzy na to coś, co wczoraj było człowiekiem i umarło w trzech czwartych za cesarza i ojczyznę? Owszem, i krzyż żelazny ma ta resztką człowieka, ale kto w Niemczech nie ma żelaznego krzyża?

I krajobraz wiosenny: w dali widać dwie kopuły Frauenkirche wyrastające nad domami Monachium. Nad Izarą płynącą leniwie po wyzwoleniu z lodu zimowego stoi feldfelbel z grubym cygarem w tłustej gębie i wsparty o pień brzozy marzy. U jego stóp kołysze się łódka na wodzie i pływa napęczniały trup z głową straszliwie zmasakrowaną. Opodal jeszcze jeden trup. Jest po uśmieczeniu czerwonego Monachium. Pan hrabicz Arco-Valley zabił najosobiściej czerwonego ministra Kurta Eisnera; soldateska bawarska szalała mordując niewinnych i oto jest wiosna, a w falach Izary kąpią się opuchłe trupy.

Albo wreszcie obergermanin — Hitler w krowiej skórce i ze swastyką na piersi. Zbawca i oswobodziciel od moralności ludzkiej, od uczuć szlachetnych, od wszystkiego, co jest obrazem i podobieństwem człowieka. A więc są i tacy niemieccy artyści i pisarze! Tylko gdzie oni się popodziawali, gdy dzicz niemiecka wypełzła z najciemniejszych nor i gotowała się do ujarzżenia narodu poetów i myślicieli, aby następnie rzucić się na cały świat i zatopić go w morzu krwi i bezprzykładnych cierpień.

Dzień — dwa pozostają te książki na powierzchni, a potem wędrują znowu do swego sekretnego schowku. Tymczasem Czesi mordują jedną z najpaskudniejszych kanali, niejakiego Heydricha, narzuconego im na protektora po Neuracie, który okazał się niedość sprawnym mordercą. Heydrich szalał mordując na lewo i na prawo, ot tak sobie — dla przykładu odstraszającego. Zawsze w zakutych łbach niemieckich pokutowała men-

talność psa: trzeba bić, aby się bali. I kaligulizm: oderint dum metuant — niech sobie nienawidzą, byle się bali. Do głosu przychodzi inna kanalia: K. H. Frank. Doprowadza mordy do perfekcji, ale to wszystko jest niczym w porównaniu z tym, co się dzieje w Polsce. Tu nikt nie jest pewien najbliższych minut, ale nikt nie ustępuje. Tajna prasa miewa przerwy tylko wtedy, gdy cały zespół zostaje zdekonspirowany albo wyaresztowany. Na miejsce jednych przychodzą inni i robota idzie dalej.

Owszem, wiemy doskonale, że „kto na tygrysie jeździe, ten z niego zsiąść nie może“, ale to jest złe także dla jadącego na owym tygrysie. Król angielski może złożyć koronę i stać się obywatelem wśród obywateli, król szwedzki pojedzie sobie na partię tenisa do Szwajcarii czy do Francji, ale Hitler nie może powrócić na ulicę albo do domu prywatnego. Tam stoją cienie pomordowanych i czyhają na mordercę. Tłum SS-manów musi nad nim czuwać i musi mordować wszystkich, którzy wydają mu się podejrzanymi, jako możliwi mordercy firera. A firer jeździe na tygrysie i gdyby z niego zsiadł na chwilę, to tygrys go rozszarpie. Łatwo zacząć zbrodnię, ale trudniej skończyć inaczej niż w kryminale albo na szafocie.

Jeszcze wywrzaskuje w świat, że Dieppe się nie udało i nigdy się nie uda, że dłużej niż dziewięć godzin nigdy sprzymierzeni nie wytrzymają na kontynencie. Ale w krzyku Hitlera jest już fałszywy przydźwięk. Czuł strach tchórza, który chełpił się największymi w dziejach zwycięstwami i robił rachunki bez gospodarza. Świat jest czymś więcej niż się Hitlerowi wydaje i ten świat powala największego w dziejach świata mordercę i tchórza.

Montgomery dociera do Trypolisu i zagarnia miasto. To już dobrze, byle znowu nie ruszyli Niemcy naprzód i nie wyparli Anglików na wschód. Ale nie! Ósmego listopada 1942 roku ogromne siły amerykańsko - angielskie



ładują w Afryce północnej. Czujemy, że za tym lądowaniem tkwi coś dużego. Jednocześnie niemal marszałek Zukow zabiera się do Niemców pod Stalingradem.

Nasza Jasia musiała coś o tych rzeczach słyszeć, bo jest wesoła i przy myciu statków po obiedzie śpiewa sobie na cały głos:

Czyty woły u Świrgoły

Piąty za rzykom — za rzykom —

Wyłoił niemcu d...

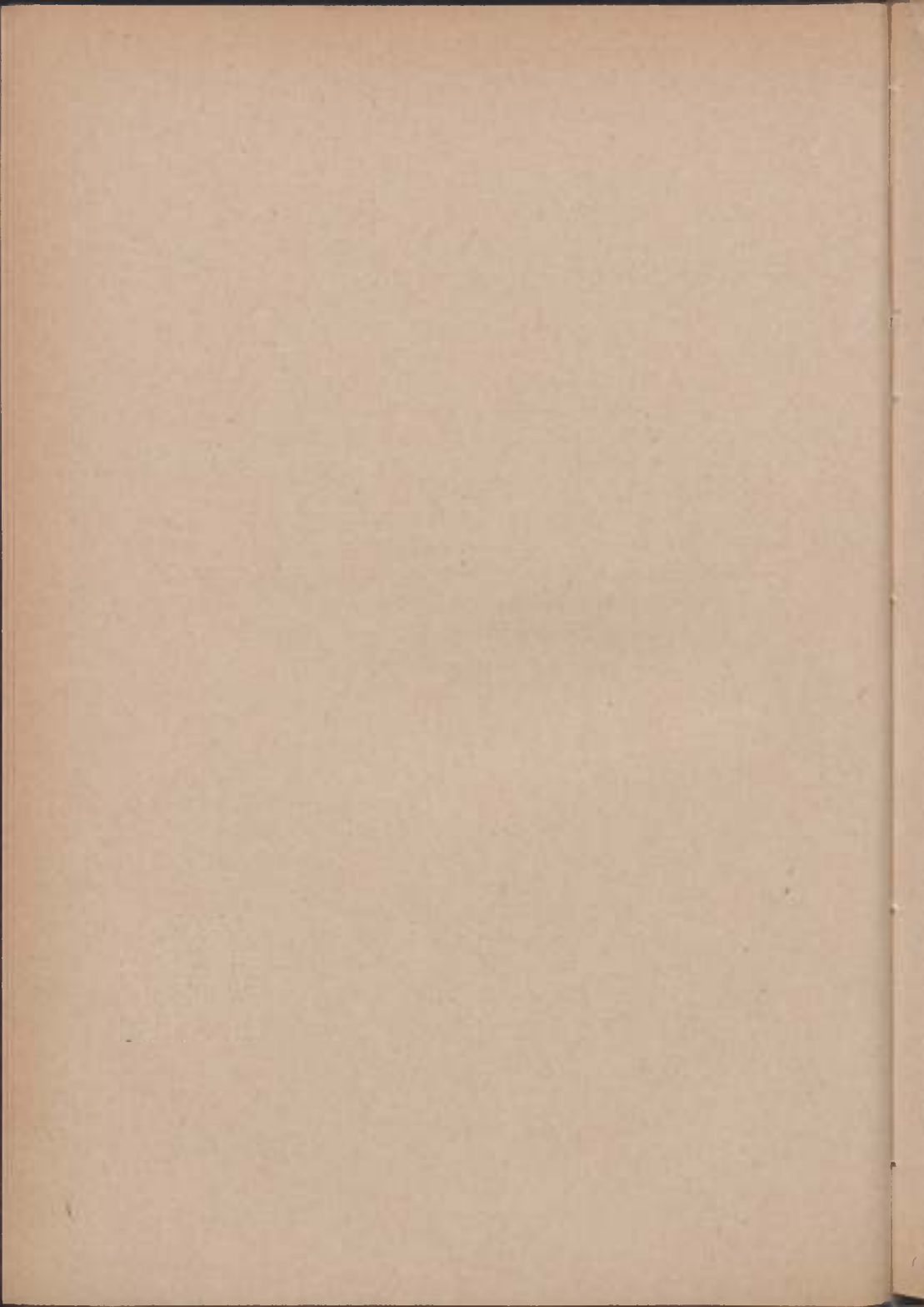
Będzie kalikom — kalikom. —

— Ciszej tam, Jasiu, bo jak ten kalika niemiecki usłyszysz, to przyjdzie tobie skórę wyłoić... I też będziesz kalikom.

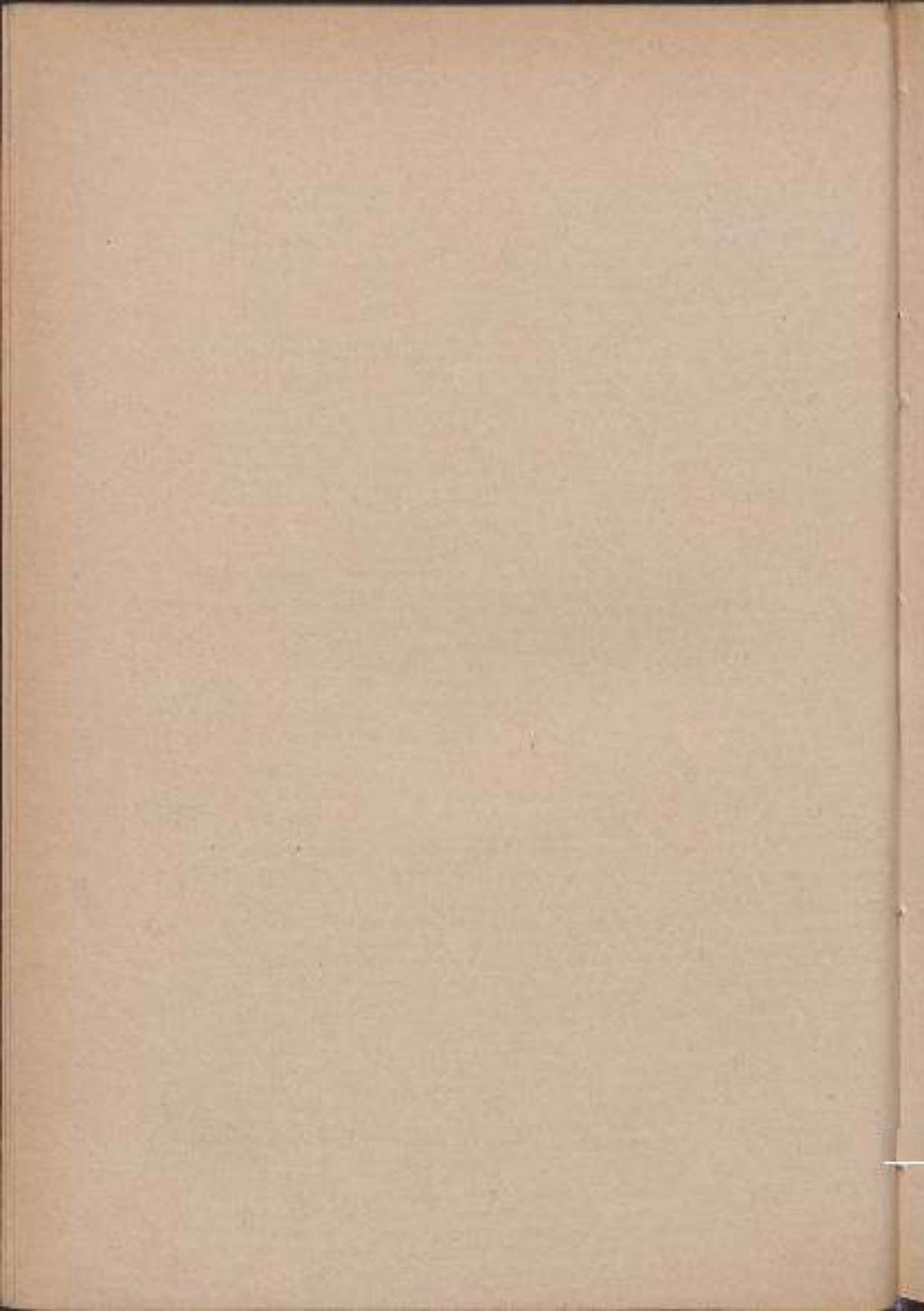
— E, proszę pana, kto by się ta martwił na zapas! Trochę juścić bać się trzeba, ale nie za bardzo. Przyszedł miemieć, pójdzie miemieć. Bo to nam pierwszyna? Tak będzie szkopał uciekał, że portki zgubi...

I wycierając energicznie statki zaczyna od nowa:

Czyty woły u Świrgoły...



## VI. Bestia szaleje





Ogłuszenie wrześniem 1939 roku trwało u nas dość długo, ale nawet z daleka nie tak długo, jak tego pragnął Niemiec. Bardzo szybko zrozumieliśmy, że to, co na nas spadło, to nie żadna wojna, ale zapowiedź całkowitej zagłady. Nie chodziło tu Niemcowi o jakieś cele polityczne, ale o całkowite i pełne wyżycie się typu zbrodniczego. To nie była wojna, po której zawiera się pokój, podpisuje traktat przyjaźni i żyje się ze zwycięskim sąsiadem w warunkach znośnych przynajmniej. To był zwyczajny najazd łupieżców i morderców obłąkanych żądzą krwi. Zrozumieliśmy, że Niemiec pisze nam zagładę i że jego zwycięstwo byłoby dla nas nieuniknioną śmiercią narodową. Hasło „Ausrotten!“, rzucone ongi przez niemieckiego filozofa Hartmanna, realizowane usilnie przez Bismarcka a później przez von Bülowa, teraz miało być zrealizowane całkowicie. Stałe łapanie i wywożenia ludzi na roboty wyniszczające do niemieckich fabryk, zaludnianie nimi obozów koncentracyjnych i masowe uśmiercania w tych obozach i na ulicach miast, miały zgoła jasną i niedwuznaczną wymowę. Byliśmy przez krwiożerczych zbrodniarzy niemieckich skazani na śmierć duchową i fizyczną.

O pogodzeniu się z tym stanem rzeczy nie mogło być mowy. Nie można też było przyjąć niemieckiego przy-

działu życia na kartki, życia warunkowego, uzależnionego od całkowitego poddania się woli niemieckiej. Ale codzienne masowe uśmiercania Polaków narzucały pytanie: co robić? Ciągłe przykłady mordowania kilkunastu, a nawet stu Polaków za jednego Niemca, nie zachęcały do walki. Rachunek był dla nas zbyt prosty, tragicznie prosty. Za stu zabitych Niemców okupant wyznaczał 10.000 pomordowanych Polaków. U końca walki tak beznadziejnej stała zagłada. Gorętsi wywodzili, że absolutna bezkarność coraz bardziej rozzuchwala Niemców, bo nie chodzi przecie tylko o tych, co wydają rozkazy, ale także o tych, co rozkazy wykonywują. Jeśli niesposób dobrać się do skóry takich zbrodniarzy jak Himmler, to trzeba koniecznie okiełzać ferwor ich pachołków i katów. Liczebnie to się nie skalkuluje, ale efekt moralny będzie duży.

Trzeźwiejsi wskazywali na ofiary i tak już wielkie i kazali brać przykład z Czechów, którzy przyczaili się w Protektoracie, mają dobre przydziały, robią nawet doskonałe interesy na handlu z Niemcami i ponoszą straty minimalne. Zresztą, powinniśmy, podobnie jak Czesi, słuchać wskazań ich prezydenta Benesza, który odradza niepotrzebne ofiary i zapewnia, że wszystko, co przyjdzie może, przyjdzie bez walki. Bo to nie jest nasza wojna, ale wojna Anglosasów z Niemcami. Oni ją sprowokowali swoją premedytowaną bezbronnością i oni ją muszą wygrać, jeśli nie chcą zginąć. W walce tak gigantycznej wkład małego bezbronnego narodu jest bez znaczenia dla wojny, ale ma mordercze znaczenie dla małego narodu. To powtarzali ludzie, którzy słuchali radia londyńskiego i przemówień dość częstych prezydenta Czechosłowacji, Benesza. Oportunizm, ostrożność, spokój i cierpliwość — takie były wskazania czeskie, które się jednak nie wszystkim u nas podobały. Co więcej, miano Czechom za złe, że w roku 1938 oddali Niemcom duże terytoria swego kraju bez jednego wystrzału.

Zresztą wskazania czeskie nie nadwały się dla nas zupełnie. Niemiec stosował w stosunkach z Czechami zgoła inne zasady niż w stosunkach z nami. Czesi mieli jako prowincja Rzeszy zgoła przyzwoite przydziały żywnościowe i Niemiec był przekonany, że oportunizm czeski da się ostatecznie przekonać, iż głową muru nie przebijesz. Co do Polaków, to Niemiec wiedział aż nadto dobrze, że nigdy nie doczeka się w Polsce żadnego Hachy i zarliwych kolaborantów w rodzaju ministrów protektorackich. Usiłowań ze strony niemieckiej nie brakło, obietnice niemieckie szły dość daleko. Hitler uważał, że po latach straszliwego terroru samaż perspektywa spokojniejszego życia będzie dla Polaków dużą pokusą. Omylił się tak samo, jak w ocenie sytuacji światowej.

Ostatecznie zdecydowało nie takie czy inne rozumowanie, ale instynkt i nieprzejednana nienawiść do nikczemnego wroga. W sposób specjalnie przykry dawali się nam we znaki volksdeutsche. Oni to, znając doskonale miejscowe stosunki, wydawali nas żandarmom i gestapowcom, oni panoszyli się w sposób irytujący i zatruli nam życie swoimi występami. Oni dostarczali urzędników i urzędniczek żandarmom i landkomisarowi i na wszelki sposób szkodzili naszym ludziom. Po wsiach okolicznych, obsiadłych przez kolonistów niemieckich, panoszyli się w sposób specjalnie przykry afiszując swoje paskudne niemiectwo na każdym kroku i w każdy sposób. Podczas gdy na naszych gospodarzy spadały ciężary dostarczania grubych, zubożających kontyngentów, Niemiecy koloniści opływali we wszystko. Przywileje mieli olbrzymie, przydziały wielokrotnie większe od przyznawanych Polakom. Ta polityka foksowa stopniowała się coraz bardziej. Z miejscowości kuracyjnych, jak np. Rabka, nie mówiąc o wielu innych, powypędzano Polaków i zaludniono je zdrowymi spasionymi babami kolonistów. Sanatoria polskie, szpitale, jakie jeszcze oca-

łały, — wszystko było już tylko „für Deutsche“. Dalsze wywłaszczania Polaków były w odwodzie.

W nocy z czwartku na piątek Wielkiego Tygodnia 1943 r. na różnych wsiach zamieszkałych przez kolonistów pojawiły się oddziały zdeterminowanych chłopców, pozabierały foksom broń i obfite zapasy przedświąteczne, a kilku aktywniejszych foksów dostało przy tej sposobności lanie. Przywódcą tych oddziałków był Kuba, który w oczach gnęzionej ludności polskiej urósł od razu do wysokości bohatera - mściciela. Opowiadania o nim szły z ust do ust i niebawem Kuba miał swoją legendę i swój mit. Kuba był wszędzie: odwiedził w nocy jakiegoś foksowego wójta i kazał wydać sobie pieniądze i broń nie czyniąc mu zresztą nic złego i nakazując przyzwoite traktowanie mieszkańców gminy. Kuba ostrzeliwał dom kolonisty niemieckiego, gdy przebywali tam jego synowie przydzieleni do Sonderdienstu. Kuba był tu i był tam. Członków jego oddziałów nazywano „Kubami“. Gdy jaki zbyt żarliwy foks dostał lanie, to wiadomo było, że to zrobili „Kuby“. Doszło do tego, że „Kuby“ urządzali ćwiczenia wojskowe na łące koło młyna korytowskiego, a więc tuż pod nosem władz niemieckich w Żyrardowie. Robił się szalony ruch: śmigały samochody z żandarmami, zaczynała się nagle strzelanina, ale „Kuby“ znikali w lesie, a żandarmi liczyli swoich rannych.

Władze niemieckie zgłupiały. Jakto? Więc na to rozdaje się niemieckim kolonistom obficie broń i amunicję i na to urządza się z nimi ćwiczenia wojskowe, aby ci tchórze przy najbliższej sposobności oddawali potulnie broń jakimś tam „Kubom“? Ale jak dostać się do tych „Kubów“? Do lasu nie byłby żaden żandarm poszedł za największe skarby. Bohaterem był tylko wtedy, gdy szedł w dziesięciu przeciwko jednemu. Coś koniecznie trzeba było zrobić. Koloniści niemieccy żyli w ciągłym strachu a żandarmi także. Gdy w nocy zaczynała się strzelanina,



żandarmi zabarykadowali się w swoim lokalu i bohater-  
sko czekali aż się rozwidni.

Na ostry rozkaz swoich władz i dla dodania odwagi  
foksom ruszyli po Wielkanocy na „śledztwo“ po wsiach,  
które ucierpiały od „Kubów“. Nie wysledzili nic, bo  
o Kubach nikt nic nie wiedział, ale ponieważ coś trzeba  
było zrobić, więc zrobili typowo po niemiecku: z każdej  
wsi złapali czterech — pięciu młodych, zdrowych ludzi  
i zastrzelili odręcznie, a mieszkańcom kazali zakopać  
zwłoki w polu i ziemię splanować, żeby śladu nie było.  
Zagrozili, że w razie oporu zastrzelą wielu innych. Na go-  
rące prośby matek pozabijanych synów pozwolono zwłoki  
ułożyć w trumnach, ale nie pozwolono na zrobienie  
grobow i postawienie krzyżów. Ze wszystkich okolicz-  
nych wsi przychodziły wieści o takich doraźnych egze-  
kucjach żandarmskich. Do mordów wybierano ludzi mło-  
dych i zdrowych, prawdopodobnie takich, którzy zostali  
wskazani przez foksov i byli przez nich uważani za nie-  
bezpiecznych.

Pierwszy raz widzieliśmy z bliska skutki zasady zbior-  
owej odpowiedzialności. Ślusarz zawinił — kowala po-  
wiesili. Rozumieliśmy, że każdy z nas jest z brzega i że  
każdy, kto się żandarmom nie będzie podobał albo przez  
foksov zostanie wskazany, może zostać zabity z godziny  
na godzinę. Życie zaczynało być bardzo ciężkie. Dni po-  
płynęły dalej swoim szlakiem losowym. Aresztowania,  
wywożenia, łapanki. To już były rzeczy i sprawy pow-  
szednie. Wieczorem przed zgaszeniem światła patrzyło  
się po izbie jakby z pytaniem, czy aby dadzą spokój  
do rana, a rano niby słowa pacierza powtarzało się sobie  
zawsze to samo: tym razem jeszcze nie. Może w ciągu  
dnia... Któż to wie? Może dziś przed południem, może  
wieczorem...

Jak zawsze przed 11 listopada i przed 3 maja, tak i te-  
go roku 1943-go snuły się po ulicach gęste patrole już  
od 1-go maja, wielkiego święta hitlerowskiego, uflago-

wanego i umaszerowanego. SA-many, hitlerjungi, deutschmädle i Bóg ich tam wie co jeszcze, maszerowały grały, bębniły, siegheilowały. Harmider, zgiełk, bębnienie, trąbienie. Uważano, że trzeba znowu przyaresztować trochę ludzi, żeby nie było jakiej manifestacji na dzień 3-cim maja. Ostre pogotowie żandarmskie, bagniet na broń, dzieciaki na łby. W jakimś ciasnym lokalu stłoczono masę obywateli mających odpowiadać za porządek w dniu 3-cim maja. Byliśmy już przyzwyczajeni i nie wywierało to większego wrażenia. Każdej chwili każdy z nas mógł zostać zabity przez pierwszego lepszego łobuziaka niemieckiego. Musiała nam wystarczać świadomość, że ci, co przeżyją wojnę, pomszczą pomordowanych.

A foksy szalały. Wyrzucały z mieszkań co lepszych każdego Polaka i oddawały mieszkania polskie różnym werkszucum i klempom niemieckim. Niejaki Hegemann bił po twarzy każdego, kto mu się nawinał pod rękę. Był to absolwent gimnazjum polskiego, chłopak, któremu nikt nigdy włos nie skrzywił, ale nagle uderzyło mu hitlerstwo mocno do głowy, i uczyniło z niego niemiecką bestię. Jakiś Dachs, który zamierzał wstąpić do naszego wojska i który jeszcze na krótko przed wojną razem ze szkołą, do której uczęszczał, był przyjęty przez prezydenta Rzeczypospolitej, zaczął robić karierę jako prominent hitleracki gnębiąc i szykanując ludzi na wszelki sposób, wyrzucając z pracy i mieszkań, denuncjując żandarmom i zachęcając do mordowania ludzi niemiłych mu osobście. Ale najbrutalniej zachowywał się niejaki Funk, klasyczny typ gnidy ludzkiej, która rozrosła się nagle do rozmiarów tygrysa. Służył żandarmom, donosił, denuncjował, oprowadzał ich po mieszkaniach upatrzonych przez siebie ofiar. Bił aresztowanych i w ogóle znęcał się nad każdym, kto dostał się w jego ręce. Imię Funk stało się synonimem okrucieństwa i nikczemności. Biada tym, co się nie zdołali wykupić z jego okrwawionych łap! Bił straszliwie. Okaleczonych nie odsyłało nigdy do domu,

choćby byli najniewinniejsi nawet w oczach żandarmów. Zabijano takich okaleczonych ludzi, aby zatrzeć ślady bestialstwa i nie dawać pożywienia **greuelpropagandzie**, bo Niemcy zapewniali świat, że pod ich okupacją dzieje się wszystkim dobrze i nikt nie jest krzywdzony.

Atmosfera wszechwładztwa takich zwierząt ludzkich była okropna. A tymczasem działy się rzeczy coraz bardziej ponure. Po wywiezieniu Żydów z Żyrardowa do getta warszawskiego prawie każda z rodzin wywiezionych miała w Żyrardowie swoich korespondentów. Dowiadaliśmy się o straszliwych okrucieństwach Niemców, jakich dopuszczano się na stłoczonej ludności żydowskiej w ciasnym getcie. Donoszono nam o śmierci głodowej dzieci, kobiet, starców, o tyfusie grasującym tam nagminnie, o potwornościach zimowania w nieogrzanych mieszkaniach, w których poduszki i kołdry nasiąkały ohydną wilgocią nędzy i rozpaczcy. Posyłałiśmy tym nieszczęśnikom, co tylko było można, ale to było kroplą rzucaną na piaski pustyni.

Dochodziły stamtąd wieści o masowym wywożeniu Żydów do obozów unicestwienia czyli na masowy mord. Dowiadaliśmy się, że kosztem nadludzkich ofiar mężowie wykupywali swoje żony od śmierci i niejedna z naszych znajomych znajdowała się poza gettem, które skazane było na zagładę. Ale te uwolnione kobiety, często bardzo młode, bywały na wolności tropione jak dzikie zwierzęta i bezustannie musiały zmieniać miejsce pobytu. Tym, co zdołali uciec z getta każdej chwili zagrażała okrutna śmierć, a jeszcze okrutniejsza tym, co im dawali przytułek i schronienie. Trzeba było starać się dla tych ofiar bestialstwa niemieckiego o „lewe“ papiery, o odzież, pożywienie, pieniądze... I nagle przychodziła wieść, że ten i ów przepadł bez wieści i nie wiadomo, co się z nim stało. Młoda kobieta pisała rozpaczliwy list, że już nie wytrzyma tego bezustannego wyczekiwania śmierci z rąk ponurych drabów i błagała, aby jej umożliwić przejazd

na wieś. Tak bardzo chciałyby przespać jedną noc spokojnie, przeżyć parę godzin na spokojnej wsi, gdzie nie słyhać strzałów morderczych i nie widać dymów płonącego miasta. Och, potem było by może już łatwiej umrzeć...

Znajomi strażacy opowiadali rzeczy straszliwe o płonących domach, w których ginęli nieszczęśliwi powstańcy żydowscy. Niemcy podkładali ogień i górne piętra miały odciętą drogę odwrotu. Przebijano mur do sąsiedniego domu, jeśli to było możliwe, uciekano dachami, ale strzelcy niemieccy, ukraińscy i łotewscy robili swoje bardzo sprawnie. Widziano matki żydowskie na czwartym piętrze płonącego domu z małymi dziećmi. Stawały na parapecie okna oszalałe od żaru płomieni ścigających ich i od żrącego dymu. Bezradne patrzyły chwilę w niebo, a potem zrzucały swoje dzieci na kamienny bruk niby na ostatnią postać miłosierdzia rzeczy martwych, na coś miłosierniejszego od ognia, i wreszcie skakały same w objęcia śmierci przy potwornym śmiechu ludzkich bestyj ss-owych.

To wszystko musieliśmy przeżywać dzień w dzień, dowiadywać się o tym, przetrwać to i wiedzieć, że jutro czeka nas wszystkich to samo. Osalały niemiec walił się w przepaść i pociągał za sobą cały świat. Popalił wszystkie mosty za sobą, poniszczył wszystkie drogi odwrotu. Przestaliśmy żyć życiem ludzi normalnych. Żyliśmy jak skazańcy zamknięci w celi i nie wiedzący, kiedy przyjdzie po nich kat. Na samo wspomnienie, że kiedyś opisy terroru rewolucji francuskiej budziły w nas uczucie zgromy, parskaliśmy śmiechem. Wtedy nawet uwięzieni nie byli pozbawieni nadziei ratunku. Mogli się bronić, bywali brnieni przez swoich wczorajszych oskarżycieli, a ci, co byli na wolności, byli naprawdę wolni. Oskarżyciel był bezwzględny, ale nie pozbawiony uczuć sprawiedliwości i rycerskości. Pozwalał oskarżonym bronić się i sam dawał im obrońców, a do tych, którzy zdołali się obronić,



wyciągał rękę jak do braci, rozwierał im szeroko ramiona.

Teraz szło ku nam coś jak żywioł zagłady, jak epidemia dżumy czy cholery, coś ślepego i głuchego, o pysku nosorożca i ciężkich stopach słonia. Jeśli hipnoza może znieczulić nerwy wobec bólu i rozkoszy, to może zapewne także odebrać rozum, zawiesić działanie rozsądku i uczuć ludzkich. Masa niemiecka straciła oblicze i stała się czymś bezosobowym jak obłok dymu duszącego wszystko żywe, jak chmara szarańczy, którą można zgnieść, zdeptać, zmiażdżyć, ale z którą nie można rozmawiać i porozumiewać się. To co miażdżyło gejto warszawskie nie było jakąś żywą i jasną myślą, ale siłą elementarną i ślepą. Niemiec poddał się sugestii, że jest wybrańcem losu, bogów czy szatanów — mniejsza z tym —, aby panował nad światem i nad innymi narodami. Więc niby epileptyk w napadzie ciężkiej choroby tłukł wszystko, co napotykał w drodze do swego celu i co stawiało mu opór. Ten gwałt można było tylko gwałtem odciskać.

W pogodny ranek siódmego czerwca 1943 roku, straszliwego roku największego terroru niemieckiego, przy ulicy Limanowskiego, przezwaney za okupacji ulicą Hermanną Goeringa, padło kilka strzałów. Ludzie mieszkający przy tej ulicy w domach strażackich, podbiegłszy na odgłos strzałów ku oknu, ujrzeni dwóch cyklistów jadących w stronę cmentarza — i kogoś leżącego na trotuarze. Minawszy ulicę Szkolną obaj cykliści rozjechali się w różne strony. Jeden z nich wsunął do kieszeni u spodni duży rewolwer. Uczynił to bardzo spokojnie i z rozważą jak ktoś, komu coś w kieszeni zawadzało. Po chwili na ulicy powstało zamieszanie. Ludzie skręcali w podwórka i znikali szybko w domach. Do leżącego podszli żołnierze z noszami w towarzystwie żandarmów i lekarza, który miotał się jak opętany i wykrzykiwał, że każe pół miasta wystrzelać. Zabito jednego z największych szubrawców okupanckich: Funka. Gdy go zabrano do szpitala, żył jeszcze, a raczej dawał znaki życia, ale

stan był beznadziejny. Niemieccy lekarze zrobili, co mogli, aby ratować kamrata, ale po paru godzinach kamrat Funk pożegnał ten świat, na którym był przekleństwem dla wielu.

Zrobiono zwykłą rzecz niemiecką: przeprowadzono fikcję śledztwa, wyaresztowano tylu a tylu ludzi, wywieziono do Warszawy, a zabitemu wyprawiono bardzo uroczysty pogrzeb. Tysiące foksów pod osłoną wojska i żandarmów poszło za trumną paskudnego opryszka i zdrajcy. Co parę kroków żandarm z karabinem gotowym do strzału, a foksy czwórkami, żeby kondukt był dłuższy i okazalszy. Represje były krwawe i nieustające. Nie bawiono się już w wywożenie skazańców do Warszawy czy choćby do Grodziska, jak czyniono jeszcze niedawno, ale łapano pierwszych lepszych młodych ludzi, wiązano im ręce wykręcone w tył, prowadzono do lasu w Międzyborowie i zabijano strzałem w potylicę. Tak samo wywożono wielu do lasu za Korytowem przy drodze mszczonowskiej, kazano im kopać sobie groby, a potem zabijano. Nikt nigdy nie wiedział, czy wychodząc na ulicę wróci do domu, czy też powędruje do Międzyborowa albo zostanie podwieziony do lasu mszczonowskiego.

W tej atmosferze bywało bohaterstwem wyjście na spacer. W drugi dzień Zielonych Świąt, mniej więcej koło godziny czwartej, wyszedłem przejść się. Koło szpitala żyrardowskiego spotkałem dyrektorową Jankowską i gawędziliśmy, jak zawsze wtedy, o wojnie. Co będzie dalej? Nagle w ciszę świątecznej ulicy padło kilka strzałów. Ludzie porozbiegali się momentalnie po podwórzach. Co to? Poszliśmy do domu i my. Okazało się, że spacerowało sobie czterech chłopców w wieku lat 18 — 20. Natknęli się na żandarmów, którzy dali znak zatrzymania się. Jeden z chłopców rzucił się do ucieczki i do niego to strzelano. Pozostałych trzech żandarmi z ulicy zabrali do swej izby i kazali powiedzieć sobie, jak się nazywa i gdzie mieszka ten, co uciekł. Odmówili wyjawienia jego

nazwiska. Grożono im rozstrzelaniem i bito ich. Wszyscy byli przekonani, że chłopcy zostaną wypuszczeni albo co najwyżej — wywiezieni do robót w Niemczech. Nazajutrz, we wtorek koło godziny szóstej wieczorem przyszedł przyjaciel i powiedział mi: — W tej chwili rozstrzelano, a właściwie zastrzelono trzech chłopców aresztowanych wczoraj: Januszka Horodyskiego, Zbyszka Sztanlika i Władka Holca... Dzieci zaciekawione tym, co się stanie ze związanymi aresztantami, biegły ku cmentarzowi i tam zostały przez żandarmów ostrzelane. Czy które z nich zabito, nie wiadomo... — — — Potworność niemieckiej okupacji pęczniała, rosła, nadymała się, traciła już wszelki ślad umiaru. To było bodaj dnia 15 czerwca. W sobotę koło południa tegoż samego tygodnia gęsta strzelanina w stronie dworca kolejowego świadczyła aż nadto wymownie, że coś tam się dzieje niedobrego. Awantura była bardzo gruba. Z Warszawy wracał kasjer Zakładów Żyrardowskich, Lipiński, wiozący pieniądze na wypłaty tygodniowe. Towarzyszyło mu kilku werkszuców z karabinami. Nagle podjechało dorożką kilku zbrojnych ludzi, ostrzelali wiozących pieniądze, zabili kasjera, zabrali kasę i uciekli. I wtedy powstało na dworcu piekło, jakie stworzyć umięją tylko żołdacy i żandarmy niemieckie opadnięte przez strach.

Każdy rozsądny człowiek rozumiał, że pociągami nadchożącymi z Warszawy czy ze Skierniewic nie nadjeżdżają sprawcy napadu, którzy przecie uciekli co rychlej. Być może, że i samiż żandarmi rozumieli to dobrze, ale okazja do sadystycznych wystąpień była zbyt kusząca, aby można było nie skorzystać z niej. Łapano winnych — niewinnych i ustawiano wzdłuż ściany dworca z twarzą do muru i z rękoma do góry. Tak kazano stać tym biedakom bardzo długo. Co raz wywlekano którego z nich i zabijano niemieckim *genickschussem*. Zabito między innymi nieszczęsnego dorożkarza, który pod przymusem podwiózł napadających. Jeszcze dzisiaj jest na dworcu

żyrdowski mogiła tego zacnego, spokojnego człowieka, z napisem: „Ś. p. Stanisław Gmurek, lat 38, zabity przez siepaczy hitlerowskich 19. 6. 43“. Dużo osób straciło wtedy życie zgoła przypadkowo, bo żandarmi, oszaleli ze strachu, nie wiedzieli, co robią. Mieli wtedy dowódcę, który nadawał się wybitnie na pacjenta domu ciężkich wariatów. Był to typowy zwyrodnialec ścigany strachem i mordujący ze strachu każdego, kto wydawał mu się podejrzanym.

I od tej chwili walka już nie ustawała ani na chwilę. Aresztowania, łapanki uliczne, wywożenia ludzi do Warszawy, egzekucje odręczne, to już była stała atmosfera lata i jesieni roku 1943. Mało było takich, którzy nie byliby widzieli, jak żandarmi prowadzili spętanych skazańców albo jak wieźli ich do wiadomego lasku za Korytowem. Nie brakło i takich, co bywali świadkami przypadkowymi egzekucyj i bestialstwa żandarmów, którzy ofiary swoje potrafili przed zabiciem storturować w sposób okrutny, zbić i skopać buciorami. Widzieliśmy to zresztą na Horodyskim, Sztanliku i Holcu. Gdy na skutek jakiejś wysokiej protekcji żandarmi pozwolili odkopać ofiary i pochować w trumnach na cmentarzu, zrobiliśmy zdjęcia fotograficzne Horodyskiego i Sztanlika (zwłoki Holca zabrano do Wiskitek, do rodziców). Obaj chłopcy mieli twarze formalnie zmiażdżone butami dzikich oprawców. Przypadkowi świadkowie takich egzekucyj opowiadali, że gdy żandarmi kazali swoim ofiarom kłaść się twarzą ku ziemi, aby je następnie zabić strzałem w potylicę, a nieszczęsna ofiara chciała po raz ostatni spojrzeć w niebo i odwracała głowę, żandarm jak gdyby na to tylko czekał, dawał biedakowi straszliwe kopnięcie w twarz albo miażdżył policzki swej ofiary całą siłą spasionej bestii. Wiedzieliśmy więc i to, że jeżeli będziemy umierali mordowani przez Niemca, to taki niemiecki wieprzoluł sponiewiera nas w sposób odpowiadający stopniu jego zbydlęcenia.



Ale walka szła dalej, niepowstrzymana już, niecofiona i nieustępliwa. Wiedzieliśmy już o zniszczeniu armii niemieckiej pod Stalingradem i szybkim odwróceniu niemców na innych odcinkach. Wiedzieliśmy o oswobodzeniu wielu miast rosyjskich, z których niemcy już nie cofali się, ale uciekali dając dziesiątki tysięcy jeńców i tracąc olbrzymie masy sprzętu. Przyszła radosna wieść o kapitulacji niemców w Tunisie. Dzień sądu nad zbrodniarzami zbliżał się szybko, ale zbrodniarz był tak tępy i głupi, iż nie wysnuwał z tego żadnych praktycznych wniosków i szalał dalej. W rozumowaniu niemców było pozycją dodatnią to, że nawet w razie przegranej wojny zginie wielkie mnóstwo przeciwników i ułatwi się przez to zdobycie władzy nad światem przyszłemu pokoleniu niemieckiemu. Tak historycy niemieccy komentowali pierwsze nieudane wyprawy germańskie przeciwko Rzymianom. Wyprawa się nie udała, co więcej, przyniosła ciężkie następstwa dla germanów, ale wzbudziła odwagę, dała pewne doświadczenie wodzom germańskim i rzuciła niepokój w obóz rzymski. O to samo chodziło teraz: wymordować jak najwięcej Francuzów, Polaków, Rosjan, aby jutrzejszy ponowny najazd na te kraje był dla niemców o tyle łatwiejszy, o ile mniej będzie przeciwników.

Po zabójstwie nikczemnego Funka poszedł na usługi żandarmów niemieckich niejaki Paprzycki, żał się Boże, Polak, typ najnikczemniejszy z nikczemnych. Przyłapany na jakimś szmuglu czy czymś podobnym i zagrożony śmiercią, okupywał resztę dni swego podłego życia śmiercią swoich rodaków żarliwie denucjowanych. Miał całkowite zaufanie swoich życiodawców niemieckich i wystarczyło, by wymienił czyjeś nazwisko, a człowiek najniewinniejszy ginął nieodwołalnie. Żadnych sądów i dochodzeń nie było. Kogo Paprzycki wskazał, ten zginąć musiał. Doszło do tego, że ludzie szerokim łukiem schodzili mu z drogi, aby nie przypomnieć o swym istnieniu jego plugawym oczom. Człowiek ten tak dalece zatracił

w sobie cechy człowieczeństwa, iż upodobił się całkowicie do Niemców.

Z drugiej strony szalał niejaki Arno Dachs, typ szczeniakowaty i koniunkturalny. Dopóki mu się wydawało, że będzie można robić karierę w Polsce, pozwalał traktować się jako Polak i nie taił się, że zamierza wstąpić do wojska polskiego. Gdy trafiła do niego propaganda hitlerowska, znalazła od razu grunt podatny. Jest interes do zrobienia? Czemu nie? Jego ojciec był współpracownikiem Schmidtów czy nawet ich współnikiem, a Schmidowie dorobili się milionowej fortuny na garbarni, która otrzymywała duże zamówienia od rządu polskiego. Garbarnia żyrardowska stała się symbolem niemiectwa i synonimem polakożerstwa, ale tego zrazu nikt nie widział i nawet widzieć nie chciał. Zresztą zdemaszkowanie tych Niemców było dość trudne, bo do garbarni „powźeniali“ się ludzie, których polskości nikt nie byłby mógł kwestionować, jak np. Bertram, syn zmarłego karczmarza żyrardowskiego. Jego starsi bracia byli Polakami i żyli jak Polacy. On sam zrazu nie byłby pomyślał, że zdeklaruje się kiedyś jako Niemiec. Nie można było nic mu zarzucić w stosunku do ogółu polskiego. Mówił po polsku jak rodowity Polak, córkę kształcił w gimnazjum polskim, składał przygodnie ofiary na polskie cele społeczne.

Ale było tak jak z wielu Polakami „za wymówieniem“ — czyli ludźmi pół-kulturalnymi. Ci, co wrosli bez reszty w kulturę polską, pozostali jej wierni aż do śmierci, jak świetlanej pamięci biskup ewangelicki ks. Juliusz Bursche, osiemdziesięcioletni starzec, któremu Niemcy rzucali złote mosty, a który dał się zakatować na śmierć w obozie koncentracyjnym za wierność Polsce. Ofiarą życia zadokumentował swoją wiarę w Polskę. Jego śladami poszli bracia jego, wybitni przedstawiciele społeczeństwa polskiego. Trzecia część pastorów ewangelickich i wybitnych przedstawicieli Polaków wyznania ewan-

gelickiego, często pochodzenia niemieckiego, poszła na śmierć męczeńską broniąc do ostatka swej polskości. Niemcy pojąć nie mogli, że kultura polska mogła wywierać taki potężny wpływ na ludzi, którym chciano ofiarować wielkie dostojęstwa i olbrzymie dochody. Toteż wściekłość ich przeciw tym Polakom nie miała granic.

Dla tych właśnie Polaków niemieckiego pochodzenia albo ewangelickiego wyznania specjalnie groźnym był Dachs. Zdaniem jego każdy ewangelik, choćby Polak z dziada - pradziada, powinien podać się za Niemca, bo Polak — to katolik. Zapominał ten Polakożerca, że naród niemiecki jest w połowie katolicki i że w samym Żyrardowie było dużo katolików niemieckich, którzy na pierwsze skinienie sfoksieli i poszli na utrzymanie Hitlera. Dachs donosił władzom niemieckim nazwiska ewangelików Polaków, denuncjował „polonizatorów“ ewangelickich, likwidował zaciekle polskie stowarzyszenia młodzieży ewangelickiej i na wszelki sposób starał się rozbić jedność społeczeństwa. Obiecywał złote góry tym, co się dadzą pozyskać dla niemieckości: jakieś nadzwyczajne przydziały, posady it.d. Ludzie, którzy te wszystkie przywileje odrzucali, byli zupełnie niezrozumiali dla mentalności dachsowej i grubo podejrzani o jakieś knowania. Bo przecież „Niemcy wojnę wygrali“, a kto nie chce być Niemcem, ten dobrowolnie przegrywa. Zaś dobrowolnie nikt przecie przegrać nie chce, a więc ci ludzie na coś liczą, pragną klęski niemieckiej, a to jest zbrodnia godna najsurowszej kary.

W tym duchu działał Dachs. Od chwili wkroczenia Niemców do Żyrardowa na garbarni widniał napis: przedsiębiorstwo niemieckie — „**Deutsches Unternehmen**“. Za przykładem tej garbarni poszły sklepy niemieckie czy półniemieckie, golarnie i t. d. Dachs był stałym współpracownikiem żandarmów niemieckich, gestapowców, wszystkich w ogóle organizacji niemieckich. On był du-

chem kierowniczym bastionu niemieckiego, jakim była garbarnia. On stale przekabacał ludzi, wciągał ich do roboty pro-niemieckiej i na wszelki sposób szkodził polskości i Polakom. Z garbarni szły do Berlina liczne petycje o przyłączenie Żyrardowa do rajchu i bardzo wiele złego szło na Polaków stamtąd, o czym wszyscy wiedzieliśmy. Był to człowiek wytrwały, nieustępliwy i na swój sposób cierpliwy. Koło upatrzonych swoich ofiar potrafił chodzić dwa lata, nasyłać na nich pisma urzędowe, wzywać ich do landkomisarów, nęcić obietnicami, grozić skutkami oporu. Gdy wreszcie widział, że wszystkie jego zabiegi nie zdały się na nic, przekazywał opornych zandarmom. Był przy tym przekonany, że wszystko robi tak zręcznie i sprytnie, iż nikt nie domyśla się jego pro-niemieckiej aktywności.

Nie przypuszczał też, że dni jego działalności dla rajchu i Hitlera były policzone. Gdyby był miał czas na zdziwienie, to niezawodnie byłby się zdziwił, gdy kula bojowej akcji podziemnej dnia 26 sierpnia 1943 kładła kres jego wyczynom przeciwpolskim. Dzień był jasny i cichy, gdy lotem błyskawicy Żyrardów obiegała wieść, że „przed chwilą Dachs został zabity”. Nikt nie pytał, kto go zabił, gdzie i jak. To były rzeczy podrzędne. Prostowaliśmy się wewnętrznie niby na komendę: baczność! Wódz Los wywoła za chwilę nazwiska tych, którzy zginą. Którzy z nas pójdą na śmierć? Ci, co wieść przynosili i ci, co ją przyjmowali, uścisnęli sobie ręce i spojrzeli w oczy z powagą i spokojnie. Robotnik szedł do fabryki, lekarz do gabinetu, ogrodnik wracał do swoich grządek, urzędnik szedł do urzędu. Wszyscy byliśmy stałymi zakładnikami i nikt nie wiedział kogo Przeznaczenie wylosuje na kolejne ofiary. Bilansowaliśmy straty i zyski: zginie dwudziestu czy trzydziestu, ocaleje może stu pięćdziesięciu, którym ten głupi i tępy wróg gotował zagładę. Oto wszystko. Nic ponadto uczynić nie możemy, ale mniej uczynić nie wolno,



Mijał tydzień, drugi, trzeci... I znowu padały strzały i znowu było o jednego wroga mniej, ale także mniej o tylu kochanych braci i przyjaciół. Widywaliśmy takie rozprawy nawet z okien mieszkania. Zagrzechotała broń automatyczna gdzieś bardzo blisko, a gdy podbiegaliśmy do okna, widywaliśmy rowerzystę czy rowerzystów jadących bez większego pośpiechu. Na rogu ulicy stał człowiek, dawał znak ręką i znikał. Za rowerzystami biegli Niemcy z karabinami, z rewolwerami, z granatami ręcznymi. Padało tyle a tyle strzałów, ktoś został postrzelony, ktoś zabity i cisza. Na widowni pojawiali się żandarmi i robili swoje: tylu a tylu aresztowano, takich a takich zabijano odręcznie. Wywożenia za Korytów widywaliśmy często, wyprowadzania za cmentarz żydowski także. Nie było tu ani śladu jakiegoś sądu, oskarżenia czy możliwości obrony. Niczego nikomu nie zarzucano, masowe zbrodnie niemieckie miały wybitne cechy bezinteresowności. Niemiec mordował z radością urodzonego mordercy: zadawał cierpienia, bo mu to sprawiało rozkosz, uśmiercał, bo był tak tępy, iż nie mógł odczuwać ohydy tego, co czynił.

W drugiej połowie roku 1943 niemal co kilka — kilkanaście dni powtarzały sięienne i nocne oblavy na ludzi; ulice wyludniały się pod wieczór, a noce były ruchliwe i pełne grozy. Po dwóch — trzech dniach przychodziła stara spłakana kobieta i mówiła: — Zabrali mi syna. Onegdaj w nocy. Miał chłopak 19 lat, był spokojny, pracowity, żywił mnie swoją pracą. Dzisiaj o świcie wywieźli go do lasku Radziejowickiego razem z siedmiu innymi i tam ich zastrzelili... — Czy wie na pewno? Ach tak, wie! Widzieli ci i ci. — Chwila ciężkiego milczenia. Jak tu pocieszyć starą matkę? — Cóż tu możemy jeszcze zrobić, kochana, miła sąsiadko? Jutro albo i dzisiaj jeszcze mogą przyjść po mnie. Prawda? — Prawda. Nic nie możemy zrobić, ale niech pan zapisze: Józef Antczak, 19 lat... Że był spokojny i pracowity i nikomu włosa nie skrzy-

wił. Żeby było wiadomo, jak tych złodziei będą sądzili... — Dobrze, mateczko, zapiszę. Będziemy pamiętali...

Sierpień, wrzesień, październik... Nie mijają dzień, aby nie aresztowano, aby kogoś nie wywieziono do lasku Radziejowickiego albo do Międzyborowa. Spotkana znajoma opowiada: — Widziałam pierwszy raz, jak zabijali ludzi. Czterech młodych chłopaków. Ręce związane drutem kolczastym na plecach. Przy kolei koło Międzyborowa. Żandarmi zapalali sobie cygara, a inni strzelali w tył głowy. Chłopcy walili się na ziemię jak kłody... Jestem chora od tego widoku, ale odwrócić się nie mogłam... — Po młodziutką robotnicę, sąsiadkę Janinę Cybulską, przychodzi o godzinie 11-ej wieczorem ponury Paprzycki z żandarmami. Dzieje się to 14 października. W dwa dni później wywożą dziewczynę między majątek Pułapiny i wieś Osiny, zabijają w polu i zagrzebują niedobitą... — — — Dzień w dzień to samo w Żyrardowie i w okolicy.

Dnia 18-go listopada 1943 robi się na skwerze duży ruch. Żandarmi zamykają skwer, gdzie jest wodociąg i gdzie ludzie chodzą po wodę. Wartujący żandarmi chodzą sztywno i nerwowo z karabinami gotowymi do strzału. Przy lazarecie wojskowym grupki sanitariuszy i sióstr niemieckich żywo gawędzą. Czuje się wyraźnie, że Niemcy szykują jakieś grubsze świństwo. Od ulicy 1-go Maja zajeżdża ciężarówka, z której żandarmi wysadzają nieszczęsne widma ludzkie — żywe trupy. Gospodarni Niemiecy oprawcy pozdzierali ze swoich ofiar porządne ubrania i odziali je w ohydne łachmany. Ręce spętane. Twarze zamaskowane czapami z czarnego papieru, usta oczywiście zagipsowane. Nieszczęśni skazańcy stoją i stoją czekając na miłosierną śmierć, która uwolni ich wreszcie od towarzystwa bestii ludzkiej. Minuty, kwadransy, jakaś ponura wieczność wyczekiwania dla ofiar i dla ich braci. Wreszcie ulicą Szkolną zajeżdża coś w rodzaju omnibusu, a w niej żandarmi w dęciakach, kaci ofiar

ustawionych pod murem fabryki, naprzeciwko przepięknego kościoła żyrardowskiego, którego wszakże już nie widzą, bo oczy mają zaciemnione.

Płyną chwile ciężkie, ponure, złowieszcze. Męczymy się za siebie i za skazańców, którzy czekają na śmiertelny cios wroga. Przepastna cisza. Cienie ludzi stoją pod murem tkalni żyrardowskiej, a my czujemy drżenie ich serc, ich żal przedśmiertny, że już się nie odezwą do swoich najdroższych, nie powiedzą im o swej miłości, o swych ostatnich myślach, o swej niemocie zagipsowanych ust, o ślepotcie zawiązanych oczu. Wznosimy spojrzenie ku listopadowemu niebu: gdzie są twoje pioruny wszechmocny, sprawiedliwy Boże, który tak cierpliwie patrzysz na to, co wyprawia potwór w ludzkiej postaci? W ciszę listopadowego przedpołudnia pada nagle piorun salwy: jedna, dwie, trzy! Bezradna miłość, bezsilne miłosierdzie pada na kolana i prosi Boga o wieczny odpoczynek dla pomordowanych i o siłę dla żyjących, którzy tyle razy dziennie muszą umierać razem z innymi, których imiona liczy tylko Bóg.

Po egzekucji na murach miasta ukazuje się obwieszczenie morderców, które niechże tu będzie powtórzone.

„Przez Sąd<sup>o</sup> doraźny Policji Bezpieczeństwa zostali w dniu 17. XI. 1943 za udział w zabronionych organizacjach i posiadanie broni na podstawie §§ 1 i 2 Zarządzenia o zwalczaniu wykroczeń przeciw dziełu odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie z d. 2. X. 43. skazani na karę śmierci: (Obwieszczenie podaje 46 nazwisk, wśród których na pierwszym miejscu jest nazwisko Stefana Zielińskiego, nauczyciela żyrardowskiego, a na dwunastym nazwisko 75-letniego starca, Karola Doczkała... Wszyscy znamy tych pomordowanych Ekielskich, Flaszczyńskich, Kotowiczów, Rucińskich, Kloców... i wiemy, że zostali zabici za to przede wszystkim, że byli Polakami. Obwieszczenie wywodzi dalej:

Z wyżej wymienionych, objętych liczbą 1 — 20 ka-  
załem w dniu 18. XI. 1943 r. w Żyrardowie rozstrzelać,  
ponieważ tamże został przez zbrodnicze elementy pol-  
skie zastrzelony żołnierz niemiecki i dwie osoby przynależności niemieckiej przez strzały zranione. — Dalszych skazanych, i to osoby pod liczbą 21—40, kazałem również publicznie rozstrzelać w Grodzisku w dniu 18. XI. 1943, ponieważ tamże 28. X. 43 jeden obywatel niemiecki został w nieczyny sposób zamordowany i jeden żołnierz zraniony. — Skazani objęci liczbą 41 — 46 są przewidziani do ułaskawienia... (Obwieszczenie mówi, że ułaskawienie jest warunkowe, o ile w ciągu trzech miesięcy na terenie starostwa nic się nie stanie, a zarazem wzywa ludność do denuncjowania osób „podejrzanych“ — czyli, że jeśli sześciu pozostałych ma ocaleć, to trzeba dziesięciu innych zadenuncjować. Wszystko jedno, winnych czy niewinnych).

Ale te publiczne egzekucje z ich obłudnymi motywacjami były tylko epizodem na tle stałych mordów dokonywanych na osobach najbardziej przypadkowo wybranych. Na dwa dni przed egzekucją publiczną żandarmi wywlekli nocą z domu dwóch młodych synów doktora Cudnego i zastrzelili ich koło kościoła farnego. Przechodnie ujrzeli rano trupy tych chłopców w kałużach krwi. Z domu przy ulicy 1-go Maja Nr. 49 wywleczono 19 listopada 1943, a więc nazajutrz po egzekucji publicznej, dwóch urzędników Zakładów Żyrardowskich: Eugeniusza Jannasza i Edwarda Tomaszewskiego, zapędzono ich w poblizze apteki fabrycznej i tam zabito. Te ciągłe morderstwa już się nie kończyły. W miarę jak przybliżał się front, nerwowość niemiecka wzrastała, ale wzrastał także chaos. Paprzycki szalał pod opieką swoich panów — żandarmów. Bił tych, których wydawał w ręce katów, chociaż doskonale wiedział, że kariera jego dobiega końca. Nikt się nie zdziwił, gdy w połowie marca rozeszła się wieść, że ten potworny człowiek został zabity. Wszyscy żalowali jedynie, że dano mu żyć i szaleć tak długo.



Tymczasem zaczęły się nowe masowe łapanki i wywożenie ludzi na roboty fortyfikacyjne, czyli „psunabudesowe“, jak je niepokonalny humor żyrardowski nazywał. Byliśmy świadkami odwrotu niemieckiego, zrazu — trzeba to przyznać — bardzo porządnego. Wywożono szpitale i lazarety, pourządzano punkty wypoczynkowe dla przechodzących oddziałów. Robiło to wrażenie wielkiego porządku, a nawet spokoju. W szkole niemieckiej zrobiono punkt żywnościowy, a dziedziniec szkolny usypano kupkami czystego piasku. Przychodził oddział wojska, niewielki zazwyczaj, żołnierze sadowili się na tych kupkach piasku i dostawali pożywienie. Po jakiejś godzinie wypoczynku ruszali w dalszą drogę ku Wiskitkom, a tymczasem nadchodził oddziałek nowy, odpoczywał, dostał jeść; żołnierze wypalili papierosa — i dalej.

Władza niemiecka przechodziła niemal wyłącznie w ręce żandarmów polowych, którzy stawali się dosłownie panami życia i śmierci wszystkich. Byli to zazwyczaj ludzie starsi, zażywni, z blaszanymi śliniaczkami, w dęciakach i z ciężkimi rewolwerami u boku. Rewolwery te mieli nie od parady. Oto jeden z bardzo wielu przykładów, jak ich używali. Dnia 29 lipca 1944 roku, kiedy to Niemcom zaczynało być w Polsce bardzo gorąco, złapano — między wielu innymi — 36-letniego Wincentego Śliwińskiego, idącego o pół do siódmej rano do pracy w fabryce. Zaprowadzono go do Domu Ludowego, gdzie tworzono partię do kopania szańców, gdzieś poza Żyrardowem — w Łowiczu czy w Sochaczewie. O godzinie jedenastej żandarmi wyprowadzili tegoż Śliwińskiego na skwer przed Domem Ludowym, naprzeciwko kościoła, kazali mu kłęknąć i z istic niemiecką rzeczowością zastrzelili za to jakoby, iż namawiał ludzi, aby nie jeździli na kopanie szańców dla Niemców. Ciało zabitego wywieziono za żydowski cmentarz i tam kazano zakopać.

Ale żandarmi byli panami życia i śmierci nie tylko cywilów polskich. Chodzili po dwóch, krokiem solidnym,

wolnym, niemal dostojnym i patrzyli prosto przed siebie, jakby ich nic nie obchodziło. Widzieli jednak wszystko aż nazbyt dobrze. Gdy czasem szedł jakiś żołnierz luzem, kiwali na niego palcami i szli mu, nie śpiesząc się, na spotkanie. Żołnierz służbiście pokazywał żądane papiery, otrzymywał je z powrotem, jeśli wszystko było w porządku i żandarmi szli dalej. Ale zdarzały się i takie rzeczy: w harmidrze odwrotu, gdy szosa bywała zatarasowana samochodami i ciężarówkami, gdy stłoczone oddziały wzajemnie przeszkadzały sobie w marszu odwrotowym, żandarmi zwracali nagle uwagę na żołnierza, który im się z jakichś im tylko wiadomych powodów nie podobał. Kiwali palcem, podeszli do niego, przejrzyli papiery, rzucili jakieś pytanie, a potem jeden z nich czy drugi wyjął spokojnie rewolwer, przyłożył go żołnierzowi do głowy i wypalił. Żołnierz walił się na twarde bruk, żandarm wkładał rewolwer do olster, kiwał na jakiś samochód, kazał zabrać trupa i ruszał ze swoim towarzyszem dalej. Może zabity żołdat wcale nie był dezerterskim, ale brakło mu w papierach jakiegoś przecinka czy kropki — i to go zgubiło. Żandarm miał swój befeł, był drobnym kołeczkiem mechanizmu i działał sprawnie. Takimi byli nasi panowie życia.

Owszem, zdarzało się, że i na żandarma przychodziła tak zwana kreska i jakaś kula kładła kres jego istnieniu. Ale co to się wtedy działo! Niech Bóg będzie miłościwym, co w takiej chwili na odgłos strzału podbiegli do okna! Seria strzałów z broni mechanicznej na pierwsze powitanie, a potem wybuch ostrego szału. To nie są jakieś mgliste wspomnienia, ale rzeczy zaprotokółowane przez żyrdowskie władze magistrackie. Oto protokół:

„W dniu 26 lipca 1944 r. na ul. 1-go Maja obok domu Nr. 18 żandarm zatrzymał mężczyznę jadącego rowerem, aby go wylegitymować. Zatrzymany wyjął rewolwer i zastrzelił żandarma a następnie uciekł... Cieślak Stanisław, lat około 38-miu, tapicer, zamieszkały

przy ulicy 1-go Maja znajdował się w tym czasie u siebie w warsztacie i podobno wyglądał oknem. Zobaczyli go żołnierze niemieccy, kwaterujący w domu Nr. 18 przy ul. 1-go Maja i dali do niego salwę z karabinu maszynowego zabijając go na miejscu. Następnie weszli do jego mieszkania i wyrzucili zwłoki z pierwszego piętra na podwórko. — Po jakimś czasie przyszli połowi żandarmi do mieszkania zabitego Cieślaka i pytali o żonę jego. Była w mieszkaniu i trzymała dziecko na ręku, ale z przejęcia się tym wypadkiem nie mogła się odezwać. Dopiero sąsiadka powiedziała, że to ona jest żoną zabitego. Wówczas żandarm odebrał od niej dziecko i rzucił je na łóżko, a jej kazał iść za sobą. Na ulicy 1-go Maja przed Ośrodkiem Zdrowia uderzył ją kolbą karabinu i zastrzelił...“

Mordowano nawet świadków różnych zajęć, jak mordowano pierwszych napotkanych mieszkańców Żyrardowa przy wkraczaniu Niemców do miasta albo przy przemarszu pomniejszych oddziałów wywiadowczych. Taki był rozkaz: każdy napotkany Polak ma być zabity gwoździem budzenia zgrozy i strachu przed Niemcami. Dlatego po wkroczeniu Niemców do Żyrardowa dnia 12 września 1939 r. widzieliśmy na ulicach tylu pomordowanych. „Bohaterskie“ żołnierze hitlerowskie zatrzymywały samotne kobiety, opierały karabiny o ich ramiona i zza takiej żywej osłony strzelały do naszych żołnierzy. O nikczemności niemieckiej soldateski można by pisać całe tomy.

Ale owy wybuch szaleńcy, który przypłacił życiem Stanisław Cieślak i jego żona nieszczęsna, należał do ostatnich. Po potężnym upuście krwi wścieklizna niemiecka jęła przycichać. Po zabójstwie arcyłotra Paprzyckiego nie było na przykład żadnych specjalnych represyj. Jego miejsce zajął niejaki Marx, żyrardowski volksdeutsch. Jego ojciec był, zdaje się, człowiekiem dość spokojnym, ale matka uprawiała bardzo żywo proceder denuncjatorski, zaś jego siostra poszła na służbę niemiecką jako „Blitzmä-

del"(radiofonistka?) czy coś takiego. Głupi chłopak zwą-  
chawszy się z żandarmami rychło zasmakował w juda-  
szowych srebrnikach i poszedł śladem Funka i Paprzy-  
kiego: zaczął bić swoje ofiary, czym wypisał wyrok na  
siebie. Pewnego pięknego dnia sierpniowego, gdy niem-  
cy byli w pełnym odwrocie, do mieszkania jego przyszli  
wykonawcy wyroku, a ponieważ stary Marx znajdował  
się w mieszkaniu razem z synem, zginął razem z nim, to  
wykonawców wyroku znał. I to minęło już bez jakichś  
specjalnych represyj ze strony Niemców, którzy mieli te-  
raz daleko więcej innych poważniejszych kłopotów. Dro-  
gi były zatarasowane ciężarówkami i samochodami, od-  
wrót niemiecki był w pełni i nawet z daleka nie przypomi-  
nał zeszlórocznego odwrotu, który tak podziwialiśmy.

Żyrardów był już cały zabudowany bunkrami, o któ-  
rych Niemcy mówili, że są „bombensicher“. Było ich du-  
żo na placach i na skrzyżowaniach ulic. Zdawało się wy-  
nikać z tego, że każda piędź ziemi „niemieckiej“ będzie  
broniona do upadłego. Nad Żyrardowem krążyły samolo-  
ty niemieckie i rozrzucały ulotki zapewniające wszyst-  
kich i każdego, że armia niemiecka broni Europy i obroni  
ją przed niebezpieczeństwem grożącym jej od wschodu.  
Obywatele mogą być zupełnie spokojni, bo siła ramienia  
niemieckiego nie słabnie, ale przeciwnie, wzmoże się nie-  
długo. Istotnie, czasem wydawało się, że ta siła ramienia  
niemieckiego może się nagle wzmóc i to bardzo. W oko-  
licach Żyrardowa wypróbowywano broń „odwetową“ V-1  
i V-2. Od rana do nocy rozlegały się ciężkie detonacje,  
czasem wyjątkowo ciężkie: wybuch następował gdzieś  
bardzo daleko, a w Żyrardowie wypadały szyby i trzęsły  
się domy. Szeptano sobie na ucho, że Niemcy wynaleźli  
jakąś straszliwą nową broń i gotują się do potężnego ude-  
rzenia na Anglię.

Zdenerwowanie było powszechne także wśród Niemców,  
a doszło do szczytu, gdy w Warszawie wybuchło powsta-  
nie. Początkowe powodzenia powstania napełniały serca



dumą i radością, a banknoty generalnej guberni z pieczętami powstańczymi krążyły z rąk do rąk jako dowód, że dzieje się coś wielkiego, może nawet rozstrzygającego. Żyrardowscy volksdeutsche otrzymali rozkaz wyjazdu do Rzeszy, więźniów z Warszawy wywozili Niemcy na zachód. Wtedy właśnie zaczęła działać poczta osobliwa, która godna jest upamiętnienia. Niemal co dzień przynosili ludzie, czasem nieznanymi, kartki papieru zaadresowanego do mnie z tekstem prawie zawsze jednakim: — Jedziemy do Oświęcimia. Jesteśmy zdrowi i dobrej myśli. Nie niepokójcie się o nas. Będzie dobrze. Serdeczne pozdrowienia! — Następowało kilka podpisów. Papier bywał bardzo byle jaki: gruby, do pakowania albo oddarta okładka książki; tekst był pisany najczęściej ołówkiem chemicznym. Kartkę wyrzucano z wagonu w przejeździe przez Żyrardów i polecano ją sercu polskiemu, które nie zawodziło. Była to poczta zdumiewająco pewna. Kartka bywała czasem zdeptana, czasem wiatr odwiał ją dość daleko od miejsca przeznaczenia, ale ten, co ją podniósł, odnosił ją adresatowi natychmiast niby urzędnik telegrafu pilną depezę. To było piękne, jak piękną bywała zawsze treść: ludzie, którzy jechali w niewiadome — często zaś wiedzieli, że jadą na długie i ciężkie umieranie — donosili, że są zdrowi i dobrej myśli i prosili, aby się o nich nie martwić. W drugiej wojnie światowej bohaterstwo przesunęło się z okopów i zasieków z drutu kolczastego w domy nieuzbrojonych obywateli, na ulice i do warsztatów pracy. Nie było kwalifikacyjnych komisji lekarskich: obok młodzieńców stały dziewczęta, obok ojców rodzin szeregowali się starcy, kobiety, nawet dzieci. Łączyła nas — silna jak śmierć — konspiracja miłości dla naszej ziemi ojczystej, dla narodu, dla tego wszystkiego, co było nad życie i miłe.

Jakże nie wspominać ciebie, obywatelu i sąsiedzie miły, Nycu, któryś dzień w dzień przynosił wieści mogące podnieść na duchu i spotęgować siły oporu przeciw mor-

dercom naszym! Ileż to razy na rowerku swoim pędziłeś na wieś po mąkę i kaszę nie dla siebie tylko! Zaiste, jeśli zdołaliśmy przetrwać to piekło, jakie zgotował nam odwieczny i powieczny wróg, to tylko dzięki temu, że byliśmy w sposób tak powszedni i zwyczajny sprzysiężeni z sobą i związani na śmierć i życie.

Czyliż można zapomnieć i ciebie, kochany obywatelu Witkowski, któryś z pogardą śmierci w dni najgorętsze przywoził z Warszawy druki i druczki najróżniejsze, tak niecierpliwie wyczekiwane przez wyczerpanych i udręczonych śmiertelnie polityką morderców i łupieżców? Jakże miło było ujrzeć twego inteligentnego i sprytnego synka, gdy już z daleka mrugnięciem oka mówił, że przynosi wieści wyjątkowo dobre. Ileż nazwisk musiałbym tu wymienić, aby wyczerpać choć w drobnej części obraz naszego sprzysiężenia miłości i przyjaźni. Nazwisk nie tylko tych, co doczekali ucieczki Niemców, ale i tych przede wszystkim, co w walce nierównej zginęli.

Byliśmy ogniwami i ogniwkami jednego wspólnego łańcucha. Gdy pękało ogniwo bliskie czy nawet najbliższe, czekaliśmy swej kolei. Wiedzieliśmy wszyscy, że ci, co wpadają w ręce naszego nieubłaganego wroga, bywają straszliwie bici i nieludzko katowani. Nigdy nie zadawaliśmy sobie pytań, czy zdradzą czy nie zdradzą. Byliśmy pewni, że zdradzić nie mogą i nie zdradzą, ale nie mieliśmy pewności, czy wytrzymają torturę. Walka z potwornym wrogiem nauczyła nas rozumienia wielu rzeczy dotąd nie rozumianych. Z doświadczenia bezpośredniego i pośredniego wiedzieliśmy, że ból rozdwaja osobowość, kruszy wolę, zniekształca najpiękniejszą linię charakteru, obezwładnia duszę i przeistacza ją do niepoznania. Gdy śmiertelnie chorzy widać się w bólach i majaczą, nie mówimy o nich wszak, że coś czy kogoś zdradzają. Jakże moglibyśmy więc oskarżać brata, który zzarty przez potworny ból przestał być sobą, stał się kim innym i w śmiertelnej męce jęknął nie dźwiękiem nieartykułowanym, ale

czyimś imieniem. Iluż to nieszczęsnych torturowanych przez ciemnych katów średniowiecznych przyznawało się do bliskiej znajomości z diabłem! Ile kobiet półżywych po torturze spowiadało się z najdrobniejszymi szczegółami, że pieściły szatana! Nie, to nie zdrady obawialiśmy się, ale skutków zabicia bohaterskiej jaźni i pragnienia śmierci nawet za cenę kłamstwa.

Młoda dziewczyna, skatowana straszliwie na śledztwie, przy pierwszej nadarzonej sposobności prosiła przyjaciół o truciznę z obawy, że przy następnym badaniu, znieprzytomniała, może ulec sugestiom katów. Gdy bliski i drogi nam człowiek umierał z powybijanymi oczami, z połamanymi żebrami, okrwawiony i posiniaczony, właściwie umarły jeszcze przed śmiercią swoją, miewaliśmy bolesne wyrzuty sumienia, że tak straszliwie drogo musiał zapłacić za przemilczenie naszego imienia, które chciano z niego wydusić.

Mijały dni i tygodnie. Przesiłał się rok 1944. Łapano ludzi w mieszkaniach, na ulicach, w pociągach — i w słońcu i chłodzie — pędzono na roboty fortyfikacyjne w okolicy Sochaczewa, Łowicza, Grójca... Wracali stamtąd brudni, obdarci, zabłoceni i opowiadali o wymyślnych szajkach, sypanych nad rzekami i z dala od rzek, ale zawsze „psunabudesowych“. Wszyscy byli przekonani, że szajki te nie zdadzą się na nic, a zresztą uważali, że Niemiec jest zbyt głupi w swej potworności, aby miał zwyciężyć i zapanować nad światem, który zawsze bronić się będzie przed niemiecką zagładą. Może to sprawa tygodni, może miesięcy, ale Niemiec zginąć musi, jeśli nie ma zginąć cała cywilizowana ludzkość. Owszem, zginie jeszcze bardzo wielu spośród nas, ale to tylko odwlecze na czas niejaki dzień ostatecznej klęski niemieckiej.

A Niemiec szalał. Po początkowych mordach integralnych wszystkich mieszkańców powstańczej Warszawy, jacy wpadali w ręce niemieckich oprawców, nie wyłączając starców, kobiet i małych dzieci, zaczęto wywozić

mieszkańców Warszawy via obóz w Pruszkowie „na wolność“. Najlepiej wiodło się tym, co w jakiś sposób zdołali uniknąć opieki niemieckiej i uciec od nich jak najdalej, bo Niemiec nie pozwalał jechać gdzieś do krewnych czy przyjaciół, ale wyprawiał obranych ze wszystkiego pogorzalców, gdzie mu się podobało, zawsze z tym wyrachowaniem, żeby „uwolnionym“ było jak najgorzej i żeby ich jak najwięcej ginęło. Ci, co się szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostali w pobliżu Krakowa, parli do tego miasta, częstokroć ciężko chorzy, potrzebujący opieki lekarskiej i szpitala.

Jakimiś tragicznie okrężnymi drogami dostał się do Krakowa także prof. W. z Warszawy z żoną swoją, córką Adolfa Dygasińskiego. Oboje ciężko chorzy: ona na serce z częściowym porażeniem, on na tyfus brzuszny. Jacyś przypadkowo spotkani Warszawianie umieszczają ich w szpitalach. W ciągu tygodni walczą ze śmiercią i wreszcie prof. W. pozwalają opuścić szpital. Może odwiedzić teraz żonę, która powoli odzyskuje siły i zaczyna chodzić. Są doszczętnie zrujnowani, bo w Warszawie stracili wszystko, ale nie opuszczają rąk: on, wytrawny znawca historii kultury, planuje nowe prace, entuzjazmuje się nimi, koresponduje na ten temat z przyjaciółmi, ona raduje się, że będzie mogła pomagać mu w tych pracach. Pewnego dnia w godzinach popołudniowych idzie, jak zwykle, odwiedzić żonę. Słyszy sygnały alarmowe i wybuchy bomb. Nie przejmuje się, bo przeżył bombardowania Warszawy i powstanie warszawskie.

Gdy wreszcie przybywa do szpitala, widzi zamiast pawilonu, w którym przebywała jego żona, kupę gruzu. Ratować! Rzuca się ku gruzom, zdaje się mu, że słyszy wołanie żony, ale nikt nie chce mu pomóc. Mijają godziny straszliwej szarpaniny czy nawet cała doba, zanim wreszcie zaczyna się akcja ratownicza. Słyszy wciąż ten głos wołający o pomoc, ale odkopuje już tylko zimne zwłoki. Nikt nie chciał pomóc, dopóki można było coś zrobić. Z tą



myślą będzie już żył i nie pozbędzie się jej i będzie go dławiała gorycz, że bliźni mieli tyle innych spraw do załatwiania, gdy trzeba było ratować zasypanych.

Pewnego dnia w końcu września czy na początku października przychodzi do mnie stary przyjaciel, Stefan Weiss, który wy dostał się cudem z Warszawy, gdzie stracił żonę. Mówi, że przyszedł specjalnie, aby mi powiedzieć, jak zginął Juliusz Kaden-Bandrowski. Przyjaciel mój mieszkał przy ulicy Kaliskiej 13. Do domu tego przyszedł Kaden-Bandrowski w dniu wybuchu powstania, aby odwiedzić znajomą, Francuzkę, mieszkającą stale w Warszawie. Oczywiście, po wybuchu powstania już do siebie powrócić nie mógł i pozostać musiał na Kaliskiej. W niedzielę, dnia 6 sierpnia o godzinie 3-ej po południu przy ładnej pogodzie komendant LOPP — wobec przycichnięcia strzelaniny — zarządził opuszczenie schronu i wyjście na podwórze dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Z zarządzenia skorzystało około 30 osób. Przyjaciel mój i jeden z jego towarzyszy musieli pozostać w schronie, aby go oczyścić i nalać do beczek świeżej wody. Córka jego poszła z papierami na drugie piętro oficyny. To ich uratowało. Kaden usiadł ze swoją znajomą na ławce pod murem. Zgoła niespodziewanie padł granat na dziedzińcu nieszczęsnego domu zabijając na miejscu 6 osób i ciężko raniąc 4, przeważnie w brzuch. Do poranionych należał Kaden-Bandrowski. Rana jego była ciężka: wnętrzności były poszarpane. Umarł po kilkunastu godzinach strasznych męczarni, bo ani na chwilę nie stracił przytomności. Jego znajoma, także ranna, leżała w schronie i podobno została dobita przez własowców. „Razem z inżynierem Mitkiewiczem pochowałem Bandrowskiego na podwórzu wkładając do jego grobu zakorkowaną butelkę z nazwiskiem jego i datą śmierci. . .“ — kończy swoją smutną opowieść mój przyjaciel.

W pewien dzień październikowy, mglisty jakiś i smutny, powstał w Żyrardowie duży ruch. Niemcy powskaki-

wali do swoich bunkrów i przyczaili się z karabinami maszynowymi. Z okien lazaretów, szpitali i szkoły niemieckiej powysuwały się lufy karabinów, jakby lada chwila „nieprzyjaciel“ miał się pojawić na ulicach. Śmigły samochody niemieckie, oddziały żołdatów rozbiegały się na wszystkie strony. Za cmentarzem na północnej części horyzontu ukazały się kiście dymów, pojedyncze zrazu strzały przemieniły się w nieustający ogień. Ozwały się armaty. Jak zawsze w podobnych razach, wiazaliśmy w pośpiechu tobołki, szykując się do ucieczki, nie wiedząc, kiedy niemiec każe się wynosić. W pobliżu toczyła się krwawa potyczka. Powstańcy warszawscy, którzy przycupnęli byli w lasach puszczy Kampinoskiej, przebijali się ku północo-zachodowi. Nikt nie wiedział, czy nie zaatakują Żyrardowa i czy nie dojdzie do grubszego starcia. Mówiono o dużych polskich oddziałach idących na Żyrardów. Nikt z nas nie pracował, nie jadł, wszyscy byli gotowi do uchodzenia, które mogło zostać nakazane.

Byłem ciężko chory na serce po przewlekłej zapalnej chorobie. Musiałem wstać i robić to, co robili inni: gotować się do ucieczki. Przed kim i przed czym mamy uciekać, a głównie — dokąd? Ale kołowacizna dochodziła do szczytu i zapanowywało coś, co można by określić jako „paldiablizm“. Życie, błogosławione jasne życie, piękne i dostojne, najwyższa miara wszystkich wartości świata, stało się nagle ohydą, obrzydliwością, czymś, co przeszkadza odpocząć, uciszyć się, ochłonać. Bodaj że wszyscy godzili się wtedy na jakieś ciche cmentarne nieistnienie, przerażało tylko samo umieranie na manierę niemiecką, wdeptywanie w błoto, wybijanie oczu, wyłamywanie zębów... A może nawet nie umieranie przerażało, lecz widok człowieka świniejącego, hieniejącego czy w ogóle spadającego z wyżyn obrazu bożego na dno splugawienia najgorszego. Gdzież tam były te różne Don Kichoty z pociesznymi Sancho Pansami, Lanceloty, Artury, Parsifale, Lohengriny! Cuchnąca ohyda zapanowała nad światem.

Loczek fryzjerczyka, wąsik Zołzikiewicza i rozkosz śmierdzenia na cały świat! Och, umrzeć cicho, osobno jakoś, z dala od jakichkolwiek oczu, tak jak umiera chore zwierzę, zaszywające się wstydliwie w ciemną norę, aby nikt nie widział brzydoty jego cierpienia.

Śmierć bywała aż nazbyt często przedmiotem rozmyślań. Co to jest śmierć? Co to jest życie? Dlaczego boimy się śmierci? Zdaje się, że jesteśmy jakoś nadmiernie przywiązani do świadomości i boimy się nieświadomości. Śmierć — to nieświadomość. Ale czy nieświadomość jest znowu taka bardzo zła? Istnieliśmy przecie całkiem realnie na całe tygodnie przed urodzeniem i jeszcze długo po urodzeniu nie wiedzieliśmy zbyt wiele o swoim istnieniu. Czy było nam wtedy źle? Chyba przeciwnie, było bardzo dobrze. Gdy się czasem pod obiektyw mikroskopu przypatoczy drobna cząsteczka kropli wody z amebą posuwającą się pracowicie ku jakimś jej tylko wiadomym celom, patrzymy jak urzeczeni. Początek życia, początek jakiegoś wylotysięcletniego rozwoju. Nagle podplynie szykowny pantofelek albo zielony czy fioletowy stentor i wówczas widzi się te tysiące czy dziesiątki tysięcy lat, które muszą upłynąć między amebą a takim już ładnym, pięknie rozwiniętym stworzeniem.

Co wiemy o duszy ameby, o duszy stentora i pantofelka? Niewiele, bo i nasza własna jest dla nas zbiorem tajemnic niepojętych. Chcemy żyć, ale co w gruncie rzeczy znaczy to chcenie, nie wiemy. Chcemy linii, koloru, ciepła, zapachu... Nie chcemy mroku i bezkształtu. Ale dlaczego nie chcemy, nie wiemy. Najstraszliwszy ze wszystkich terrorów jest terror życia: ten przymus istnienia nawet w męce i niepokoju. Musiałem wstać, gdy tak bardzo chciało się leżeć i nie ruszać ani ręką, ani nogą. Dom był pełen pogorzalców warszawskich, gołych, obdartych, pomęczonych i głodnych. Widzieli, jak ginęli dziesiątkami i tysiącami ludzie chcący żyć: dzieci małe, kobiety, starcy, mężni młodzieńcy i bohaterscy robotnicy,

zasłaniający świat przed bezprzykładnym splugawieniem swoją własną pierśią. Teraz odpoczywali tu z widokami piekła w chorej duszy, gotowi dalej cierpieć, aby tylko żyć.

Zajechało auto i oficer węgierski z dwoma czy trzema żołnierzami wszedł do mieszkania. Kwatery! Za cmentarzem płonąła wieś polska, umierali polscy żołnierze i nie tylko żołnierze. Nadchodził wieczór mdły, wilgotny czy lepki nawet. Przypomnił się wiersz sentymentalnego poety francuskiego o robaczku umierającym jesienią w kielichu późnego kwiatu. Przecie to luksusowa śmierć, taka zgoła nie-niemiecka, ładna, cicha, pożądana. Węgrzy, którym się zachciało kwatery, zirytowali mnie. Wskazałem im gestem zapraszającym mieszkanie, aby byli łaskawi czuć się jak u siebie. Chcieli trzy łóżka, umywalnię, ręczniki i coś tam jeszcze. Bierzcie, panowie. Podawać nie mogę, bo jestem ciężko chory i trudno mi się ruszać, żona poszła szukać czegoś do zjedzenia dla naszych głodnych gości. Zaraz pewno wróci, posłuży czym chata bogata.

Taki był gest. Myśli były inne. Coś o diabłach, których ich przynieśli i do których mogliby sobie pójść. I o tym, że niby porządni ludzie i rozumni, a wdali się z łobuzami niemieckimi. Węgrzy byli zaskoczeni uprzejmością gestu i jeśli chodzić z pokoju do pokoju. Widzieli nędzę siedzącą na tobołkach, czasem dziecko ranne i obandażowane. Trzech łóżek z umywalniami nie dostrzegali — i ręczników i mydła także nie. Popatrzyli na mnie, przerazili się pewno wyrazem rezygnacji mojej, potem spojrzeli po sobie i cichutko bez większego hałasu wyszli szukać kwatery indziej. Potrzebne wam to było, synowie świętego Stefana, wdawać się z paskudztwem hitlerowskim i włóczyć się po świecie za kwatery, które nie można znaleźć?

Zapadał zmierzch. Dym nad płonąca wsią za cmentarzem rudiał i łuniał coraz bardziej, z pancernych potciągów były armaty niemieckie zapalając coraz nowe osiedla. Gęstym gradem terkotały karabiny maszynowe i nie-



maszynowe. Wszystko jedno. Pal nas diabli! Zdechnąć? Owszem, można i zdechnąć, ale było by dobrze, gdyby łaska boska pozwoliła naszemu śmiertelnemu oku ujrzeć zdychanie tego plugastwa, które już do końca świata nie pozwoli ludzkości odpocząć i wciąż będzie organizowało swoje raubcugi i nie przestanie się chęłpić, że używa szczoteczki do zębów, którą ktoś tam dla nich wynalazł.

Wróciła żona śmiertelnie uchodzona i przyniosła bardzo podłego chleba i dużo pomidorów. Od szeregu tygodni jemy na kolację sałatę pomidorową i przegryzając ohydny chlebem oszwabkowym pijemy herbatę z jakichś „zdrowych“ ziół. Obecny lekarz sławi pomidory jako witaminę C. Moja córka marzy o witaminie ś. Co to za witamina ś? No śledź! Ba, każdy by chciał takiej witaminy! Albo i innych. Na przykład witamina w: wieprzowina, winegretka, wafelki, wódka... Tyle jest witaminowych liter w alfabecie! Można by używać. Ale skąd tu raptem złapać trochę witamin niekoniecznie pomidorowych? Ci, co przeżyli powstanie w Warszawie, złorzeczą kaszy jęczmiennej, która ratowała ich od śmierci głodowej i zatruchiwała życie nudą swego smaku.

Łuna coraz krwawsza, noc coraz czarniejsza. Niemcy siedzą w bunkrach, armatki pociągu pancernego biją zwa-wo. Gospodynie zaczynają się krzątać i zakopywać w piwnicach rzeczy co cenniejsze. Taki już nałóg zakopywania. Liczą się z tym, że dom się spali. Ale skarby platerowe i kociołki miedziane zostaną. Co chwila ktoś wychodzi do sieni i stwierdza, że łuna przesuwą się ku zachodowi, ale strzelanina jest już cichsza. Zacichnie kiedyś wszystko, chwala Bogu. Ziemia przestanie się wiercić dokoła swej wariackiej osi, ulegnie porządnemu zamrożeniu i rozsypie się w drobny pył. Szkoda tylko, że nie będzie można umieścić gdzieś sporej tablicy z napisem, że tu była ziemia, na której pleniły się drapieżne zwierzęta, śmiercionośne mikroby i „bohaterskie“ szkopy pełne Goeringów, Himmlerów i Hitlerów. I nikt nigdy nie bę-

dzie wiedział, ile świństwa może na jednym nędznym globie natworzyć naród panów dotknięty skutkami ciężkiego przewlekłego alkoholizmu i nieuleczalną manią sołdactwa, „bohaterstwa“ i panowania nad światem.

Dowiadujemy się nazajutrz o ciężkiej przeprawie naszych powstańców uchodzących z puszczy Kampinoskiej. Niemcy zapalali wieś za wsią, dobijali rannych, mordowali jeńców. To było zresztą w porządku i inaczej być nie mogło. Takimi byli, są i będą i nic im nie pomoże. Najwyższą rozkoszą będzie dla nich zawsze ujarzmianie słabszych, mordowanie bezbronnych, łupienie wszystkich, którzy mają coś do złupienia. Kto chce żyć obok Niemca, musi się do niego upodobnić i być bezwzględny, bo inaczej zginie.

Dopaliły się wsi za cmentarzem, ucichła walka. Do Żyrardowa zjeżdżali pogorzelnicy warszawscy z najróżniejszych stron Polski. Niemiec nie pozwolił nikomu osiąść tam, gdzie byli krewni czy przyjaciele życzliwi, ale wywoził odartych ze wszystkiego biedaków jak najdalej od miejsc, gdzie mogliby się jako tako zaczepić. Wszyscy chcieli być bliżej Warszawy, więc ciągnęli ku Żyrardowowi. Pewnego dnia październikowego otrzymałem kartkę od Karola Irzykowskiego pisaną ołówkiem i ręką bardzo słabą nie mogącą porządnie naciskać ołówka. Miejscami była zatarta. Wysłana została z Milanówka i to, co można było przeczytać, brzmiało: „... leżę na barłogu... karbunkuł na karku i strzaskana noga w gipsie... Czy nie moglibyście...“ Znakomity krytyk czuł się źle w zaimprovizowanym szpitalu w Milanówku przepelnionym nieszczęśnikami po ewakuacji Warszawy i jej zniszczeniu. Ponieważ bawiło u nas kilka pielęgniarek, posłałem je natychmiast do Milanówka. Zaczny obywatel Lazzarini dał wygodny wóz na gumowych kołach do przewiezienia chorego, a żona wymościła go poduszkami i ciepłymi okrywkami. Ale Irzykowski był nieprzytomny i lekarz nie pozwolił na zabranie go. Dopiero w jaki tydzień póź-

niej — przy serdecznej pomocy Jarosława Iwaszkiewicza — córka Irzykowskiego mogła przewieźć chorego do szpitala w Żyrardowie, gdzie warunki były nierównie lepsze niż w Milanówku, ale uratować znakomitego pisarza nie mogły. Wyczerpany latami wojny i skutkami ciężkiej choroby w związku ze strzaskanym podudziem, umarł 2 listopada. W Żyrardowie bawiło wtedy około 20.000 Warszawian, więc zdawało nam się, że przynajmniej kilkaset osób przyjdzie oddać ostatnią posługę Akademikowi Literatury. Niestety, byliśmy wtedy już tak rozbici i tak pochłonięci powszednimi troskami, że za trumną wybitnego pisarza szło dosłownie kilka osób: jego córka, Iwaszkiewicz, Teofil Jaśkiewicz z żoną i moi domownicy, a także małżonkowie Marczakowie, znakomici filmowcy i niestrudzeni opiekunowie pogorzalców warszawskich. Ten smutny pogrzeb polskiego Akademika i pisarza bardzo zasłużonego był symbolem naszej okrutnej klęski.

Minął listopad i ponury zimny grudzień. Wiedzieliśmy, oczywiście, że Niemcy opuścili prawy brzeg Wisły, ale kiedy przyjdzie dzień wyzwolenia, nikt z nas nie odważył się zgadywać po tylu najtragiczniejszych rozczarowaniach. Zwyczajem swoim Niemcy chętni się głośno, że mają nową broń i że nadchodząca kampania wiosenna zakończy wojnę ich zwycięstwem. Żyło się ciężko, strach przed śmiercią zmalał, śmierć spowszedniała. Mordy i aresztowania nie ustawały. Nieszczęście podchodziło do każdego z nas coraz bliżej. W ostatniej niejako chwili zniknęli kochani przyjaciele, Bytomscy, ludzie młodzi, całą siłą swego entuzjazmu oddani sprawie. Znikła razem z nimi miła, pogodna zawsze i nieustępliwie optymistyczna pani Jadwiga Piątkowska. Bytomski, lekarz weterynarii, dał mi się poznać jako wyjątkowo szlachetny przyjaciel zwierząt. Gdy moja Godula skutkiem jakiejś zapalnej sprawy zaczęła szybko tracić wzrok, robił co mógł, aby ulżyć jej cierpieniom, ale gdy wreszcie uznał, że trzeba biedne zwierzę zgładzić, ani słyszeć nie chciał, by miał to on

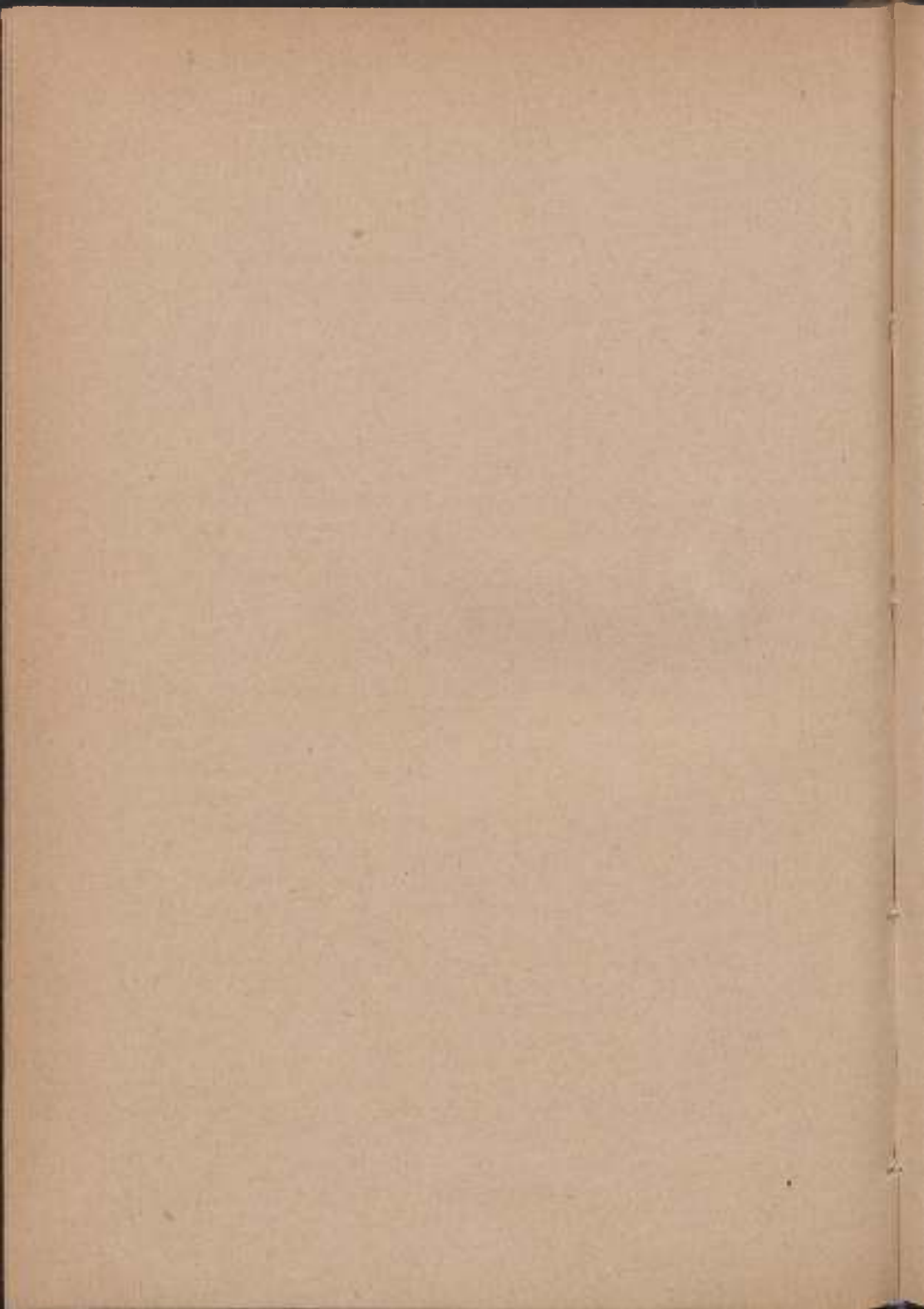
uczynić. Nie, nie mogliśmy tego uczynić. I tego subtelnego, dobrego człowieka, muzyka z zamiłowaniem, zamordowali żandarmi w przededniu wyzwolenia. Ten sam los spotkał widocznie przemiłą, wesołą, zdrową i pogodną panią Jadwigę Piątkowską, z którą od pierwszego roku wojny widywali się niemal codziennie pracując razem, dodając sobie odwagi w chwilach ciężkich. Mówiono, że małżonkowie Bytomscy i pani Jadwiga wywiezieni zostali do Łodzi i tam mieli zginąć w więzieniu spalonym przez Niemców.

Bestia szalała do ostatka, chociaż dzień jej zagłady był już blisko. Ciężkie chwile choroby i smutku osładzał mi częstymi odwiedzinami jeden z najznakomitszych artystów polskich, Kazimierz Wiłkomirski, subtelny wiolonczelista i szlachetny pisarz. Przynosił mi kartki swego pamiętnika i radował serce opowiadaniem o swoich przeżyciach artystycznych i ludzkich. Czasem przychodziła z nim jego siostra, Maria, wybitna pianistka. Wiłkomirski bawił w Żyrardowie jako jeden z pogorzalców. Stracił wszystkie wspaniałe instrumenty i grywał na wiolonczeli zaginionego naszego przyjaciela, Bytomskiego. Jego i jego siostry, Marii, prywatne koncerty w Żyrardowie pozostaną dla ich uczestników niezapomnianymi przeżyciami.

Życie miało już swój rytm ustalony w sąsiedztwie śmierci i nieustępliwej wiary. Gdy się czasem o zmierzchu wyszło na ulicę, widziało się proboszcza żyrdowskiego, ks. kanonika Kossakowskiego, obchodzącego swój farny kościół i czuwającego nad tym przedmiotem dumy całej okolicy Żyrardowa. Ksiądz kanonik był zakładnikiem i miał powody do obawiania się jakiej prowokacji niemieckiej, szczególnie, gdy zabrano mu plebanię pozostawiając za ledwie skromny w niej kącik. A cudowne goetyckie arcydzieło Dziekońskiego godne było najtroskliwszej opieki.



## VII. Powrót człowieka



Huknęły dwa strzały armatnie gdzieś bardzo blisko, bo domek nasz się od nich zakołysał. Zerwaliśmy się, jak to mówią, na równe nogi. Była godzina druga w nocy z 16-go na 17-ty stycznia 1945 roku. Właściwie 17-ty stycznia. Podczas niezliczonych prób dokonywanych na naszym terytorium, gdy Niemcy z jakiejś odległej wyrzutni miotali swoje V-1 i V-2, przywykliśmy do ciężkich detonacyj i wstrząsów, więc dwa strzały armatnie nie były dla nas żadną osobliwością, ale szósty zmysł mówił nam, że to jest umówiony sygnał i że dzieje się coś poważnego. Na ulicy, która była dla nas zamknięta od godziny ósmej wieczorem do świtu, zrobił się duży ruch: samochody i kroki biegających ludzi. Coś się dzieje, ale nie wiemy co. Coś się będzie działo z nami zapewne, ale także nie wiemy co.

Pływały straszliwie długie godziny nocy zimowej. Czekaliśmy na dalsze strzały, ale się nie powtórzyły. W każdym razie jakaś grubsza sprawa czy może nawet bardzo gruba. Niemcy wmawiali w nas ostatnio, że linia Wisły jest dla przeciwnika nieprzekraczalna, że fortyfikacje są na tej linii tak potężne, iż mowy nie ma o tym, aby jakiegokolwiek siły zdołały przedrzeć się przez nie. Znaliśmy już dostatecznie samochwalstwo niemieckie, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy uczynią wszystko, co jest

w ludzkiej mocy, aby obronić ostatni szaniec osłaniający drogę na Berlin. O świcie wpadł pierwszy sąsiad z wiadomością: Rosjanie w Grójcu! Wiadomość murowana.

Nie wąpiliśmy. Więc chwala Bogu, coś się dzieje. Mapę okolicy znaleźliśmy już na pamięć. Jeśli Rosjanie są w Grójcu, to za parę godzin będą w Mszczonowie, a po południu mogą być w Żyrardowie. Co będzie? Odwrót bez walki z większą kontrakcją na dalszym planie czy też ciężkie walki miejscowe? Co zrobią Niemcy z naszym miastem? Co zrobią z nami? Ktoś powtórzył nam słowa niemieckiego dyrektora generalnego, który wsiadając do samochodu powiedział: — Dziękuję Bogu, że nie będę musiał patrzeć na wysadzanie w powietrze tej fabryki, którą sam rozbudowywałem! — Ktoś inny powiedział, że na dworcu kolejowym stoją wagony dynamitu i ekrazytu. Ludność miała być pędzona w niewiadome, miasto miało zostać spalone.

Niewesołe to były chwile! Czulo się: nasi potworniki uciekają, ale czy nas na odchodnym nie wymordują? Okna szkoły ludowej naprzeciwko naszego domu były najeżone lufami karabinów maszynowych. Między ósmą a dziewiątą ktoś przyszedł powiedzieć, że Rosjanie są już w Mszczonowie. Och, jeśli nie dadzą Niemcowi czasu, to może ocalejemy. Nie zdołają Niemcy wypędzić ludności, nie zburzą fabryki i miasta. Upływają kwadrans napiętego wyczekiwania. Gdzieś koło Czarnego Borku o parę kilometrów od Żyrardowa odzywają się armaty. Biją mocno, bo czasem aż dom się trzęsie. Czyje? Niemieckie? Rosyjskie? Na ulicy padają strzały, całkiem blisko. Spojrzenie oknem. Niemiec kłęczy i strzela z karabinu w stronę dworca kolejowego. Czyżby? Nie odważamy się pomyśleć, że wyzwolenie ze straszliwego jarzma niemieckiego jest może bliskie.

Na ulicy mnożą się strzały. Przenosimy się do małego pokoiku od strony podwórza. Z pobliskiej ulicy 1-go Maja, która jest przedłużeniem traktu Mszczonów—Łowicz, sły-



chać wzmagającą się strzelaninę i cięższe detonacje jakby granatów czy pocisków armatnich. Ktoś znowu donosi, że czołgi rosyjskie są już koło przejazdu i gromią Niemców siedzących w okopach koło przędzalni bawełny. Rzucam okiem na podwórze, które spodziewam się zastać puste i bezludne, ale na podwórzu ruch! Niemcy, niemcy, niemcy! Idą gęsiego, wspaniale umundurowani, uzbrojeni w karabiny i w krótką broń; wielu z nich dźwiga ciężkie „panzerfausty“. Uderza tylko jedno: mają białe kaski, a więc oddziały nietutejsze.

Dlaczego idą, czasem wprost biegną, podwórzem? Zaczodzą zwyczajem niemieckim na tyły przeciwnika? Idą na nowe pozycje? Mówią mi domownicy, że ta wędrowka trwa już od przeszło godziny i że przewędrowało tędy wiele setek Niemców. A oni idą i idą. W pewnych punktach stoją nasi znajomi volksdeutsche i pokazują drogę idącym. Walka o szosę trwa z niesłabnącą siłą, armaty biją coraz mocniej. Ktoś odciąga mnie od okna. Na dole koło drzwi sieniowych stoi Niemiec z ręcznym karabinem maszynowym i patrzy w okna. Aha, zabezpieczenie kamratów idących podwórkiem.

Znowu ktoś przychodzi i mówi mi, że czołgi rosyjskie są już w mieście, a właściwie suną dalej, ku Wiskitkom. Armaty przycichają, strzelanina rzadnie. Idę do pokoju, aby spojrzeć na ulicę. Jakiś zapóźniony oddziałek skręca w podwórze. Kilku żołnierzy wchodzi do gmachu szkolnego za volksdeutchem, który ich tam prowadzi. W ślad za nimi idzie młody oficer niemiecki jakby prosto z igiełki. Po chwili wychodzi ze szkoły w eleganckim cywilnym ubraniu, a za nim wychodzą również po cywilnemu ubrani ludzie, którzy przed kilkunastu minutami weszli do szkoły jako żołnierze. Ulica pustoszeje, podwórze także. Stójka z karabinem maszynowym znika przed naszych drzwi sieniowych. Armaty u Czarnego Borku cichną, na ulicy 1-go Maja pada jeszcze parę strzałów i koniec. Do mieszkania wpada sąsiadka i zachłystując

się radością woła: Niemcy uciekli! Za nią przybiega młodzieńca uczennica szkoły ludowej i melduje z miną arcy-poważną: Wojna skończona!

Znajomi z sąsiednich miejscowości przychodzą i opowiadają, ile najróżniejszej broni porozrzucanej jest po okolicy. Dziesiątki armat mniejszych i większych, masa karabinów maszynowych i ręcznych, skrzynie z amunicją, okulawiałe czołgi, ciężarówki i samochody... Klęska! Widzimy przecie tylko drobny odcinek gigantycznej bitwy, a radio niestrudzenie powtarza te same wieści ze wszystkich odcinków frontu. Ucieczka Niemców jest powszechna. Mimo woli przypomina się wielkogębna mowa największego w dziejach świata samochwała, gdy w dniu 11 grudnia 1941 roku nie wstydził się wyliczać bardzo szczegółowo, co gdzie zagarnięto i jakie straty poniósł przeciwnik w broni i w jeńcach. Wyliczał wszystko niby sumienny buchalter i wreszcie wysunął swoją najukochańszą osobę na czoło własnej samochwały:

„Dzisiaj stoję na czele najpotężniejszej armii świata, najmocniejszego lotnictwa i dumnej marynarki. Za sobą i wokół siebie, niby sprzysiężoną społeczność, czuję partię, z którą stałem się wielkim i która stała się wielką przeze mnie... Znacie, towarzysze partyjni, moją nieubłaganą stanowczość doprowadzenia do zwycięskiego końca rozpoczętej walki. Znacie moją wolę w walce takiej: nie cofnąć się przed niczym, miażdżyć wszelki opór, który zmiażdżony być musi. W pierwszej swej mowie dnia 1 września 1939 roku zapewniłem was, że w wojnie tej ani siła oręża, ani czas nie zdołają Niemiec pokonać... Nasi przeciwnicy nie powinni się łudzić. W dwutysiącletniej znanej nam historii niemieckiej naród nasz nigdy nie był bardziej zwarty i zjednoczony niż dzisiaj. Pan światów uczynił nam w ostatnich czasach tyle wielkiego, iż pełną wdzięczności pochylamy się przed Opatrznością, która pozwoliła nam być członkami narodu tak wielkiego. Dziękujemy jej, że w obliczu dawniejszych i przyszłych pokoleń

z honorem zapisać się możemy w niezniszczalnej księdze historii niemieckiej“.

To chwalidumstwo wiało teraz. Zwawo i chyżo, żeby dopaść onej księgi niezniszczalnej i zapisać się w niej z honorem. Już w tej księdze zostanie na wieczne wieki, ale nie z honorem. Żadna siła nie wymaże z niej tego wielkoluda o mentalności wiejskiego balwierza i moralności szakala. Gdy będzie mowa o wiarołomstwie, niczemności, krwiożerczości, nizocie, głupocie i gloriomanii tępego i mętnego łba, to się po prostu powie: Hitler. Wobec niego zajaśnieje niby rycerz bez trwogi i skazy każdy Dżengis-Chan i każdy Attyla.

To więc uciekało teraz. Ale, niestety, pozostawiało poza sobą straszliwe ślady. Z niewielkich broszurek dowiadaliśmy się prawdy o Treblinkach i Majdankach. W niewielu słowach powiedziano tam o magazynie obuwia pozostałego po pomordowanych ludziach wszelkiej narodowości. Obok butów dorosłych mężczyzn były tam chodaczki małych dzieci, obok trzewików ubogiego robotnicarza widniały pantofelki eleganckiej damy. Wszystkich właścicieli tego obuwia zadusił niemiecki cyklon, pożarły ich ogniste piece krematoriów. Były tam jeszcze, ale zostały w czas wywiezione rzeczy złote i srebrne, zegarki, pierścionki, powyłamywane złote zęby. Także „zapisały się z honorem w niezniszczalnej księdze historii niemieckiej“. Gospodarność, porządek, ład! Żeby się nic nie marnowało: ani sukienki dla dzieci, ani ubrania dla dorosłych, ani bielizna, ani pończochy, ani włosy mordowanych kobiet, z których można przecie zrobić kolderkę ciepłą dla dzieci narodu panów.

Życie popłynęło na zgliszczach i ruinach tak właśnie, jak może płynąć po spustoszeniach niemieckiej wojny totalnej. Oszałała bestia uciekała, wracał człowiek spokojnej pracy. Wracał rozbity, chory, odarty przez Niemca ze wszystkiego. Był raczej cieniem człowieka. Można było

policzyć tych, co wracali, nie można było policzyć tych, co już wrócić nigdy nie mieli. Czekaliśmy na powrót tylu braci swoich, doczekaliśmy się powrotu tak niewielu!

Ale jakże dziwna jest natura słowiańskiego człowieka! Podczas wojny, patrząc na wszystkie czyny niemieckiego okrucieństwa, sami stawaliśmy się przynajmniej w myślach swoich okrutni uważając, że Niemcowi należy się zapłata w takiej mierze i rozgrywka w takich normach, jakie sam wyznaczył i uznał za słuszne. Musieliśmy zadawać się z Niemcem i w myśl trafnego przysłowia stawaliśmy się podobni do niego. Ale gdy nam zniknął z oczu, staliśmy się znowu podobni do samych siebie: dobroduszeni, spokojni, pokój miłujący, uczynni. Nie widziałem, aby ktoś był skrzywdził jeńca niemieckiego, chociaż to mądrość Hitlera i Franka ustaliła odpowiedzialność zbiorową. Niewielu spotykałem takich, co potraciwszy rodziców, braci, siostry i dzieci dzięki zdzičeniu Niemców, byliby gotowi zabić bezbronnego Niemca.

Nie był to jakiś defekt pamięci, bo na każdym kroku wstawał z ziemi opar krwi przelewanej tak obficie przez Niemców. Dość było wyjść na podwórko, aby spotkać cienie miłych ludzi, których się widywało w ciągu lat niemal co dzień. Tu mieszkała spokojna kilkunastoletnia dziewczyna, Janinka Cybulska, robotnica fabryczna. Wywlekli ją przed północą z domu i zastrzelili koło Pułapiny. Uczynili to dorośli ludzie, ojcowie rodzin, uzbrojeni, naźarci, napici. Tu mieszkał zdolny i ambitny młody chłopiec, Jurczyński. Widywałem go jako uczniaka szkoły ludowej, potem jako ucznia gimnazjum. W moich oczach rósł i rozwijał się. Lubił książki, przychodził radzić się, czy kupić takie a takie dzieła. Pewnego wieczora przyszli po niego i zabrali go razem z jego młodszą siostrą, ładną, cichą dziewczynką, z której uśmiechem miło było spotkać się kilka razy dziennie... Gdy się wyszło na ulicę, to tuż był kiosk z dewocjonaliami prowadzony przez proste, zacne niewiasty. U tego kiosku zabili żandarmi dwóch mło-



dych chłopców, synów Dr. Cudnego. Wywlekli z domu w nocy, jak czynią zbóje, przyprowadzili w poblize kościoła i na zimno, po niemiecku, zabili.

Dość obrócić się, aby ujrzeć ładny skwer. Tędy pędzono nas 12 września 1939 roku i tu po drodze do szosy wiślickiej naliczyliśmy wiele trupów. Byli to ludzie zabici strzałem w potylicę. Leżeli z rękoma wyrzuconymi przed siebie w kałuży krwi. A ile tych trupów było wzdłuż ulicy 1-go Maja! Przy tej ulicy 1-go Maja stali w roku 1943 pamiętnego dnia 18 listopada współobywatele nasi ustawieni pod murem tkalni. Odarła ich gospodarność niemiecka z przyzwoitego ubrania i odziała w łachmany. Tu stał tedy Zieliński, nauczyciel ludowy i słuchacz mój z kursów nauczycielskich czekając na śmiertelny pocisk zabójcy niemieckiego. Ginał za to, że był Polakiem. Za nic więcej i za nic mniej. Tu stał oniemiały, z zagipsowanymi ustami, prosty, spokojny robotnik, Kotowicz. Na krótko przed jego tragiczną śmiercią widywałem się z nim i zawsze uderzał mnie w nim smutek, jakiego dawniej w nim nigdy nie dostrzegałem. Przeczynał taki właśnie koniec swego życia? Musiał umrzeć za to, że był Polakiem. Tu stał chory 75-letni starzec Doczkał, żarliwy socjalista, wierzący niezachwianie w dobroć serca ludzkiego, w mądrość, w rycerskość. Za tę wiarę swoją musiał zginąć. Stało tam tylu innych...

Parę kroków dalej jest apteka fabryczna. Koło niej zabito dwóch urzędników fabrycznych: Jannasza i Tomaszewskiego wywleczonych z mieszkania... Pójdiesz dalej, to na każdym kroku wstanie przed tobą cień kobiety zamordowanej, starca czy dziecka i każdy skarży się niemotą swoją, że mu Niemiec odebrał skarb najwyższy: życie. Za pobliskim przejazdem jest droga, która zaprowadzi cię do Korytowa, a za Korytowem w drodze ku Mszczonowowi jest laszek ponury. Tam zagrozi ci drogę cały tłum cieni ludzi pomordowanych fachowo, rzeczowo, po niemiecku. Zajeżdżała ciężarówka, wysiadali mężczyź-

ni, kobiety młode, nawet dzieci... Kopali sobie groby, a potem kat niemiecki zabijał jednego po drugim spokojnie i bez otrząsu. Jeśli pójdiesz jeszcze dalej, to koło samego Mszczonowa ujrzysz cienie lekarza miejscowego i dwóch księży. Zabito ich za to, że wojsko polskie brońło Mszczonowa. Motywacja doprawdy bestii oszalałej. Mój przyjaciel szedł w ostatniej chwili do Warszawy, aby stawić się do wojska. Przenocował na plebanii mszczonowskiej. Ale Warszawa była już odcięta i dostać się do niej nie było można. Trzeba było zawrócić. Znowu wstąpił na plebanie, aby odpocząć, ale gościnnych księży i szlachetnych ludzi nie było już wśród żyjących. Zginęli razem z tyłu innymi!

Gdy jedziesz do Warszawy koleją, to koło Międzybórzowa wychyli się z okna wagonu ten czy inny pasażer i zrobi niemy gest: to tu. Ilu przyprowadzono tu żywych, młodych, zdrowych ludzi i ile pozostawiono trupów! Wyjdiesz na cmentarz i wychylisz się poza jego mur, to ujrzysz cienie paru chłopców: Horodyskiego, Sztanlika, Holca, o twarzach pomiażdżonych buciurami żandarmów. Patrzyliśmy na fotografie tych pomiażdżonych twarzy z panią Jadwigą Piątkowską — gdzieś ty zginęła, pani Jadwigo, i jak? — wierząc, że kiedyś przedłożymy je jakiemuś trybunałowi, gdy sążeni będą zbrodniarze niemieccy. Byliśmy wdzięczni obywatelowi Karolowi M. za to, że tych zdjęć dokonał narażając się na zemstę morderców. A teraz uśmiecham się melancholijnie do tamtej chwili. Boże, kto pomyślał wtedy, że największa w dziejach świata zbrodnia ujdzie zbrodniarzom tak na sucho, jak im uchodzi! Ileż fotografii trzeba by zebrać, aby zilustrować straszliwe mordy zwyrodnialców!

Nie stójmy tu, gdzie błakają się cienie niepomszczonych młodzieńców zgładzonych ręką wypasionych wieprzolułów. Ale gdy nieco pójdziemy dalej, to ujrzymy leżących na ziemi dwunastu braci naszych, których tu przywieziono, kazano im się poukładać twarzą do ziemi i spo-

kojnie, po kolei, gospodarnie po niemiecku pozabijano. Potem wezwano ludzi ze wsi, kazano pomordowanych zakopać i tak ładnie zrównać ziemię, żeby śladu nie zostało, bo jeśli tego nie zrobią, to sami zostaną rozstrzelani. Chcesz uciec z tych miejsc i zawracasz w lewo ku Kozłowicom? Uważaj! Koło jednej ze stodoł wlokł się biedak postrzelony podczas niemieckich walk odwrotowych. Trzymał się za pierś i ręką zatykał ranę, aby go krew nie uszła, zanim dotrze do pierwszego domu. Jeden z uciekających Niemców poświęcił temu nędzarzowi parę drogo-cennych minut, przyskoczył do niego i dobił go tłukąc kolbą karabinu. Może ta hiena ma krzyż żelazny z „Eichenlaubem“, siedzi teraz gdzieś koło Magdeburga, żre schab z kapustą, popija piwem i chełpi się swoim bohaterstwem. I czeka na jutrzejszy feldcug pod jakim nowym kretyńskim Hitlerem. Bo dopóki Niemiec będzie Niemcem — nie skończą się jego feldcugi, masowe mordy i folgowanie najniższym instynktom sadyzmu i zwyrodnienia.

Chcesz, wędrowcze, pójść dalej? Nie chodź, bo tu wszędzie są wsie, w których żandarmi niemieccy mordowali na wrywki. Gdziekolwiek stąpnął Niemiec — lala się czyjaś krew. To nie był wyjątek, ale reguła. Chcesz uciec w przeszłość daleką? O pięć wieków wstecz czy dziesięć wieków? Na nic ci się nie zda. Pójdziesz przez cmentarzysko Słowian, braci swoich. Kto zna dzisiaj wszystkie nazwy słowiańskich plemion wymordowanych lub zniemczonych? Kto nie śmieje się z „niemieckich“ nazwisk ledwo powierzchownie sfonetyzowanych z niemiecką? Przecież to są nazwiska słowiańskie! Mówimy dzisiaj: Odra — Nisa. Ale kto z nas nie wie, że między Odrą a Elbą są miasta: Rostock, Wyszomierz, Zwierzyn, Branibór, Pozdawilk, Przemysław, Sadniki itd., które dzisiaj nazywają się Rostock, Wismar, Schwerin, Brandenburg, Pasewalk, Prenzlau, Zehdenick... Niemiec powiada, że to odwieczna niemiecka ziemia. Dobrze, ale dlaczego ta odwieczna niemiecka ziemia ma polskie nazwy?

Chcesz uciec przed tą ohydną wizją stałych niemieckich mordów w przyszłość? To przypomnij sobie niemiecki nadgraniczny pomnik odwetowy z wezwaniem: „Nigdy, Niemce, nie zapomnij, co ślepa nienawiść tobie zrabowała. Oczekuj godziny, która zmaże hańbę krwawiącej granicy: Gdańsk, Grudziądz, Chełmno, Starogard, Poznań, Bydgoszcz, Gniezno, Chodzież, Inowrocław, Leszno“. To wezwanie do odwetu stało tuż nad granicą polską, niedaleko Piły. To, co rabusiowi zostało odebrane, uważa Niemiec za krzywdę dla siebie, to jest jego zdaniem, dziełem ślepej nienawiści. To, że on sam rabował w ciągu wieków, tępił i wynaradawiał, nie jest dziełem ślepej nienawiści. I gadaj tu z takim! Cały świat ze wszystkimi jego dostatkami jest dla Niemca tylko. Ba, samo życie, prawo wdechu i wydechu jest prawem wyłącznym Niemca, który nie tylko może, ale powinien mordować wszystkich, co nie chcą być Niemcami. Mordował krzewiąc chrześcijaństwo, mordował, gdy uznał, że trzeba chrześcijaństwo wytępić, aby zrobić miejsce dla jakiegoś germańskiego wotinizmu.

Po sześciu latach życia, z którego ręka najkrwawszego błazna skrośliła twórczą pracę i radość istnienia i wypląsała największe w dziejach spustoszenie, zapragnąłem wydostać się poza ten rodzinny Żyrardów, w którym każdy krok krwawił się i gdzie snuły się przed oczami cienie pomordowanych. Przymarzyła się jasna Wisła z zielonymi wzgórzami, cienistymi dolinami i kryształowym powietrzem. Po ciężkiej chorobie i po latach niewoli, jakiej nigdy dotychczas ludzkość nie poznała, tam chciałem ochłoniąć, wyzdrowieć, odzyskać spokój.

Minęła wiosna, pełna trosk powojennych, rozgorzało lato i oto pewnego bardzo wczesnego ranka, gdy dzień się ledwo budził, ruszyłem w drogę do swej ziemi obiecanej, w Cieszyńskie. Jasno błyszcząca gwiazda poranna na wschodzie, gdy auto miało straszliwą „Choinkę“ z cieniami setek pomordowanych. Żywo stanęły mi przed



oczami masowe pogrzeby tych nieszczęsnych, którym nikt nie chciał napisać imienia, którym nikczemni mordercy pisali śmierć nieraz w zaraniu życia.

Po ciężkiej i przewlekłej chorobie zaczynałem wsta-  
wać i wtedy pewnej niedzieli ujrzałem oknem jeden  
z tych pogrzebów, które się długo powtarzały. Zwłoki  
pomordowanych odkopywano w miarę ich znajdowania—  
raczej przypadkowego. W stosunku do ilości pomordo-  
wanych odnajdywano ich niewiele. Ci, co sądzili, że wie-  
dzą, gdzie są pochowani ich bliscy, mylili się często przy  
wskazywaniu miejsca, więc w gruncie rzeczy tylko drob-  
na część ofiar okupantów niemieckich została pochowana  
na cmentarzu.

Nie zapomnę widoku tych pogrzebów. We wczesnych  
godzinach popołudniowych zbierali się obywatele żyrar-  
dowscy u dolnej bramy kościoła farnego. Przybywały  
korporacje liczne ze sztandarami i wieńcami, oddziały  
M. O. z bronią. W pewnej chwili nad rozfalowanym  
mnóstwem zebranych zakwitły nagle barwne sztandary.  
Tłum zastygał w bezruchu i z dolnego kościoła wypływały  
na barkach młodzieży proste trumny okryte sztandarami  
narodowymi. Niekiedy bywało ich kilkanaście. M. O. pre-  
zentowała broń, pochylały się sztandary i żałobny pochód  
ruszał w stronę cmentarza.

Oczy bezwiednie szukały trumny, w której spoczywa  
może ten czy ów spośród przyjaciół czy znajomych. Szu-  
kałem spojrzeniem trumny, w której mógłby spoczywać  
Jurek Rozwenc — trumny podobnej do niego, do jego ży-  
cia, dobroci serca, czystości charakteru. Ale wszystkie te  
proste trumny sosnowe były do siebie podobne i niczym  
nie zdradzały swej tajemnicy, jak żaden z mordowanych  
nie zdradził w najcięższej ostatniej chwili swoich przy-  
jaciół. Jurek Rozwenc wziął na siebie dobrowolne zada-  
nie informowania obywateli żyrardowskich o wydarze-  
niach, jakie docierały do niego przez jeden z niewielu  
ukrytych aparatów radiowych. Już w końcu września i na  
początku października Niemcy złupili Polskę zabierając

jej wszystkie aparaty radiowe. Za nieoddanie zarejestrowanego aparatu groziły ciężkie kary.

W chwili wybuchu wojny Jurek Rozwenc miał lat 19 (ur. 15. II. 1920). Bardzo szybko wdrożył się w swoją dobrowolną służbę informacyjną, zapisywał nasłuch dość zręcznie i przepisywał go w coraz większej ilości egzemplarzy dla koła swoich odbiorców. Czym była wiadomość radia londyńskiego, paryskiego, moskiewskiego, szwajcarskiego w czasach straszliwej głuszy okupacyjnej, gdy rozlegał się bezkarnie jedynie chełpliwy ryk szalejącego barbarzyńcy, wszyscy wiedzą. Toteż karteluski Jurka były dla nas dobrodziejstwem. Wszyscy kochali tego samorzutnego dziennikarza i byli wstrząśnięci do głębi jego tragiczną śmiercią. Jakiś Judasz wskazał nań katom niezawodnie i wydał go na śmierć. Już bawiąc w Cieszyńskim starałem się dowiedzieć jak najwięcej o tym zacnym chłopcu, który nie zdradził ani jednego ze swoich odbiorców i cicho umarł, jak cicho żył. Z zarządu miejskiego w Żyrardowie otrzymałem do dyspozycji gruby fascykuł z nagłówkiem: „Zbrodnie niemieckie“ i w nim znalazłem krótką notatkę o Jurku. Jest to meldunek ojca zamordowanego chłopca, p. Władysława Rozwenc. Oto brzmienie tego meldunku:

„W dniu 11 lipca 1943 r. zgłosiła się żandarmeria do domu, w którym mieszkam, zapytywali o Jeziorskiego Władysława, którego zbili podobnie jak i mego syna za to, że sieni nie otworzył prędko. Syna mego zabrano razem z Jeziorskim na posterunek żandarmerii w Żyrardowie, a po trzech dniach, t. j. 14 lipca wywieziono samochodem w grupie siedmiu osób do lasu przy szosie mszczonowskiej i tam wszystkich rozstrzelano...“

Oto wszystko. Zbrodnie niemieckie notowano, gdy zgłaszali się krewni i przyjaciele pomordowanych i składali meldunek protokółarny, który następnie podpisywali. Fascykuł wspomniany liczy 100 kart (niektóre dotyczą mordów zbiorowych), ale obejmuje tylko część egzekucyj

doraźnych, bo nie wszyscy krewni pomordowanych zgłaszali się, aby tragiczną śmierć swych bliskich zarejestrować. Nieraz też zgłosić się nie mogli, bo mieszkali daleko poza Żyrardowem albo ginęli w obozach koncentracyjnych. Niechże to wspomnienie poświęcone Jurkowi Rozwencowi będzie grudką ziemi rzuconą na trumnę nie tylko jego, ale wszystkich ofiar szalejącej bestii.

Wyjeżdżałem w Cieszyńskie pięknego ranka z nadzieją w sercu, że w cudownym cichym Cieszynie i w malowniczej Wiśle ochłonę po chorobie i potwornych przeżyciach i napiszę od bardzo dawna planowaną książkę o przyjaźni. Podczas lat wojennych przyjaźń była zjawiskiem powszechnym i cudownie krzepiącym. Uścisk dłoni, uśmiech, słowo, chleb przełamany, torebka cukru, szczypta herbaty — to była komunia serc, jak jest nią kiść bzu, ulubionego mego kwiatu, podana mi z dalekiego Żyrardowa ręką przyjaciela K., który dotrzymał wiary miłości człowieka i kwiatu do późnych lat swego pracowitego życia.

Ale książka o przyjaźni nie została napisana. Już za Żyrardowem stawało mi się jasnym, że trzeba by chyba pojechać gdzieś na Grenlandię, aby wydostać się poza duszną strefę problematyki Niemca. Droga w Cieszyńskie była usiana mogiłami i widmami szubienic. Tu wieszano, tu rozstrzeliwano, tu bito i rabowano, ówdzie palono i wypędzano spokojnych, pracowitych ludzi. Dokonywali tego uzbrojeni, zrównoważeni ludzie, członkowie narodu, który nazwał siebie kiedyś narodem poetów i myślicieli, a później — narodem panów.

Było to po niebywałym w Polsce majowym huraganie i w drodze wiodącej przez las pełno było drzew powyrzniętych z korzeniami albo połamanych jak zapałki. I wszędzie leżały trupy czołgów, szczątki armat, rozbite samochody. A w każdym mieście czy miasteczku umiano pokazać miejsce straceń, miejsce szubienic, miejsce naj-

straszliwego w dziejach świata upadku człowieka, sięgającego po władzę nad całą ludzkością w imię swej nigdy nienasyconej chciwości.

▲ przecie, jakże jasnym jest dla każdego, że ten naród, który szalejąc stawał się plagą i klęską ludzkości europejskiej, mógłby być tej ludzkości błogosławieństwem jako równy wśród równych i wolny wśród wolnych! Czy zbudzi się jego sumienie człowiecze, czy zgodzi się on, że inni mają także prawo do życia, czy też wiecznie trwać będzie przy wierze, że tylko on ma wyłączne prawo do rozporządzania się ziemią i życiem innych narodów? W chwili, gdy separatyzm narodowościowy zdawał się zamierać, gdy granice oddzielające narody stawały się granicami łączącymi je, niemiec zaktualizował najzacieklejszy nacjonalizm odmawiający prawa do życia narodom innym.

Gdzie uciec przed tymi reminiscencjami? Na Grenlandię? Ach, tam toczyły się walki z podwodnymi łodziami niemieckimi i na dnie morza leżą tam trupy okrętów zatopionych przez Niemców i szczątki zwłok potopionych ludzi. Do Afryki? Jakże zakrwawił ją Rommel, przedmiot dumy armii niemieckiej, spiskowiec przeciwko Hitlerowi i jeden z ojców klęski niemieckiej! Wojna niemiecka o panowanie nad światem zatoczyła szerokie kręgi i zlikwidować ją może tylko naród niemiecki sam przekuwając miecze na lemiesz. Ale czy to się stanie? I kiedy to się stać może?

W księdze „Zbrodni niemieckich“ w Żyrardowie nie zapisano wszystkich mordów, jakich okupanci dopuszczali się na ludności cywilnej, bo nie wszyscy pomordowani mieli krewnych, którzy zapragnęli zarejestrować śmierć męczeńską swoich bliskich. Nie zapisano też ani jednego Żyda. Przez zapomnienie, że w Żyrardowie mieszkało przeszło trzy tysiące Żydów? Nie, ale brakło takich, którzy rejestrowaliby śmierć swych bliskich i podpisali zeznanie. Najpierw stłoczono Żydów w getcie wytwarzając



w Żyrardowie zamęt straszliwy, przerzucając ludność z dzielnicy do dzielnicy. Robiono to zimą, jak zawsze, przy wypędzaniu ludzi naszych z Poznańskiego i Pomorza, przy odbieraniu mieszkań, przy przesiedlaniu przymusowym, przy wypędzaniu Żydów. Do okrucieństwa własnych zarządzeń przybierał niemiec na pomoc okrucieństwo żywiołu cierpienia i śmierci. To już była zasada.

Jechałem przez kraj zniszczony, spustoszony, co więcej: pustoszony stale i metodycznie. Ileż razy zarzucali nam Niemcy naszą „polską gospodarkę“, która właściwie była w całym znaczeniu słowa „niemiecką gospodarką“. Bo czymże mogła Polska być, gdyby od czasów najniepamiętniejszych Niemiec nie był niweczył dorobku naszego? Jak potwornie gospodarowali krzyżacy na ziemi polskiej mordując i grabiąc bezustannie! Jak niszczyli każdy ślad naszej kultury narodowej! Aż wreszcie przyszedł Fryderyk II — inicjator rozbiorów polskich — i odtąd słyszeliśmy z ust cesarzów, kanclerzy i filozofów niemieckich, że mamy być wytępieni. Tępiono nas „humanitarnie“ wywłaszczzeniami i wozami Drzymałów, aż wreszcie przyszedł Hitler i powiedział, że należy nas po prostu wyrznąć. Przeszkadzało Niemcom wszystko, co polskie. Gdy podczas okupacji zagłodzone dzieci polskie po ukończonych lekcjach zmawiały króciutki pacierz: „Matko Boza, Królowo Korony Polskiej, błogosław Ojczyznę naszą!“ — Niemiec zakazał tego pacierza, a raczej z ust dzieci naszych wtłoczył je w serce każdego z nas. Wygnał ze szkoły naukę historii i geografii uważając, że dla niewolników pańskiego narodu dość, gdy umie czytać i pisać.

Przez całą drogę towarzyszyły mi te myśli posępne. Jakże można zapomnieć o tym, że przez cały czas dziejów naszych łupili nas Niemcy z jednej strony, caryce wszechne niemieckiego pochodzenia i carowie tępi — z drugiej strony. Jak mógł się ostać dorobek narodu pracowitego wobec łupieskich i nigdy niesytych wrogów? Niemiec płacił nam za nasze zboże, co mu się podobało, ale

za wyroby przemysłowe kazał sobie płacić ceny coraz wyższe. Ale jak zawsze, tak i tym razem, Niemiec dążąc do zła, stworzył dobro pobudzając księcia Druckiego-Lubeckiego do stworzenia przemysłu polskiego. Lud polski — dotąd wyłącznie rolniczy — stawał się ludem przemysłowym i w kulturze przemysłowej dojrzał jako dziecko Polski. Zamiast garści szlachty do walki z grabieżcą stanęły milionowe rzesze. Tego Niemiec nie chciał na pewno.

Ale to jest tylko drobna część zagadnienia. Rdzeniem problemu jest wciąż pytanie: czy Niemiec zmierzi sobie wreszcie te swoje feldcugi i raubcugi, czy zacznie czytać Goethego i uzna go za większego od Hitlera? Był czas, gdy jako student uniwersytetu niemieckiego w zeszycie do notowania wykładów pisywałem sobie sentencje goetheowskie. „Edel sei der Mensch. . .“ — szlachetnym bądź, człowiecze, skorym ku pomaganiu i dobrym. Potem korespondowałem ze swoimi niemieckimi profesorami i zachowałem stałe ożywione stosunki ze swoim niemieckim księgarzem w Heidelbergu. Były to czasy pięknej demokracji niemieckiej, gdy w sławnym Heidelbergu mógł być wykładać wielki polski laryngolog, Jurasz. Można było polemizować nawet z cesarzem, byle to się działo rzeczowo i przyzwoicie.

Potem przyszła wojna. Przyszli inni ludzie. Znikło wszystko, co w Niemczech było piękne i dostojne, pogłębiło się wszystko, co było złe i lichy. Przemiana była nagle i niespodziewana, jak gdyby po dostojnym Koperniku przemówił nagle Lafirdecki z farsy Krzywoszewskiego. Nastała moralność murzyńska: dobre jest, co służy mnie, złe jest, co służy innym. I ci ludzie wzięli sobie za patrona Nietzschego, którego nie czytali i nie znali! Nie wiedzieli, że ten człowiek, który umarł na tak długo przed swoją śmiercią, marzył o Cezarze z obliczem Chrystusa, o Cezarze „nieubłaganie dobrym“. Nietzsche przeobrażał się wzwyż, Hitler zagrał *va banque* na niższą. Przegrał?

Niechże nas Bóg broni przed złudzeniami! Hitler żyje w milionach serc niemieckich, które splugawił samym istnieniem swoim nie wiedząc oczywiście o tym, że je plugawi.

Jesteśmy inni. W Hitlerze było dużo z mentalności psa: wierzył w pałę i bicz. Jego pierwszym i ostatnim artykułem wiary był terror. Nie mógł pojąć, że ktoś może nie bać się oszalałego byka. Gdy spostrzegł, że są tacy, co się go nie boją, oszalał. Tym, co miotali mu w twarz wyrazy pogardy nawet w ostatniej chwili życia, kazał gipsować usta i wiązać ręce. Nie wymusił dla siebie szacunku wśród najuboższych nawet robotników i chłopów, a kobiety odwracały się od każdej postaci hitlerstwa z uczuciem głębokiej odrazy. Znakomici polscy uczeni, wytrawni pisarze, artyści, rzemieślnicy, wojskowi, duchowni, cywile — wszyscy byli sobie wierni w czasach panowania tego barbarzyństwa, które jeszcze nie otrzymało swej nazwy. Ginęli rozstrzeliwani i zagładzani na śmierć po obozach, ale pozostawali ludźmi wolnymi. Nie było tu nigdy ani śladu jakiegoś Quislinga czy Hachy. Osiemdziesięcioletni biskup ewangelicki, Dr Bursche, wolał śmierć męczeńską niż ustępstwa na rzecz tego potwornego ruchu, który otrzymał imię od krwawego poślówka. Arcybiskup krakowski, ks. Sapieha, podniósł głos przeciwko mordowaniu ludności cywilnej, chrześcijańskiej i żydowskiej, daleki od czegoś w rodzaju lojalności kardynała Innitzera. Gdy Niemcy zagarnęli ewangelicki kościół w Krakowie, arcybiskup Sapieha w sposób niezmiernie ujmujący ofiarował im jeden ze swoich kościołów „na czas okupacji“. Zaiste, jesteśmy inni. Setki księży katolickich poszło na śmierć, trzecia część księży polsko-ewangelickich zginęła po obozach i więzieniach niemieckich, ale jakiegoś śladu zgody na hitlerstwo okupanci nie doczekali się od nich, jak nie doczekali się jej od całej polskiej ludności.

I oto doszło do procesu norymberskiego. Świat czekał jakiegoś gestu „narodu panów“, który byłby w ich stylu wczorajszym, czy od którego powiałoby wielkością bohaterstwa naszych męczenników. Nic podobnego. Posiadali grzecznie na ławach i zaczęli się bronić, jak się broni przeciętny przestępca. Nie wiedzieli nic, nie słyszeli o czynach zbrodniczych, nie wydawali żadnych zarządzeń sprzecznych z prawem międzynarodowym. Wielkogębne slogany pychy wczorajszej przemieniły się nagle w przejaw nędzy moralnej. Jesteśmy inni. Niepodobna wyobrazić sobie u nas takich biskupów niemieckich, którzy tak skwapliwie wspomagali Hitlera, a dzisiaj pobudzają listami pasterskimi do odwetu, jak to czyni arcybiskup Konrad. Milczał, gdy mordowano „braci w Chrystusie“ innych narodowości, krzyczy, gdy w sposób kulturalny wysiedlają Niemców ci, co się przez nich czują zagrożeni. „Prawem jest, co służy narodowi niemieckiemu...“ Jakże tu się dogadać, jak się porozumieć? Niemiec zaczął grę, Niemiec ustanowił zasady gry. Przegrał, ale przegranej nie uznaje.

Przed laty siedziałem w więzieniu carskim w Warszawie. Lekarz więzienny przeniósł mnie do lazaretu, a felczer więzienny odwiedzał nas i pewnego dnia zaczął domagać się ode mnie, abym zagrał z nim w karty. Powiedziałem, że nie mogę, bo musiałem w kancelarii oddać wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie. Poradził mi, abym zażądał trzech rubli i zagrał z nim. Nawet poparł mnie w kancelarii tak skutecznie, że trzy ruble mi wydano. Ale karta szła mi nadzwyczajnie: wygrałem rubla, dwa, trzy... Mój felczer cisnął karty na ziemię i wybuchnął: — A ty, co za jeden? Głupiego udajesz czy co? Nie rozumiesz, że to ja powinienem wygrywać, a nie ty?! — Przez chwilę nie rozumiałem, ale zaraz się połapałem, o co chodzi. Podałem mu trzy ruble z grzecznym uśmiechem i pouczyłem go, że to wcale nie ja wygrałem, ale on. — Ja wygrałem? No to w porządku. A mnie wy-



dawalo się, że to wy... — Przyjął „wygraną“, uściskał mi życzliwie dłoń i powiedział, że za jaki tydzień znowu zagramy.

Wojny kończą się jakoś nieprogramowo. „Wir kapitulieren nicht!“ — krzyczał Niemiec, gdy „wszystkie koła pędziły sloganowo ku zwycięstwu“ i teraz jest złość. Czy nie widzisz jeden z drugim, że to wy mieliście kapitulować — a nie ja? Nie nowe to, ale stare i niemieckie. Dnia 20 sierpnia 1915 roku sekretarz stanu, Dr. Helfferich, wywodził w Reichstagu: „Gdy Bóg da nam zwycięstwo, a tym samym możliwość ukształtowania naszego życia według potrzeb i konieczności, wówczas obok innych spraw nie powinniśmy zapomnieć o sprawach kosztów wojny. Standard życiowy naszego ludu winien być wedle możności uwolniony od ogromnych ciężarów wojny. Ołowiane brzemie miliardów muszą dźwigać sprawcy wojny. Niechże je sobie dźwigają w ciągu dziesięcioleci, byle nie my!“

W roku 1935 angielskie czasopismo „National Review“ (sierpień) pisało: „Gdyby Niemcy, którym przebaczone zbrodnie z roku 1914, mieli na nowo rozpalić pożar światowy, to nie było by już dla nich pardonu. Zagrożeni strażnicy naszej chrześcijańskiej cywilizacji, obrońcy tego wszystkiego, co życie czyni godnym życia, musieliby w interesie ludzkości naród niemiecki jako całość wyłączyć z systemu europejskiego. Byłaby to straszliwa egzekucja, ale w razie potrzeby winna być wykonana...“

Widziałem zniszczenie Warszawy, widziałem trupy miasteczek, jak np. Żory. Czytałem dużo o odwrocie niemieckim z Francji w roku 1918. Barbarzyńcy niemieccy nie zostawili na drodze swego odwrotu we Francji kamienia na kamieniu. Gdy pewien Szwajcar zwracał Niemcom uwagę na barbarzyńskość ich poczynania i pytał, co zrobią po takich barbarzyńskich wyczynach, gdy wojnę przegrają — „O, w takim razie zorganizujemy sympatię dla siebie!“ — odpowiadali z uśmiechem. Z sudań-

skim negrem można by się może porozumieć, ale z taką mentalnością żaden normalny europejski człowiek nigdy się nie dogada.

I o tym trzeba pamiętać. Dzisiaj, jutro i za lat dziesięć, i za sto. Zawsze!

Znowu milczący jasny księżyc płynie cicho nad Cieszynem. Pachną bzy, wieje kojący wietrzyk. W tę pierwszą rocznicę kapitulacji niemieckiej wiosna wybuchnęła nagle i niespodziewanie, w ciągu paru dni pokonała ostаточно rozbitą zimę i przeobraziła świat. Czyjeś serca dziękowały Bogu za szczęście niezaciemnionych okien i niezaciemnionych myśli. Za to, że nie ma godzin politycznych, że po ulicach nie włóczą się żandarmi, że nie wyciągają z domu ludzi, aby ich zabić na ulicy albo na podwórzu. I za to, że nie ma dziesiątków szubienic dla pierwszych lepszych skazańców za to, że są Polakami.

Ale z chłodnego cienia nocy wypęła niespokojny sceptycyzm. Długo tego pokoju? Tej ciszy? Niewymownego szczęścia istnienia? Czy zdążą przyjść nowi Szopenowie, nowi Słowaccy, nowi Kopernikowie, aby nam ukazać cud nowej ziemi i nowego nieba w melodii, w słowie, w objawieniu? Oto czuwa dobroć, miłość, przyjaźń, ale czuwa także podłość, zdrada i nikczemność. Łysa uczoneść, która robiła doświadczenia śmiertelne na bezbronnych kobietach po obozach koncentracyjnych, na więźniach zamrażanych w lodowatej wodzie, na dzieciach pozbawionych krwi potrzebnej rannym niemieckim żołdatom, czuwa teraz. Może w Hiszpanii, może w Argentynie, a może nawet pod okiem zbyt ufnych okupantów anglosaskich kuje się nową broń, hoduje się bakterie dżumy czy cholery, aby można było wymordować jak najwięcej ludzi i zrobić jak najwięcej miejsca dla herrenvolku, który musi mieć przestrzeń życiową od Flesyngi po Władywostok.

Gdzieś w nieznanym laboratorium czyha atom, aby na komendę rozciąć świat na dwoje, rozszepić go, jak

błyskawica rozszczepia widnokrąg ciemny od ponurych chmur. Wytryśnie płomień gigantyczny, wyszarpnie lej potworny w ziemi, wydrze masę powietrza z atmosfery i zabije sto tysięcy a może pół miliona ludzi. Bo ktoś koniecznie musi kapitulować, ktoś musi być niewolnikiem, ktoś musi komuś oddawać Islandie i Grenlandie, Afryki, Australie i wyspy, których imiona są nam nieznane albo trudne do spamiętania.

Zdaje się, że to Lew Tołstoj napisał piękną rzecz: „Ile ziemi potrzebuje człowiek?“ Okazuje się, że nie tak bardzo wiele, bo parę łokci wystarczy, aby w niej spocząć i czekać w spokoju sądnego dnia. Tymczasem jednak toczą się i toczyć będą krwawe walki o lebensraумы od oceanu do oceanu. I ludzie spragnieni ciszy i błogosławieństwa pokoju znosić będą straszliwe cierpienia, wobec których cierpienia znane nam już okażą się drobiazgiem niewartym gadania. Bo jednak zdziczenie rasy panów postępuje konsekwentnie od stulecia ku stuleciu. Słyszymy, że zawodowi kaci spełniają swój obowiązek z odrazą i że niektóre egzekucje odchiorowują po prostu. Nie słyszemy nic, aby naród niemiecki, który wymordował miliony ludzi, który żony swoje i dzieci odziewał w sukienki pozdzierane z trupów przed ich zagazowaniem i kremacją, czuł się specjalnie źle. Przeciwnie, daje się słyszeć, że jest dużo Niemców niezadowolonych, iż nie dość namordowano Polaków i Rosjan i nie dość zniszczono siedzib ludzkich.

Patrzę na księżyc wiosenny i myślę, czy to naprawdę trup. Może nie koniecznie. Życie może mieć takie różne aspekty, że nawet na księżycu mogą istnieć jakie twory, choćby zgoła do nas niepodobne. Ale to wszystko jedno. Kiedyś rozpadnie się w proch i w pył także nasza ziemia, która się tworami swoimi spisała nie tak bardzo. Ludzie rozstrzeliwani przez Niemców albo zamęczani przez nich w obozach mogli mieć tę wątpliwą pociechę, że ktoś będzie ich wspominał, że może nawet z kości ich powstanie

msciciel. Ale co się stanie ze straszliwym piekłem ziemi, gdy ona się rozpyli, aby dawać materiał na nowe światy i nowe krematoria? Był oto glob ziemski, roilo się na nim od najróżniejszych stworzeń pokracznych fizycznie i pokracznych moralnie. Szalały na tym globie wojny i zarazy zmiatając z jego powierzchni miliony istnień wśród mąk, dla których nie ma wyrazu. Czarna śmierć kosiła całe kraje niby łąny, syfilis śmierział rozkładem żywych ciał, ospy i tyfusy, dżumy i cholery wyprawiały sobie uczty, wobec których wybuchy bomb atomowych — to niewinne igraszki dla niedorozwiniętych dzieci.... I ten glob rozleci się, rozpyli w mroku gasnącego słońca, które jest żywe, ma bicie serca — skurcz i rozkurcz trwa około jedenastu lat — ale jest śmiertelne i zgaśnie kiedyś. Gasnąc będzie kopciło obmierzłe jak wszystkie przedmioty gasnące, stanie się zużłem i wreszcie trupem. Nikt we wszechświecie nie będzie wiedział, jakim planetom świeciło słońce, jakie na nich gorzały stopy i jak po Neronach, Dżengis-Chanach i inkwizytorach przyszedł największy z nich, aby mordować nie tysiące, ale miliony i to w sposób wyrafinowany, sadystycznie wymyślny, okrutny i potworny.

Po nocach, pełnych upiorów i cieni pomordowanych braci, przychodzą dni niewypowiedzianie piękne. W głębokim błękicie nieba pławią się bielutkie puszyste obłoki, pachną bzy, uśmiecha się przyjaźń i miłość. Pewnego popołudnia niedzielnego jedziemy z przyjacielem miłym, Janem K., wzdłuż Olzy. Patrzymy na tamten brzeg i myślimy zapewne o tym samym. Siąpi deszczyk delikatny jak mgła, ustanie — wyrzy słońce i chluśnie bogactwem złocistych blasków. Ptaki zachłystują się radością życia i śpiewają głośno. Delikatnie szumi jaz. Olza jest cicha, wyschnięta, widać żwir jej dna, ale na obu jej brzegach buja wspaniały przepych życia.

Nagle przyjaciel trąca mnie i niemym gestem wskazuje w prawo. Cudowna polanka w jasnej zieleni wiosennej, niewypowiedzianie urocza, pobudzająca do radowa-



nia się z życia. Ale na środku stoi wysoki brzozywy krzyż, ogrodzony sztachetkami, zaś obok stoi tablica z napisami. Gest przyjaciela mówi: — To tu. — Tak, to tu. Stała tu długa galeria szubienic, odbywał się niemiecki „Volksfest“, zabawa ludowa. Gwar wesołych głosów niemieckich, szczebiot niemieckich maślów. Tłum, czy raczej stado ludzkie, właściwie nieludzkie. Wymizerowane w więzieniu cienie ofiar... Masowa egzekucja a potem gwar radosny. Zabawa ludowa nacjonalsocjalistyczna. Kaci dostają za fatygę i idą pić. Popisują się swoim zbydłęcieniem wskakując na stoły i pokazując, jak wykrzywia się twarz człowieka mordowanego...

Wszędzie i zawsze ten sam problemat pieśni krzyżackich śpiewaków plujących w twarz spętanych jeńców nizotą krzyżackiej duszy: „To, co was boli, nam rozkosz sprawia!“ Znamy ten termin psychologiczno-prawny: Lustmord (mord lubieżny). W żadnym języku świata nie znajdziecie słowa tak szczerlnie przylegającego do pojęcia tego, co ono ma wyrażać i nigdzie nie znajdziecie tyłu lustmörderów, jak wśród tego narodu panów, który jest zarazem narodem katów. Kto rozwiąże ten zawiły problemat, kto przeprowadzi równanie między nazwiskami, jak Schubert, Heine, Beethoven, Goethe, Kant, aby dopisać wreszcie: Hitler, największy — z samomianowania — niemiec wszystkich czasów?

Kto zbudzi ten naród do pięknego ludzkiego twórczego życia bez wypraw morderczych, łupiestw, rabunków? Kto nauczy go wspólnoty wszechludzkiej? Co z tym odwiecznym niemieckim separatyzmem, samouwielbieniem i samoodrazą, odruchami samczachowania i dziełami samozniszczenia? Kiedy to się skończy? I gdzie na globie ziemskim jest takie miejsce, gdzie można by zapomnieć o Niemczech, niemieckich okupacjach, obozach koncentracyjnych, komorach gazowych i krematoriach? Europę aż po Wołgę zalali krwią; to samo czynili po oceanach, w Afryce i indziej. Szykowali się do zalania krwią Ameryki.

Los uczynił nas ich sąsiadami najbliższymi. Tylko wszechwiedzący Bóg wie, ilu Słowian zginęło z ręki tego plemienia, ilu zostało wchłoniętych przez niemiecko i zmobilizowanych do dalszej walki z nami? Zagadnienie Niemca jest zagadnieniem jutrzejszego pokoju i istnienia całych narodów. Biada tym, którzy uznaliby to zagadnienie za wyczerpane i załatwione. Byłby to jeden z tych straszliwych błędów, za które płaci się życiem. Nie jednostek tylko, ale całych narodów.

Nikt przecie nie wie, w którym narodzie urodzą się geniusze obdarowujący ludzkość szczęściem i radością życia. Geniusze, wobec których każda postać hitlerstwa niemieckiego będzie zawsze tylko i tylko... negacją.



**SPIS RZECZY:**

I. Księżyc nad Cieszynem. Dwie perspektywy. . . . .	7
II. Żyrardów. Spojrzenie wstecz. (Notatki kalen- darzowe). . . . .	23
III. Pawiak. . . . .	77
IV. Epoka zaciemniania. . . . .	125
V. Wał zachodni i „wały“ wschodnie. . . . .	175
VI. Bestia szaleje. . . . .	217
VII. Powrót człowieka. . . . .	255

